PISMO POŚWIĘCONE

FRONDA

NUMER 43

cena 25 zł (0% VAT)

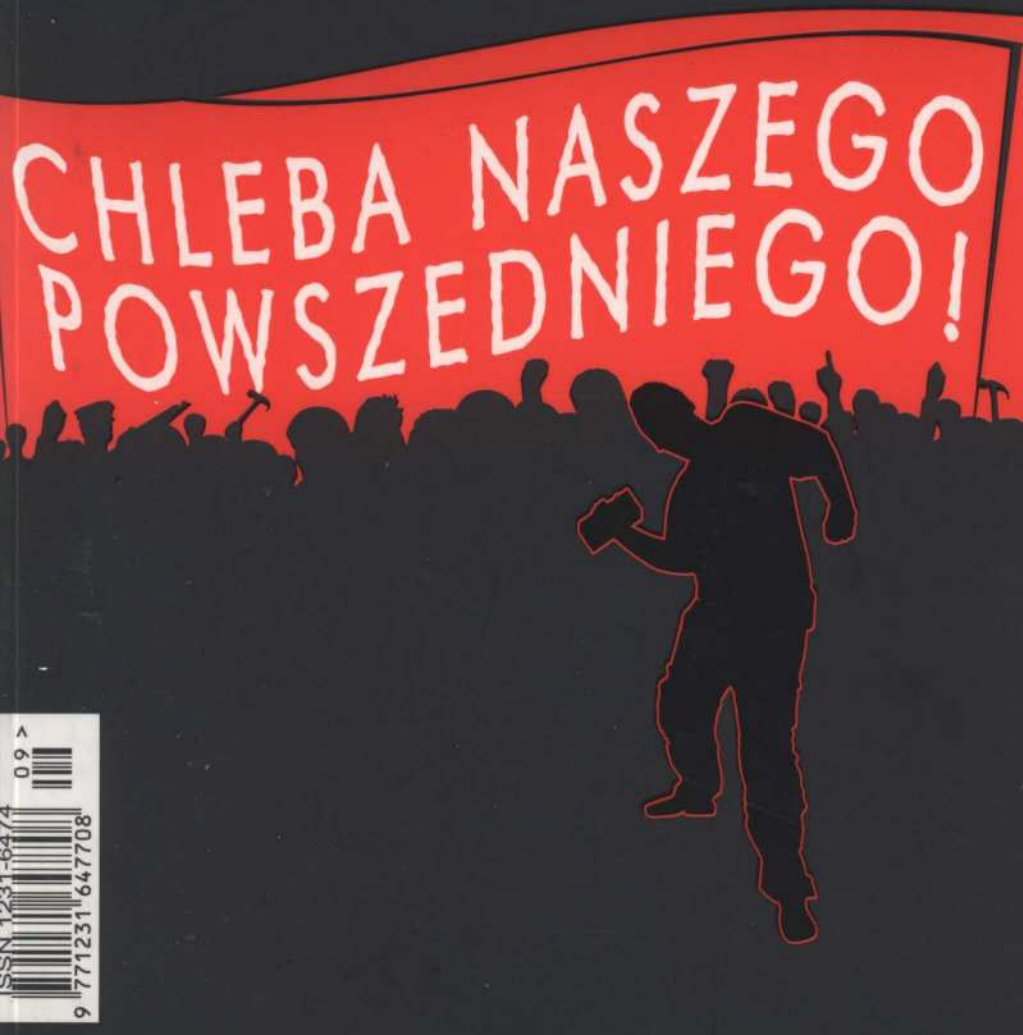

ISSN 1231-6474
9 771231 647708 09

PISMO POŚWIĘCONE

FRONDA

Nr 43

Jednak wcześniej

FRONDA

Nr 43

ZESPÓŁ

Nikodem Bończa Tomaszewski, Michał Dylewski, Grzegorz Górny,
Marek Horodniczy (redaktor naczelny), Aleksander Kopiński. Estera Lobkowicz,
Łukasz tangowski, Filip Memches, Sonia Szostakiewicz.
Rafał Tichy, Wojciech Wencel, Jan Zieliński

Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa
ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

OPRACOWANIE GRAFICZNE I PROJEKT OKŁADKI

Jan Grzegorz Zieliński

REDAKCJA STYLISTYCZNA I KOREKTA

Sylwia Wróblewska

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY

ul. Jana Olbrachta 94, 01-102 Warszawa
tel.: (022) 836 54 44; fax: (022) 877 37 35
www.fronda.pl
fronda@fronda.pl

WYDAWCA

Fronda pl sp. z o.o.
Zarząd: Michał Jeżewski, Tadeusz Grzesik

DRUK

Wydawnictwo AA spółka jawna, pl. Na Groblach 5, 31-101 Kraków
tel.: (012) 422 89 83. 422 13 44, fax: (012) 292 72 96,
e-mail: pracowania@aa.com.pl

PRENUMERATA PISMA POŚWIĘCONEGO „FRONDA"

Księgarnia Ludzi Myślących
ul. Tamka 45, 00-355 Warszawa
tel.: (022) 828 13 79 • e-mail: info@xlm.pl • www.xlm.pl

Aby otrzymywać kolejne numery za zaliczeniem pocztowym, prosimy wypełnić stałe zamówienie na stronie internetowej www.ksiegarnia.fronda.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów.
Materiałów niezamówionych nie odsyłamy.
Redakcja „Frondy" nie ponosi odpowiedzialności za treść i formę reklam.

ISSN 1231-6474
Indeks 380202

S P I S R Z E C Z Y

BOLESŁAW CZERWIŃSKI
Czerwony Sztandar 5

JAN ALFRED REGUŁA
Poza nawiasem polskości 6

ANKIETA 0 LEWICY 10

JOANNA 1 ANDRZEJ CWIAZDOWIE 11
KRZYSZTOF WOŁODŹKO 16
JERZY SOSNOWSKI 21
MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI 26
MATEUSZ PISKORSKI 31
JACEK TITTENBRUN 36
JANUSZ P. WALUSZKO 39
OLAF SWOLKIEŃ 40
RYSZARD BUGAJ 45

MICHAŁ ŁUCZEWSKI
Kacap i bonzo 48

PIOTR CZERSKI
Tryumfalny pochód pompy ssąco-tłoczącej w instalacjach użytkowych 96

BENIAMIN MALCZYK PESSIMUS
Się nie należy 105

TOMASZ OCHINOWSKI, JERZY JAGODZIŃSKI
Niech nie wie twoja lewica! 111

BRONISŁAW ŁAGOWSKI
Lewica i prawica - koniec historii 124

JÓZEF DAJCZGEWAND, BOGUMIŁA TYSZKIEWICZ
Marzec'68: Odbrązowić historię, usunąć pomniki 129

RAFAŁ ŁĘTOCHA
Czerwona Wieża Babel 137

Jan Paweł II
OBROŃCA GODNOŚCI CZŁOWIEKA

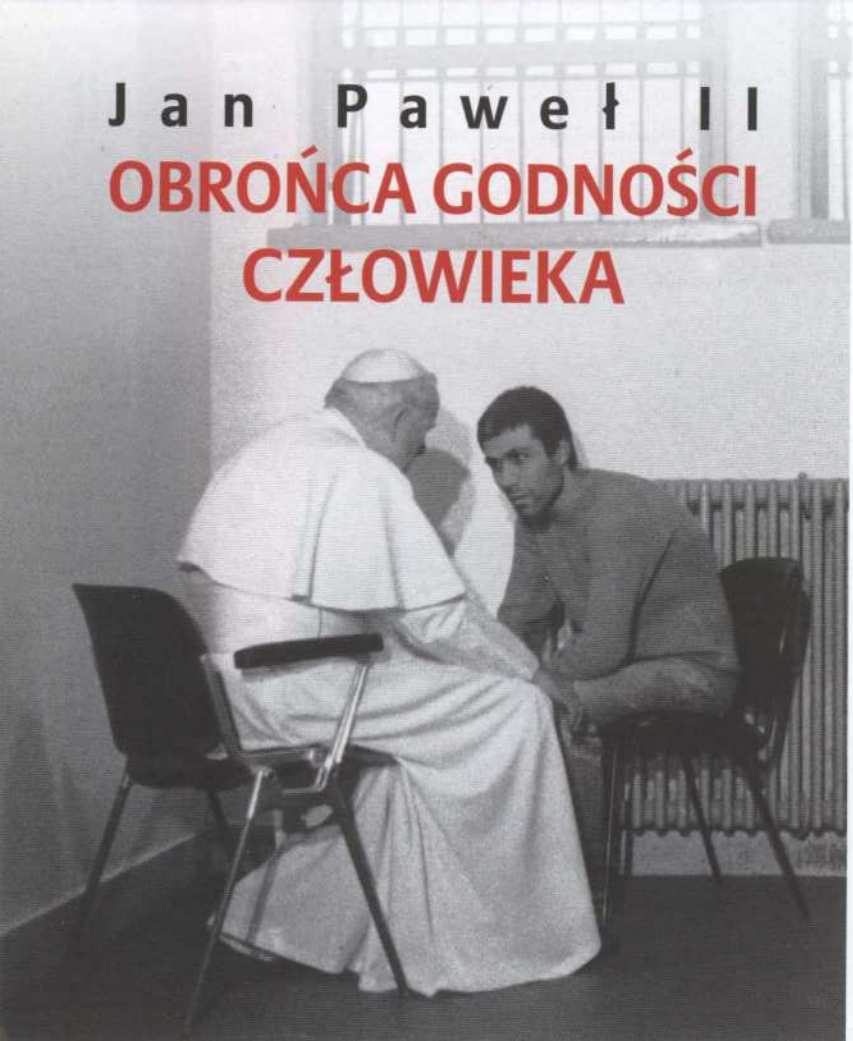

VII Dzień Papieski
14 października 2007

FUNDACJA „DZIEŁO NOWEGO TYSIĄCLECIA"

Wpłać na stypendia
Daj szansę
zdolnej młodzieży
z ubogich rodzin

Nr konta:
81 1320 1104 2979 6023 2000 0001

Teologia Polityczna

Rocznik filozoficzny nr 4

Neuhaus, Walicki, Rotfeld
O misji w polityce

Taubes
O cenie mesjanizmu

Lilla
O końcu polityki

Strauss
O narodzie wybranym

Seitschek, Dzielski
O religii politycznej

Żurawscy vel Grajewscy, Doktór, Koehler
O historii i mesjanizmie

Kłodkowski
O mesjanizmie islamskim

Sienkiewicz
O geopolityce rosyjskiej

Bartyzel
O Hoene-Wrońskim

Cohn
O millenaryzmie

Lisicki
O Mesjaszu

Łuczewski
O chrześcijańskiej Europie

Krasnodębski
O Mickiewiczu

Staniszkis
O misjonizmie Solidarności

Himmelfarb
O nacjonalizmie i religii

Brague
O autodestrukcji demokracji

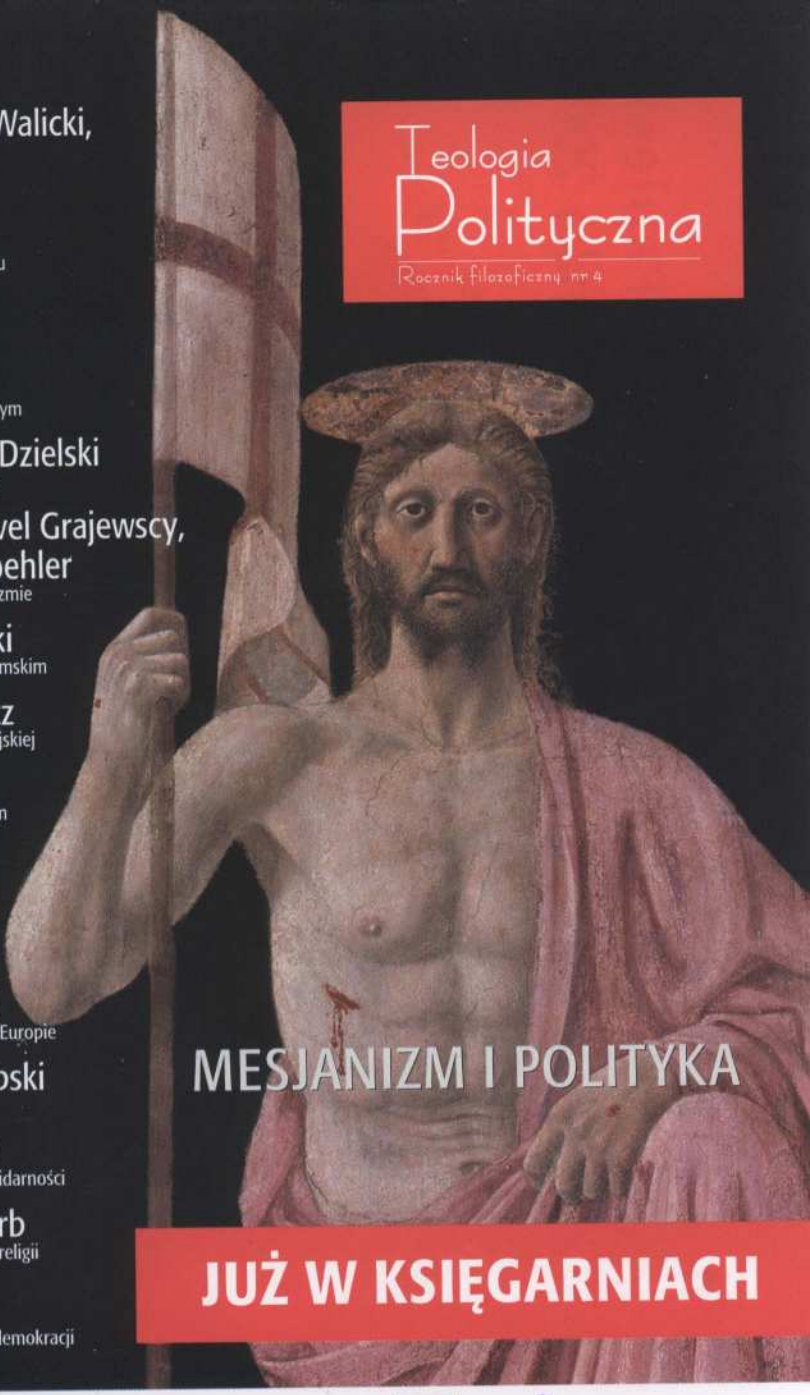

MESJANIZM I POLITYKA

JUŻ W KSIĘGARNIACH

www.teologiapolityczna.pl

„Teologia Polityczna" została zrealizowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz przy wsparciu finansowym Wydawnictwa Naukowego PWN i Fundacji Konrada Adenauera.

WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN

Konrad Adenauer Stiftung

bezkompromisowo

RADIO JÓZEF

Z DUCHEM

radykalnie

96,5fm

Warszawa i okolice

każdy zakątek świata

http://www.radiojozef.pl

Adres: Radio Józef ul. Łazienkowska 14, 00-449 Warszawa, tel (22) 6269669 fax (22) 6269679, www.radiojozef.pl

NOWE PAŃSTWO

kwartalnik

www.nowe-panstwo.pl

cywilizacja

historia

polityka

TOMASZ TERLIKOWSKI
Pochwała partykularyzmu 161
KORNEL UJEJSKI
Z dymem pożarów 170
WOJCIECH CHMIELEWSKI
Pyza 172
BARBARA CRUSZKA-ZYCH
*** 183
Nidall 184
Kwaśna wnuczka 185
SZYMON BABUCHOWSKI
*** 187
*** 188
REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
Serce ogrodnika 189
Koniec epoki złotych zębów 191
ARTUR NOWACZEWSKI
Ogniem i sercem 192
JAN MAROSZ
Petent 202
IMPRIMATUR
PAWEŁ SKIBIŃSKI
XX-wieczne męczeństwo okiem baptystów 204
ALEKSANDER KOPIŃSKI
Zamiast przeżycia 212
WOJCIECH WENCEL
Jesteśmy boginiami 226
FILIP MEMCHES
Natura nie da się oszukać nawet Merkuremu 229
WOJCIECH CHMIELEWSKI
Zbieranie rozproszonych iskier 237
GERARD VAN DEN AARTWEG
Tęczowa książeczka, czyli zwalczanie homoseksualnych uczuć 243
NOTY 0 AUTORACH 260

BOLESŁAW CZERWIŃSKI

CZERWONY SZTANDAR

Krew naszą długo leją katy,
wciąż płyną ludu gorzkie Izy,
nadejdzie jednak dzień zapłaty,
sędziami wówczas będziem my!

Dalej więc, dalej, dalej więc, wznieśmy śpiew.
Nasz sztandar płynie ponad trony,
niesie on zemsty grom, ludu gniew,
wolności zwiastując siew.
A kolor jego jest czerwony,
bo na nim robotnicza krew!

Choć stare łotry, nocy dzieci,
nawiązać chcą starganą nić,
co złe, to w gruzy się rozleci,
co dobre, wiecznie będzie żyć!

Porządek stary już się wali,
żywotem naszym jego zgon.
Będziemy wspólnie pracowali
i wspólny będzie pracy plon!

Hej, razem bracia, do szeregu!
Z jednaką myślą, z dłonią w dłoń!
Któż zdoła wstrzymać strumień w biegu,
Czyż jest na świecie taka broń?

Precz z tyranami, precz z zdziercami!
Niech ginie stary, podły świat!
My nowe życie stworzym sami
i nowy zaprowadzim ład.

Socjalizm polski końca XIX w. był na najlepszej drodze do przetworzenia się w ruch patriotyczno-społeczny, uznający istnienie klas społecznych i ich antagonizmy, jako fakty obiektywne i szkodliwe, które należy zlikwidować drogą przebudowy ustroju gospodarczego - to zaś musi być dziełem nie jakiegoś abstrakcyjnego „proletariatu", lecz ludzi dobrej woli z różnych warstw i może być urzeczywistnione tylko w ramach swego narodowego państwa.

Poza nawiasem polskości

JAN ALFRED REGUŁA

Rozwój socjalizmu polskiego szedł po innej linii niż socjalizmu w Europie Zachodniej; różnica wypływała ze specjalnych warunków politycznych kraju, pozbawionego własnej państwowości, dalej z odmiennej struktury gospodarczo-społecznej Polski, wreszcie ze specjalnych tradycji historycznych. Nasz ruch robotniczy w pierwszym rzędzie stanął twarzą w twarz wobec nie „klasowego wroga", lecz obcego władcy Polski, wyzyskującego go także materialnie; do-

dać musimy, że carat rosyjski odnosi! się do wszelkich postulatów robotniczych z wyjątkową brutalnością i niezrozumieniem. Dlatego głównymi zagadnieniami, nurtującymi świat pracy w Polsce w owych czasach aż do roku 1918 stają się: nie walka klasowa, a dążenia do wyzwolenia narodowego, walka narodu z potrójnym najeźdźcą, w pierwszym rzędzie z najokrutniejszym spośród nich - najeźdźcą moskiewskim. Dla marksistów doby dzisiejszej brzmi to może nieco dziwnie, jednak szereg zdarzeń okresu do 1918 r. wskazuje, że jutrzenka wolności mocniej przyświecała robotnikowi polskiemu, niż klasowe postulaty. Klasycznym zresztą przykładem należytego doceniania wolności politycznej może być nawet polityka bolszewików, tych najkonsekwentniejszych marksistów (co prawda konsekwentnych aż do absurdu) w krajach kolonialnych i okupowanych przez mocarstwa imperialistyczne. Tam walka o wyzwolenie narodowe zupełnie oficjalnie uznana jest przez doktrynę komunistyczną za główny cel, po zdobyciu którego dopiero ma nastąpić uporządkowanie stosunków społecznych. Taką politykę prowadził Stalin w Chinach w latach 1925-27.

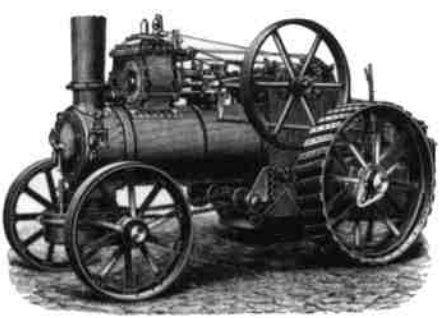

Marksiści polscy aż do czasu powstania Polskiej Partii Socjalistycznej (1892 rok) tego oczywistego faktu nie dostrzegali, albo widząc - nie rozumieli. Pewien refleks rzuca na to duża popularność Marksa i marksizmu w Polsce tylko właśnie z tych przyczyn, że zarówno Marks, jak i Engels ze względów politycznych, będąc wrogami caratu, głównej wówczas siły reakcyjnej w Europie - byli gorącymi zwolennikami niepodległości Polski, tej spod zaboru rosyjskiego.

Podkład zjawiska tego typu polega na dość powolnym formowaniu się narodu polskiego jako świadomej siebie całości. Ucisk i wyzysk spadają wówczas

przeważnie na proletariat fizyczny, który stanowi! ogromny czynnik opozycji i walki z okupantem „Priwislinja"; obok zaś proletariatu bardzo ruchliwą była również szlachta, staczająca się do roli inteligencji czy pół-inteligencji, ziejąca

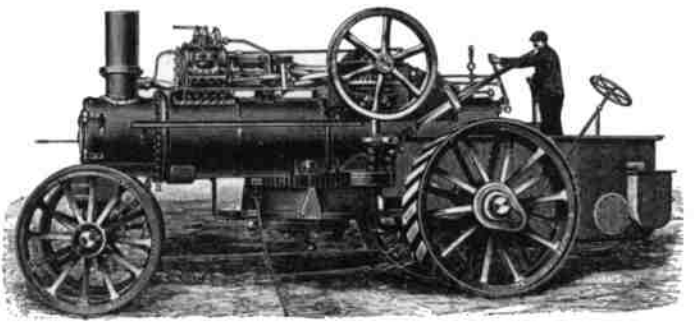

wielką nienawiścią do ciemiężców. Środowisko inteligencko-szlacheckie wykazywało wówczas dużą sympatię dla warstw ludowych przekonane, że dawna Polska upadła na skutek poniżenia tych warstw. Już stara „demokracja szlachecka" z wielką siłą wysunęła postulat wyzwolenia i podniesienia chłopa; później Józef Piłsudski i jego współpracownicy, zapoznawszy się z socjalizmem zachodnim, uznali, że na czoło warstw ludowych wysuwa się robotnik z fabryki, jako ich część najaktywniejsza - a koncepcja taka stała się kamieniem węgielnym przy powstaniu w roku 1892 Polskiej Partii Socjalistycznej.

Marksizm napłynął do Polski z Niemiec, Francji, Szwajcarii i stąd najczęściej pochodzi jego swoiste zabarwienie antypolskie, kultywowane przez pewien odłam studentów polskich i żydowskich, studiujących wówczas na uniwersytetach rosyjskich, gdzie wobec ohydy reakcyjnej caratu najskrajniejsze prądy i teorie miały zwolenników. Dużo, co prawda, z tej polskiej młodzieży, która przejęła wiarę marksowską, robiło to świadomie czy podświadomie, wierząc, że pod naporem socjalizmu carat runie, a z jego upadkiem zaświeci jutrzenka swobody dla Polski; wszystko zaś, co do tej wymarzonej polskiej wolności prowadziło, było dla tej bezdomnej - w rozumieniu Żeromskiego - młodzieży i inteligencji dobrym i słusznym. Wiele pamiętników i dokumentów z ówczesnego okresu wskazuje na to najdobitniej.

Socjalizm polski końca XIX w. był na najlepszej drodze do przetworzenia się w ruch patriotyczrio-społeczny, uznający istnienie klas społecznych i ich

antagonizmy, jako fakty obiektywne i szkodliwe, które należy zlikwidować drogą przebudowy ustroju gospodarczego - to zaś musi być dziełem nie jakiegoś abstrakcyjnego „proletariatu", lecz ludzi dobrej woli z różnych warstw i może być urzeczywistnione tylko w ramach swego narodowego państwa. Jednocześnie atoli, równolegle do socjalizmu z odcieniem sentymentu narodowego, ugruntowuje się wówczas u nas socjalizm innego typu, który ostatecznie krystalizuje się właśnie w Komunistycznej Partii Polski - socjalizm niepolski, kosmopolityczny, o terrorystyczno-rewolucyjnym programie przebudowy społecznej. Ten ostatni znajduje gorących zwolenników w środowisku getta i pewnej części polskiej inteligencji podległej wpływom rosyjskiej kultury do tego stopnia, że znalazła się ona właściwie poza nawiasem polskości.

JAN ALFRED REGUŁA

Jan Alfred Reguła (właśc. Józef Mitzenmacher) - występował również pod pseudonimami: ..Mietek". ..Redyko*' (od Rewolucja Dyktatura Komunizm) i nazwiskami: Jan Roszkowski, Józef Kamiński, Bogusław Słoński, Jan Skaliński i Jan Berdych: jeden z przywódców przedwojennego ruchu komunistycznego w Polsce, który po podjęciu współpracy z przedwojennym MSW opublikował „Historię Komunistycznej Partii Polski w świetle faktów i dokumentów": książka była dowodem na to. że polskie władze w 1934 r. doskonale rozpracowały ruch komunistyczny w Polsce.

ANKIETA 0 LEWICY

i.

Od upadku komunizmu, w polskich kręgach intelektualnych, na łamach czasopism l w murach uniwersytetów, wielokrotnie debatowano nad istotą prawicowości, tym, jakie idee i tradycje ją wyznaczają, oraz jakie powinny być polityczne i cywilizacyjne cele prawicy w naszym kraju. Zabrakło natomiast podobnego namysłu nad tożsamością lewicy. Nie powstały też instytucje i środowiska, podejmujące poważną lewicową refleksję metapolityczną. Gdzie należy upatrywać przyczyn tego faktu?

2.

Czy Polska potrzebuje dzisiaj silnej, atrakcyjnej i nowoczesnej lewicy, a jeśli tak, to do jakiej tradycji winna się ona odwołać i jakie winny jej przyświecać wartości?

3.

Które istniejące na naszej scenie politycznej ugrupowania inspirują się ideałami lewicy i próbują je realizować?

JOANNA I ANDRZEJ GWIAZDOWIE

Ad 1.

W Polsce, po rezygnacji z marksizmu i rozpadzie imperium komunistycznego, w porządnym, czyli prawicowym towarzystwie przyznanie się do poglądów lewicowych wymaga dużej odwagi i odporności psychicznej. Lewicowiec jest lewy; to komuch, przeciwnik niepodległości, wróg Kościoła. Natomiast prawicowiec to człowiek prawy, Polak, katolik, patriota.

Lewicowość jest epitetem, którym określa się liberałów, wywodzących się z elit PZPR, obrońców mniejszości seksualnych i swobód obyczajowych, a także tzw. nową lewicę, odwołującą się do różnych wariantów komunizmu (Lenina, Trockiego, Che Guevary), z wyjątkiem stalinizmu.

Innej zorganizowanej lewicy w Polsce nie ma. Zlikwidowana została pierwsza „Solidarność", duża formacja lewicy socjalistycznej, patriotycznej, tolerancyjnej, chociaż - jak większość robotników - konserwatywnej w sprawach obyczajowych i nie nastawionej wrogo do Kościoła Katolickiego, postrzeganego wówczas jako sojusznik. „Solidarność" zdmuchnął wiatr historii, ponieważ stanowiła najpoważniejszą przeszkodę w procesie globalizacji.

Próba reaktywacji PPS-u, partii, która łączyła cele socjalistyczne z dążeniem do niepodległości, nie powiodła się. PPS została rozbita metodami agenturalnymi. Po klęsce pierwszej „Solidarności" i sukcesach neoliberalizmu zmiany polityczne, ekonomiczne i społeczne, otwierające drogę globalizacji, zaszły tak daleko, że są nieodwracalne. A zatem, odrodzenie się tradycyjnej lewicy socjalistycznej i niepodległościowej nie jest już możliwe, ponieważ warstwy społeczne, na których można by budować taką formację, uległy dezintegracji. Równie poważną przeszkodą są mechanizmy polityczne i ekonomiczne, na których opiera się globalna gospodarka. Sposoby obrony

interesów ludzi pracy i warstw biednych, znane z okresu demokratycznego kapitalizmu, nie są skuteczne.

Prawica w Polsce podzielona jest na wiele różnych formacji, ale najważniejszy podział związany jest z procesami globalizacyjnymi. Te formacje, które stanowią przeszkodę w likwidacji państw narodowych (prawica patriotyczna, propaństwowa, konserwatywna, narodowo-katolicka - zarówno endecka, jak i nie endecka) oskarżane są o ksenofobię, nietolerancję i autorytaryzm. Pogoda polityczna sprzyja tylko prawicy, bez zastrzeżeń opowiadającej się za nowym globalnym systemem, którego ideologią, nazywaną neoliberalizmem, jest internacjonalizm, monetaryzm, deregulacja, prywatyzacja podatków i całej infrastruktury oraz likwidacja państwa opiekuńczego.

Nie jest to koniec historii, jak głosił Fukuyama, chociażby ze względu na opór świata islamu, który bez walki nie chce się poddać, ale neoliberalizm jest już systemem ogólnoświatowym. Objął wszystkie państwa powstałe w wyniku rozpadu Związku Radzieckiego i Jugosławii, a także Albanię, Chiny, Wietnam. Przeciwstawianie się ujemnym skutkom globalizacji, a także korekta lub ewolucja neoliberalizmu nie są łatwe, ponieważ proste i czytelne alternatywy (USA - Związek Radziecki, demokratyczny kapitalizm - komunizm) już nie istnieją.

Na koniec mamy uwagę krytyczną do autorów pytań w tej ankiecie. Powinna być podana choćby skrótowa i niedoskonała definicja lewicy i prawicy. Innym rozwiązaniem byłaby prośba do respondentów o sformułowanie swojej definicji. Wobec chaosu pojęć, wprowadzonego przez media, elity polityczne i Kościół, merytoryczne wyniki ankiety mogą być ograniczone. Odwołując się do różnych okresów historycznych i różnych, skrajnych czy wynaturzonych odłamów, można te same cechy przypisać tak lewicy, jak i prawicy.

Naszym zdaniem, jedyną istotną cechą lewicy jest to, że reprezentuje ona interesy warstw biednych i pracowników najemnych, natomiast prawica dba 0 interesy ludzi bogatych oraz pracodawców. Warto zaznaczyć, że propozycja jałmużny, dawanej przez bogatych, jest prawicową koncepcją likwidacji biedy 1 sprzeczna jest z programem lewicy w sensie politycznym.

Inne cechy, charakteryzujące lewicę, uważamy za drugorzędne lub istotne tylko w określonym miejscu lub czasie. Np. w przeszłości celem lewicy było również reprezentowanie grup społecznych, pozbawionych praw obywatel-

skich, np. kobiet i mniejszości etnicznych lub rasowych, które nie miały praw wyborczych. Samo pojęcie lewicy wywodzi się z parlamentu francuskiego, gdzie tzw. stan trzeci zasiadł po lewej stronie, a arystokracja przesunęła się na prawo. Pierwsza lewica, burżuazja francuska, była zatem zamożna, ale w systemie feudalnym nie miała pełnych praw publicznych. Obecnie w państwach demokratycznych równe prawa wszystkich obywateli są już oczywistością.

Definicja lewicy i prawicy ograniczona do głównego celu - obrony biednych lub bogatych, jest niepełna, jednak każda próba jej rozszerzenia jest kontrowersyjna, wywołuje spory, lawinę wzajemnych oskarżeń i licytację, kto czemu zawinił i kiedy zawiódł, ponieważ większość zarzutów pod adresem lewicy można postawić również prawicy. Np. internacjonalizm jest immanentną cechą arystokracji. PPS był za niepodległością, endecja przeciw. Polska burżuazja była podzielona. Część opowiadała się za niepodległością, część obawiała się odcięcia granicą swobodnego dostępu do rynków wschodnich. Przykłady można mnożyć.

Warto jeszcze wspomnieć o stosunkach między lewicą, prawicą i Kościołem. Przede wszystkim to nie ugrupowania polityczne wybierają Kościół jako partnera. Z wieku i urzędu ten przywilej przysługuje Kościołowi. Chociaż ewangelia jednoznacznie opowiada się po stronie biednych, to dobro Kościoła jako instytucji skłania hierarchię w stronę bogatych. Współcześnie Kościół Katolicki podzielony jest na Kościół biednych (Jezuici) i Kościół bogatych (Opus Dei).

Ad 2.

W Polsce 80 proc. społeczeństwa żyje w niedostatku. Interesy tej grupy powinny być reprezentowane. Czy lewica powinna być silna, atrakcyjna, nowoczesna? To mogą być przymiotniki niwelujące. Reprezentowanie kilku procent mniejszości seksualnych może być bardzo atrakcyjne, ale nie ma nic wspólnego z obroną interesów społeczeństwa. Z dwóch głównych partii prawicowych: nowoczesnej PO i tradycyjnej PiS, naszym zdaniem bezpieczniejsze i korzystniejsze dla Polski są rządy PiS-u. Z kolei nieboszczka PZPR, ubrana w atrakcyjny, nowoczesny kostium socjaldemokracji, jest tak egzotycznym bytem politycznym, że trudno go opisać.

Rozważanie, jaka powinna być lewica, jest pozbawione sensu. Dopiero z odpowiedzi na pytanie, jak bronić ludzi przed biedą i wyzyskiem, wyłoni się

formuła potrzebnej lewicy. Lewica nie może powstać, dopóki nie wiadomo, kto i jak ograbia ludzi. W systemie globalnym znikły dwie klasy o wyraźnej świadomości sprzecznych interesów: kapitaliści i proletariat, które miały ze sobą bezpośredni kontakt; spierały się, walczyły i dochodziły do porozumienia.

Teraz własność jest anonimowa i rozproszona, ponieważ dominującą formą organizacji produkcji, handlu, a nawet usług jest korporacja - wielka ponadnarodowa spółka akcyjna. Tak jak w systemie komunistycznym, zarządzający działalnością gospodarczą nie są właścicielami. Natomiast drobny pracodawca - właściciel ma dość ograniczone pole manewru i bardzo często czuje się tylko kółkiem w machinie, na którą nie ma wpływu. Rozwój technologii i nowe sposoby organizacji produkcji zlikwidowały wielkoprzemysłową klasę robotniczą. Zautomatyzowana produkcja nie wymaga już rzesz wykwalifikowanych robotników, co powoduje masowe zwolnienia z pracy. Strajki stały się mało skuteczne wobec szantażu ucieczką kapitału. Nie jest już konieczne zachowanie równowagi między pracą i kapitałem, którą sformułował Ford - robotnicy muszą tyle zarobić, aby mogli kupić wyprodukowane przez siebie samochody. Robotnicy w Chinach nie muszą, ponieważ ich samochody kupią Europejczycy.

Globalne mechanizmy wyzysku - pętla zadłużenia, kursy walut, spekulacje finansowe, limity produkcji i handlu, ograniczenie suwerenności państw narodowych - są dla większości społeczeństwa niezrozumiałe, a ich autorzy pozostają anonimowi. Niekorzystne zmiany przedstawiane są przez propagandę jako wynik nieuchronnego marszu ducha dziejów.

Podsumowując, można powiedzieć, że system neoliberalny jest bardzo skutecznie zabezpieczony przed działaniami tradycyjnej lewicy. Trzeba szukać nowych sposobów poprawy losu ludzi i narodów biednych i zepchniętych na margines. Neoliberalizm nie unieważnił „starych" wartości, takich jak solidarność, wspólne dobro, czy prawo każdego człowieka do godności i przyzwoitych warunków życia.

Ale najważniejszą nauką, którą można wyciągnąć z historii i tradycji lewicy, jest odrzucenie determinizmu historycznego. Kryzysy wczesnego kapitalizmu wywołane nadprodukcją, czyli za niskimi wówczas płacami robotników, udało się opanować po ciężkiej walce robotników o prawo do zrzeszania się. Obalenie dogmatu o nadrzędności zysku okazało się zbawienne dla

gospodarki. Pierwsza „Solidarność" zakwestionowała marksistowski dogmat o Partii jako awangardzie klasy robotniczej, np. rozmawiała wyłącznie z rządem. Uparta obrona niezależności i reformowanie kraju według własnych koncepcji podważyły podstawy systemu, który podobno był ostatnim etapem rozwoju ludzkości i miał trwać wiecznie. Obecnie lewica będzie skuteczna, jeśli - zamiast prób dostosowania się do systemu neoliberalnego - znajdzie sposób, aby ten system dostosowywać do potrzeb społeczeństwa.

Ad 3.

Na polskiej scenie politycznej nie ma lewicowej partii. PiS wykazuje pewne cechy lewicy - solidarne państwo, sprawiedliwość, równość prawa wobec biednych i bogatych - wpływowych. Partie narodowe i chłopskie są lewicowe w tym zakresie, w jakim sprzeciwiają się korporacjom. Partie, nazywane lewicą: SLD i PD nie zajmują się obroną biednych i pracobiorców. Skoncentrowane są na obronie agentury, promowaniu mniejszości seksualnych, zwalczaniu tradycji, religii, antysemityzmu oraz oszołomów, którzy podejrzewają udział służb specjalnych w likwidacji pierwszej „Solidarności".

JOANNA I ANDRZEJ CWIAZDOWIE

JOANNA DUDA-GWIAZDA (1939) - działaczka opozycji, inżynier okrętowiec. publicystka. W 2006 roku odznaczona przez Prezydenta RP Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

ANDRZEJ GWIAZDA (1935) - działacz polityczny i związkowy, magister inżynier elektronik. W 2006 roku odznaczony przez Prezydenta RP Orderem Orła Białego, członek Kapituły Orderu, członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej.

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Ad 1.

Polska Rzeczpospolita Ludowa była projektem lewicowym; ta banalna uwaga jest konieczna, by zrozumieć historyczne przyczyny słabości współczesnej, rodzimej lewicy. PRL jako ustrój społeczno-polityczny, ekonomiczny, a także byt geopolityczny i - *last but not kast* - historiozoficzny poniósł porażkę; stał się też przyczyną zdyskredytowania idei lewicowych w oczach znacznej części społeczeństwa. Wprowadzając pewne uproszczenie: zarówno geneza, jak późniejsze przypadłości i metamorfozy PRL-owskiego socjalizmu spowodowały, że po roku 1989 to nurty przedstawiające się jako liberalne i prawicowe zaczęły odgrywać najważniejszą rolę w życiu ideowym, politycznym III Rzeczpospolitej. Ponadto Okrągły Stół i wydarzenia początku lat 90. umożliwiły przepoczwarzenie się części PRL-owskiej nomenklatury w socjaldemokrację. Taka lewica z przyczyn historycznych (a często również etycznych) była/jest dla wielu problematyczna i niewiarygodna. Zaś na gruncie ideowym mniej lub bardziej opresywna cenzura i fałszująca rzeczywistość nowomowa PRL-u musiały powodować zwrot ku innym niż lewicowe koncepcjom, przyczyniały się do powstawania i ugruntowania mitów narodowych (i zwykłych stereotypów), które jednoznacznie skojarzyły lewicowość ze zdradą narodową, brakiem patriotyzmu i zamykały ją w horyzoncie Polski Ludowej (stąd obecnie np. słaba znajomość polskich tradycji lewicowych wieku XIX-ego, początku XX-ego stulecia i IIRP). W takich warunkach ideowych dokonywała się transformacja ustrojowa i ekonomiczna: jej motywem przewodnim było zrozumiałe w tych warunkach hasło „bogaćcie się!" (szybko okazało się, że nie wszyscy byli jego adresatami); idee lewicowe, jako kojarzone z minionym systemem, zostały zmarginalizowane i skojarzone z populizmem, rosz-

czeniowością, „nieudacznictwem" tych grup społecznych, które padły ofiarą przemian lat 90. Środowiska lewicowe (powiązane choćby z pierwszą „Solidarnością") znalazły się w głębokiej defensywie, skoro to gremia rządzące SdPL/SLD wzięły na swe barki brzemię lewicowości. Ten, kto spojrzy dziś na udręczoną, choć pełną niewinnej słodyczy twarz Józefa Oleksego, widzi, jak ciężkie było to brzemię.

Każdy żywotny, dynamiczny ruch społeczno-polityczny potrzebuje masowego, oddolnego wsparcia. Wtedy jest w stanie skutecznie zmieniać rzeczywistość. A także ją interpretować. Jak zatem na scenie politycznej może być miejsce dla lewicy innej niż SLD, skoro brak jej szerszego poparcia społecznego? I co ma gwarantować to szersze poparcie, jeśli ideowa lewica zamyka się dziś w niezliczonych koteriach, których język (choćby najbardziej szczery i ideowy) epatuje słuchacza/czytelnika a to trockistowskim, a to nowolewicowym żargonem? Polska lewica jest poza historią własnego narodu, chce być tak „lewicowa" i radykalna, że nie uwzględnia kontekstu kulturowego, z którego mogłaby czerpać siły do wzrostu. Krzywi się na polski patriotyzm, oddając go w ręce prawicy jak niepotrzebny gadżet, albo epatuje antyreligijnością, choć na dłuższą metę jest to w Polsce droga donikąd. Tymczasem zarówno szacunek dla rodzimych tradycji, kultury, obyczajów, jak chrześcijańskie ideały społeczne są w Polsce nieodzowne dla lewicy. Poważna, efektywna, lewicowa debata metapolityczna będzie w Polsce możliwa jedynie wówczas, gdy w obrębie środowisk, związanych z lewicą dokona się integralnej, kulturowej, społeczno-politycznej syntezy dziejowej (nie powinien być z niej wyłączony żaden moment historyczny, łącznie z PRL-em). Lewica, nie mniej niż prawica, potrzebuje własnych mitów narodowych, nośnych koncepcji, które pobudzają wyobraźnię społeczną, dają punkt odniesienia i płaszczyznę porozumienia dla wielu grup społecznych. I choć taka wizja zdaje się być czystą abstrakcją, śmiem twierdzić, że tkwi w niej o wiele większy potencjał niż w jałowych debatach lewicowych doktrynerów. Z powyższego wynika praktyczna wskazówka: zadaniem lewicy w Polsce jest dziś uświadomić sobie, że jej potencjalnym sojusznikiem jest każdy, kto działa na rzecz wyzwolenia energii społecznej, lokalnych inicjatyw, niezależnie od ich proweniencji; każdy, kto ma odwagę działać dla dobra ludzi i społeczności, często wbrew panoszącej się wszędy oligarchii (niskiego, średniego, wysokiego szczebla), wbrew indolencji prawa, państwa, wbrew ugrupowaniom partyjnym, którym z reguły jest na rękę

utrzymanie istniejącego *status quo.* Dopiero zaakceptowanie społeczeństwa takiego, jakim jest, także w jego nurcie „bogoojczyźnianym", a również przemyślenie własnych tradycji intelektualnych, społecznikowskich, politycznych sprawi, że lewica w Polsce przestanie być jedynie deklaratywnie egalitarna i zerwie ze swym faktycznym ekskluzywizmem - hermetycznych grupek, okopujących się za jedynie słusznym żargonem „lewicowości".

Ad 2.

Lewica w Polsce musi odrodzić się przede wszystkim jako ruch społeczny, który dałby jej faktycznych liderów, działaczy, sympatyków. Nie interesuje mnie „nowoczesna" czy też „atrakcyjna" lewica, bo za tymi słowami zbyt często kryje się inżynieria społeczna, sztuka manipulacji za pomocą mediów, propaganda mainstreamu, który określa, co nowoczesne, światłe, przyszłościowe, a co obskuranckie, zacofane, nieistotne. Co nie znaczy, że ruch lewicowy ma pracować na powielaczach i namawiać robotników do niszczenia nowoczesnych urządzeń w fabrykach. Odpowiem przewrotnie: polska lewica musi być dziś anachroniczna, czy też archaiczna, bo *arche oznacza,* tutaj powrót do istoty rzeczy. Parafrazując Marksa: korzeniem lewicy jest człowiek jako istota społeczna, współodpowiedzialna za otaczającą ją rzeczywistość i zdolna do współdziałania z innymi. Lewica, jeśli nie chce skończyć w muzeum ideowych osobliwości, musi konsekwentnie integrować się z poszczególnymi podmiotami społecznymi i formami aktywności, podejmowanymi przez nie na niwie kulturowej, zawodowej, ekonomicznej. Odpowiedzialność za państwo musi być tu niejako opowiedzeniem się przeciwko państwu - jego biurokratycznym strukturom, partyjno-biznesowej hegemonii, niezborności i hipertrofii prawa, częstej wrogości klasy urzędniczej wobec przeciętnych obywateli, ogłupiającej monoideowości mediów głównego nurtu. Nie po to, by niszczyć, lecz usprawniać, moderować, współuczestniczyć w życiu publicznym. Równocześnie, lewicowa odpowiedzialność za człowieka musi być opowiedzeniem się za ludźmi niezależnie od ich światopoglądu (inaczej grozi nam lewicowość a la Kinga Dunin), musi zawierać w sobie element bezinteresowności, która nie zamyka swej aktywności w ideologicznym doktrynerstwie.

Zdaję sobie sprawę, że postulując swoistą anachroniczność lewicy, równocześnie reinterpretuję ją, odnosząc do aktualnej sytuacji społeczno-politycz-

nej. Jest to jednak konieczne: rzecz nie w mechanicznym odtwarzaniu starych koncepcji, ale umiejętności odnalezienia w nich tego, co wciąż żywotne i aktualne w zmienionym kontekście dziejowym. Społeczna natura człowieka pozostaje niezmienna; niezmienna też pozostaje pokusa podporządkowania słabszych, gorzej sytuowanych, pozostawionych samym sobie przez możnych tego świata. Niezmienna jest także troska, jaką nasza cywilizacja, inspirowana chrześcijaństwem, otaczała tych, którzy źle się mają: *„Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie, byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie"* (Mt 25, 35-36). Niezależnie od tego, co ludzie religii uczynią z tymi prostymi słowami, lewica nie może o nich zapomnieć, jeśli chce mieć moralne prawo do istnienia.

Ad 3.

Odwołania do haseł o lewicowej proweniencji są wspólnym dobrem wszystkich liczących się ugrupowań partyjnych, szczególnie wówczas, gdy nie sprawują one władzy. Czasem przybiera to postać karykaturalną, choć zrozumiałą ze względów politycznych: ostatnimi czasy, w trakcie strajku pielęgniarek przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów „lewicową wrażliwością" wykazywali się posłowie PO, na czele z Hanną Gronkiewicz-Waltz, Jolanta Kwaśniewska, oraz szczery miłośnik chińskiego modelu ustrojowego, Piotr Gadzinowski z SLD, który rozlewał pielęgniarkom zupę, o czym raczył poinformować czytelników „Trybuny". Te szanowne persony, gdy już pograją w polityczne konie, schowają chochlę w ciemny kąt. Owa ubożuchna, sprowadzona do socjalnych obietnic lewicowość, ma tak ograniczoną wartość, że intelektualnym marnotrawstwem byłoby poświęcać jej więcej miejsca.

Sądzę, że wskutek złożoności naszej sytuacji ekonomicznej i społeczno-politycznej, a także ideowego galimatiasu i bardzo płynnych granic między tzw. programami poszczególnych partii, większość z nich stara się - mniej lub bardziej szczerze - utrzymać kontakt z elektoratem, określanym mianem lewicowego. Większość odwołań do lewicowości uważam w polskich realiach politycznych za koniunkturalne lub nieadekwatne do rzeczywistości. Nie biorę, oczywiście, pod uwagę drobnych ugrupowań partyjnych na lewicy (Nowa Lewica Piotra Ikonowicza, Zieloni 2004, Polska Partia Pracy, itp.), tak jak

trudno byłoby mi dyskutować na przykładzie Unii Polityki Realnej o znaczeniu politycznym liberalizmu w Polsce. Uważam, że nie ma dziś w polskim życiu publicznym bardziej wyświechtanych terminów niż „demokracja" i „lewicowość", co zmusza do przyjrzenia się obu terminom z nieufnością. Dla tego samego powodu nie mogę na serio traktować haseł o „lewicowości" żadnego z liczących się polskich ugrupowań partyjnych, bo za bardzo szanuję to słowo i zdrowy rozsądek: swój oraz bliźnich. Lewica najpierw musi odrobić lekcję społeczną, później być może doczeka się integralnej, silnej partii politycznej, która będzie miała dla swych wyborców coś więcej niż garść (niespełnionych) obietnic. Niewykluczone, że jest to praca na dziesięciolecia.

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

KRZYSZTOF WOŁODŹKO (1977) - doktorant w Zakładzie Filozofii Polskiej IF UJ: stały współpracownik miesięcznika „Obywatel", witryny internetowej Polskiego Radia: pisał m.in. dla „Życia Duchowego". „Trybuny"; permanentny outsider, choć w zaciszu domowym pantoflarz.

JERZY SOSNOWSKI

Ad 1.

Jak można wyczytać w zbiorze artykułów pt. *Wojna pokoleń* pod redakcją Piotra Nowaka, hasło „prawicowość" (a dokładniej: konserwatyzm) zostało wybrane przez wielu dzisiejszych czterdziestolatków, którzy na początku lat 90. potrzebowali wyrazistego ideowego odróżnienia od lewicującego pokolenia '68. Nawet jeśli przyznać, że to rozpoznanie, a dokładniej: wyznanie, złożone przez kilku autorów na kartach wspomnianej książki jest zbyt uogólniające i w dodatku podszyte dezynwolturą - wydaje się, że poszukiwanie dla siebie tradycji odległej od „rodowodów niepokornych" miało rzeczywiście częściej charakter fundamentalnej kontestacji układu sił, zastanego u progu suwerenności Polski, niż świadomego aksjologicznego wyboru. A ponieważ sięgano po myśli i postawy słabo rozpoznane, w dodatku zaś oczywista była potrzeba odróżnienia się od tego, co w Polsce z „prawicą" przede wszystkim się kojarzy - to jest od dziedzictwa endecji - przeto w tym środowisku, poza doraźnymi reakcjami na bieżące wydarzenia, poszukiwano gorąco definicji i wyznaczników nowoczesnej prawicowości.

Sytuacja na lewicy była zupełnie odmienna. Po pierwsze, dlatego, że słowo to zostało skompromitowane przez komunistów, którzy, jak wiadomo, ukradli albo co najmniej zawłaszczyli szlachetne tradycje ruchu (np. przedwojennego PPS-u). Po drugie - ponieważ, przedzierzgnąwszy się w postkomunistów, zaczęli oni zaciemniać do reszty sens pojęcia „lewica" za coraz mniej znaczącymi sloganami o sprawiedliwości społecznej, skrywając praktyczne poparcie dla gospodarczego i obyczajowego leseferyzmu. Po trzecie - ponieważ szlachetni lewicowcy w rodzaju Jacka Kuronia także ostatecznie podjęli budowanie w Polsce kapitalizmu, co najwyżej osłabiając (mniej lub bardziej skutecznie) jego antysocjalne ostrze. Po czwarte wreszcie - ponieważ najmłodsi zwolennicy tradycji

lewicy (mam tu na myśli środowisko, skupione dziś wokół redakcji „Krytyki Politycznej") byli izolowani w swoich poszukiwaniach z wielu stron: przez konserwatystów pomawiani wciąż o chęć restauracji „przodującego ustroju", przez liberałów (o lewicującej przeszłości!) traktowani jako niebezpieczna konkurencja w walce o „rząd dusz", przez środowisko postkomunistyczne uznawani za „nie dość swoich". A że te trzy środowiska kontrolują w Polsce właściwie 100 proc. kształtujących opinię publiczną mediów, toteż nawet te młodo-lewicowe koncepcje, które prawdopodobnie stanowiłyby punkt wyjścia dla interesującej dyskusji, były przemilczane lub traktowane z uniemożliwiającą debatę protekcjonalnością i pozostały własnością niewielu, nie mając szans na okrzepnięcie w poważnym sporze.

Wszystko to odbywało się w dodatku w kontekście głębokiego kryzysu tożsamości lewicowej na zachodzie kontynentu. Realia liberalnej demokracji i wrażliwego społecznie kapitalizmu sprawiły, że tradycyjne hasła ruchów lewicowych, zapowiadające wyzwolenie proletariatu i zapewnienie sprawiedliwości społecznej, stały się nieatrakcyjne dla podstawowego elektoratu lewicy, to znaczy robotników wielkoprzemysłowych, która to grupa w wyniku rewolucji technologicznej rozpadła się zresztą na wysokokwalifikowanych pracowników, aspiracjami i poziomem zarobków zbliżonych do *middle class,* oraz najuboższych pracowników najemnych o znikomym poczuciu klasowej solidarności. W rezultacie, lewica zachodnioeuropejska zaczęła desperacko poszukiwać beneficjantów zapowiadanej rewolucji, znajdując ich wśród kobiet, określanych jako płeć dyskryminowana przez kulturę patriarchalną, mniejszości seksualnych, imigrantów z krajów Trzeciego Świata, a nawet (jakkolwiek fatalnie by to w tym kontekście zabrzmiało) zwierząt. To zaś, co wydawałoby mi się najważniejszym dziedzictwem nietotalitarnej lewicy, jej nieprzebrzmiałym celem, a mianowicie obietnica stworzenia samoorganizującego się społeczeństwa, zostało pozornie osiągnięte i tym samym unieważnione przez iluzję pop-kulturowej wspólnoty lub przez pozostające wciąż poza znaną mi refleksją politologiczną zjawiska, związane z rozwojem Internetu.

Ad 2.

Opisana wyżej sytuacja wydaje mi się w najwyższym stopniu niekorzystna, choć na ocenę taką niewątpliwie mają wpływ moje własne sympatie poli-

tyczne, grawitujące wokół centrum (którego zresztą, jak mi się coraz częściej zdaje, nie wyraża w gruncie rzeczy żadna z działających dziś w Polsce partii politycznych). Sądzę mianowicie, że naturalny rozwój społeczny, wraz z przyświecającym mu prospektywnym mitem - wizją pożądanego stanu państwa - kształtować się powinien na zasadzie wzajemnych korektur przeciwstawnych stanowisk. Jeśli, jak napisałem wyżej, kraje zachodniej Europy osiągnęły w latach 80. równowagę między swobodną grą rynkową a opieką socjalną, między trendami modernizacyjnymi a ochroną tradycji - osiągnęły, żeby ją wkrótce utracić... - to stało się tak dzięki znoszeniu się najbardziej radykalnych pomysłów ideowych i zarazem uzupełnianiu się postulatów prawicy i lewicy. Należy do niedyskutowalnych oczywistości fakt, że to pod wpływem socjalistów „wilczy" kapitalizm uległ humanizacji (skrócenie tygodnia pracy, opieka socjalna i zdrowotna itp.), a niebezpieczny dla gospodarki przerost znaczenia związków zawodowych zahamowała z kolei reakcja thatcheryzmu; że zdrowa liberalizacja norm obyczajowych, zapewnienie wolności słowa itd. to zasługa lewicy, a ochronę kulturowego dziedzictwa zawdzięcza Europa prawicy. Podkreślam: mówię w tym momencie o realiach sprzed dwudziestu lat, w ostatnim bowiem okresie ten mechanizm uległ, jak się zdaje, niebezpiecznemu zatarciu, co jednak na sytuację w Polsce nie ma wpływu, jesteśmy bowiem wciąż na wcześniejszym (czy też innym) etapie rozwoju.

Właśnie takie wyobrażenie o warunkach, w których kształtowało się w drugiej połowie XX wieku życie ideowo-polityczne Europy zachodniej, sprawia, że z niepokojem myślę o kursie, który przyjął nasz kraj pozbawiony silnej i nowoczesnej lewicy. Zamiast debat na temat koniecznej modernizacji, toczymy wciąż coraz bardziej jałowy spór o komunistyczną przeszłość tego lub owego dostojnika; a pozbawiona poważnej alternatywy prawica polska wpada wciąż, chcąc nie chcąc, w koleiny anachronicznej i toksycznej myśli postendeckiej (mam na myśli praktykę polityczną, nie zaś szlachetne rozważania teoretyków). W istocie: jeśli wyznacznikiem lewicy ma być sentyment do PRL-u albo drapieżna niechęć do chrześcijańskich i narodowych źródeł naszej tożsamości, to perspektywa oddania władzy czy „rządu dusz" w ręce świadomych lub mimowolnych wnuków Dmowskiego może się wydawać (na krótszą metę!) relatywnie lepszym rozwiązaniem.

Marzy mi się powrót do klasyków polskiej lewicy niepodległościowej, do uważnej lektury dzieł Stanisława Brzozowskiego i Edwarda Abramowskiego,

a także myślicieli powojennych, wśród nich przede wszystkim Jana Strzeleckiego. Marzy mi się ożywienie ruchu spółdzielczego oraz koncepcji pedagogicznych Jacka Kuronia. Dopiero w tym kontekście warto, w moim odczuciu, pytać o mechanizmy dyskryminacyjne, które być może obejmują inaczej zdefiniowane grupy, niż WSZYSTKIE kobiety czy mniejszości seksualne, traktowane jako niezróżnicowana zbiorowość. Sądzę, że zarysowane w ten sposób dziedzictwo stawia we właściwej perspektywie postulaty ekologów. Oświetla również w nieoczekiwany sposób doniosłą dziś problematykę więzi, budowanych w Internecie i może dać impuls do podjęcia dyskusji nad wspólnotowym, antykomercyjnym aspektem takich przedsięwzięć, jak linux, czy takich projektów, jak idea „copyleftu", propagowana w Polsce bez większego powodzenia przez Jarosława Lipszyca. Przygotowałoby nas ono także do podjęcia wyzwania, którego wciąż wydajemy się za mało świadomi, a którym będzie, a właściwie już jest, wzrastająca liczba mieszkających wśród nas imigrantów, a także prawdopodobne wymieszanie się ludności na terenach przygranicznych, czym, jak sądzę, wcześniej lub później zaowocuje integracja europejska.

Ad 3.

Z powodów, o których pisałem wyżej, nie wydaje mi się, żeby o którymkolwiek ze znanych szerzej ugrupowań politycznych można było powiedzieć, że inspiruje się tak zarysowanymi ideałami lewicy. Z pewnością nie jest nim SLD; ale i LiD nie budzi we mnie większych nadziei. Jakkolwiek to drugie środowisko wydaje mi się obfitsze w ludzi, którym prywatnie skłonny byłbym zaufać, oba skażone są, w moim przekonaniu, utylitarnym traktowaniem haseł ideowych: poniżej poziomu słów czuje się tam zbyt wielkie przywiązanie do wspólnoty biografii, a zarazem dość bezkrytyczne zaufanie dla wolnego rynku. Ze względu na średnią wieku czołowych polityków trudno zresztą spodziewać się, by któreś z tych ugrupowań mogło podjąć poważną refleksję nad efektami rewolucji informatycznej. Czytając natomiast o ugrupowaniach pozaparlamentarnych, zdaje mi się - choć mogę się tu mylić - że nie przekraczają one nie tylko progu wyborczego, ale i progu, dzielącego refleksję serio od spontanicznych, co jeszcze nie znaczy, że wartościowych, aktów nonkonformizmu.

Jest dla mnie jednak uderzające, że szeroko pojęte idee lewicowe, nieraz zresztą bez konkretnego adresu ideowego, pozbawione korzeni, znajdują spo-

ry odzew w znanym mi środowisku dzisiejszych dwudziestolatków. Dlatego sądzę, że wraz ze zmianą pokoleniową w polskiej polityce czeka nas sformułowanie na lewicy nowego programu ideowego. Pozostaje wierzyć, że okaże się on odporny na dwa niebezpieczeństwa. Po pierwsze, że będzie on zbudowany na świadomości zagrożeń, kryjących się w myśli lewicowej, a ujawnionych przez minione stulecie, a nie na naiwnej wierze, że żadna z pułapek, w które wpadli dziadkowie, z natury rzeczy nie grozi już wnukom. Po drugie - że widoczny w dzisiejszej Polsce sojusz dominującej u nas odmiany katolicyzmu ze skłonnymi do autorytaryzmu partiami prawicowymi nie doprowadzi twórców owego programu do wskazania chrześcijaństwa jako zasadniczej zawady na drodze do wolności. Nigdy dość przypominać uwagę Francois Mauriaca, iż związek religii z polityczną prawicą był jedną z najpoważniejszych katastrof w dziejach Kościoła.

JERZY SOSNOWSKI

JERZY SOSNOWSKI (1962) - historyk literatury, krytyk, publicysta, dziennikarz radiowy.

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

Skutki brzemiennego w wydarzenia roku 1989 postawiły polską lewicę przed wyzwaniami, na które nawet czołowi reformatorzy w PZPR nie byli przygotowani. W latach 80. mnożyły się opracowania, trafnie diagnozujące sytuację kryzysową, ale żadne z nich nie przewidywało przejścia partii, sprawującej władzę przez ponad 40 lat, do opozycji. A w takiej sytuacji znalazła się PZPR po przegranych wyborach do Sejmu i Senatu 4 czerwca i utworzeniu, jak wtedy mówiono, pierwszego niekomunistycznego rządu Tadeusza Mazowieckiego. Uważam za celowe przypomnienie kilku - moim zdaniem ważnych - okoliczności z tamtego okresu. Powszechnie głosi się zasadną opinię, że od Polski zaczął się upadek komunizmu. Ja jednak powiedziałbym, że upadły partie komunistyczne w Europie Środkowej i Wschodniej oraz zbudowany ustrój społeczno-gospodarczy oraz właściwe mu systemy polityczne. Druga uwaga to przypomnienie, że Polska, istniejąca do czerwca 1989 r. to także PZPR; partia, która decydująco wpłynęła na pokojowe (z wyjątkiem Rumunii) zakończenie w tej części Europy ery realnie istniejącego ustroju socjalistycznego. Ideologia komunistyczna, z wyjątkiem ZSRR, już w latach 60. była martwa. Czy ktokolwiek chodzący po ziemi mógł powiedzieć, że Władysław Gomułka marzył o zbudowaniu w Polsce ustroju komunistycznego? Któż, jak nie on, położył kres polityce kolektywizacji rolnictwa? Skoro o rolnictwie, to godzi się przypomnieć, że ponad 80 proc. ziemi uprawnej od 1956 r. znajdowało się w rękach prywatnych. Z ogłoszonej niedawno przez „Wprost" listy stu najbogatszych Polaków - miliarderów i milionerów, wynika, że jedna trzecia z nich zaczynała swoją biznesową przygodę we wczesnych latach 80., a niektórzy już w latach 70. Czyżby przywódcy PRL-u, zwłaszcza Gomułka i Gierek, wymyślili komunizm, oparty na prywatnej własności, prywatnych praktykach

lekarskich, setkach tysięcy nie tylko usługowych warsztatów rzemieślniczych, z których niemała część pracowała dla wielkich państwowych fabryk? Proszę mnie nie zaliczać do twardogłowych bądź do niezłomnych obrońców PRL -u i PZPR. Upominam się jedynie o pamiętanie o realiach. Skoro o nie chodzi, to uważam, że nieprawdą jest, iż upadek PRL-u i... komunizmu Polacy zawdzięczają tylko niezłomnej opozycji. Notabene, z roku na rok zwiększają się szeregi walczących z „komuną". Szeregi legionistów Piłsudskiego też rosły z roku na rok, co marszałek pokwitował westchnieniem: *„Och, gdybym wtedy mial tylu was przy sobie!"* Szeregi zbowidowców podobnie rosły już w latach 60.

Wracając do przyczyn upadku PRL-u i zakończenia działalności PZPR - gdyby w kierowniczych kołach PZPR i w środowisku intelektualistów, związanych z partią w latach 80., nie narastało przekonanie, że: a) istniejący ustrój społeczno-ekonomiczny osiągnął swój kres i przegrał we współzawodnictwie z kapitalizmem, oraz b) zwalczanie antysystemowej opozycji (o walce z komuną przywódcy opozycji ze zrozumiałych względów wtedy nie mówili) środkami administracyjnymi i propagandą jest nieskuteczne i trzeba wejść na inną drogę, to kto wie, jak potoczyłyby się wypadki. Pierwszą oznaką nowego myślenia było zwolnienie we wrześniu 1986 roku wszystkich więźniów politycznych, a było ich 211 (dla których ktoś wymyślił nazwę „więźniowie niekryminalni"), choć partia nie była jeszcze gotowa do odejścia od ideologii i polityki w generaliach, praktykowanych przez dziesięciolecia. Z propozycją zwołania Okrągłego Stołu dwa lata później wystąpił gen. Wojciech Jaruzelski. Jeśli w górnych rejonach partii nie byłoby przemyśleń, które tu tylko zaznaczam, to opozycja mogłaby jeszcze długo egzystować bez nadziei na przejęcie władzy. Za puentę tych uwag niech posłuży pan Piecyk, bohater barda warszawskiego ludu, pisarza Stefana Wiecheckiego, który widząc w pochodzie grupę członków ZWM, niosących transparent z hasłem „Zrodził nas czyn", zapytał: „A mamusia to pestki gryzła?".

Zakończenie działalności PZPR w styczniu 1990 r. było decyzją logiczną, wynikającą z realistycznej oceny sytuacji, w jakiej znalazła się partia po 4 czerwca 1989 roku. Utworzenie Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej także było decyzją, wynikającą z tej oceny. Przeciwnicy SdRP powtarzali jak mantrę, że oto w ciągu jednej nocy komuniści przeistoczyli się w socjaldemokratów. Moim zdaniem, historycy zajmujący się epoką PRL-u, w tym także PZPR, nie powinni ulegać tej, zapewne złośliwością zaprawionej, uwadze, lecz uczciwie

i obiektywnie zbadać różne ideologiczne nurty, istniejące w PZPR, także socjaldemokratyczny. Można go dostrzec w różnego rodzaju memoriałach i w wystąpieniach; np. na 9. Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR w lipcu 1981 roku.

Objęcie przywództwa SdRP przez Aleksandra Kwaśniewskiego (rocznik 1954) oraz wprowadzenie przez niego do kierowniczego zespołu grupy osób w tym samym wieku oznaczało, że prędzej czy później ideowe oblicze partii będzie kształtowane przez pokolenie, nie będące więźniem dogmatów, które przez dziesięciolecia panowały w ruchu komunistycznym. Kwaśniewskiego i jego politycznych przyjaciół z całą pewnością nie można uznać za komunistów. Byli przede wszystkim pragmatykami, a ideologii, zatem kwestii tożsamości lewicy, z pewnością nie uważali wtedy za sprawę najważniejszą. A jeśli nawet, to w pierwszych trzech latach po przełomie nie było warunków do zajmowania się nią. Wobec już wyraźnie zarysowanego i aktywnego frontu antykomunistycznego, problemem nr 1 dla SdRP, którą antykomuniści traktowali jako przedłużenie PZPR, stało się przetrwanie. Reguły przetrwania narzucały konieczność prowadzenia walki politycznej, odpieranie oskarżeń itd. Opozycja demokratyczna z każdym kolejnym miesiącem odchodziła od ducha i litery Okrągłego Stołu. Transformacja ustrojowa stała się przykrywką budowy fundamentów kapitalizmu, Przy Okrągłym Stole nasi partnerzy ani jednym słowem nie zdradzili, że ich celem jest powrót Polski do ustroju kapitalistycznego. Wiele lat później, jeden z czołowych działaczy opozycji sprzed 1989 r., wyznał na łamach „Gazety Wyborczej", że świadomie nie mówiono o kapitalizmie, ponieważ obawiano się reakcji... aparatu partyjnego i społeczeństwa. Dla lewicowej partii był to problem bardzo ważny; z historii wiadomo, jak realizuje się przejście od kapitalizmu do socjalizmu, ale odwrotnie? Dodatkową przyczyną niezajmowania się ideologią była komplikująca się sytuacja w obozie zwycięzców: wojna na górze, lista Macierewicza, upadek rządu Jana Olszewskiego, marsz Porozumienia Centrum na Belweder, spalenie kukły Lecha Wałęsy, czterech premierów w ciągu trzech lat. Zatem należało czekać i nie przeszkadzać w politycznym rozgardiaszu.

Rzecz jasna, że życie ideowe na lewicy nie zamarło całkowicie. Ukazywały się interesujące publikacje, m.in. o trzeciej drodze, ale nie wzbudzały one zainteresowania czołowych polityków SdRP, a później także SLD. Warto jednak przypomnieć, że środowiska prawicowe, publicyści, historycy i politolodzy w ogóle nie zwracali uwagi na tę twórczość. Dotyczy to także liberałów.

W czwartym roku budowy kapitalizmu, w sytuacji narastającego antykomunizmu, którego władający piórem i mocni w gębie reprezentanci atakowali „postkomunistów", czyli przede wszystkim SdRP, stało się coś, czego na lewicy nie oczekiwano. W następstwie upadku rządu Hanny Suchockiej, socjaldemokraci w koalicji z PSL utworzyli rząd centrolewicowy. Cztery lata po zwycięstwie obozu solidarnościowego „postkomuniści" powrócili do władzy! Rządzili przez następne cztery lata, kontynuując budowę kapitalizmu, zapoczątkowaną przez guru polskich liberałów, prof. Leszka Balcerowicza. Rządzili nieźle, gospodarka się rozwijała, nastąpił spadek bezrobocia, ale popełnili ten sam kardynalny błąd, co politycy wywodzący się z szeregów opozycji demokratycznej - zlekceważyli społeczne skutki terapii szokowej. A te skutki to pojawienie się nowej ponadklasowej grupy obywateli, tzw. wykluczonych, czyli tych, którzy nie tylko nie zyskali na przemianach ustrojowych, ale sporo stracili. Zniknęło poczucie bezpieczeństwa socjalnego, a prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych wyrzucała na bruk ludzi, którzy zaczęli zasilać armię bezrobotnych. Ekonomiczne położenie mas ulegało degradacji, przy jednoczesnym bogaceniu się wąskiej grupy doradców, syndyków, byłych cinkciarzy, cwaniaków różnej proweniencji. Terapia szokowała zaczęła się jawić jako siła bezwzględna. Liberałowie zachwycali się niewidzialną ręką rynku, której przypisywano moc sprawczą i decydującą rolę regulatora życia gospodarczego i społecznego. Na scenę dziejów wkroczył Jaśnie Pan Pieniądz. Pojawiające się głosy przestrogi, że znacząca część społeczeństwa płaci zbyt wysoką cenę za życie w wolności, że dwa pokolenia żyły w systemie innych wartości, w którym np. bezrobocie było pojęciem abstrakcyjnym, nie były wysłuchiwane. Uznawano, że są to głosy obrońców starego porządku. Nie należy też lekceważyć nader istotnego faktu społecznego, że realizatorzy terapii szokowej nie pytali obywateli o opinię, czy wybrana droga wychodzenia z systemu nakazowego, z gospodarki stałych niedoborów, z systemu etatystycznego i scentralizowanego, jest drogą jedynie słuszną. Być może była to jedyna droga, ale nie tak wyobrażano sobie realizację szczytnych haseł „Solidarności", zgodnie z którymi obywatel powinien mieć decydujący głos w sprawach, dotyczących jego bytu.

Moim zdaniem, główna siła sprawcza przemian, jakie przyniósł rok 1989, tj. opozycja demokratyczna, przystąpiła do budowy nowego ustroju społecznego bez konkretnego planu, który uwzględniałby stan świadomości

społecznej, stosunki między wytwórcami i strukturami gospodarczymi, stosunki własnościowe i - co najważniejsze - jaki ustrój społeczno-gospodarczy powinna przyjąć Polska na gruzach systemu, zbudowanego przez komunistów. Uznać prymat gospodarki, opartej na wolnym rynku, to stanowczo za mało. Niestety, kontynuując budowę ustroju kapitalistycznego, lewica „weszła w buty Balcerowicza". W istocie rzeczy doszło do kuriozalnej sytuacji. W Europie Zachodniej ruch socjaldemokratyczny powstał w proteście przeciwko kapitalizmowi, natomiast w Europie Środkowej i Wschodniej partie socjaldemokratyczne, powstałe po 1989 r., wspólnie z partiami gromadzącymi się na prawej stronie sceny politycznej, akceptowały kapitalizm, a w Polsce - sprawując władzę w latach 1993-1997 i 2001-2005 - realizowały główne założenia polityki gospodarczej, umacniającej stosunki kapitalistyczne. Przyjmijmy, że po upadku utopii komunistycznej, a ściślej - modelu ustroju socjalistycznego rodem z ZSRR, kapitalizm musiał nadejść, ale przecież kapitalizm jest różny. Lewica powinna była przedstawić swoją jego wizję, uwzględniającą fakt, że żyjemy w XXI, a nie w XIX wieku. Nie podjęła jednak tego zadania i za bezwład intelektualny, za przebywanie na salonach nowobogackich, zapłaciła utratą wpływów w społeczeństwie. Jednakże zadanie, z którego się nie wywiązała, jest nadal aktualne. Nie tracąc wiary w nieprzemijające wartości lewicy - humanizm, demokrację, równość wobec prawa, równość szans, troskę o wykluczonych, których mnoży brutalność silniejszych - musi przedstawić społeczeństwu konkretne, a nie ogólnikowe, propozycje świata lepszego niż ten, w którym żyjemy.

I ku przestrodze: społeczną gospodarkę rynkową wymyślił i wprowadził w życie nie socjaldemokrata, lecz chadecki polityk Ludwig Erhard.

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI (1926) - premier PRL w latach 1988-1989. ostatni I Sekretarz PZPR. redaktor naczelny *Dziś.* publicysta m.in. *Trybuny* i *Gazety Wyborczej.*

MATEUSZ PISKORSKI

Ad1.

Przyczyna niemal całkowitego braku debaty i refleksji nad istotą lewicowości w Polsce po 1989 roku wydaje się oczywista. Skojarzenie lewicy z funkcjonującym po 1944 roku represyjnym i narzuconym z zewnątrz systemem nie sprzyjało z pewnością jakiejkolwiek uczciwej i pozbawionej emocji dyskusji, próbującej dać odpowiedź na pytanie o istotę dorobku lewicy, o znaczenie tego pojęcia we współczesnym świecie, wreszcie o rolę, jaką ta formacja powinna odgrywać na polskiej scenie politycznej. Obciążana dziedzictwem realnego socjalizmu, lewica postkomunistyczna nie była intelektualnie gotowa, by wziąć na siebie organizację takiej debaty, ani nawet określić jej fundamentalnych celów. Jej mentorzy woleli patronować powstawaniu fundamentów systemu nomenklaturowego, wspierając ochoczo wolnorynkowe założenia neoliberalizmu. Do dziś starają się oni przypisywać właśnie sobie zainicjowanie utrzymanych w liberalnym duchu reform, czego najlepszym przykładem może być chociażby publicystyka Mieczysława F. Rakowskiego i kręgu jego najbliższych współpracowników. Jednocześnie, te środowiska, które wywodziły się z kręgów opozycji demokratycznej zostały zmarginalizowane przez zwolenników liberalnych teorii transformacji. Paradoksalnie, niegdysiejsi zwolennicy syndykalistycznego zrywu pierwszej „Solidarności" oraz ich sympatyzujący z trockistami doradcy również przeszli zazwyczaj na pozycje liberalne. Po latach tylko nieliczni przyznali się do tego błędu, wśród nich przede wszystkim Jacek Kuroń. W sytuacji, gdy nie było sprzyjającego klimatu do podjęcia debaty o politycznej przyszłości lewicy, tym bardziej niemożliwe było przeniesienie dyskursu o lewicowości na szczebel wyższy, metapolityczny. Zresztą, pod tym względem polska lewica zawsze była ułomna,

także ze względów historycznych. W krajach Europy Zachodniej okazją do gorących dyskusji metapolitycznych były, inspirowane na gruncie filozofii przez szkołę frankfurcką, wydarzenia roku 1968. U nas ta data budzi zupełnie odmienne skojarzenia, a już z pewnością wydarzenia z nią związane nie miały zbyt wiele wspólnego z okazją do rozważania dorobku Theodora Adorno czy Maxa Horkheimera. Właściwie można zaryzykować twierdzenie, że rozważania metapolityczne na polskiej lewicy w ogóle, także w latach międzywojennych, nie przybrały szczególnie intensywnego charakteru. Chyba jedyną w miarę spójną i wywodzącą się z niemarksistowskich korzeni rodzimą ideologią lewicową na przestrzeni wielu lat okazała się być myśl Jana Stachniuka, teoretyka tyleż nieznanego, co kontrowersyjnego. Historyczne przyczyny braku możliwości ukształtowania się refleksji lewicowej w Polsce pogłębiały dodatkowo dość specyficzne realia kulturowe. Nawet polska inteligencja po 1989 roku, ukształtowana przez system oświatowy PRL-u, przejawiała skłonności i sympatie konserwatywne w sferze obyczajowej, zaś liberalne w sferze społeczno-gospodarczej. Śmiałe i gorące debaty, prowadzone na salonach zachodnioeuropejskich intelektualistów z rzadka tylko odbijały się przytłumionym echem w polskich dyskusjach akademickich. Obrazoburcze manifesty Nowej Lewicy, rewolucyjne hasła maoistów czy trockistów brzmiały zbyt egzotycznie w salonach Warszawy czy Krakowa, by stać się punktem wyjścia do debaty o lewicy. W ostatnim okresie, zapewne pod wpływem okcydentalizacji dyskursu publicznego i reakcji na problemy związane z globalizacją, pojawiły się jednak środowiska, które debatę na temat przyszłości lewicy starają się rozpocząć. Kwestią dyskusyjną pozostaje to, czy wniosą one jakikolwiek oryginalny wkład do polskiej myśli politycznej, czy też poprzestaną na egzegezie zachodnioeuropejskiego lewicowego *mainstreamu.*

Ad 2.

Odpowiedź na tak postawione pytanie może być wyłącznie twierdząca. Lewica potrzebna jest w każdym rozwiniętym systemie partyjnym, zaś opiniotwórcze środowiska lewicowe sprzyjają pogłębieniu debaty publicznej nad najistotniejszymi problemami i wyzwaniami współczesności. Lewica tym bardziej potrzebna jest Polsce, że do tej pory doskwierał nam wyraźnie jej brak. Jako że osobiście sytuuję swoje przekonania często bardziej po lewej, niż po prawej

stronie sceny politycznej (choć dziś lepiej chyba dążyć do opisania systemu partyjnego jako modelu okręgu, na którego wierzchołkach dokonuje się konwergencja socjaldemokracji i chadecji w centrum z jednej strony, zaś skrajnej lewicy i radykalnej prawicy z drugiej), dalsze rozważania w tym punkcie muszą mieć z konieczności charakter bardzo subiektywny, a momentami życzeniowy. Przede wszystkim, jestem przekonany, że nowoczesna polska lewica musi wiązać się z podjęciem radykalnej i konsekwentnej krytyki większości aspektów społeczno-gospodarczych podjętego po 1989 roku procesu transformacji. Tylko wytłumaczenie, gdzie popełniono błędy, jak można było uniknąć społecznej i ekonomicznej tragedii milionów tych, którzy nie załapali się na pociąg do metropolii kapitalizmu i zostali na popadającej w ruinę stacji PRL, stanowić może wstęp do dalszego snucia wizji programowych. Takim punktem wyjściowym dla każdej lewicy musi być też próba obiektywnej oceny okresu sprzed demokratycznego przełomu, ze wskazaniem, dlaczego panujący wówczas system się zawalił, dlaczego nie był - poza werbalną otoczką - realizacją doktryny faktycznie lewicowej. Po sformułowaniu takiej diagnozy, trzeba by uznać jedną obiektywną okoliczność - polska lewica, jeśli chce być formacją w życiu kraju znaczącą, musi być formacją osadzoną w polskiej tradycji i kulturze. Nie może abstrahować od etycznych i estetycznych zapatrywań milionów potencjalnych sympatyków, owej milczącej większości, na rzecz wsparcia krzykliwych mniejszości, zrzuconych na polską glebę, niczym ze spadochronu, z zupełnie innego, niezrozumiałego kontekstu kulturowego. Dlatego, nawet pomimo zastosowania najnowocześniejszych zabiegów socjotechnicznych, mających na celu stworzenie fałszywego tolerancjonistycznego przekonania o potrzebie wsparcia dyskryminowanych rzekomo mniejszości seksualnych, kulturowych i innych, lewica nie zaistnieje w szerszej debacie publicznej, dopóki nie zauważy problemów zdecydowanej większości Polaków. I chodzi tu raczej o problemy bardzo prozaiczne, o kwestie bytowe, najistotniejsze w codziennym życiu milionów. Powinna zatem dyskutować więcej o konieczności wzrostu płacy minimalnej i zagwarantowania praw pracowniczych niż o represjonowanych rzekomo uczestnikach kolejnej parady równości, którzy zaliczają się raczej do beneficjentów transformacji pod względem materialnym. Polska lewica powinna więc skoncentrować się na pomysłach, które mogłyby przełamać hegemonię indywidualistycznego neoliberalizmu, i przesunąć środek dyskursu w kierunku rozsądnego, wspiera-

nego i inspirowanego przez państwo komunitaryzmu. W tym celu skupić się powinna na wspieraniu tezy o wyższości życia i gospodarowania wspólnotowego nad kapitalizmem, wcielającym w życie hobbesowską zasadę *homo homini lupus est.* Przy czym wspólnotowość, gromadność powinny być celami nadrzędnymi, bez względu na to, czy będą zasadami wcielanymi pod szyldem lokalnej konserwatywnej wspólnoty Rodziny Radia Maryja, czy też pod dachem wolnościowego *squatu.* Lewica powinna zatem, i może, czerpać z bardzo różnorodnych tradycji doktrynalnych i światopoglądowych. Źródłem inspiracji dla niej mogą być niektóre wątki rodzimej tradycji lewicowej, jednak ich przydatność może być ograniczona z uwagi na pewien archaizm. Jak pokazał przykład odrodzonej Polskiej Partii Socjalistycznej, trudno dziś budować partię czy środowisko w oparciu o wzorce XIX-wieczne czy międzywojenne. Intelektualną inspiracją dla nowoczesnej polskiej lewicy winny więc stać się różnego rodzaju doktryny krytyczne wobec globalizacji, i to niekoniecznie wywodzące się z marksistowskiego czy nowolewicowego pnia. Mimo że część tez marksizmu uległa pozytywnej weryfikacji, dziś marksizm, jako całościowa filozofia, jest systemem archaicznym. Współczesna lewica musi zatem być w większym stopniu oparta o nowe formuły alternatyw wobec neoliberalizmu niż utarte marksistowskie schematy. Jak pisał niegdyś serbski socjalista, Svetozar Markovic, może w większym stopniu bazować na wspólnotach już istniejących, historycznie ukształtowanych i typowych dla danego obszaru, wzmacniając więzi gminne, sołeckie, lokalne fundacje i stowarzyszenia, zawodowe i gospodarcze samorządy i spółdzielnie. Sieć pozarządowych struktur i niezależnych od wielkich korporacji kooperatyw może stać się przyszłym zapleczem organizacyjnym i finansowym znaczącej formacji lewicowej.

Ad 3.

Trudno dziś stwierdzić, które z istniejących środowisk uznać można za lewicowe czy nawet lewicujące. Na poziomie parlamentu wątki takie zobaczyć można na lewym skrzydle SLD, choć są one artykułowane tak nieśmiało, że w istocie ledwie zauważalne. Trudno bowiem mówić o lewicowości partii, której niedawny lider dziś agituje na rzecz wprowadzenia liniowego podatku dochodowego, a czołowi przedstawiciele odpowiadają za skrajnie pro-Bushowską, całkowicie sprzeczną z lewicową wizją ładu międzynarodowe-

go, politykę zagraniczną. Pewne elementy programu lewicowego dostrzec można w enuncjacjach Samoobrony, choć nadal stanowi ona konglomerat bardzo różnych, często przeciwstawnych środowisk, raczej złączonych duchem protestu przeciwko zastanej rzeczywistości, niż jakąś koherentną wizją jej naprawy. Poza parlamentem aż się roi od środowisk, nawiązujących do spuścizny lewicy. Na pewno wśród nich wymienić można Nową Lewicę Piotra Ikonowicza, Ruch Odrodzenia Gospodarczego im. E. Gierka, resztki po PPS, Polską Partię Pracy, niewielkie grupki trockistowskie i anarchizujące. Z oczywistych względów elementy programu lewicowego głoszone bywają przez związkowców, ze szczególnym uwzględnieniem OPZZ, ZNP czy Forum Związków Zawodowych, jednak część tych organizacji traci wiarygodność poprzez alianse z SLD. Są wreszcie pozapartyjne środowiska, próbujące stworzyć ramy teoretycznej dyskusji na szeroko rozumianej lewicy. Jest lansowane ostatnio środowisko „Krytyki Politycznej". Istnieje cały szereg mniejszych grupek, skupionych wokół nieregularnych najczęściej wydawnictw. Na tym tle, jako bardzo ciekawa inicjatywa, jawi się miesięcznik „Obywatel", pismo z lewicą dość luźno związane, ale przyczyniające się na pewno do wielu ciekawych dyskusji. Wszystko to jednak nie zmienia ogólnego wrażenia, które narzuca się samo już przy pobieżnym spojrzeniu: przed polską lewicą jeszcze długa droga, nim zajmie - w sensie politycznym i intelektualnym - miejsce, które przysługuje jej w wielu krajach zachodniej Europy.

MATEUSZ PISKORSKI

MATEUSZ PISKORSKI (1977) - doktorant w Zakładzie Badań Niemcoznawczych Instytutu Politologii Uniwersytetu Szczecińskiego. Działacz organizacji pozarządowych, poseł na Sejm V Kadencji z ramienia Samoobrony RR

JACEK TITTENBRUN

Ad 1.

Nie jestem pewien, czy diagnoza, postawiona przez Redakcję, jest do końca prawidłowa, czy nie wyraża ona w jakiejś mierze większej znajomości i zainteresowania - dosyć naturalnego, biorąc pod uwagę orientację ideologiczną pisma - sporami i dyskusjami, odbywającymi się w środowisku rodzimej prawicy aniżeli lewicy. Refleksja nad tym, co to znaczy być lewicą we współczesnej Polsce, nie była obca sporej liczbie większych lub mniejszych ugrupowań, przyznających się do tak lub też inaczej rozumianej lewicowości. Faktem jest jednak, i stąd sens odpowiedzi na pytanie, postawione przez Redakcję „Frondy", iż problematyka ta nie zajęła - czy to w środkach masowego przekazu, czy tym bardziej w świadomości społecznej - takiego miejsca, jakiego można się było spodziewać. Ano właśnie - spodziewać na podstawie czego? Najbardziej oczywista odpowiedź wskazywałaby zapewne na znaczną rolę na krajowej scenie politycznej, pieczętujących się znakiem lewicy, partii takich jak SdRP i SLD, będących w dodatku spadkobierczyniami rządzącej w poprzednim systemie lewicowej wszak partii, która budowała ustrój, oparty na lewicowych wartościach. Taka opinia zawierałaby jednak sporo nieścisłości. Nurt robotniczy, lewicowy nie był nieobecny, ale też na pewno nie dominujący w PZPR. Tym bardziej ocena taka odnosi się do następczyń dawnej partii rządzącej, która - ze względu na oficjalne ramy ustrojowe - zmuszona była do przystrajania się w lewicową fasadę, chociaż, że była to jedynie fasada, świadczył postępujący rytualizm zaklęć o przodującej roli klasy robotniczej i podobnie „liberalne" traktowanie innych składników doktryny.

Łączony z lewicowogcią ustrój, zwany ongiś socjalizmem realnym, a dzisiaj najczęściej - bardziej ideologicznie niż merytorycznie - komunizmem, także

trudno uznać za wyraz urzeczywistniania wartości lewicowych, i to zarówno w jego stalinowskiej, jak i neo- czy poststalinowskiej fazie. Myśl, że - jak to najczęściej werbalizowano - tamten socjalizm nie był prawdziwym socjalizmem i że w związku z tym jego upadek stanowi szansę dla autentycznej lewicy zbudowania systemu wolnego od dawnych, mówiąc też dawnym językiem, „błędów i wypaczeń", błąkała się w lewicowych kręgach intelektualnych i politycznych, ale przeważyło nad nią poczucie klęski, z jakiego przedstawiciele tych środowisk do dzisiaj w wielu wypadkach się nie wyzwolili. Druga przyczyna stosunkowo nikłej refleksji nad istotą lewicowości w dzisiejszych warunkach wynika również z owego podstawowego faktu upadku poprzedniego systemu. Został on wszak zastąpiony kapitalizmem, systemem, którego ideologia, ze względu na swoje zasadnicze elementy: obrona własności prywatnej, wolnego rynku itp., nie ma na pewno charakteru lewicowego. Nie znaczy to naturalnie, że lewica nie ma w kapitalizmie roli do odegrania. Wręcz przeciwnie. Znajduje się ona jednak z definicji na słabszych niż prawica pozycjach. Do tych obiektywnych przesłanek dołączyły subiektywne - słabość polskiego ruchu lewicowego wynikła z podziału na mnóstwo, często wskutek tego kanapowych, grupek czy partyjek, zasługujących na pogardliwe miano planktonu politycznego. O ile względnie udaną próbę zjednoczenia przedsięwzięto na centrolewicy (to sformułowanie stanowi pośrednią odpowiedź na inne z pytań ankiety), to ambicje wodzowskie, cechy charakterologiczne, bo nie różnice polityczne (te, zgodnie z zasadą „nie ma wroga na lewicy", powinny być drugorzędne) zdecydowały o tym, że grupy, jakim można byłoby przydać dumne miano prawdziwej lewicy, pozostają na marginesie życia politycznego we współczesnej Polsce. W ostatnim okresie najbliższa wychylenia się z cienia była Polska Partia Pracy, jednak jej rezultaty w wyborach mówią same za siebie. Nie znaczy to, że tylko na tyle należy oceniać szanse i potencjał lewicy w Polsce. O tym, że tak nie jest, świadczy, paradoksalnie, zwycięstwo w tych samych wyborach partii formalnie prawicowej, jaką jest PiS. Jest to partia prawicowa głównie na poziomie, używając tradycyjnych kategorii marksistowskich, nadbudowy, natomiast w sferze gospodarczej i społecznej partia ta sytuuje się na lewo od SLD. Wystarczy wspomnieć, że to nie SLD, a PiS zahamowało prywatyzację, czyli kluczowy proces konstytutywny dla kapitalizmu, a sporo jego pomysłów z dziedziny polityki socjalnej wywodzi się rodem z doktryny państwa o*piekuńczego. To, w czym PiS zdecydowanie odbiega od

ideałów lewicowych, to w swych centralistyczno-autorytarnych tendencjach nie do pogodzenia z dążeniami do rozbudowy samorządności i społeczeństwa obywatelskiego. Także i pod tym względem PiS-owi, a w każdym razie dużej jego części, obiektywnie całkiem blisko do SLD, który na tych, uważanych za rdzennie lewicowe polach, nie wyróżnił się specjalnie, zwłaszcza wtedy, gdy miał po temu okazję.

Ad 2.

Powyższe zdania dostarczają też pośredniej odpowiedzi na pytanie o wartości i tradycje, do jakich powinna odwoływać się lewica, godna tego miana. Nie wystarczy przecież koncentracja na, skądinąd ważnych, prawach mniejszości, których pojęcie zawężane jest ostatnio wyłącznie do mniejszości seksualnych i spraw natury obyczajowej. Lewica musi zdefiniować się w kategoriach wielkich grup społecznych, tzn. klas.

JACEK TITTENBRUN

JACEK TITTENBRUN (1952) - socjolog, prof. zwyczajny Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, kierownik Katedry Socjologii Przedsiębiorczości i Pracy oraz Zespołu Badań Socjoekonomicznych w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu.

JANUSZ P. WALUSZKO

Trudno dyskutować o czymś, czego nie ma (SLD to liberałowie tak samo jak PO; etatyści z PiS preferują ideologię prawicową, zbliżając się ku totalitaryzmowi; mówię o postawie, nie o ich możliwościach, w tzw. demokracji rynkowej na szczęście bardzo ograniczonych); nie warto zabiegać o coś, co się nie sprawdziło (za lewicę mam fanów upaństwowienia gospodarki, za prawicę fanów upaństwowienia kultury, sam jestem - jako anarchista - wrogiem obu i wolałbym zamiast lewicy [czy prawicy] samo/organizację społeczeństwa i urzeczywistnienie Samorządnej RP z programu „Solidarności" 1981 r.). Grupy lewackie (rzeczywiście ideowe) nie wyjdą nigdy poza swe sekciarskie getto, nie uzyskają wymiaru społecznego, więc nie ma o czym gadać (tak samo nie interesuje mnie lewica obyczajowa, a/społeczna). Rozwiązań trzeba szukać gdzie indziej, ale to temat na inny tekst (nie dla was:)), to tyle!

JANUSZ P. WALUSZKO

JANUSZ P. WALUSZKO, Ruch Społeczeństwa Alternatywnego. Gdańsk.

OLAF SWOLKIEŃ

Ad 1.

Nie do końca zgadzam się z zawartą w pytaniu tezą, że istnieje jakościowa różnica pomiędzy stanem refleksji nad tym, co nazywa się dzisiaj prawicowością i lewicowością. Jednak zakładając, że tak jest, to wynika ona z faktu, że środowiska, określające się jako prawicowe, były także w III RP, aż do ostatnich wyborów, w głębokiej defensywie, stąd być może czas i chęć rozważań nad własną tożsamością i nad refleksją metapolityczną. Jednak - aby doszło w ich wyniku do jakichś głębszych konkluzji - śmiem wątpić. Inną przyczyną opisanego w pytaniu stanu rzeczy jest dziedzictwo PRL-u i kilkudziesięcioletnia niemożność otwartej debaty nad tożsamością prawicy. Po roku 1989 z natury rzeczy wydawała się ona ciekawsza i bardziej potrzebna. Lewica dyskutowała nad swoją tożsamością przez poprzednie pół wieku i dominowała w dyskursie politycznym, chociaż, z drugiej strony, była to dyskusja skrępowana wymogami polityki, w którą lewicowcy zabierający głos byli uwikłani. Na prawicy był więc głód czegoś, czego nie było, a na lewicy odrętwienie i znudzenie tym, czego było w nadmiarze, ale co się zdegenerowało. Ponadto, część prawicy utożsamia prawicowość z tak zwanym wolnym rynkiem, więc po roku 1989 Polska podążyła w tej mierze za wcześniejszymi tendencjami światowymi, zmierzającymi w tym samym kierunku. Nadwiślańskie elity intelektualne nie po raz pierwszy w dziejach okazały się na ogół wtórne w myśleniu. Gierkowski socjalizm, czy - szerzej - tak zwany awans społeczny w czasach PRL-u wypromował ludzi, którzy nie są zbyt skorzy do samodzielnego i subtelnego myślenia, raczej wolą wraz z zakrętami historii przeskakiwać od dogmatu do dogmatu. Mamy tu charakterystyczną mieszankę dogmatyzmu i oportunizmu wg zasady: „Myślę tak, jak myśli mój

kolektyw, więc jestem". Zinowiew właśnie taką postawę uznawał za wyróżnik *homo sovieticus,* ale słusznie zauważał, że to szersza, ogólnoludzka tendencja - moim zdaniem, być może związana z przeludnieniem. W tym kontekście dobrą wróżbą dla lewicy jest ponowne nawrócenie niektórych apologetów Balcerowicza spod znaku Unii Wolności czy „Tygodnika Powszechnego" na - a jakże! - lewicowość. Są oni jak niektóre kobiety - nie myślą, ale czują, z kim warto w danej chwili być. Trzeba też pamiętać, że w życiu politycznym III RP przetrwały postPRL-owskie formacje, które oficjalnie powoływały się na lewicowość, będąc w rzeczywistości bardziej radykalne w forsowaniu rozwiązań neoliberalnych niż tak zwana prawica. Stąd komiczne sytuacje w rodzaju debaty, jaka odbyła się na początku lat 90. w Krakowie, gdzie lewicę reprezentował Aleksander Kwaśniewski, a prawicę Kazimierz Switoń. To, że mało kto na prawicy uświadamiał sobie komizm tej sytuacji, dobrze świadczy o zamęcie, jaki w tej dziedzinie panował i nadal panuje. Po kilkunastu latach „refleksji metapolitycznej" większość polskich publicystów nadal uważa lewicę za prawicę i odwrotnie. Natomiast dyskusja nad tożsamością lewicy toczy się od dłuższego czasu, tyle tylko, że nie na łamach masowych czasopism, ale niszowych portali internetowych i takichże pism; z jednym z nich sam od wielu lat jestem związany. Uniwersytety i wielkonakładowe czasopisma rzadko są dzisiaj miejscem autentycznej debaty, choć bywa ona głośna, ale to częściej efekt nagłośnienia niż interesujących treści. Jeśli wierzyć Schopenhauerowi, nie jest to coś, czym nasze czasy różnią się od dawniejszych epok.

Ad 2.

W moim przekonaniu, sztywny podział na lewicę i prawicę jest czymś wydumanym i z satysfakcją obserwuję, że zachodnie partie polityczne powoli od niego odchodzą. Mnie o wiele bliższy jest starożytny podział na oligarchie, arystokracje, demokracje i najbliższe mi polituje, czyli ustroje mieszane, najlepiej jeszcze dostosowane do czasu, miejsca i kraju. Polska w takim ujęciu jest dzisiaj oligarchią i dlatego bardzo potrzeba jej stronnictwa, które ujęłoby się po prostu za losem biednych. Wzorem takiego „lewicowca" jest dla mnie np. król Henryk IV i jego pragnienie, by „każdy Francuz miał co niedziela kurę w garnku". Tak rozumiana lewica powinna się odwoływać do elementarnego poczucia sprawiedliwości i ładu, które - w co wierzę - mamy w genach i które

mówi nam, że sytuacja, gdy z jednej strony majątki małej grupki hochsztaplerów, którzy nigdy niczego pożytecznego dla świata nie zrobili, rosną jak tocząca się po ośnieżonym stoku kula śniegowa, a z drugiej - kłębi się tłum otłuszczonych byle jakim żarciem proli, upadlanych lekturą brukowców, jest czymś odrażającym. Ponieważ mam pogląd na świat przyrodniczy, to wierzę w niemodne i wyśmiewane dzisiaj stwierdzenie, że jako ludzie mamy mniej więcej takie same żołądki i odpowiedź na tę rzeczywistość dosyć dobrze formułuje termin „socjaldemokracja". Znacznie bardziej sceptyczny jestem co do wszechobecnego dzisiaj kultu wolności. Wolność rozumiana jako słabość państwa nie po raz pierwszy w dziejach służy w Polsce do maskowania samowoli możnowładców, natomiast pracownicy, którym pracokupcy np. nie dają przez wiele lat urlopu, niewiele mają z niej pożytku. Tam, gdzie są tak ogromne różnice majątkowe, wolność biedaka jest iluzją, nawet wolność słowa jest dzisiaj skutecznie krępowana nie tylko przez wielkonakładowe zagłuszarki, ale przede wszystkim przez procesy cywilne. Nie ma powszechnej wolności bez pewnego stopnia majątkowej równości. Lewica powinna się też wyzbyć swojego optymizmu, romantyzmu, wręcz sentymentalnej wiary w rzekomo dobrą naturę ludzką. Ludzie, chociaż mają podobne żołądki, to są bardzo różni pod względem moralnym i intelektualnym; w dodatku są dosyć plastyczni i spory wpływ na ich zachowanie mają okoliczności i kultura. Lewica musi 0 tym pamiętać, by nie wpaść ponownie w pułapkę dogmatyzmu i wewnętrznej licytacji pod hasłem „kto bardziej kocha ludzi, wszystkich ludzi". Nie widzę żadnego powodu, aby - podobnie jak rewolucjoniści francuscy - lewica nie miała nawiązywać do republikańskiej tradycji antycznego Rzymu czy np. do cnót spartańskich w życiu codziennym, w etosie pracy, służbie państwu 1 społeczeństwu. Jest dla mnie totalnym intelektualnym nieporozumieniem rezygnacja przez lewicę ze starodawnych cnót na rzecz prawicy i budowanie swojego etosu na obyczajowych ekscesach dzieci bogatych rodziców. Ale w tej dziedzinie lewica nie musi sięgać aż tak daleko. Pewien ład obyczajowy i moralny to nie tylko domena Katona czy Robespierre'a, ale w naszych czasach np. Władysława Gomułki. Tego ostatniego polityka cenię także dlatego, że symbolizuje on dla mnie wierność temu, co się widzi i słyszy tu i teraz wbrew ideowym, „metapolitycznym" dogmatom. Lewica powinna mniej kierować się uczuciami, a bardziej chłodną analizą rzeczywistości, powinna mieć też zdecydowanie więcej 'poczucia humoru. Wartością, do której powinna się

odwoływać dobra polityka, także lewicowa, jest dla mnie harmonia i umiar, który ma swoje odzwierciedlenie w trójsektorowej gospodarce, za którą po II wojnie światowej opowiadały się w Polsce niemal wszystkie stronnictwa. Na pewno są elementy lewicowe w dorobku pierwszej Solidarności, na pewno są w społecznej nauce Kościoła, a przede wszystkim w Ewangelii, w której potraktowanie bankierów przez Jezusa można uważać za wzorcowe. Dzisiaj trzeba też z nadzieją i uwagą przyglądać się Wenezueli i Ameryce Łacińskiej. Na pewno nowoczesna lewica musi być bardziej sceptyczna wobec mitu postępu i przestać utożsamiać dobrobyt z tak zwodniczymi wskaźnikami, jak PKB czy ilość telefonów komórkowych na osobę. Powinna w tej dziedzinie radykalnie przedefiniować swoje cele, biorąc pod uwagę aspekty kulturowe, ekologiczne i przyrodnicze naszej egzystencji, bo jeżeli tego nie zrobi, to będzie pozostawać w niezgodzie z psychobiologiczną rzeczywistością „tego świata", a to właśnie on, powtarzając za Albertem Camus, powinien pozostawać jej światem.

Ad 3.

Nie znam ludzkich inspiracji, więc to tylko moje domniemania. Co do tak zwanej lewicy spod znaku LiD czy SLD, to jest to formacja reprezentująca interesy układu okrągłostołowego, która wszystkie pojęcia i wartości traktuje czysto instrumentalnie. Powinni zasiadać w Sejmie w ławach dla oligarchów - z tyłu, z przodu, z lewa czy prawa - to kwestia dekoracji, ale powinno tam być napisane: „reprezentanci wielkiego kapitału, banków i ponadnarodowych korporacji". PO to natomiast coś w rodzaju pospolitego ruszenia biznesmenów, którzy są w polityce, aby pilnować swoich interesów. Paradoksalnie, najwięcej lewicowości, czyli myślenia o Polsce i społeczeństwie jako całości, dostrzegam na tak zwanej polskiej prawicy, czyli w ramach obecnej koalicji rządzącej. Skąd ona czerpie do tego inspiracje? Na pewno po trosze z chrześcijaństwa i katolickiej nauki społecznej, ale także ze zdrowego rozsądku i patriotyzmu. Ktoś, kto chce zrobić coś dobrego w dzisiejszej Polsce, jest skazany na lewicowość, tak samo jak w okresie stalinowskim czy gierkowskim był skazany na opozycję do niej. Sam przeszedłem podobną ewolucję, to po prostu zdrowe dążenie do równowagi. Wiem, że dla wielu tych zacnych ludzi lewicowość nadal kojarzy się ze złem samym w sobie; dla części z nich

ważniejsze są kwestie cudzego życia seksualnego niż sprawy dobrej szkoły czy warunków pracy. Wynika to z tego, że w ogóle nie doceniamy w naszym myśleniu o polityce kwestii psychologicznych, charakterologicznych czy rodzinnych. Ale to wraca, epoka dominacji lewicowo-prawicowej ideowości i refleksji metapolitycznej w polityce chyba się kończy i powoli górę biorą tradycyjne walki stronnictw, koterii, poszczególnych osobowości, indywidualnych ambicji. Ideologie, oczywiście, będą tam obecne, ale raczej jako jeden z wielu czynników, coś na kształt przyprawy do głównego dania lub, częściej, zasłony dymnej. Kto wie, może doczekamy znowu dworów z prawdziwego zdarzenia - w takim wypadku jestem za Henrykiem IV.

OLAF SWOLKIEŃ

OLAF SWOLKIEŃ (1960) - nauczyciel, aktywista ekologiczny, publicysta magazynu *Obywatel,* prezes Federacji Zielonych - Grupy Krakowskiej.

RYSZARD BUGAJ

Ad 1.

Przyczyny nędznej kondycji intelektualnej współczesnej lewicy są z pewnością złożone. Jednak przede wszystkim niejednolicie rozumiane jest określenie „lewica". Przez wiele lat (od - następującego stopniowo - oddzielania się komunizmu od socjaldemokracji) lewica występowała generalnie w dwóch nurtach: autorytarnego komunizmu i demokratycznego socjalizmu. Poza genezą, niewiele te nurty łączyło. Zresztą w krajach, rządzonych przez komunistów, istniał zasadniczy rozziew między oficjalnym „programem" i praktyką.

Ostatnie dekady przyniosły nie tylko rozkład komunizmu, ale i zasadnicze przekształcenie ugrupowań identyfikowanych jako socjaldemokratyczne. Porzuciły one w zasadzie postulaty społeczne i zaakceptowały diagnozę i terapię doktryny neoliberalnej (choć nie w jej wersji skrajnej). Uwagę skoncentrowały na kwestiach kulturowych (przede wszystkim szeroko rozumiane „mniejszości"). Tak zwana „Trzecia Droga" jest porzuceniem tożsamości demokratycznego socjalizmu w jego historycznej postaci.

Gdy w Polsce powstały potencjalne warunki odbudowy demokratycznej lewicy, jej kondycja intelektualna była już bardzo zła. Lewica (jako programowa alternatywa) nie istniała i nie wystąpiła w dyskusji o modelu przemian ustrojowych w Polsce. Zaważyły tu także czynniki specyficzne. Dawni komuniści (w praktyce bezideowy aparat PZPR-u) utworzyli ugrupowanie, identyfikowane jako socjaldemokratyczne (także zorganizowane środowiska prawicowe chętnie stawiały znak równości między postkomunistami i lewicą). Ludzie, niezadowoleni z przemian społecznych i gospodarczych, potraktowali ich jako nośniki socjaldemokratycznej alternatywy. Biorąc dodatkowo pod uwagę zasoby materialne i organizacyjne, jakimi dysponowali postkomuniści,

konkurencja „na lewicy" okazała się w praktyce niemożliwa. Odbiciem tych politycznych uwarunkowań jest też uwiąd intelektualny. Ta sytuacja zmieniła się ostatnio wskutek totalnej kompromitacji SLD i rządu Millera. Blokada „lewicowej alternatywy" może jednak przetrwać, jeżeli LiD (alians postkomunistów i liberałów ze środowiska dawnej UW) zdoła skutecznie zaprezentować się jako „centrolewica".

Ad 2.

Sądzę, że Polsce potrzebna jest dość „tradycyjna" socjaldemokracja, odwołująca się przede wszystkim do dziedzictwa PPS-u. Są w Polsce grupy (od niektórych środowisk inteligenckich, poprzez środowiska robotnicze, do pracowników sfery usług), których interesy może efektywnie reprezentować tylko tego typu ugrupowanie polityczne. Zarazem - jestem o tym przekonany - respektowanie interesów tych środowisk nie stoi w sprzeczności z koniecznymi procesami modernizacyjnymi i efektywnym modelem rządzenia. W szczególności zmniejszenie nierówności (obecnie bardzo wielkich) może raczej przyczynić się do wzmożenia stabilnego rozwoju. Lewica „w stylu PPS-kim" mogłaby też być zaporą zarówno dla pomysłów na wpół autorytarnych, jak i zmierzających do niekoniecznego uszczuplenia suwerenności polskiego państwa. Taka lewica nie może, oczywiście, zrezygnować z takich zasad, jak oddzielenie kościoła od państwa czy respektowanie praw mniejszości, ale nie ma żadnych powodów, by stanowisko w tych sprawach miało charakter ekstremalny (w stylu „socjalistów" hiszpańskich). Potencjalnym przeciwnikiem tak rozumianej lewicy byłyby, oczywiście, przede wszystkim środowiska neoliberalne, natomiast potencjalnym partnerem - ugrupowania społecznie wrażliwych (i umiarkowanych) konserwatystów.

Ad 3.

W moim (normatywnym) rozumieniu lewicy, nie ma dziś w Polsce znaczących ugrupowań należących do tego nurtu. Na pewno charakter „lewicowego szwindlu" ma SLD, partia całkowicie bezideowa, reprezentująca interesy postkomunistycznego aparatu. W ostatnim czasie z przykrością konstatuję ewolucję niewielkiego środowiska „Krytyki Politycznej" - jedynej dostrzegal-

nej grupy lewicy niekomunistycznej. Ich postawa w kwestiach kulturowych jest skrajna, zainteresowanie kwestiami społecznymi śladowe, a niechęć do „rozliczenia" komunizmu (czego nurt demokratycznego socjalizmu w żadnym razie uniknąć nie może) prawie manifestacyjna. Trudno też nie wyrazić niepokoju, że środowisko to poszukuje ideowej inspiracji... u Lenina.

RYSZARD BUGAJ

RYSZARD BUGAJ (1944) - dr hab. ekonomii, pracownik PAN, polityk o poglądach socjaldemokratycznych. Obecnie bezpartyjny.

Mimo rytualnych odwołań do klasyków i niezachwianej wiary w darwinowską ewolucję, współczesna lewica w istocie nic sobie nie robi z własnych praszczurów. Niby wie, że się z nich wywodzi, że DNA przecież w 99 proc. identyczne, a jednak wydaje się, jakby od przeszłości oddzielała ją gruba kreska. Więcej nawet, wymieniając dawne hasła „Wolność, Równość, Braterstwo" na bardziej awangardowe „Homoseksualizm, Aborcja i Etatyzm", lewica przeistoczyła się w swoje własne przeciwieństwo. Niepokorni bowiem pod hasłem wolności rozumieli coś innego niż wolną miłość, pod hasłem równości - coś innego niż równanie w dół, a pod hasłem braterstwa - coś innego niż karesy dwójki panów. Wszechwładza państwa i aborcja napawały ich moralną odrazą, a nie uczuciem wzniosłości.

KACAP I BONZO

Rozważania o dziedzictwie współczesnego niemyślenia

MICHAŁ ŁUCZEWSKI

Lewica wynajduje wciąż nowe pojęcia, by ukryć to, co myśli naprawdę. Konkurencja jest tutaj bardzo zacięta - peleton zawodników walczy w pocie czoła o żółtą koszulkę „najwybitniejszego współczesnego intelektualisty". Oto z początku najbardziej postępowy okazał się zawodnik, krzyczący „Proletariat!", ale szybko wchłonął go zespół pedałujący pod hasłami

„Partia". I on jednak nie utrzymał się na prowadzeniu, i już wkrótce na plecach poczuł ciepły oddech „Gejów i Lesbijek" (LG...) w towarzystwie zwolenników co bardziej odkrywczych dżenderowych permutacji (...BT?). Przy nich nawet *teamy* „Rozumu Komunikacyjnego" i „Habitusu" wyglądają jak wstecznicy i nic dziwnego, że snują się melancholijnie gdzieś w ogonie.

Cóż to jest Ziżek?

Podczas gdy do tej pory sukcesem było już samo przebicie się lewicowca z choć jednym „przełomowym" pojęciem, dziś za sprawą Slavoja Żiżka sytuacja uległa dramatycznej zmianie. Słoweński filozof wprowadził do wyścigu zupełnie nową jakość. Razem z nim nastąpiło przejście z ery preindustrialnej produkcji konceptów do ery industrialnej. Skończyła się era rękodzielników, pracowicie szlifujących własne intelektualne twory, a zaczęła era pojęciowych stachanowców, którzy przy pomocy produkcji taśmowej wyrabiają po pięćset i tysiąc procent teoretycznej normy. Wyrzucając z siebie na zmianę „Fantazmat!", *„Jouissance!", „Syntom!",* „wyobrażona kastracja!", „Jezus Chrystus" i „fallicznie naprężony Gwarant Znaczenia!" (Ziżek 2001: 125), filozof po prostu zdeklasował wszystkich konkurentów, w tym i dotychczasowych liderów z państw kapitalistycznych. Jego heroiczna postawa przywodzi na myśl osiągi Olafa Ludwiga i Uwe Amplera z najlepszych lat Wyścigu Pokoju. Jednak, choć międzynarodowy sukces filozofa wydaje się całkowity, wszyscy i tak wiedzą, że jedzie na koksie.

Bez dogłębnego badania widać jak na dłoni, że słoweński myśliciel to intelektualny gałgan, a Żiżkowa „teoria" to jeden wielki wic. Jego dzieła składają się z opinii o opiniach Laclau o opiniach Lacana o opiniach Plotyna - o opiniach Althussera o opiniach Marksa o opiniach Hegla o opiniach Kanta. A o samej rzeczywistości dalej nie wiemy nic. Uznawszy, że Rzeczywistość, transcendentna prawda nie istnieje, za całkiem realnych bierze myślicieli, którzy o niej rozprawiają. Z tego względu nie należy traktować go jako przewodnika po współczesnym świecie, ale jako symptom bolesnego stanu prostracji, w jakim znalazła się współczesna lewica. Innymi słowy, Żiżek nie powie nam nic o nas samych, ale powie nam bardzo dużo o własnych wyznawcach, zwłaszcza zaś o owych progresywnych nieborakach, rodzonych w bólach na postkomunistycznej, przywiślańskiej ziemi.

Lewicowa psychoanaliza

Choć Lacanowo-Żiżkowska psychoanaliza doprowadziłaby niechybnie człowieka zdrowego do psychozy maniakalno-depresyjnej, to bez większego ryzyka możemy zaaplikować ją polskiej lewicy. Oczywiście, „teoria" ta jest tak „głęboka", tak „paradoksalna", tak pełna „napięć i znaczeń", że nie sposób wprost oddać jej przy pomocy języka dyskursywnego. Ryzykując bycie *un grand simplificateur,* rozpocznijmy od stwierdzenia, że Żiżek-Lacan postrzegają podmiot jako „brak", „puste miejsce", „niemożliwe pragnienie", „Realne", które ukonstytuowuje się dopiero w symbolach poprzez ideologię, która łączy go z obiektami znaczącymi, „Innym", „Sprawą". Takie zespolenie daje podmiotowi rozkosz, ale jednocześnie alienuje go od samego siebie.

W tej perspektywie świadomość jednostkowa okazuje się jedynie iluzją w stosunku do ukrytego, przedsymbolicznego podmiotu. Ale iluzją, której nie można uniknąć, iluzją, która jest, mówiąc wprost, konieczna. Nie ma ona jednak nigdy charakteru całkowitego i raz na zawsze ustalonego - podmiot w każdej chwili może ją zakwestionować. Pod powłoką spójności, jedności i autonomii zawsze czai się przepaść, którą wciąż na nowo „zszywa" i o której wciąż na nowo „zapomina", ale którą jednocześnie wciąż, w sposób nieświadomy, artykułuje i której istnieniu nieustannie przyświadcza, co w pewnych wypadkach umożliwia mu poddanie jej w wątpliwość. Podmiot nigdy nie znajduje właściwej sobie, ostatecznej reprezentacji symbolicznej; przy głębszym wejrzeniu każda okazuje się niepełna i wybrakowana. Wywód Ziżka można ująć także prościej: ludzie czasami zmieniają zdanie, a ich racje nigdy nie są ostateczne.

Tego typu opis wiernie oddaje sytuację krajowego lewicowca. Z jednej bowiem strony, jego ideologia wydaje mu się jasna i spójna - ale z drugiej, czuje on podskórnie, że w każdej chwili misterna konstrukcja może „pęknąć", obrócić się w nicość, ulec rozkładowi. Gdy już jest pewien, że progresywne idee na stałe zadomowiły się pod jego chmurną czaszką, a ryzyko heterodoksji zostało szczęśliwie zażegnane, wszystko może się rozpaść. Mimo najszczerszej woli i największych chęci, ideologia lewicowa jest krucha i fragmentaryczna. I nic nie zmieni faktu, że w każdym radykale czają się niebezpieczne prześwity, przez które nieustannie przeziera wredna gęba reakcji. Można o niej zapominać, można od niej uciekać, można z nią walczyć, ale ona wciąż tam jest.

Gęba reakcji ma jeszcze tę przewrotną właściwość, że nieustannie przywdziewa różne maski, nieraz łudząco podobne do autentycznej lewicowej twarzy. Stąd lewicowcy muszą się nieustannie dookreślać i definiować; oddzielać to, co prawdziwie lewicowe, od tego, co lewicowe tylko z pozoru. Lewica musi się wciąż regenerować (Kołakowski 1989, t. II: 26) i wciąż na nowo rozpoczynać od początku (Walzer).

Ślady tożsamości

W Polsce określenie „lewicowy" ma szczególny sens, który nadała mu inteligencja radykalna z przełomu XIX i XX wieku - owi niepokorni, których kanoniczny portret dał Bohdan Cywiński (1996): Edward Abramowski, Stanisław Brzozowski, Jan Władysław Dawid, Kazimierz Kelles-Krauz, Ludwik Krzywicki, Bolesław Limanowski, Wacław Nałkowski czy, wreszcie, Stefan Żeromski, ten polski inteligent *par excellence.* To oni utworzyli podstawowe zręby ideologii postępowej, które następne pokolenia określiły jako „etos lewicy". Rzecz jasna, mieli oni tutaj dostojnych antenatów w postaci dziewiętnastowiecznych demokratów: masonów, mistyków i pogrobowców konfederacji barskiej; mieli też nie mniej dostojnych spadkobierców: masonów, rewizjonistów i nowonarodzonych chrześcijan. Jest największym paradoksem, że po roku 1989 wraz z nastaniem wolności ta wielowiekowa tradycja została zupełnie zerwana.

Mimo rytualnych odwołań do klasyków i niezachwianej wiary w darwinowską ewolucję, współczesna lewica w istocie nic sobie nie robi z własnych praszczurów. Niby wie, że się z nich wywodzi, że DNA przecież w 99 proc. identyczne, a jednak wydaje się, jakby od przeszłości oddzielała ją gruba kreska. Więcej nawet, wymieniając dawne hasła „Wolność, Równość, Braterstwo" na bardziej awangardowe „Homoseksualizm, Aborcja i Etatyzm", lewica przeistoczyła się w swoje własne przeciwieństwo. Niepokorni bowiem pod hasłem wolności rozumieli coś innego niż wolną miłość, pod hasłem równości - coś innego niż równanie w dół, a pod hasłem braterstwa - coś innego niż karesy dwójki panów. Wszechwładza państwa i aborcja napawały ich moralną odrazą, a nie uczuciem wzniosłości. Czyż ktoś lepiej podsumowałby istotę współczesnej lewicy niż Ludwik Krzywicki (1978):

Prostytucja w stosunkach płciowych, utylitaryzm w etyce, oportunizm w polityce i zasada mydłkowania w prasie?
(s. 757)

Nie oznacza to, że polska lewica uległa dezintegracji dopiero dzisiaj. Groźba rozkładu jest wpisana w jej istotę od samego początku. Fundamentalny „brak" zawsze jej towarzyszył, a nadzieja spełnienia nigdy nie mogła zostać w całości zrealizowana. Lewica zawsze była „niemożliwa", co i rusz staczając się na sprzeczne pozycje. W szczególności, przed każdym progresistą nieustannie stawały dwa niebezpieczne wcielenia, które za Kołakowskim (1989) możemy określić mianem „kapłana" i „błazna". Dziś te pojęcia brzmią jednak stanowczo zbyt koturnowo, niczym figury teoretycznego wywodu czy fragment moralitetu, rzeczywistość tymczasem jest znacznie mniej patetyczna i bardziej parciana. Zatem zamiast o „błaźnie" należałoby mówić - za Stefanem Żeromskim (1988: 59) - o „kacapie", a „kapłana" - śladem Stanisława Piaseckiego (2003: 107) - zastąpić trzeba by „bonzem".

Kacap to połączenie błazna, cepa i pustaka (zob. opinię Brzozowskiego; Mencwel 1976: 20), zdegenerowany prześmiewca i hedonista z osiedlowego *sex-shopu;* osobnik, z którym „na solo nie wygrasz", bo „bardzo dużo czyta, odświeża umysł i, kurwa, będzie jak brzytwa", przy czym słowo „kurwa" jest tutaj kluczowe.

Bonzo zaś to kapłan tępy, wielki nietykalny (Piasecki 2003: 110), partyjny koczkodan (Żeromski), mandaryn i bezkompromisowy funkcjonariusz kolektywnej prawdy, wyznawca starej maksymy: „wykształceni mają rządzić, a chamy słuchać i nie rezonować" (zob. Kołakowski 1999: 422).

Kacap i bonzo nie są od siebie tak odlegli, jak mogłoby wydawać się na pierwszy rzut oka. W sumie, obaj są dość głupkowaci, tyle że pierwszy realizuje zasady umysłowego niedowładu na planie indywidualnym, a drugi - zbiorowym. Łączy ich pogarda wobec człowieka prostego i wyznawanej przezeń tradycyjnej moralności: kacap praktykuje tę postawę jako wyrzutek społeczeństwa, a bonzo jako ten, który „nadzoruje i karze". W ostatecznym rachunku gdzieś na dnie ich *psyche* czai się nihilista, który marzy o byciu ponad dobrem i złem, ponad prawdą i fałszem, przy czym kacap to wersja zeświniała, a bonzo - zupiorzała (zob. Mencwel 1976: 34). W konsekwencji kacap - zwłaszcza pod wpływem wiatru ze wschodu - łatwo zamienia się we wład-

czego bonzę (Bruno Jasieński), a dawny bonzo często okazuje się zwykłym kacapem (TW „Semjon"). Fundamentalną jedność „kacapizmu" i „bonzownictwa" wskaże ezoteryczna egzegeza pism Żeromskiego i Piaseckiego (zob. też Kołakowski 1989, t. II: 179-180).

Kacap

Dla lewicy zagrożenie kacapizmem było jak najbardziej realne - właściwie każdy z jej adeptów przechodził przez tę nieprzyjemną fazę, a części nigdy nie udało się z niej wydobyć. Symptomatyczna była pod tym względem postawa młodego Kelles-Krauza, który w jednym z listów przyznał się swojej narzeczonej do korzystania z usług kobiet lekkich obyczajów, odważnie zastrzegając: „gdy czuć będę konieczną tego potrzebę, zrobię to i więcej razy". Widać, narzeczona nie wykazała sympatii wobec awansów Kazika, gdyż ten w następnym liście próbował się wycofać:

> Ani razu żadnej z nich nie pocałowałem [...] po zaspokojeniu potrzeby z jedną rozmawiałem o ich okropnym położeniu i wyzysku ze strony przedsiębiorców.
> (cyt. za Gawin 2003: 80)

W podobnie libertyńskim duchu Stanisław Brzozowski drwił w *Widmach moich współczesnych* (Brzozowski 1914: 91) z „wytwornego uśmiechu" autora *Trylogii,* który sprzeciwiał się apologii „rui" i „porubstwa" uprawianej przez Stanisława Przybyszewskiego i jego akolitów. Takie opinie musiały szczególnie boleć polskiego filozofa; tym bardziej, że sam był jednym z nich. W swej pierwszej powieści, która nie mogła liczyć na porównywalne z Sienkiewiczem powodzenie z tej choćby przyczyny, że nigdy nie została wydana, udowadniał, że nieznośny „ciężar Boga", poczucie winy i rozdarcia nie pozwalają nam cieszyć się zdrową, swawolną aktywnością erotyczną. Podczas gdy u Przybyszewskiego seks miał wymiar destrukcyjny i sataniczny, w wydaniu Brzozowskiego jawił się on jako czynność nad wyraz optymistyczna i niemal intelektualnie pobudzająca (Wyka 1981: 16)[1].

W parze z głoszeniem dobrej, seksualnej nowiny szedł atak na tradycyjne formy moralności, co najlepiej uwidoczniło się w histerycznej kampanii

antysienkiewiczowskiej. Dodajmy na marginesie, że Brzozowski, który jej przewodził, rozpoczynał swoją karierę pisarską od dramatu *Mocarz,* wysłanego na konkurs im. Henryka Sienkiewicza (Wyka 1981: 10). Napaści na Sienkiewicza wypadły jednak dość nieporadnie, nie zauważono też, że - jak by nie było - autor *Trylogii* nie wyrażał jedynie wartości „Polski zdziecinniałej". Sienkiewicz był wtedy przecież zjawiskową *superstar,* należał do zupełnie innej, nieosiągalnej dla prześmiewców ligi - ikona narodowa, członek ścisłego grona światowej elity pisarskiej, autor *Quo vadis,* absolutnego światowego bestsellera, który od razu uczynił go faworytem Nagrody Nobla. 0 Brzozowskim zaś poza Krakowskim Przedmieściem nie słyszał nikt; co gorsza, swe myśli formułował w tak napuszonym, grandilokwentnym stylu, że nieustannie ocierał się o śmieszność i sprawiał wrażenie szkolniaka, który z namaszczeniem publikuje swe notatki z wykładów. Było to zaiste spotkanie Goliata z Dawidem, tyle że Dawid nie umiał strzelać z procy, a Goliat przebywał akurat na światowym *tournee*[2].

Hucpiarska działalność Brzozowskiego nie mogła wzbudzać zachwytu u twórców kultury, zanadto przypominała im „zaborczy, groźny postulat" (Irzykowski) i próby ukrócenia wolności przez „mafię", poddającą literaturę „nieustannemu nadzorowi" (Żeromski). Unosił się nad nią duch bonzownictwa. W tych nieustannych połajankach brakowało też myślowej spójności 1 podstawowego współczynnika humanistycznego. „Najrozmaitsze temperamenty - pisał Żeromski - wielorakie ukształtowania natur twórczych, pasje nowości i rzuty niespodziewanych upodobań zależałyby od ustawy wygotowanej przez majstra, jednego na pokolenie". Tym majstrem, oczywiście, miał być Brzozowski, który z zapamiętaniem uprawiał „krytyczny taniec świętego Wita". Autor *Przedwiośnia* nie krył rosnącej irytacji tym tańcem, podkreślając jednoczesną chwiejność i sztywność ocen filozofa: „Pasuje czy nie pasuje, wyższy czy niższy, lepszy czy gorszy - oto, co go nade wszystko interesowało w każdym duchu twórczym. Wciąż układał jakieś kombinacje, szeregi, koła, czwórki, szóstki, ósemki, fornalki, aż sam się dziwił nieraz swojemu wynalazkowi". Tych, którzy pasowali do wyznawanej w danym momencie wizji literatury, Brzozowski „pakował do szkatuły wartości, którą okadzał dymem pachnideł"; tych, którzy nie mieli takiego szczęścia, „bezwzględnie potępiał i znieważał" (Żeromski 1988: 103-104). Choć sam autor *Idei* wstydził się potem swojej postawy, należy podkreślić, że właśnie za jego sprawą powstał

> pewien wzór nienawistnej krytyki, który naśladowali w kolejnych pokoleniach radykalni przeciwnicy tradycyjnej postaci kultury narodowej.
> (Gawin 2005: 127-128)

Jeśli ofiarą takich płycizn padał sam Brzozowski, tym bardziej groziły one każdemu, mniej intelektualnie wyrobionemu lewicowcowi. Stąd był już przecież tylko krok do pustej erudycji i tępego hedonizmu. Nic dziwnego, że przeciw polskiemu krytykowi buntował się niepokorny Żeromski. Niedostrzegana przewaga autora *Widm* polegała jednak na tym, że choć był on na najlepszej drodze, by stać się stałym miłośnikiem wdzięków warszawskich kokot (przyjaźnie o nich wypowiadał się również Abramowski), to cały czas towarzyszyła mu „tęsknota prawdy" i „głębokiego życia duchowego", która sprawiła, że spełnienia zaczął szukać gdzie indziej (Manifest „My, młodzi"; Brzozowski 1973: 138). I jak zwykle, polskiego lewaka zbawiła żona:

> Gdybym nie spotkał Toni - pisat Brzozowski - najprawdopodobniej fizycznie bym nie żył, a może wyrósłbym na zbrodniarza i zgnił w kryminale, w szpitalu wariatów,
> (cyt. zaMencwel 1976: 170)

Bonzo

Druga strona kacapizmu jest postawą znacznie bardziej niebezpieczną. Kacap może zaszkodzić co najwyżej sobie, może kogoś zgorszyć, zirytować, komuś wejść na odcisk, ale dopiero gdy przemienia się w bonza, sprawa staje się śmiertelnie poważna. Kacapowi marzy się czasem rząd dusz, bonzowi zależy także na ciałach. Kacap oddaje się fizycznej miłości, bonzo - fizycznej władzy. Radykalną wersją tej postawy jest chęć przewodzenia masom wbrew ich woli, nawet za cenę wprowadzenia tyranii. Jako że - mimo wszystko - trudno zdziałać tu wiele w pojedynkę, intelektualista lewicowy musi znaleźć odpowiednich pomocników. Częściej jednak to ci ostatni - zwłaszcza z czerwoną gwiazdą na hełmie - znajdowali intelektualistę.

Tadeusz Kroński nie był pierwszym, który w sowieckich kolbach upatrywał oświecicielskiej mocy. Na długo przed nim Bruno Jasieński pisał w *Pieśni o głodzie* (1922): „Miejsca! Gromada idzie, proletariacki samum!//Czapkami

drogę wymościł taneczny krok rewolucji. [...] Do wszystkich okien i drzwi już wali kolbami rnauzerów//W łunach wschodzącej zorzy wielka, świetlana Nowina". Takie słowa miały szczególną wymowę w momencie, gdy pamięć Sowietów u wrót Warszawy była bardzo żywa.

Komunizujący twórcy często dawali się uwieść wizji niepowstrzymanego pochodu historii, odkrytego, jak wierzyli, przez Marksa i realizowanego przez Partię. Członkowie KPR którzy po wojnie zaprowadzali w Polsce stalinowskie porządki, doskonale oddawali ten stan ducha:

> W bankowości jest debet i kredyt. Była więc zwycięska wojna nad faszyzmem i były złe rzeczy. Zwycięska wojna pokryła całe zło. Zresztą, jak trzeba wybierać pomiędzy człowiekiem a partią, to się wybiera partię, bo partia ma cel ogólny - dobro wielu ludzi, a człowiek jest tylko człowiekiem. [...] Partia to nie sekta chrześcijańska litująca się nad każdą jednostką, zapatrzona w carstwo niebieskie. Partia walczy o lepsze życie dla całej ludzkości.
> (Julia Mincowa, w: Torańska 1989: 419)

Lewicowych bonzów - tych spod znaku autorytaryzmu i tych w wersji *soft* - *łączy* fundamentalne przekonanie, że z teorii wyprowadzić można jasne wskazówki polityczne. Skutkiem tego - często znacznie bliżej im do teoretyków niż mas, których sprawie oficjalnie mają służyć. Po co pytać lud, skoro i tak wiemy, co mu dolega?

Nie jest to, oczywiście, polska specjalność. Hegel nie kąsał jedynie mieszkańców *Rodzinnej Europy* - równie duże żniwo zbierał też na Zachodzie. Oto francuscy powojenni intelektualiści, za przykładem Alexandre'a Kojeve'a, wierzyli naiwnie, że „filozofjest doskonale zdolny do wzięcia na siebie władzy", a gdy zajdzie potrzeba, także i do „udzielania politycznych rad tyranowi" (w: Strauss 1991: 150, 165). Kojeve, którego wykłady były wielkim wydarzeniem francuskiego życia intelektualnego (uczestniczył w nich m.in. Jacąues Lacan), w Heglowskiej *Fenomenologii ducha* odnalazł „program walki i pracy" oraz dzieło „propagandy politycznej". Stawka była doprawdy zawrotna:

> Przyszłość świata - twierdził - a tym samym sens teraźniejszości i znaczenie przeszłości zależą, w ostatecznej analizie, od sposobu, w jaki

interpretujemy dzisiaj pisma Hegla,

(cyt. za Kwiek 1998: 205)

W żadnym razie nie chodziło mu już o wierną interpretację, lecz o interpretację użyteczną, o polityczny marketing. W filozoficznej agitacji autor otwarcie aprobował wszelkie intelektualne sztuczki: od ferowania bezpodstawnych oskarżeń po przemilczanie i fałszowanie prawdy (zob. Kwiek 1998).

Radykalne wnioski z takiego podejścia wyciągnął Marleau-Ponty (1969 [1947]), broniąc stalinowskiego terroru: rewolucyjna sprawiedliwość nie powinna być - według niego - oceniana zgodnie z „czystą" moralnością, a więc moralnością burżuazyjną, biorącą za punkt wyjścia przeszłość i niedostrzegającą własnego ukrytego pod przykrywką prawa terroru; patrzeć należy na nią przez pryzmat „Prawdy, którą rewolucja ma właśnie uczynić prawdziwą" (s. 28). Była to jasna apologia postępowego terroru, rządzącego się swoją własną, autonomiczną logiką, która zostanie usprawiedliwiona retroaktywnie, gdy powstanie wreszcie społeczeństwo w pełni humanistyczne.

Ten styl myślenia w sposób mniej lub bardziej zawoalowany reprezentowany był przez znaczący odłam polskiej inteligencji. Jej nieszczęsny los stanowi nieustanne memento dla każdego progresisty.

Oświeceniowy i romantyczny fundamentalizm

Nie wszyscy nowi idealiści zwalczali kacapizm i bonzowstwo tak we własnych szeregach, jak i poza nimi. W swej walce szukali oparcia w jasnych kryteriach, które nie będą zależne od chwilowych politycznych koniunktur i zewnętrznych nacisków. Zadanie polega teraz na tym, by te kryteria określić. Nie wystarczy bowiem stwierdzić, że skoro głównym zagrożeniem jest relatywizm, należy głosić idee antyrelatywistyczne. Zarówno kacap, jak i bonzo bywali w wielu miejscach całkiem całkiem fundamentalistami. Nie można po prostu poprzestać na głoszeniu antyrelatywizmu, trzeba jeszcze ów antyrelatywizm zdefiniować.

Mówiąc w największym skrócie, niepokorni krytykowali kacapizm i bonzownictwo poprzez głoszenie „oświeceniowego racjonalistycznego fundamentalizmu" (Gellner 1997: 99-124), który w wersji polskiej sprowadzał się do frazy: „Nie być w myśleniu posłusznym". Ta maksyma szczególnie dobrze

sprawdzała się w nauce, gdzie niepokorni nie uznawali żadnych świętości, a zamiast poszczególnych twierdzeń absolutyzowali metodę dochodzenia do poszczególnych twierdzeń. Podważali oni wszystkie dogmaty poprzez użycie dogmatycznej procedury i kwestionowali partykularne prawdy w imię Prawdy jako idei regulatywnej. Wszystko stawiali pod osąd Rozumu. A to oznaczało także, że osądowi podlegał również sam Rozum - jego granice musiały być ściśle wytyczone.

W sposób bardziej skomplikowany przedstawiała się kwestia moralności. I tutaj można odnaleźć głęboki rys oświeceniowego fundamentalizmu. Niepokorni przeciwstawiali się objawieniu jako źródłu moralności, w imię racjonalności kwestionowali boską sankcję etyki. Jednak podczas gdy rozum łatwo może wykazać arbitralność każdego systemu moralnego, jasne jest, że nie potrafi zaproponować nic w zamian. Tymczasem lewicowcy konstruowali określony etos, któryjedynie na poziomie werbalnym był antydogmatyczny. Analogicznie do „fundamentalizmu oświeceniowego", ich postawę etyczną można by nazwać „romantycznym wspólnotowym fundamentalizmem". Rozum wykonywał u nich robotę negatywną, krytyczną, burzycielską, lecz w budowie nowego gmachu etyki niepokorni odwoływali się już nie do niego, lecz do obiektywnych wartości: ludzkiej godności, braterstwa, wolności, dobra, szczęścia etc, których przecież nie można wywieść z racjonalistycznych procedur, lecz jedynie z danej wspólnoty moralnej. Choć np. „autonomia człowieka" była głoszona przez oświeceniowców, to nie była ona w ścisłym sensie ideą oświeceniową, jej uzasadnienie było bowiem pozaracjonalne i, jeśli w ogóle je proponowali, okazywało się w gruncie rzeczy całkiem tradycyjne. Charakterystyczne w tym kontekście jest, że lewicowcy zaimka „my" używali znacznie częściej niż „ja". Kulturowe korzenie moralności nie oznaczały jednak relatywizacji etycznych standardów. Radykałowie byli tu zdecydowanymi antyrelatywistami - opisywane przez nich wartości obowiązywały wszędzie i zawsze.

Zagrożeni przez relatywizm, wyznawali oświeceniowy i romantyczny fundamentalizm, oparty na prawdzie i moralności. Kacapom i bonzom przeciwstawiali rygoryzm myślowy, przywiązanie do sprawy ludu, surową etykę prywatną i uniwersalną.

Prawda

Dla intelektualnej hochsztaplerki lewicowcy nie mieli żadnej litości, nie pochylali się ze zrozumieniem nad myślową płytkością, pseudonaukowym wywodem i dogmatyzmem, ubranym w szaty prawdy. W *Liczmanach nauki i polityki* Kazimierz Kelles-Krauz (1989) jasno stwierdzał:

> Od dawna wiadomo, że najgorsze są prawdy pomieszane z fałszem. Innymi słowy, można by powiedzieć, że najszkodliwszą jest nauka pomieszana bezpośrednio z interesem,
> (s. 237)

Ten stateczny naukowiec nie szczędził słów krytyki pod adresem

> nauki, która jest po prostu płaszczykiem codziennych interesów i odczuwań, która jak najpospolitsze, jak najmniej przetrawione krytycznie namiętności i przesądy wyraża tylko w terminach szacunek wzbudzających.
> (Tamże)

W naukach społecznych szczególnie irytowało go uleganie chwilowym modom, taka nauka bowiem

> jak niezgrabny i brutalny parweniusz zaopatruje się w strój dworskiego kroju, w zapas prawidłowych ukłonów i ostemplowanych zdań o najnowszych przejawach sztuki, że już nie użyjemy porównania o lwiej skórze.
> (Tamże)

I nie ma to dla niego znaczenia, że nauka staje się przykrywką dla interesu narodowego, religijnego czy klasowego; za każdym razem bowiem sprzeniewierza się swojemu jedynemu celowi, jakim powinno być poszukiwanie prawdy.

W podobnym tonie wypowiadał się o celach nauki Ludwik Krzywicki (1986), przy czym szczególnie denerwowały go wszelkie przejawy umysłowego niechlujstwa, dyletanctwa i „mglistej frazeologii", która miała zasłaniać pustotę myśli (s. 94):

> Filozofujący blagier - drwił - jest z natury swojej mędrkiem, który 0 wszystkim sąd posiada: chwyta on swoim uchem nawet wzrost trawy 1 przenika tajniki Niepoznawalnego,
> (s. 378)

Równie ostro krytykował Krzywicki ideologów, którzy folgują „myśli krytycznej", udając, że wypowiadają „zasady bezwzględne po wiekuistość prawdy". Największym ich błędem jest bowiem to, że, zamiast prowadzić badania empiryczne, co i rusz ulegają własnemu chciejstwu.

> Ideolog taki, pozbawiony gruntu pod nogami, od faktów lubi apelować do sprawiedliwości i etyki, od życia do ideałów, od rzeczywistości do utopii, od przedmiotowego badania do probierzy subiektywnych,
> (s. 99)

Ale przede wszystkim z całą stanowczością występował Krzywicki przeciwko płytkiemu sceptycyzmowi, którego ofiarą nader często padał polski inteligent:

> [Jego] [njadwątlony i rozkapryszony organizm domaga się narkotyków nie tylko materialnych, lecz także ideowych: paradoksy, jałowe, byleby błyskotliwe, czynią właśnie zadość tej potrzebie,
> (s. 389)

I dalej:

> [W] rzeczywistości wszelkie wartości ulegają w nim zachwianiu, przestaje wierzyć w cokolwiek stałego, traci busolę w życiu, ogarnia go sceptycyzm, fałszywy krytycyzm, chwiejność i niestateczność. Z całej erudycji zostaje tylko jedno twierdzenie, nie ma żadnej prawdy. Lek-

> koduchy i wiercipięty, sofiści i karierowicze tylko ślizgają się po powierzchni życia. Nauka jest dla nich ideowym szampanem,
> (s. 391)

Oczywiście, nie wszyscy lewicowcy podzielali równie niewzruszoną wiarę w wartość obiektywnej nauki. Co więcej: Stanisław Brzozowski, jeden z pierwszych polskich antypozytywistów, okazał się zajadłym krytykiem tego typu uroszczeń nauki, a w szczególności - uroszczeń socjologii. Atakował więc Marksa za jego pasywizm, niedostrzeganie tego, że socjalizm jest nie tyle realizacją pochodu dziejów i „kwestią wygodnego życia", ile postulatem moralnym, „rozwiązaniem kryzysu kultury, tragicznej kwestii ludzkości" (Dziamski 1979: 285). W samej socjologii zaś upatrywał rodzaju współczesnego fetysza, który reifikuje świat społeczny i przedstawia ludzkie życie jako coś niezależnego od ludzi. A przecież naszego życia - dowodził - nie da się opisać przy pomocy bezosobowych, obiektywnych praw, gdyż jest ono nieustanną twórczością, której nie można ująć z perspektywy zewnętrznej wobec niego.

Wbrew pozorom jednak, antynaukowe zacięcie Brzozowskiego nie prowadziło do negacji nauki. Nawet tak nieprzejednana krytyka socjologii, jaką sformułował Brzozowski, nie była czysto negatywna. W jego atakach nie należy doszukiwać się potępiania nauki jako takiej, lecz jedynie - nauki źle uprawianej, która ulega fałszywym determinizmom praw społecznych i nie docenia twórczości człowieka. Tego typu krytyka zaś nie jest wcale antynaukowa, wręcz przeciwnie: pozwala uwolnić naukę od metafizycznego balastu i nieempirycznej wiary w możliwość ujęcia rzeczywistości przy pomocy kilku uniwersalnych formuł. W tym, że rzetelna nauka musi oddawać sprawiedliwość spontaniczności i twórczości człowieka, z Brzozowskim w zupełności zgadzali się np. Edward Abramowski i Florian Znaniecki. A wychodząc od tych samych, co Brzozowski, założeń, współtworzyli oni największe osiągnięcia polskiej humanistyki. Także i dzisiaj krytyka Brzozowskiego zostałaby uznana - i to przez samych pozytywistów - za słuszną i uprawnioną, jeśli nie po prostu: oczywistą.

W rzeczywistości Brzozowski nie kwestionował nawet istnienia praw społecznych, twierdził jedynie, że w momencie, gdy możemy opisać społeczeństwo przy ich pomocy, mamy pewność, że jest to już społeczeństwo „w stanie ostrego kryzysu". Istnieje ono nie dlatego, że

> ludzie żyjący w nim chcą, by ono właśnie istniało, ale dlatego, że społeczeństwo w ogóle ulega takim a takim prawom, służy takim a takim ideałom. Obiektywne społeczeństwo powstaje na gruzach narodu albo jego warstwy i członek społeczeństwa to rozkładająca się resztka obywatela.
> (Brzozowski 1995: 340)

W języku scjentystycznej socjologii można opisać jedynie taką grupę, która zrzekła się wolności i odpowiedzialności za kształtowanie samej siebie - i stała się przedmiotem, faktem społecznym. W tym sensie naukowe prawa nie tylko opisywałyby dane grupy, lecz także stanowiły usprawiedliwienie dla ich bierności.

Należy również podkreślić, że przy całej swej wrogiej postawie wobec nauki Brzozowski, równie zdecydowanie jak Krzywicki, ostrzegał przed relatywizmem. Jeśli potępiał socjologię, to nie dlatego, że wierzył, że nie ma czegoś takiego, jak prawda obiektywna, tylko dlatego, że uważał, że ową prawdę socjologia zniekształca i zasłania - zamiast dostarczać adekwatnego opisu społeczeństw, staje się wyrazem ideologicznej dominacji. W tym kontekście powtarzał on niemal krytykę nauki, sformułowaną przez bardziej ortodoksyjnych marksistów:

> To, co dzisiaj uważane jest za naukowość, jest zawsze tak lub inaczej określonym złośliwym zabobonem politycznym, szkodliwym zarówno dla nauki, jak i dla polityki lub kultury.
> (Brzozowski 1970, t. II: 339)

Na miejsce naukowych zabobonów proponował swoją własną socjologię - czy, mówiąc szerzej: filozofię kultury - która wolna będzie od iluzji scjentyzmu i relatywizmu. Aby socjologia nie była li tylko publicystyką, musi odnosić się do empirii i spełniać określone standardy roboty naukowej (zob. Mencwel 1976: 117).

Antypozytywizm Brzozowskiego nie prowadził zatem do apologii nauki upolitycznionej, krytycznej czy efekciarskiej; raczej oczyszczał naukę z jej nienaukowych pretensji. Nie oznaczał odrzucenia pozytywizmu, lecz rozpoznawał jego ograniczenia.

Moralność

Etyczny ideał lewicy podsumował Edward Abramowski w pojęciu „rewolucji moralnej". Ta rewolucja miała stworzyć człowieka wolnego, dojrzałego, nieskrępowanego dogmatami, zdolnego do altruizmu, braterstwa, poświęcenia i wspólnego działania, które w końcu zlikwiduje nędzę i wyzysk oraz wskrzesi niepodległą Polskę. Rewolucja moralna może odbyć się jedynie w duszy jednostki i poprzedza wszelką rewolucję społeczną (Abramowski 1986: 56, 58). To była rewolucja Siłaczek i Judymów, szukających trzeciej drogi między indywidualizmem a kolektywizmem. Indywidualna dusza poświęcana była w imię sprawy wspólnej przeciwko tyranii (Krzywicki 1978: 763).

W zgodzie z tym przekonaniem najbardziej trzeźwy z radykałów, Ludwik Krzywicki (1986), rysował narodowe posłannictwo Polaków:

> Najcenniejszym bogactwem narodu nie są martwe rzeczy i korzystny bilans wywozu, lecz zdrowa i wrząca krew w żyłach, entuzjazm i świeżość uczuć, szczerość i wiara w siebie i ludzi.

Należy poświęcić się pracy nad

> pomyślnością gatunku narodowego, a zamiast takich fetyszów, jak bogactwo narodowe ekonomii dzisiejszej, [...] czcić zrehabilitowaną duszę-ciało. Taka społeczność wyłoni siły wytwórcze niezmiernej wydajności i przysporzy więcej mienia materialnego niż nasza epoka, (s. 208)

Jasno dawał w ten sposób do zrozumienia, że to, co się liczy, to duch, nie - materia.

W podobnej perspektywie postrzegali cele socjalizmu Limanowski i Hempel. Ten pierwszy poświęcił wiele wysiłku na opis „poczucia moralnego", tych zaś, którzy jego nie posiadają określał bez krępacji „idiotami moralnymi". Do wykształcenia tego zmysłu prowadziła, według autora, edukacja:

> Można powiedzieć, że czym jest wiedza w dziedzinie umysłowej, tym jest moralność w dziedzinie uczuć. [...] Wiedza uświadamia moralność, a ta umoralnia wiedzę.
> (Limanowski 1989: 112)

Jan Hempel z kolei krytykował partie robotnicze za to, że zbyt mało zwracają uwagi na konieczność „hodowania w swym łonie ludzi wyższych", że nie doceniają ich znaczenia, i wydaje im się, jakoby wystarczyło sformułować programy partyjne i doktryny. Ideałem ich nie powinno być samo wyzwolenie proletariatu, lecz duchowe odrodzenie jednostki, pogłębianie jej życia wewnętrznego, wolność i moralna odpowiedzialność (zob. Dziamski 1979: 88, 268).

Po wybrykach młodości, Brzozowski (1915) przeszedł całkowitą przemianę. Pisał za Newmanem o „błogosławieństwie męczeństwa" i zachęcał Stanisława Pigonia do wzięcia udziału w akcji włoskiego pisma „Voce", pokazującej, że „surowa moralność płciowa jest koniecznym momentem tworzenia woli we wszystkich jej postaciach" (Brzozowski 1970, t.II: 462). Dla niego tolerancja nigdy nie była celem samym w sobie: „Tolerancja i sympatia stają się łatwo centrami rozkładu, jeżeli myśl musi je krzywdzić" - pisał w *Pamiętniku* (Brzozowski 2000: 129). Granicę tolerancji stanowiła zatem niezależność myśli. Tolerancja nie może być sprzeczna z racjonalnymi wskazaniami umysłu. Jeśli się tak dzieje, staje się swoją własną karykaturą i prowadzi do moralnego upadku.

Takie zdanie w całej rozciągłości podzielał Jan Władysław Dawid:

> Doświadczenie pokazuje - pisał w *Duszy nauczycielstwa* - że życie jednostki, którego zasadą była przyjemność i użycie, okazuje się zawsze chybionem, znajduje zaprzeczenie samo w sobie i kończy się moralnym bankructwem. [...] Życie takie musi zawierać element wysiłku, przymusu, wyrzeczenia się, a więc przykrości i cierpienia. I to w warunkach nawet najpomyślniejszych zewnętrznie. Bez tego nie ma nic wielkiego. Jest to właśnie zadanie zdobycia, stworzenia w sobie nowego życia: życia duchowego. [...] Wyjść poza chaos instynktów, wzruszeń, pożądań, przeciwstawić im rozumną, moralną wolę. Przedmiotem to, co jest dobrem zawsze trwałym, zgodnym z sobą, poza warunkami czasu

> i miejsca byt swój mającym, będącym dobrem nie tylko dla nas, ale i dla innych, przez które przeto z innymi łączyć się możemy, żyć także ich życiem, życiem wielkiej całości, a więc nieskończenie pełniejszym i bogatszym, a nie przemijającym - życiem wiecznym,
> (w: Okoń 1983: 289-290)

Stawka w wychowaniu młodych pokoleń była wielka, gdyż ludzie, którym nie dane było zrozumieć, że życie łączy się z cierpieniem i obowiązkiem, bardzo łatwo padają łupem wewnętrznego nieuporządkowania. Ten proces odkrywał Krzywicki w niektórych ruchach społecznych, które z pozoru walcząc o dobro społeczeństwa, w istocie służyły egoistycznym popędom ich twórców. W roku 1883 opublikował on na łamach „Prawdy" artykuł *W obronie kobiety*. Przed czym bronił kobiety? Nie, nie przed klerykalną reakcją:

> Muszę bronić kobiety i jej swobody przeciwko zamachom ze strony „patriotek sprawy niewieściej", czyli, jak brzmi utarty w ostatnich czasach termin, feministek.

Krzywicki nie był wysokiego zdania o ich moralnych kwalifikacjach:

> Urzędowe wyznawczynie feminizmu są kością z kości i ciałem z ciała inteligencji mieszczańskiej. Zycie uwalnia je aż nazbyt często od obowiązków społecznych,
> (w: Kowalik 1965: 200)

Po przedstawicielkach klasy średniej nie można się przecież zbyt wiele spodziewać, zwłaszcza mając w pamięci ich emocjonalne rozchwianie:

> Na czele [...] [ich ruchu] stoją przede wszystkim przedstawicielki przekonań, że tak powiem, motorycznych. Motoryzm - to żądza ciągłej działalności. [...] Motoryczna jest dzisiaj, dajmy na to, anarchistką, jutro spirytystką, pojutrze pisze poezje i marzy o sławie literackiej albo układa traktat przeciwko poezji, nagle staje się dewotką lub zakochaną w łydkach cyrkowego siłacza, a we wszystkich tych postaciach jest i pozostaje histeryczką.
> (s. 201-202)

Krzywickiemu nawet nie przychodziło na myśl, że kobiety mogłyby się domagać wolności wyboru partnerów seksualnych; było dla niego rzeczą oczywistą, że jedyny dopuszczalny seks to seks małżeński. Jako symbol moralnej aberracji odebrałby sugestię, że ktokolwiek mógłby żądać prawa do aborcji:

> Szkoda wielka - ironizował - że nauka nie wykryła dotąd sposobów, za pomocą których kobieta mogłaby być żoną i użytkować z fizycznych przyjemności tego stanu, lecz jednocześnie nie piastować w swoim łonie niemowlęcia, tylko wynająć jakąś inną kobietę, przekazać jej poczęty z siebie płód z obowiązkiem noszenia go w ciągu dziewięciu miesięcy i wydania wreszcie na świat - za stosowną opłatą, a niekiedy po wyrzuceniu przez najmitkę własnego,
> (s. 200)

Polak-katolik

Jakie są korzenie fundamentalizmu niepokornych? Powiedzmy od razu wprost: byli oni bardzo głęboko zanurzeni we własnej wspólnocie narodowej, a to oznacza także - wspólnocie religijnej. Nawet żądania Rozumu bardzo często usprawiedliwiali patriotycznymi ideałami:

> W wolnym państwie polskim - nawoływał Żeromski - nauka nie może być wyżebrana, podpatrzona, przemycana, musi być polska.
> (Żeromski 1988: 113)

Podczas gdy jednak ich stosunek do narodu był na wskroś afirmatywny, katolicyzm sprawiał im niejaki kłopot. Przede wszystkim własne zasady moralne próbowali oprzeć na czymś innym niż chrześcijańskie objawienie czy nawet abstrakcyjny Absolut. Limanowski odwoływał się tu do ewolucjonizmu:

> Społeczeństwom wyższej kultury odpowiada wyższa moralność, a taka, jaka się przejawia na niższych stopniach uspołecznienia, razi je swoim charakterem niemoralnym. Jednostki, które nie mają sumienia, czyli zmysłu moralności, odpowiedniego danemu społeczeństwu, albo są produktem atawistycznym, albo należą do zwyrodniałych.

> Można powiedzieć, że czym jest wiedza w dziedzinie umysłowej, tym jest moralność w dziedzinie uczuć. [...] Wiedza uświadamia moralność, a ta umoralnia wiedzę.
> (Limanowski 1989: 112)

Abramowski posuwał się jeszcze dalej, źródeł moralności upatrując w podstawowej intuicji moralnej dobra i zła, „wystarczającej samej sobie", która kwestionuje wszelką zdogmatyzowaną religię i moralność, a nawet materialistyczne Fatum, które widzi rozwój etyczny poza człowiekiem, np. w prawach rozwoju społecznego (Abramowski 1986: 92).

Tego typu rozważania, choć „naukowe", okazywały się najczęściej po prostu dogmatyczne. Podejrzanym przecież powinno być, że Rozum wiódł lewicowców nieomylnie do ugruntowania wartości, które akurat wyznawali, nigdy ich nie kwestionując. Limanowski nie wyjaśnił, skąd biorą się moralne kryteria - brał je po prostu za dobrą monetę. Społeczeństwa na wyższym poziomie rozwoju były moralne, a społeczeństwa moralne znajdowały się na wyższym poziomie rozwoju. Abramowski nie zatroszczył się przez moment, by wyjawić nam źródła moralnej intuicji; ona po prostu była i już.

Zresztą, lewicowcy najczęściej nie zastanawiali się nad korzeniami ich etosu, oni po prostu go głosili. Taką nierefleksyjną postawę doskonale ilustruje Jan Władysław Dawid, który zwalczał etykę użycia, zalecając zaskakująco tradycyjne i niepostępowe środki zaradcze. W swym programie wychowawczym kładł nacisk przede wszystkim na rozwój woli dziecka, co możemy osiągnąć na przykład przez odraczanie gratyfikacji. W ogóle radził płacz dziecka ignorować, tak żeby nie nauczyło się, że w ten sposób może coś na rodzicach wymóc:

> Dogadzając zachceniu dziecka powstrzymujemy wprawdzie objaw na razie, lecz samą skłonność tylko potęgujemy, albowiem dziecko nawyka coraz bardziej do tego, iż każda chęć jego musi być zaspokojona,
> (w: Okoń 1983: 192-193)

Niekiedy skutecznym okazuje się środek bardziej radykalny:

> Gdy dziecko zacznie się zanosić [płaczem], zaraz, w samym początku - uderzyć w stół, tupnąć, głosem podniesionym i ostrym nakazać milczenie

(„Cicho!", „Przestań!"), a nawet dziecko mocno ręką, raz i drugi uderzyć. Spowodowane głosem naszym lub uderzeniem wstrząśnienie zwróci prąd nerwowy od dróg ruchowych w sferę czuciowo-myślową, dziecko pod wpływem nowego wrażenia dozna lekkiego przestrachu i zdumienia, wskutek czego spazm sam przez siebie ustanie, a płacz się zmniejszy,
(s. 196)

Dlaczego jednak dziecko miałoby być wychowane na zdyscyplinowanego altruistę - tego od Dawida się nie dowiemy.

Ideały lewicowców były pozbawionymi sankcji transcendentnej ideałami chrześcijańskimi. Nawet Abramowski, który zaciekle atakował zinstytucjonalizowane formy religii, powoływał się na zasadę... mistyków „Nie powinieneś szukać Boga poza sobą" (Abramowski 1986: 92), walczył z „prześladowaniem języka polskiego i wiary naszej", głosząc nadejście „Królestwa Bożego, Królestwa Miłości, Swobody i Braterstwa" (s. 56). Z katolicyzmem łączyło ich więcej, niż skłonni byliby przypuszczać. Tym też należy tłumaczyć fakt, że często byli oni nie tylko „anonimowymi chrześcijanami", lecz chrześcijanami tout *court.*

Ojczyzna

U dawnej lewicy przynależność narodowa jest podstawowym punktem odniesienia. Patriotyzm wyznacza podstawowe moralne obowiązki człowieka. Nie znajdziemy tu zatem potrzeby pozbywania się sentymentów narodowych. Owszem, bardzo częste u niej były napaści - podobnie zresztą jak u Narodowej Demokracji - na „Polskę zdziecinniałą", duszoną przez klerykalizm, bierność i relikty szlachetczyzny. Częste też było rozczarowanie moralnością samych Polaków.

Dla Brzozowskiego kultura narodowa - przynajmniej od czasów *Legendy* (1909) - stała się punktem wyjścia i podstawą myśli:

Każda chwila twoja bije w twym sercu, mówi do twej myśli własnościami, wytworzonymi w niej przez ludzi, twoich poprzedników, przez nich, którzy sprawili, że Polska, mowa nasza, dusza nasza nie jest sobie

> przypadkowym ukształtowaniem martwej i obojętnej natury, lecz wielką i samoistną rzeczywistością duchową, czymś, co istnieje jako jeden z momentów bytu samego, wyrasta z jednego dna, póki są Polacy. Są rzeczy starsze i głębsze od narodów, ale nie poznaje się człowiek, jak tylko przez naród, gdyż nie ma beznarodowych. międzynarodowych organów duchowego życia. Wiem i wierzę głęboko, całą istotą wierzę, że jest ludzkość, że człowiek sam jako taki prowadzi, tworzy zbiorowe dzieło, ale organami jego życia są narody i myśl nasza działa tylko poprzez nie. [...] Niezależni od słowa narodowego są tylko ludzie, którzy nigdy niczego do dna pełnie nie przeżywają, ludzie niecałkowici, ludzie w najgłębszym znaczeniu tego wyrazu nieszczęśliwi, bo dotknięci najstraszliwszą klęską wysychania samych źródeł człowieczeństwa,
> (w: Mackiewicz 1983: 218-219)

Droga Brzozowskiego od negacji narodu do tworzenia czegoś, co Andrzej Walicki nazwał „fenomenologią polskości", była bardzo kręta i burzliwa. Pozwoliła mu ona jednak ostatecznie przezwyciężyć popularne wśród socjalistów klisze internacjonalizmu. Zresztą, nie tylko jemu. Józef Czapski wspominał, że to właśnie lekturze Brzozowskiego - o którym zawsze wyrażał się z uwielbieniem - zawdzięcza swoje nawrócenie na polskość (Miłosz 2000: 7). Z kolei Marian Zdziechowski (1921) zauważał, że dla jego zmarłego syna Brzozowski: „był nauczycielem, mistrzem, dającym najgłębsze wyjaśnienie idei ojczyzny, najpiękniejszą filozofię patriotyzmu" (s. 5). Patrząc na tego typu świadectwa, aż prosi się, żeby pokazać niezamierzone podobieństwa między Sienkiewiczem i Brzozowskim, którzy pospołu swoimi pismami tworzyli wspólnotę moralną Polaków, gotową do patriotycznego czynu.

Nawet Jan Władysław Dawid, niegdysiejszy wydawca antysienkiewiczowskich paszkwili Brzozowskiego, nie był od Sienkiewicza tak bardzo odległy, jak by sobie tego życzył. We własny system pedagogiczny wpisał bowiem zgoła tradycyjny program tworzenia kultury narodowej i obrony moralności narodu:

> Odzyskanie niepodległości jest postulatem nie tylko naszego bytu materialnego, ale naszego życia i naszego ocalenia jako istot moralnych, które tylko przy wewnętrznej zgodności i prawdziwości utrzymać mogą swoją godność i czuć swoją przynależność do wyższego świata

> duchowego. Idzie o to, ażeby do chwili tej przechować charakter narodu, ustrzec go od deprawacji, która mogłaby stać się nieuleczalną, znaleźć przeciwtruciznę woli.
> (w: Okoń 1983: 297)

Na przekonanie opinii publicznej o tym, że nie ma żadnej sprzeczności między lewicowością a patriotyzmem, najwięcej energii poświęci! Bolesław Limanowski (1989), wpisując dzieje socjalizmu w tradycje demokratyzmu polskiego; patriotyzm zaś przedstawiając jako niezbędny element wyzwolenia od ucisku klasowego. Gorąco przeciwstawiał się wszystkim tym, którzy próbowali przekonywać, że kwestia klasowa i sprawa polska stoją ze sobą w konflikcie:

> Wyrobił się u nas, Polaków, komunał, że patriotyzm i socjalizm wzajemnie się wykluczają, że są z natury swej czymś wrogim dla siebie. Powiadam, że komunał ten wyrobił się tylko u nas, Polaków, ponieważ ani Francuzi, ani Niemcy, ani Włosi, ani Szwajcarzy nie twierdzą nic podobnego,
> (s. 581)

Limanowski przekonuje tutaj rodaków, że właśnie ze względu na ich europejskie aspiracje, powinni być tym bardziej patriotyczni, patriotyczne są wszakże wszystkie cywilizowane kraje Zachodu, które tak bardzo podziwiają. Można by rzec, że im bardziej jesteś Polakiem, tym bardziej będziesz Europejczykiem.

Na najgłębszym poziomie patriotyzm chronił niepokornych i ich spadkobierców przed narodową apostazją i kolaboracją z autorytaryzmami. Dla polskiego inteligenta nie było nic gorszego niż oskarżenie o zdradę. W roku 1908 listę agentów ochrany opublikował „Czerwony sztandar", organ SDKPiL (Mencwel 1976: 12). Stanisław Brzozowski, który się na niej, zapewne niesłusznie, znalazł, całe życie próbował zmyć z siebie to podejrzenie i nie tłumaczył się „okolicznościami", „że każdy musiał". Jeden z jego nielicznych obrońców, Stefan Żeromski (1988: 101), żądał przeprowadzenia sprawiedliwego dochodzenia, które wymazałoby ten „znak haniebny" z pamięci autora *Idei,* dodawał jednak, że „w razie udowodnienia winy, jego nazwisko na zawsze powinno zostać wykreślone z kart literatury narodowej". Gdy samego Żeromskiego sowieci' próbowali wykorzystać w antypolskiej propagandzie,

przedstawiając *Przedwiośnie* jako powieść komunistyczną, ten gwałtownie oponował:

> Nigdy nie byłem zwolennikiem rewolucji, czyli mordowania ludzi przez ludzi z racji rzeczy, dóbr i pieniędzy, we wszystkich swych pismach, a w „Przedwiośniu" najdobitniej, potępiałem rzezie i kaźnie bolszewickie.
> (Żeromski 1988: 67)

Bynajmniej nie były to puste, napisane ze względów koniunkturalnych zapewnienia, pisarz niemal w dosłownym brzmieniu powtarzał swoje idee ze *Snobizmu i postępu:*

> Polsce zawsze śmierdział topór i pniak Iwana Groźnego. Tak samo dziś śmierdzą jej moskiewskie krwawe piwnice i moskiewskie poezje, sławiące mordowanie. Gdy zajdzie potrzeba stworzenia rewolucji, to Polska stworzy swoją, lecz nie pójdzie śladem moskiewskiej.
> (Żeromski 1988: 65)

Bóg

Rewolucja moralna nie prowadziła do wyeliminowania chrześcijaństwa. Przeciwnie, ona z chrześcijaństwa czerpała. U Abramowskiego możemy znaleźć całe spisy świętych i obfite cytaty z Biblii, które uzasadniały jego wersję teologii wyzwolenia. Jeśli Brzozowski oskarżał Sienkiewcza, to przecież nie o nadmiar, lecz o niedostatek religijności (zob. Walicki 1977: 445). Lewicowcy nie byli więc osobistymi wrogami Pana Boga. Odwrotnie, poszukiwali Go nieustannie. Czasem, nie znajdując, stawali się chrześcijanami bez Boga, a czasem, gdy Go wreszcie spotykali, chrześcijanami - po prostu.

Dla samego Brzozowskiego jego własny duchowy rozwój wiódł do katolicyzmu w sposób bardzo konsekwentny; nie dostrzegał on żadnej sprzeczności między religią a światopoglądem nowoczesnym:

> Kościół jest w stanie przyjąć - tłumaczył - wszystkie wyniki myśli nowoczesnej naukowej i nie zachwiać się ani na chwilę.
> (Brzozowski 1915: 14)

Był on przy tym „absolutnie [...] przekonany o prawdzie religii" (Brzozowski 1970, t. II: s. 248), i uważał, że to właśnie katolicyzm stanowi syntezę jego myśli, że w katolicyzmie zawiera się wszystko.

> Nasze współczesne problemy - pisał - właśnie przez katolicyzm rozwiązywalne są w najpełniejszym stopniu.
> (Brzozowski 1915: 12)

> Kościół jest samem życiem, jako tworzeniem wiecznej prawdy i realności, a nie fałszu i zguby,
> (s. 23)

Na swojego autora czeka analiza, która pokazałaby, że do rozpoznania prawdy i posłuszeństwa Kościołowi katolickiemu autora *Idei* doprowadziła konsekwentnie przez niego wyznawana zasada humanizmu i twórczości, a także wymóg brania całkowitej odpowiedzialności za własne czyny (zob. Brzozowski 1915: 2-21; „Barbarzyństwo i grzech przeciwko zasadzie humanizmu polega na tym - pisał - że traci się zdolność swobodnego i szczerego poruszania się po całym przestworze ducha ludzkiego i jego dzieł", w tym przede wszystkim - katolicyzmu; s. 2). Okazałoby się wtedy, że to właśnie humanizm rozumiany w całej swej głębi prowadził Brzozowskiego do Boga, że radykalny personalizm wiódł go do teizmu. Taka analiza udowadniałaby, że niejako na własną rękę odkrył on i jednocześnie przeżył fakt, że bez Chrystusa nie można zrozumieć ani kultury, ani człowieka.

Wynikiem jego intelektualnych poszukiwań było coraz bardziej zdecydowane potępienie antyreligijnych nastrojów polskiej inteligencji:

> Dzisiaj już nie umiałbym pisać, nie przeciwstawiając się temu, co jest najstraszniejszym wrogiem myśli u nas - bezreligijności, płynącej z lekkomyślnego indyferentyzmu wobec wszelkich zagadnień.
> (Brzozowski 1970, t. II: 521)

Dokonywała się w nim także przemiana wewnętrzna. Rok przed śmiercią odnalazł pocieszenie i prawdę u Johna Henry'ego Newmana, najwierniejszego przecież syna Kościoła. Brzozowski (1915) nie podziwiał u niego jakiejś wydumanej głębi, lecz bezkompromisową ortodoksję, „katolicyzm nieugięty i suro-

wy" (s. 25), „całkowite i bezwzględne odnalezienie swojego ja, swej szczerości i swobody w posłuszeństwie kościołowi katolickiemu" (s. 6). „Wewnętrzne piękno duszy" widział w tym, że rozporządzenia biskupa były „jak słowa zwiastujące mu wolę Bożą, zwróconą *hic et nunc* do niego" (s. 42). „Nikt - pisał - kto przez czas długi obcował z pismami Newmana, nie będzie już nigdy zdolny do szczerego ratowania się relatywizmem" (s. 70). Największą zasługę Kardynała upatrywał zaś w odkryciu, „że w każdym ja stykają się, żyją te dwie rzeczywistości: Bóg i dusza" (s. 21), Brzozowskiemu zupełnie wystarczyłoby, jeśliby jego czytelnicy pojęli „całe znaczenie tego, że to właśnie i tak było" (s. 27).

Na łożu śmierci Brzozowski pojednał się z Kościołem i przyjął komunię świętą. Przytoczmy świadectwo włoskiej szarytki, która pielęgnowała go w ostatniej chorobie:

> Wciąż jeszcze się modlił i powtarzał: Panie! Jestem przygotowany, jestem gotów! Niewielu nas było w pokoju tym, choć pragnęliśmy, by więcej było obecnych przy zgonie świątobliwym tego człowieka cnotliwego, którego nigdy nie zdołamy zapomnieć,
> (cyt. za Brzozowski 1970, t. II: 628)

Do samego końca martwił się o przyszłość swojej żony i córeczki.

Choć konwersja Brzozowskiego była najgłośniejsza, bardzo podobne doświadczenia stały się udziałem Jana Władysława Dawida, który po śmierci żony uznał istnienie świata nadprzyrodzonego i nieśmiertelność duszy. Podobnie jak Brzozowski, miał on poczucie naturalnego rozwoju własnego światopoglądu:

> W ewolucji, jaka we mnie zaszła - pisał w jednym z listów - nie potrzebowałem niczego odrzucać ani zapierać się, w co dotąd wierzyłem i myślałem. Myślenie naukowe, przyrodnicze jest najzupełniej uprawnione w znacznej sferze zjawisk i potrzeb. Ale widzę, że idee te i sposoby myślenia nie mogą być dostateczną podstawą całego poglądu na świat, jako że z natury swej i założeń być tym nie miały, stają się zaś jakoby pełnym wyrazem rzeczywistości dla wielu tylko wskutek nieporozumień, błędnych interpretacji. Jako wyraz rzeczywistości nie może być prawdziwa hipoteza, która nie uwzględnia wielu i to najważniejszych pierwiastków tej rzeczywistości: hipoteza taka może być co najwyżej „hipotezą roboczą", użyteczną czaso-

> wo w pewnych specjalnych dziedzinach. Otóż hipoteza materialistyczna albo naturalistyczna świata nie uwzględnia, tj. nie wyjaśnia faktów takich, jak istnienie prawa moralnego, obowiązku, zła, cierpienia i śmierci. Usiłują ją zastąpić w tym religie, ale nie osiągają celu, gdyż ignorują znów nie mniej ważne fakty i postulaty, na których opiera się nauka i działalność praktyczna - i wskutek tego nie mogą zadowolić umysłu nowoczesnego,
> (cyt. za Borzym 1984: 207-208)

Był on jednocześnie świadomy, że jego konwersja może się spotykać z krytyką i wątpliwościami:

> Powie ktoś, że jest to słabość. Być może, zależy to od punktu widzenia. Wiem tylko, że przez rok ostatni więcej się dowiedziałem niż przez całe życie poprzednie, i że nigdy nie miałem tak pełnej samowiedzy i świadomości sensu życia i obowiązku,
> (cyt. za Okoń 1983: 40)

Wydawać by się mogło, że religijne stanowisko Dawida i Brzozowskiego stanowiło wyjątek na tle ówczesnego lewicowego pejzażu. I tak w pewnym sensie było. Ale nawet ci spośród niepokornych, którzy w rozumieniu zjawisk religijnych prezentowali stanowisko bliższe marksistowskiej ortodoksji, w żadnym razie nie tracili religijnego słuchu.

Nawet Wacław Nałkowski (1951), który ciskał na Brzozowskiego postępowe gromy, dla zjawisk religijnych zachowywał duży szacunek i zrozumienie. Nie ma u niego śladów wojującego ateizmu, prędzej już protestancką tęsknotę za głębokim doświadczeniem religijnym:

> Obszary religii i nauki są w rozwoju umysłowości ludzkiej jak dwa koła współśrodkowe: drugie, zawarte w pierwsze, rozszerza się w miarę umysłowego rozwoju ludzkości i zbliża się nieskończenie do osiągnięcia obwodu pierwszego; ścieśniać więc raczej należy obszar religii, aby go pogłębić, uszlachetnić, oczyścić od zabytków fetyszyzmu; nie zaś rozszerzać na obszar podległy naukowemu badaniu, zmuszając naukę do „koziołków" metafizycznych,
> (s. 42)

Równie ciekawe fragmenty odnaleźć można w pośmiertnych papierach Abramowskiego (1986; tekst pod znamiennym tytułem: *Poszukiwanie Boga),* w których powtarza on niemal dosłownie krytykę religii jako opium dla mas, ale jednocześnie daleko poza nią wychodzi.

> Nędza stworzyła ideę Boga. Buntowniczą negację życia nazwano Bogiem. Im bardziej gnębi i krzywdzi życie realne, tym silniejsza zjawia się owa tęsknota i tym bardziej potrzebuje się Boga, tym pilniej zaczyna się go szukać. Nie ma człowieka, który by tej tęsknoty nie posiadał - bo jest ona dalszym ciągiem cierpienia, jego dopełniającą stroną,
> (s. 256-257)

W tym świetle mistyczne zakończenie jest jednak co najmniej zaskakujące:

> Rzadko, bardzo rzadko uda się komu spotkać ową wąską ścieżkę, zwyczajną, niepozorną, a jednak jedyną, która może zaprowadzić do nasycenia tęsknoty, do odnalezienia „Boga Żywego",
> (s. 257)

To wyznanie nie brzmi jak marksistowska napaść na reakcję, lecz raczej jak wyraz poszukiwania Boga właśnie.

Chrześcijaństwo chroniło niepokornych przed ryzykiem traktowania człowieka jako czegoś innego niż celu, jednocześnie pozwalało im podchodzić z szacunkiem do prostego Polaka, który tradycyjnie był katolikiem. Nadawało ich myśli też głębię, patos i zaangażowanie.

Honor

Własną misję niepokorni widzieli nie w czym innym, a właśnie w obnażaniu zła, powodowanego przez bonzów i kacapów. Nie byli bynajmniej potulnymi barankami, którzy w imię chrześcijańskiego miłosierdzia i jedności narodowej pozbyli się polemicznego pazura, a w imię godności i przyszłości poświęcili prawdę i moralność. Każdy bonzo stawał się obiektem ich zajadłej krytyki, a żaden kacap nie mógł czuć się bezpieczny. Stefan Żeromski jasno wypowiadał to fundamentalne przekonanie:

> Wyłapać moralnie, wychwytać *in effigie,* obnażyć [...], pokazać w sposób naukowy, dowodowy, eksperymentalny wszelkie frantostwo i karierowiczostwo, matactwo i blagę polityków, wodzów partii i wszelakich oszustów, żyjących z reprezentacji biedy, zdążających po zgiętych karkach do krzeseł władzy.
> (Żeromski 1988: 88)

Doprawdy żaden z socjalistycznych ojców założycieli nie miał wysokiego mniemania o siłach przewodnich narodu. Oczywiście, najbardziej znana jest krytyka inteligencji w wykonaniu Brzozowskiego i słusznie *Legenda Młodej Polski* uchodzi za pierwszy inteligencki traktat wymierzony w polską inteligencję. Warto tylko dodać, że z biegiem lat opinia Brzozowskiego na temat elit jedynie się pogorszyła:

> Wzrasta we mnie nienawiść i odraza do polskiego inteligenctwa, cierpiętnictwa i innych form znajdowania metafizycznych racji dla wszy, które nas żrą zapewne z własnych motywów.
> (Brzozowski 1970, t. II: 485)

Jeszcze smakowitsze opinie znajdziemy u Ludwika Krzywickiego. Skonfrontowany z mizerią warstw wyższych, nie należał on bynajmniej do osób, które wahałyby się przed użyciem słów, uznanych za nieparlamentarne. W szkicu *Inteligencja i jej natura* osiąga on absolutne wyżyny w sztuce rzucania obelg. I tak, inteligent dla niego to: „filozofujący blagier", „eks-farys idei", „maniak zwątpienia", „głodomór nerwowy", „narwaniec wielkości, gotowy oplawać wszystko prócz siebie" i „uprzątacz padliny".

Największe skupisko wątpliwych moralnie inteligentów odnajdywał Krzywicki (1978) w murach Akademii. Autor nie owijał w bawełnę: „Posiadamy spory zastęp śmiecia, używającego tytułu doktora filozofii" (Krzywicki 1978: 702). Szczególnie jednak przykry stan przedstawiały sobą media, które na jego oczach zamieniały się w „fabrykę pornograficznych wiadomości, plotek i mydłkowania", gdzie „życie splata się w jednym wyuzdanym użyciu", a jego uczestnicy trafiają do szpitali „z powodu manii erotycznej" (s. 758). Przyglądając się medialnym najmitom, Krzywicki odkrywał, że

> w gruncie rzeczy należą oni do lumpenproletariatu. Trudno nieraz rozstrzygnąć, gdzie kończy się producent plotki dziennikarskiej, a poczynają takie śliczności, jak alfonsik, wydrwigrosz lub *mouchard;* pracownią jego jest najpodlejsza knajpa lub legowisko prostytutki, mniejsza, że nie meldowanej i słynącej jako gwiazda teatrzyku,
> (s. 740)

Te samozwańcze wolne duchy w rzeczywistości były na pasku wielkiego kapitału: „Nie ma czynów bezpłatnych za panowania fetysza pieniężnego!" (s. 779). Konieczną ceną zaś jest coraz szerszy i bardziej fanatyczny „kult podkasanej spódniczki" (s. 758).

Krzywicki (1986) oskarżał inteligencję o niestałość, płytkość i uleganie modom:

> Arystokracja ducha jest bowiem zabobonna, jak pospolici prostaczkowie w odległym ustroniu. Naturalnie, nie wierzy ona we wróżby ze skrzypienia drzwi i głosu puszczyka, chociaż na upartego znaleźlibyśmy niejedną emancypantkę, które zerwała z dogmatami religijnymi, ale nie wyprowadzi się z mieszkania w poniedziałek, jako dzień feralny,
> (s. 387-388)

Zupełnie nie mieściło mu się w głowie, jak warstwa przedstawiająca sobą tak nędzny stan, mogła uzurpować sobie prawo do „rządu dusz":

> Zatrzymamy się na wierzchołkach, kąpiących się w cieple i świetle: na tych kołach, które przywłaszczają sobie miano mózgu narodowego i mniemają, że powinny w społeczeństwie zająć stanowisko dawnych rodów rycerskich i dzisiejszych możnowładców plutokracji!

Mózg ów chce myśleć za innych nie dla ich dobra, lecz dla własnego:

> Nowa to arystokracja - nie z soli i roli, lecz z ducha, marząc w swojej zarozumiałości, że świat temu zastępowi, zbrojnemu w wyniki myśli wielkich humanistów, odda niziny społeczne na pastwę wieczną i wyzysk,
> (s. 376)

Jeśli ktoś sprzeniewierza! się powołaniu inteligenta, nie mógł u niepokornych liczyć na wyrozumiałość. Dla nich liczył się honor, a nie polityczna poprawność, która żąda uznania każdego, bez względu na jego indywidualne kwalifikacje. Blagierów równano z ziemią. Wszyscy filozofujący efekciarze, gardzący ludźmi prostymi, nieprzestrzegający zasad przyzwoitości w życiu osobistym, kierujący się własnym interesem byli bezlitośnie obnażani. Ich nie trzeba było wrzucać do szamba, oni już w nim tkwili. Wystarczyło to jedynie skonstatować.

Koniec świata niepokornych

Jest rzeczą zdumiewającą, jak trwałym okazał się etos lewicy. Dominował on zarówno przed II wojną światową, jak i za czasów komunistycznych, kiedy po pustyni stalinizmu został on na powrót odkryty przez opozycjonistów. To on stał u podstaw ich działalności niepodległościowej. Jan Józef Lipski, rekonstruując ideologię KOR-u, niemal powtarzał zasady „rewolucji moralnej": społecznikostwo, prawdomówność, odrzucenie relatywizmu, obiektywność wartości. Ciekawe, że na pierwszym miejscu wymieniał on inspiracje religijne, „etos chrześcijański", a dopiero później tradycje lewicowe, a i to, by tak rzec, lewicowo-katolickie: *Kościół, lewicę, dialog* Adama Michnika, artykuł *Chrześcijanie bez Boga* Macieja Gajki (właśc. Jacka Kuronia, miesięcznik ZNAK 1975), i wreszcie - najważniejsze dla środowiska - *Rodowody niepokornych* Bohdana Cywińskiego. Wydaje się, że w etosie lewicy chrześcijaństwo stało się o wiele ważniejsze niż rewizjonizm, sam zaś rewizjonizm zyskiwał na znaczeniu o tyle, o ile do chrześcijaństwa się zbliżał (Lipski 1988: 57-70).

Dziś sytuacja zmieniła się diametralnie. Ów oświeceniowo-romantyczny fundamentalizm, dla którego dobrym skrótem jest Havlowskie „życie w prawdzie", znajduje się na antypodach tego, co obecnie utożsamiamy z lewicą - zamiast nauki wolnej od wartości, wyznaje ona naukę wolną od faktów, a dla odmiany wolnym od wartości stał się jej etos. Podczas gdy dawni radykałowie walczyli o wolność ojczyzny i odkrywali przestrzeń wolności w Kościele, ich spadkobiercy najchętniej oddaliby ster władzy „miłującemu dzieci" Cohn-Benditowi, a potem w awangardowej galerii zrobili kupę na jakiś religijny symbol. Sztubackie zagrywki Kelles-Krauza wydają się przy nich szczytem

moralnego rygoryzmu. Gdy dla dawnych towarzyszy „pornograf" było największą obelgą, takie określenie w odniesieniu do towarzyszy współczesnych jedynie przyjemnie połechtałoby ich dumę.

Nagły zmierzch myśli niepokornych jest prawdziwą zagadką; czymś, czego nie można wyjaśnić w kategoriach porażki teoretycznej. Wydaje się raczej, że tkwi w niej jakieś traumatyczne jądro, które zostało szybko zapomniane i „zrepresjonowane". Tego procesu nie można wyjaśnić wyświechtanym sloganem, że to, co było lewicowe niegdyś, nie jest już lewicowe dzisiaj, że lewica po osiągnięciu swoich dawnych celów stała się bardziej progresywna i przeszła do kolejnych kwestii. Dzisiejsze postawy postępowców wcale nie są odkryciem ostatnich lat, przeciwnie - już przed stu laty walczyli z nimi niepokorni, tyle że wtedy określano je nie jako lewicowe, ale jako bonzownictwo i kacapizm.

Stalinizm

Największy cios etosowi lewicy zadało już po wojnie pokolenie ortodoksyjnych marksistów - czy też lepiej powiedziawszy: stalinowców - którzy standardowo oskarżali heretyków o - do wyboru: magiczno-teologiczne ciągoty, brak poczucia dialektycznego, zastąpienie wiary w rewolucję i prawa społeczne społecznym dydaktyzmem, przedkładanie solidaryzmu narodowego nad walkę klasową. W klimat tego typu krytyk bardzo dobrze wprowadza nestor polskiej PRL-owskiej humanistyki, Stefan Żółkiewski (1951):

> Poprzez labirynt inteligencji polskiej Brzozowski trafił na brzeg faszystowskiej przepaści.
> (s. 6)

> Brzozowski wraz z wzrastającą reakcją po przegranej rewolucji r. 1905 [...] odsłania bez wahań swoje reakcyjne oblicze, stacza się na pozycje coraz jawniej wrogie proletariatowi,
> (tamże)

Następująca, zamieszczona przez autora encyklopedyczna nota w zasadzie powie nam wszystko o stylu ataków:

> Brzozowski Stanisław - krytyk literacki, publicysta, powieściopisarz. Idealista w filozofii, propagator irracjonalnych, intuicjonistycznych metod w nauce, ideologiczny prekursor faszyzmu polskiego. Pod mistyfikującym hasłem „twórczej pracy produkcyjnej" atakował [...] polityczną akcję klasy robotniczej, a także nieproduktywny jakoby intelektualizm inteligencji. Dzięki swej masce radykalizmu wywarł silny wpływ na postępową inteligencję polską.
> (Nałkowski 1951: 448; zob. też Stępień 1976: 173-84)

Za uleganie „idealizmowi" Brzozowski, a razem z nim i inni niepokorni, zostali przez kolejne pokolenia radykałów posłani na ścięcie, albowiem - w ich oczach - „wszelka metafizyka, przetłumaczona najęzyk polityki, była podstępną bronią reakcji" (Miłosz 2000: 177). W nowych warunkach bezpośrednim spadkobiercom niepokornych zamknięto usta. Stanisław Ossowski czy Maria Dąbrowska udali się na wewnętrzną emigrację, ale ich oficjalna działalność legitymizowała stalinowski reżim. W konsekwencji byli, by rzec za ówczesnym klasykiem, „obiektywnie" stalinowcami, choć - oczywiście - „subiektywnie" od totalitaryzmu odstręczało ich bardzo wiele. Mniej „dialektyczna" była jednak sytuacja Jana Strzeleckiego, Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczki, Zygmunta Baumana czy wspominanego Stefana Żółkiewskiego.

Gdy w ten sposób przecięto ciągłość tradycji, a totalitaryzm w końcu nieco stracił na brutalności, w następnym pokoleniu do pracy wzięła się kolejna generacja lewicowców, którzy zaczęli rekonstruować na nowo przeszłość własnej formacji, próbując nieco bardziej apologetycznego odczytania spuścizny niepokornych. Lecz choć tworzyli oni w atmosferze dalszej od brutalnego zamordyzmu, to ich myśl wciąż była nim naznaczona.

Rewizjonizm

W latach 40. i 50. wielu ich nauczycieli i przyjaciół nie przeszło próby „smaku" i sprzeniewierzyło się własnym hasłom „nie bycia w myśleniu posłusznym" i „odpowiedzialności za słowo". Próbując ten fakt jakoś wytłumaczyć, wikłali się, chcąc nie chcąc, w działalność niepokornym z gruntu obcą, i nieświadomie podważali ich antyrelatywistyczne i pryncypialne przesłanie.

Jeden z najwybitniejszych kontynuatorów tradycji lewicowej młodszego pokolenia, analizując postawy swoich nauczycieli, bezwiednie kwestionował podstawowe filary lewicowego etosu - i to właśnie wtedy, gdy chciał je rekonstruować (Mencwel 1997: 455-522). Nie znajdziemy u niego nic z bezkompromisowego przyświadczenia wartościom, lecz umiarkowanie „wrażliwość", delikatność i empatię, czyli cnoty całkiem „burżuazyjne", których radykałowie szczerze nienawidzili. Znamienne, że po latach, tłumacząc ciemny okres swoich mistrzów, powoływał się niekiedy na „sumienie" - kategorię, którą dawni lewicowcy, wierzący w obiektywny porządek moralny, stosowali w innym znaczeniu albo, co częstsze, bez której zgoła się obchodzili. Podczas gdy np. Abramowski pisał o „sumieniu", krytykując carski autorytaryzm za próbę jego łamania i ingerowanie w wiarę i przekonania Polaków, u współczesnego autora, odwrotnie, „sumienie" służy usprawiedliwieniu tych, którzy totalitaryzmowi służyli.

Miarą tej olbrzymiej różnicy jest fakt, że tam, gdzie Żeromski domagałby się „wykreślenia nazwiska zdrajcy na zawsze z kart literatury narodowej", następne pokolenia domagają się zrozumienia. Zamiast jasnych ocen i zdecydowanej krytyki bonzów w stylu młodego Brzozowskiego, mamy wprawki w moralnym relatywizmie a la Marleau-Ponty:

> Wiedzieliśmy oczywiście, że X. był komunistą, że miał swój stalinowski okres, a jego wystąpienie przeciw filozofii Kotarbińskiego było jednym z ogniw ówczesnej "kampanii ideologicznej«. Domyślaliśmy się, że wybór ideowy dokonany w latach wojny i zagłady był wyborem antyfaszystowskim. [...] Odruchowo, jak sądzę, rozumowaliśmy historystycznie, to znaczy staraliśmy się brać pod uwagę wpisaną w takie wybory niepowtarzalną swoistość minionych okoliczności historycznych. (Mencwel 1997: 482)

W sowieckim totalitaryzmie Żeromski widział całkiem po prostu „kaźnie bolszewickie", tymczasem jego spadkobiercy tłumaczą, że

> identyfikacja z marksizmem-leninizmem była przede wszystkim identyfikacją z jego racjonalistycznym, oświeceniowym zapleczem. (Tamże)

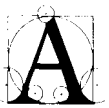

by ugruntować tego typu patriotyzm, głęboko przecież sprzeczny z etosem lewicy, kolejne pokolenia lewicowców musiały „wyprzeć" jego dwa podstawowe źródła, a więc patriotyzm i chrześcijaństwo. I tak, w ich analizach tradycji postępowych pisze się o „polskich splątanych losach", „polskich postawach", „historii Polski", ale o patriotyzmie pisze się mało albo nic. Rzecz nie do pomyślenia dla samych radykałów. Zdać by się mogło, że bycie Polakiem nie nakłada już żadnych moralnych ram, oprócz, rzecz jasna, antyfaszyzmu. Problem zdrady i narodowej apostazji nie pojawia się tam niemal nigdy. W ten sposób jeden z głównych nurtów myśli niepokornych został skutecznie wyeliminowany.

Jeszcze ciekawiej przedstawia się rzecz z religią. Tutaj autorzy stosują przynajmniej trzy strategie „wyparcia". Po pierwsze, w ogóle ją pomijają. Na przykład Andrzej Mencwel (1976) w bardzo rzetelnym studium o Brzozowskim uzasadniał fakt, że zajął się najwcześniejszym okresem twórczości polskiego filozofa tym, że interesuje go „kształtowanie myśli krytycznej". W tym duchu więc określił *Legendę Młodej Polski* jako najbardziej dojrzałą i właściwą, bo opartą na „filozofii pracy", „formę myśli krytycznej" (s. 429). W domyśle zatem: to, co przyszło po *Legendzie,* a wiązało się coraz bardziej z konwersją Brzozowskiego, było już niewłaściwe i niedojrzałe. Jest rzeczą co najmniej zastanawiającą, że komentatorzy Brzozowskiego z zasady pomijają jego swoisty testament: *Przyświadczenie wiary. Wybór pism* Newmana, opatrzony dwoma [sic!] wstępami jego autorstwa, które wprost wskazują na ortodoksję pisarza. Choć przypadek Brzozowskiego jest najbardziej instruktywny, podobną „strategię" stosowano także wobec innych radykałów. Analogicznie postąpił na przykład Damian Kalbarczyk (1986) przy okazji omawiania domniemanego chrześcijaństwa Abramowskiego, w ogóle pomijając fragment o „Bogu Żywym" i z góry odrzucając wszelkie próby „chrystianizacji" filozofa (s. 25-28).

Po drugie, krytycy, gdy już w ogóle zwrócą uwagę na religijność lewicowców, interpretują ją jako, bez mała, umysłową słabość. O, z gruntu negatywnym, stosunku progresistów do religijnego nawrócenia Dawida świadczy to, że powszechnie uznawano je za „ciemną kartę jego życia" (Borzym 1984: 206). Tego typu opinie w nieco karykaturalnej formie odnaleźć możemy np. u jego biografa:

> Niespodziewana śmierć żony była strasznym ciosem dla Dawida. Spowodowała nie tylko zasadnicze zmiany w jego codziennym życiu, lecz także przyczyniła się do głębokich zmian w jego tak dotąd jednolitym i konsekwentnym poglądzie na świat.
> (Okoń 1983: 39)

> Pod wpływem nieszczęścia Dawid, ów niedawno niespożyty działacz polityczny, ustawicznie kontemplował swój ból, płakał i poddawał się rozpaczy,
> (s. 42)

> Do nowych poglądów, uznających obok świata realnego „rzeczywistość duchową", dochodził jednak Dawid nie na drodze refleksyjno-rozumowej, przez przezwyciężenie poprzednich przekonań, lecz pod wpływem cierpienia,
> (s. 43)

Na podobnej zasadzie, komentatorzy udowadniali, że również w ostatnim okresie twórczości Brzozowskiego nastąpił intelektualny regres. Andrzej Walicki (1977) konstatował z rezygnacją, że pod wpływem zainteresowań religijnych „spójność jego filozofii uległa poważnemu naruszeniu", a on sam „popadał w sprzeczność, której nie zdołał przezwyciężyć (s. 407-408). Wtórował mu Seweryn Dziamski (1979): „Na gruncie katolickim synteza u Brzozowskiego nie została nigdy dokonana" (s. 275). Próby odczytywania ewolucji pisarza jako konsekwentnej, choć naznaczonej tragizmem, linii wiodącej go do Prawdy były z góry dyskwalifikowane jako bezprawne nadawanie jego dziełu „barw prawicowo-katolickiego totalizmu" (Miłosz 2000: 6) czy też jako wysiłek polskiej reakcji, który nie wymaga większej uwagi (zob. Stępień 1976: 10).

Po trzecie, gdy już potraktuje się religijność poważnie, próbuje się ją zbagatelizować i przedstawić jako przypadkowy kaprys danego autora. W przypadku Brzozowskiego twierdzono więc, że mimo nawrócenia w jego światopoglądzie nie dokonało się „zdecydowane wykroczenie poza antropocentryczny horyzont «filozofii pracy»" (Walicki 1977: 393). Uspokajano też, że rozważania Brzozowskiego o religii dotyczą co najwyżej jej „kulturowej wartości", gdyż żywa wiara była Brzozowskiemu niedostępna (Mackiewicz 1983: 125):

Brzozowski zdawat sobie w peini sprawę, że religia katolicka była dlań przede wszystkim argumentem intelektualnym, a nie wiarą. Odczuwał to boleśnie jako brak, sztuczność swej postawy, pragnął uwierzyć i [...] przeżywał głęboko własną niemoc.

(Werner 1974: 221-255)

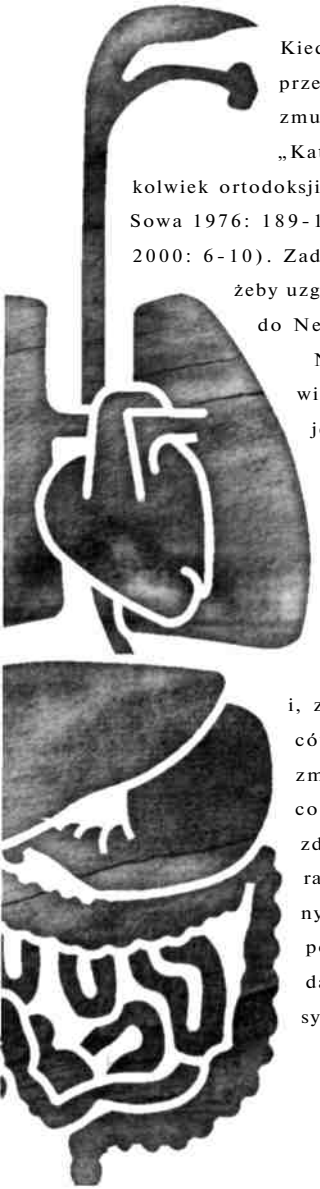

Kiedy wreszcie brano serio jego katolicyzm, próbowano przedstawić go jako przedstawiciela katolickiego modernizmu, niemieszczącego się w sztywnych ramach Kościoła: „Katolicyzm Brzozowskiego [był] równie daleki od jakiejkolwiek ortodoksji, co poprzednie etapy jego myśli" (Werner 1974: 254; Sowa 1976: 189-190; ślady takiego odczytania możemy znaleźć u Miłosza 2000: 6-10). Zadziwiające jest, że komentatorzy z zasady nie czynili nic, żeby uzgodnić ich zgrane zapewnienia z miłością Brzozowskiego do Newmana, jawnie wszak antymodernistycznego autora.

Najważniejszy wyłom w tego typu interpretacjach stanowiły *Rodowody niepokornych*. Bohdan Cywiński wychodził jednak z zupełnie innych pozycji niż cytowani krytycy. Był on reprezentantem inteligencji katolickiej, a nie laickiej, co pozwoliło mu zinterpretować ich dziedzictwo w sposób tyleż wierny, co bardziej radykalny, bez poststalinowskiego retuszu. W konsekwencji jego książka okazała się politycznym dynamitem, który zbliżył lewicę do jej zapoznanego chrześcijańskiego dziedzictwa (Lipski 1988: 69). Była to jednak próba odosobniona i, z kilkoma wyjątkami, nie znalazła poważnych naśladowców (Gawin 2005). Nie wywarła też trwałego wpływu - zmiana przez nią zapoczątkowana okazała się zdumiewająco krótkotrwała. Po roku 1989 lewica laicka na powrót się zdechrystianizowała i porzuciła dopiero co przyswojone radykalne dziedzictwo, zajmując się konstrukcją politycznych kompromisów. Spadkobiercy niepokornych stali się politycznymi bonzami, gardzącymi ciemną masą, dawne dążenie do prawdy zastąpili doraźnym kacapstwem. W tej sytuacji wybitne prace Mencwela, Walickiego i innych

w ostatecznym rachunku zaczęły legitymizować nową technologię władzy uprawianą przez postkomunistów. Jeśli dawnych mistrzów ktoś wydobywał z lamusa, to po to, by przy ich pomocy usprawiedliwić „wybór przyszłości", tę zdumiewającą odmianę futuryzmu.

Il pensiero debile

Gdy ideologia niepokornych uległa ostatecznej dezintegracji, a ich tradycja została całkowicie zerwana, ideową pustkę po lewej stronie zaczęły wypełniać hasła nowej, zachodniej lewicy. W konsekwencji dekadentyzm i hedonizm chłopców z pokolenia '68 wziął górę nad tragedią i powagą dawnych radykałów. W tym duchu została zinterpretowana również przeszłość polskiej lewicy: Jej prawdziwymi twórcami okazali się już nie niepokorni, lecz liberałowie i prześmiewcy spod znaku Boya. Taki zabieg udał się tym łatwiej, że - w przeciwieństwie do dzieł Brzozowskiego - *Słówka* drukowano nawet w najgorszych czasach stalinizmu, a sam autor dobrze zapisał się jako sowiecki wykładowca we Lwowie. Dla spadkobiercy niepokornych, Czesława Miłosza, taka intelektualna ewolucja była nie do zaakceptowania i wprost „świadczyła o degrengoladzie":

> Zamiast powierzchownych choćby zainteresowań filozofią przychodził kult lekkości i dowcipu. [...] Kiedy czytało się Boya, dokuczała jakaś trudno uchwytna fikcyjność tych burz w szklance wody, tych drwin z seksualnych kompleksów księży czy staroświeckich profesorów w sztywnych kołnierzykach.
> (Miłosz 2000: 175-176)

Mamy tu do czynienia z zasadniczym *novum:* oto bowiem ruch zgoła nierewolucyjny - „bezwzględnie indywidualistyczny" - przywdział lewicową maskę. Kacapizm przybrał poważną pozę Katona. Była to zaiste zdumiewająca przemiana:

> Subkultury dekadenckie, przyjmujące degenerację za wartość i normę zachowania, są stare jak świat, nigdy jednak nie kryły się pod maską sił

> postępu społecznego. Odwieczną cechą dekadencji jest indywidualizm i brak świadomości społecznej.
> (Tyrmand 1991: 65)

Leopold Tyrmand, sam przecież zawołany *bon-vivant,* nie mógł pojąć, jak dekadenci

> połączyli zbiorową kopulację i dziecinny brak odpowiedzialności w stosunku do swojego życia z rewolucją, marksizmem, radykalizmem, lewicowością, likwidacją nędzy, szerzeniem i pogłębianiem kultury mas.
> (s. 62)

Doprawdy, wymagało niesamowitej ekwilibrystyki, by odnaleźć rewolucyjną treść w - jak by nie było - dość tradycyjnej, by nie rzec: naturalnej, czynności spółkowania.

Mimo tego wiekopomnego osiągnięcia, w latach 90. krajobraz po lewej stronie przedstawiał się wcale niewesoło: niepokorni z wybitymi zębami na służbie postkomunistów, pragmatyczne elity okrągłostołowe mieniące się, z nieznanych przyczyn, lewicowymi, wreszcie żałośni importerzy zachodnich nowinek sprzed półwiecza, którzy nie potrafią zaproponować wiele więcej prócz sienkiewiczowskiej „rui" i „porubstwa". Do tego jeszcze dokuczliwa pamięć błędów i wypaczeń stalinizmu. I rzecz najgorsza: brak klasy, w imieniu której można by przemawiać. Masy robotniczo-chłopskie, które do tej pory lewica tradycyjnie obstawiała, zostały w międzyczasie skutecznie zagospodarowane przez ojca Rydzyka i ekipę prawicowych fundamentalistów. Tak dotkliwej wyrwy w lewicowej bazie nie mogła zastąpić nawet najszersza koalicja feministyczno-pederastyczna. W owych ciemnych czasach być lewicowcem musiało być doprawdy traumatycznym doświadczeniem. Zresztą, czy w ogóle można było nim być? Czy sponsorowaną przez amerykańskie fundacje grupkę zblazowanych anty-antysemitów, którzy za *telos* dziejów uznali aborcję i stosunek analny, w jakimkolwiek sensie można określić jako lewicową?

Tożsamość lewicowa była zatem dotkliwie spękana, rozbita - wydawało się, że nic nie „zszyje" jej niespójnych fragmentów. Nawet jej najświetniejszy przedstawiciel," Leszek Kołakowski, pogrzebał ją na łamach „Gazety

Wyborczej" (Kołakowski 1999 [1991]: 321-327). To prawie tak, jakby kard. Ratzinger ogłosił koniec katolicyzmu na łamach „L'Osservatore Romano".

Ale fundamentalne lewicowe pragnienie, pragnienie znalezienia się w awangardzie dziejów, bycia po właściwej stronie historii wciąż trwało i nic nie potrafiło go zaspokoić. Szukano więc gorączkowo jakiegoś wzniosłego obiektu, jakiejś Sprawy, jakiejś ideologii, która pozwoliłaby wreszcie zapomnieć o ułomności i niezupełności dotychczasowych lewicowych projektów. Przez chwilę wydawało się, że takie zaspokojenie da wizja integracji europejskiej. Ileż jednak można mówić o „europejskich standardach" i „cywilizowanym świecie"? Lewicowcy zanudzili tym nawet samych siebie. Taka wizja na dłuższą metę okazała się stanowczo zbyt płaska, zbyt mało inspirująca. Lewicowe pragnienie wielokrotnie ją przekraczało. Poza tym UE nie dysponowała edukacyjnymi kolbami mauzerów. Nawet nie zanosiło się na porządną europejską armię. Nie, to nie mogło być to.

Rozwiązanie

I właśnie wtedy na dogorywającą scenę, na tę intelektualną pustynię wkroczył Slavoj Ziżek. W głoszonej przez niego ideologii nareszcie pożądanie postępowca znalazło spełnienie. Nareszcie ogarnęła go fala Lacanowskiej *jouissance,* owej rozkoszy, która pozwoliła przez chwilę zapomnieć mu o własnym ideologicznym braku i nadać sobie pozór jedności i autonomii. Ale w każdą rozkosz wpisane jest rozczarowanie.

Teoria Ziżka została tak szybko przyjęta, gdyż progresiści już wcześniej byli jej wyznawcami. Już wcześniej bowiem akceptowali poszczególne jej elementy, które słoweński filozof jedynie wyartykułował w jednej, spójnej wizji.

Jej nieodparty powab zasadzał się na dwóch krokach, które na poziomie retorycznym przywracały lewicy dziedzictwo niepokornych: prawdę i moralność. „Na poziomie retorycznym", gdyż każda wypowiedź autora zawiera w sobie „coś więcej", coś, co jednocześnie stawia ją samą pod znakiem zapytania. Ziżek w tym samym momencie mówi *p* i *nie-p.*

Jego doktryna, po pierwsze, pozornie pozwoliła wyjść zagubionemu lewicowcowi poza jałowy postmodernistyczny relatywizm. Innymi słowy, dała mu nadzieję przestania bycia kacapem, co - jak widać - wciąż jest nie do przecenienia. To obietnica porównywalna z obietnicą Kojeve'a, pochylo-

nego nad *Fenomenologią ducha* - tyle że odpowiednio większa, bo Hegel łączy się u Żiżka z Leninem, Foucaultem, Althusserem i przede wszystkim - Lacanem. Idee tego ostatniego sprzedawane są w szczególnie zgrabnym opakowaniu: jako „przedłużenie toczącej się od dawna oświeceniowej walki o rozum" (Żiżek 2001: 101). Czytelnik może mieć zatem poczucie, że oto na każdej stronie autor dzieli się z nim najświeższymi produktami Wieku Świateł.

Szkopuł polega jednak na tym, że z „oświeceniowym fundamentalizmem" dawnych radykałów nie ma to nic wspólnego. Ostateczną instancją jest tutaj nie Rozum, lecz Rozkosz, która nie podlega sądowi Rozumu, lecz sama go sądzi. Czym jednak ona właściwie jest - to zdradzić może jedynie Lacan. Takie metafizyczne założenie, arbitralne, podane do wiary, niepokornego tylko by rozwścieczyło - możemy się jedynie domyślać, jak potraktowałby je Krzywicki. Zapewne przy takim stężeniu bezczelności i głupoty nerwy zupełnie by mu puściły; nie obeszłoby się bez sądowego pozwu złożonego przez jakiegoś urażonego redaktora. Tak czy inaczej, Ziżkowi udało się przekonać polskiego lewicowca, że dzięki Lacanowi może chłeptać wprost ze zdroju Prawdy. Jest to jednak o tyle przykre, że nieborak gotów uwierzyć, że stał się wcieleniem Rozumu, podczas gdy jest kacapem i to tym bardziej radykalnym, że nawet o tym nie wie.

Sypiając z Osamą

Po drugie, autor *Przekleństwa fantazji* przywrócił progresistom patos zaangażowania moralnego i dał obietnicę zerwania z nużącym pragmatyzmem - wreszcie kończy się era bezdusznej technokracji, a nadchodzi era polityki opartej na prawdziwych wartościach. Przyznajmy, że mimo wszystko trudno było traktować rozrywanie ciała dziecka „metodą *vacuum"* jako wartość szczególnie pociągającą, za którą można by umrzeć. Tu umierało jedynie dziecko, a lewicowiec potrzebował czegoś bardziej pobudzającego.

Jego największy problem polegał na tym, że dotąd nie potrafił znaleźć własnego miejsca. W wojnie kulturowej, która ustrukturyzowała współczesną scenę polityczną, karty rozdawali liberałowie („wolność-demokracja-kapitalizm") i konserwatyści („fundamentalizm-terroryzm-totalitaryzm"). Od czegóż był jednak Żiżelc? Oto zagubionemu lewakowi podał na tacy politycz-

ny projekt, którego sama nazwa brzmi już nęcąco: „radykalno-emancypacyjną (komunistyczną) politykę prawdy".

Liberalizm, który oskarża konserwatystów o religijny fundamentalizm, jest z tego punktu widzenia jedynie objawem cynicznej, a więc bardziej zaawansowanej formy ideologii, która niezadowolony lud ma utrzymać w karbach:

> We współczesnych demokratycznych lub totalitarnych społeczeństwach ów cyniczny dystans, śmiech, ironia są, by tak rzec, częścią gry.
>
> Model wiedzy cynicznej pojmuje uczciwość, prawość jako najwyższą formę nieuczciwości, moralność jako najwyższą formę rozwiązłości, prawdę jako najbardziej skuteczną formę kłamstwa.
> (Źiżek 2001: 42)

Z kolei konserwatyzm, który upatruje sprawcy wszelkiego zła w zepsutych liberałach, jawi się jako równie ideologiczny - w tym jednak wypadku błąd nie polega na zbyt świadomym cynizmie, lecz na nie dość świadomym religianctwie. Konserwatyści nie dostrzegają prawdziwej przyczyny ucisku mas - nie jest nią bowiem upadek moralności i libertynizm, lecz kapitalizm:

> Wszystko, co ma miejsce w dzisiejszym społeczeństwie to dynamika postnowoczesnej globalizacji oraz reakcje i opór wobec niej.
> (Żiżek 2007b)

W tej tezie Ziżek żegna się z dawnym projektem socjalizmu, sformułowanym we *Wzniosłym obiekcie,* który polegał na artykułowaniu wszystkich ideologicznych walk, na głoszeniu antagonizmu powszechnego. Tutaj Żiżek powraca do swojego „wypartego" mistrza, Althussera, który głosił za Marksem pierwotność konfliktu klasowego.

Dla Żiżka przeciwstawienie konserwatyzm-liberalizm jest fundamentalnie fałszywe i jedynie zaciemnia podstawowe linie podziału. Co ciekawe, w wojnie kulturowej występuje przeciwko liberalnym elitom, a sympatyzuje z ludem, którego jedyną - wybaczalną - przewiną jest, że nie rozumie sytuacji, w jakiej się znalazł. Nawet w niedorzecznym „islamofaszyzmie" filozof dostrzega „postępowy, 'antyimperialny potencjał". O, nareszcie - myśli jego

czytelnik - jesteśmy po stronie ludu, my, prawi i moralni! Na pohybel bonzom! Jeśli Osama z nami, któż przeciw nam? (W warunkach polskich, *tous proportions gardees,* miejsce Osamy zajmuje ojciec Rydzyk.)

Poczytaj mi, Mao

Ale na tym, oczywiście, Żiżek nie kończy. Nie może on po prostu poprzestać na przyznaniu moralnej racji konserwatystom, a teoretycznej - liberałom. Wtedy byłby zaledwie chrześcijańskim demokratą. A gdzie lewicowość? Ano, w wezwaniu do rewolucji. Z analizy sprzeczności globalnego kapitalizmu filozof wyciąga bardzo praktyczne wnioski, które wiodą go do rehabilitacji tradycji totalitarnej, niesłusznie, jak się okazuje, wypartej przez postępowców.

Czytając *Logiques des mondes* Alaina Badiou, Żiżek powraca do sprawdzonych pomysłów Marleau-Ponty'ego, przy czym główny wysiłek polega na tym, by w równaniu „humanizm" i „terror", przedstawić „terror" jako bardziej pozytywny z dwóch członów. Żiżek bierze się więc za odświeżanie myśli tych, którzy odnieśli największe sukcesy na tym polu: Mao, Iljicza i, rzecz jasna, Lacana. Stąd misja lewicy nie może sprowadzać się do tzw. „polityki minimalnych różnic", tj. drobnych reform systemu kapitalistycznego, pozornie nawet wzmacniających go, które ostatecznie jednak doprowadzą do jego upadku (podobnie jak pierestrojka doprowadziła do upadku komunizmu). Lewica musi mieć na tyle odwagi, by nie cofnąć się przed krokami bardziej zdecydowanymi, krokami na miarę Wielkiego Skoku i Rewolucji Październikowej. W skrócie, polityka małych różnic musi być uzupełniona polityką terroru.

Ostatecznym celem lewicowego projektu jest „brutalne" zrealizowanie „bezwzględnie egalitarnych zasad sprawiedliwości", nie zważając na „skomplikowane okoliczności" i „obiektywne ograniczenia", które rzekomo stoją temu na przeszkodzie. Ci, którzy nie podporządkowaliby się zarządzeniom władzy rewolucyjnej, „podlegaliby surowej karze". Wymagałoby to także

> dotkliwego ograniczenia dotychczasowych liberalnych „wolności" i wprowadzenia odpowiedniego technologicznego nadzoru nad potencjalnymi wywrotowcami.

Sukces rewolucji nie byłby jednak możliwy - przytomnie zauważa Żiżek - bez poparcia mas, które powinny postrzegać cele rewolucji jako cele własne. W związku z tym, szczególną nadzieję wiąże z tajnymi informatorami, którzy będą donosić władzy o wykroczeniach. Taka wizja nie musi być wcale daleka od urzeczywistnienia, twierdzi, więcej - jest to jedyna szansa obrony ludzkości przed nadchodzącą ekologiczną katastrofą (Żiżek 2007b).

Polski konsument takiego politycznego projektu musi mieć niezłą frajdę. Oto może mentalnie flekować cynicznych bonzów, ale nawet nie zauważa, jak sam staje się jednym z nich. Jest przekonany, że ma za sobą poparcie mas, że stoi po stronie prawdy i sprawiedliwości, ale nie dostrzega, że już w myślach wymachuje nahajką na czele urzędu bezpieczeństwa, wprowadza drastyczne ograniczenia „wolności" i brutalnie zwalcza opór.

Choć autor *Wzniosłego obiektu* jest zdecydowanym przeciwnikiem „rewolucji bez rewolucji" (tj. omletu bez rozbitych jaj), to jednocześnie wyznaje kult „rozumu bez rozumu" i „moralności bez moralności". Rozpoczął od moralności tylko po to, by jej zaprzeczyć. Głosił pochwałę antagonizmów, by skończyć na pochwale zamordyzmu. Stanął po stronie uciskanego ludu, by projektować ucisk tym bardziej efektywny. Jego etyczna propozycja to absolutne przeciwieństwo „rewolucji moralnej" - niepokornych napełniłaby nieopisaną grozą. W imię oświecenia niszczy samo oświecenie, a w imię moralności niszczy samą moralność. Pozbywając się miraży oświeceniowego i romantycznego fundamentalizmu, rzuca się w objęcia fundamentalizmu totalitarnego.

Ostatnie słowo. A ma je Źiźek.

Dzięki Żiżkowi, polski lewicowiec posklejał swoją rozbitą duszę - czy, jak stwierdziłby ktoś bardziej bezpośredni, załatał swoją utraconą cnotę. Wreszcie jego tożsamość stała się spójna, przepastna i głęboka. Teraz może być już każdym: terrorystą i wesołkiem, racjonalistą i anty-oświeceniowcem, zwolennikiem Lenina i Radia Maryja, hedonistą i moralizatorem, islamofaszystą i ekologiem.

Ta operacja ma jeszcze tę ważną zaletę, że nie wymaga żadnej wewnętrznej przemiany. Jest zabiegiem czysto intelektualnym, rodzajem myślowej gry. Z rewolucyjnych przesłanek nie wypływają dla żiikowców żadne konsekwencje, prócz obowiązku zgłębiania myśli Mistrza. Do ostatecznej rozprawy

z kapitalizmem wystarczy przyswojenie sobie jego trzeciej w roku książki. Tymczasem nie trzeba z niczego rezygnować - filozof tylko wzmacnia libidinalną - aborcyjno-homoseksualną - ekonomię lewicy. Puszcza nawet oko do pedofili: ot, krytykuje od niechcenia konserwatystów, którzy utrzymują, że „dzieci są niewinne", a z drugiej strony, nawołują „do sprawowania nad nimi ścisłej kontroli i zwalczania seksualności dziecięcej" (Żiżek 2001: 195). Niestety, autor nie ujawnia, na czym polegałaby tu mniej sprzeczna postawa „niekonserwatywna". W konsekwencji, lewicowcy mogą nadal spokojnie uprawiać „zbiorową kopulację i dziecinny brak odpowiedzialności wobec własnego życia", tym razem jednak czując się jak Różański, ojciec Rydzyk i Al-Zarkawi w jednej osobie.

W ten sposób Żiżek wzniósł lewicowość na wyższe piętro nieświadomości, na którym kacapizm i bonzownictwo kwitną w jeszcze większym samozadowoleniu. Jest to ideologia szczególnie przewrotna, gdyż jej wyznawcy są przekonani, że jest dokładnie odwrotnie - że to właśnie oni zwalczają bonzów i kacapów. Myśląc, że są najbardziej morderczymi przeciwnikami głupoty i cynizmu, sami stają się tym głupsi i tym bardziej cyniczni. Psychoanaliza, którą stosuje Żiżek, zamiast pacjenta uleczyć i zwiększyć jego samoświadomość, spowodowała, że lewica nie tylko zapoznała przyczyny własnej choroby, lecz także - że przestała nawet dostrzegać jej symptomy. Techniczny Lacanowski dyskurs jedynie uniemożliwia postawienie prawdziwej diagnozy i dostarcza nieskończonego ciągu racjonalizacji. Pacjent umiera, myśląc, że właśnie wyzdrowiał.

W konsekwencji ideologia Żiżka staje się jedynie nieartykułowanym wezwaniem do czynu, pustym gestem, który wskazuje sam siebie. Nie może być zresztą inaczej, skoro filozof usunął podstawy prawdy i moralności: rozum, patriotyzm i chrześcijaństwo[3]. Z pasją demaskując „złudzenia" racjonalizmu, narodu i religii, nie dostrzegł, że bez nich jego projekt na zawsze będzie naznaczony „brakiem", a pragnienie lewicowca już nigdy nie zostanie zrealizowane. A co, jeśli Rzeczywiste jest czymś innym niż Lacanowskie Realne? Ech, Slavoj, Slavoj, troszczysz się o wiele, a potrzeba mało albo tylko jedno.

Ostatecznie lewicowa ideologia znosi samą siebie, nie stoi za nią nic, okazuje się „niemożliwa", „pusta", „wybrakowana", jej jedynym uzasadnieniem jest lewicowe Pragnienie. Czyż możemy się dziwić, że sam Żiżek (2007a) przyznaje wprost, że "nie wierzy własnym teoriom? On jest rzeczywistym

Master-Signifier. „Ideologia służy jedynie sobie samej, niczemu innemu poza sobą nie służy - a tak właśnie brzmi Lacanowska definicja *jouissance"* (Żiżek 2001: 107). To najważniejsza prawda, jaką ma nam do przekazania filozof o współczesnej lewicy. Należy jednak pamiętać, że nawet, gdy mówi prawdę, to wciąż kłamie - jak Każdy, który niesie Światło.

MICHAŁ ŁUCZEWSKI

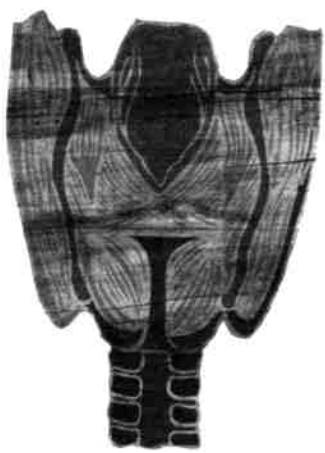

PRZYPISY

[1] Pomijam tutaj skomplikowaną sprawę analizy przestania dzielą literackiego; Andrzej Mencwel (1976: 48-83) na przykład doszukuje się w *Pod ciężarem Boga* wątków konserwatywnych.

[2] W sprawie często mistyfikowanej kampanii antysienkiewiczowskiej zob. Andrzej Mencwel (1976: 173-225).

[3] Podczas gdy Żiżek dla patriotyzmu nie ma żadnej sympatii (Żiżek 1993), to dla swoich celów próbuje wykorzystać dziedzictwo chrześcijańskie (Żiżek 2000, 2006), a nawet nauczanie Jana Pawia II (Żiżek 2005), przekonując lewicowców, że wciąż należy o chrześcijaństwo walczyć. Nie trzeba jednak dodawać, że w jego wydaniu religia zostaje obrócona we własną karykaturę: Jezus Chrystus staje się głoszącym nienawiść klasową transgresistą-rewolucjonistą, który zrywa cięciem miecza z ograniczeniami tu i teraz. Ta strategia sprawia, że Żiżek, mimo swych najlepszych intencji, od chrześcijaństwa tym bardziej się oddala. Jego własna retoryka oddziela go od tego, czego powrót głosi.

BIBLIOGRAFIA

Abramowski Edward, 1986, *Rzeczpospolita przyjaciół. Wybór pism społecznych i politycznych,* Warszawa: PAX.

Borzym Stanisław, 1984, *Bergson a przemiany światopoglądowe w Polsce,* Warszawa: Ossolineum.

Brzozowski Stanisław, 1914, *Widma moich współczesnych,* Lwów.

Brzozowski Stanisław, 1915, *Wstęp,* w: John H. Newman, *Przyświadczenie wiary. Wybór pism,* Lwów.

Brzozowski Stanisław, 1970, *Listy,* 1.1 i II, Kraków: Wydawnictwo Literackie

Brzozowski Stanisław, 1973, My *młodzi,* w: *Programy i dyskusje literackie epoki Młodej Polski,* Warszawa: Biblioteka Narodowa.

Brzozowski Stanisław, 2000, *Pamiętnik,* Warszawa: Czytelnik

Brzozowski Stanisław, 1995, *Krytyka socjologii,* w: *Sto lat socjologii polskiej,* Warszawa: PWN

Cywiński Bohdan, 1996, *Rodowody niepokornych,* Warszawa: Świat Książki.

Dziamski Seweryn, 1979, Z *dziejów myśli marksistowskiej w Polsce,* Poznań: PWN.

Gawin Magdalena, 2003, Rasa *i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego,* Warszawa: Wydawnictwo Neriton - IH PAN

Gawin Dariusz, 2005, *Polska - Wieczny romans,* Kraków: OMP

Gellner Ernest, 1997, *Postmodernizm, rozum i religia,* Warszawa: PIW.

Kalbarczyk Damian, 1986, *Przedmowa,* w: Edward Abramowski. *Rzeczpospolita przyjaciół. Wybór pism społecznych i politycznych,* Warszawa: PAX.

Kelles-Krauz Kazimierz, 1989, *Naród i historia. Wybór pism,* Warszawa: PIW.

Kołakowski Leszek, 1989, *Pochwała niekonsekwencji. Pisma rozproszone z lat 1955-1968,* t. I-III, Londyn: Puls.

Kołakowski Leszek, 1999, *Moje słuszne poglądy na wszystko,* Kraków: Znak.

Kowalik Tadeusz, 1965, *Krzywicki. Wybór pism,* Warszawa: Wiedza Powszechna.

Krzywicki Ludwik, 1978, *Wybór pism,* Warszawa: PWN.

Krzywicki Ludwik, 1986, *Człowiek i społeczeństwo. Wybór pism,* Warszawa: Ki W.

Kwiek Marek, 1998, *Filozofia-polityka-zmienianie świata (francuski heglizm: miedzy pracą tekstualną a propagandą polityczną),* w: Tadeusz Buksiński (red.), *Idee filozoficzne w polityce,* Poznań: IF UAM.

Limanowski Bolesław, 1989, *Socjalizm jako konieczny objaw dziejowego rozwoju. Wybór pism,* Warszawa: KiW.

Lipski Jan Józef, 1988, Komitet *Obrony Robotników. KOR. Komitet Samoobrony Społecznej,* Gliwice: Wydawnictwo „Glos Śląsko-Dąbrowski".

Mackiewicz Witold, 1983, *Brzozowski. Wybór pism,* Warszawa: Wiedza Powszechna.

Marleau-Ponty Maurice, 1969, *Humanism and Terror,* Boston: Beacon Press.

Mencwel Andrzej, 1976, *Stanisław Brzozowski. Kształtowanie myśli krytycznej,* Warszawa: Czytelnik.

Mencwel Andrzej, 1997, *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku,* Warszawa: Czytelnik.

Miłosz Czesław, 2000, *Człowiek wśród skorpionów. Studium o Stanisławie Brzozowskim,* Kraków: Wydawnictwo Literackie.

Nałkowski Wacław, 1951, *Pisma społeczne. Wybór,* Warszawa: PWN.

Okoń Władysław, 1980, *Dawid. Wybór pism,* Warszawa: Wiedza Powszechna.

Sowa Ewa, 1976, *Pojecie pracy w pismach Brzozowskiego,* Kraków: Wydawnictwo Literackie.

Piasecki Stanisław, 2003, *Prosto z mostu. Wybór publicystyki literackiej,* Kraków: Arcana.

Stępień Marian, 1976, *Spór o spuściznę po Stanisławie Brzozowskim w latach 1918-1939,* Kraków: Wydawnictwo Literackie.

Strauss Leo, 1991, On *Tyramy,* New York: The Free Press.

Torańska Teresa, 1989, *Oni,* Warszawa: Agencja Omnipress.

Tyrmand Leopold, 1991, *Zapiski dyletanta,* Warszawa: Oficyna Wydawnicza „Most".

Walicki Andrzej, 1977, *Stanisław Brzozowski - drogi myśli,* Warszawa: PWN.

Werner Andrzej, 1974, w: Andrzej Walicki i Roman Zimand (red.), *Wokół myśli Stanisława Brzozowskiego,* Kraków: Wydawnictwo Literackie.

Wyka Marta, 1981, *Brzozowski i jego powieści,* Kraków: Wydawnictwo Literackie.

Zdziechowski Marian, 1921, *Gloryfikacja pracy. Myśli z pism i o pismach Stanisława Brzozowskiego,* Kraków.

Żeromski Stefan, 1988, *Pisma Polityczne,* Londyn: Polonia.

Žižek Slavoj, 1993, *Tarrying with the Negatńe,* Durham: Duke University Press.

Žižek Slavoj, 2000, *The Fragile Absolute,* London: Verso.

Žižek Slavoj, 2001, *Wzniosły obiekt ideologii,* Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.

Žižek Slavoj, 2005, *The Pope's Failures,* In these Times, April 8.

Žižek Slavoj, 2006, *Kukła i karzeł. Perwersyjny rdzeń chrześcijaństwa,* Wrocław: Branta.

Žižek Slavoj, 2007a, *Jeśli Boga nie ma, wszystko jest zakazane,* „Europa. Tygodnik Idei", nr 144.

Žižek Slavoj, 2007b, *Badiou: Notes from an Ongoing Debatę,* International Journal of Žižek Studies, nr 2.

Żółkiewski Stefan, 1951, *Wstęp,* w: Wacław Nałkowski, *Pisma społeczne. Wybór,* Warszawa: PWN.

KONIEC

W świecie medialnych i znaczeniowych gier nic nie może dziwić i wszystko znajduje jakieś uzasadnienie - nawet to, że bojownik pierwszej linii frontu walki o „grupy wykluczenia" swoje zaangażowane społecznie teksty pisze w mieszkaniu na luksusowym osiedlu, strzeżonym całodobowo przez ochroniarzy, a wezwania do poszanowania praw pracowniczych formułowane są w miejscu, w którym, w imię rewolucji, pozostawać trzeba niekiedy w ramach etatowych obowiązków do czwartej nad ranem. Rewolucja jest jednak cool i luksusowe mieszkania też są cool, a rewolucja plus luksusowe mieszkanie jest megacool i każdy by tak chciał.

Tryumfalny pochód

pompy ssąco-tłoczącej w instalacjach użytkowych

PIOTR CZERSKI

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech każdej rozrastającej się i dążącej do hegemonii grupy społecznej jest jej walka o asymilację i podbój „ideologiczny" tradycyjnych intelektualistów; asymilacja i podbój są tym szybsze i bardziej skuteczne, im szybciej dana grupa kształtuje równolegle własne organiczne elementy intelektualne.

Antonio Cramsci, *Intelektualiści i organizowanie kultury.* 1930

Nikt nie ma chyba wątpliwości, że obserwacja Gramsciego, przeformułowana następnie w dyrektywę, wskazującą lewicy drogę ekspansji, okazała się trafna teoretycznie i skuteczna praktycznie. Na zachodzie Europy proces podboju przez kulturę był rozciągnięty w czasie - my, mieszkańcy kraju trzymanego za mordę lewą ręką przez pół wieku bez dodatkowych zabiegów, możemy

obserwować w ostatnich latach jego wersję skondensowaną; swoisty *instant.* Na naszych oczach dokonuje się proces wykuwania „tradycyjnie lewicowych elit akademickich i artystycznych", które na Zachodzie tworzyły się na przestrzeni pokoleń.

Ów pośpiech, z jakim dokonywany jest skok na język i kulturę, ułatwia znacząco dostrzeżenie i analizę wykorzystywanych mechanizmów - zaskakujących jednocześnie banalnością metody i spektakularnością efektów. To, co młoda polska lewica zwykła określać mianem „poszerzania przestrzeni dyskursu publicznego", sprowadza się bowiem do konsekwentnego stosowania taktyki kreowania zjawisk kulturowych metodą faktów dokonanych: niemal każda ideologicznie słuszna książka, płyta czy wystawa obrazów określana jest natychmiast mianem „głośnej, kultowej" lub chociaż „kontrowersyjnej i budzącej emocje". Poszczególne fenomeny grupowane są następnie w prądy, rozpoznawalne narzędziami krytycznymi; rozpoznanie polega zaś na adaptacji terminów funkcjonujących na Zachodzie i zgrubnym uzasadnieniu ich przystawalności do rodzimych zjawisk kulturowych - na tej zasadzie obecnie, o ile się nie mylę, w młodej literaturze mamy do czynienia z tzw. minimalizmem. Czym on jednak być miałby - nie orientuję się zbyt dobrze, moja cierpliwość wyczerpała się bowiem na etapie *avant-popu,* którego tryumfalny pochód ogłoszono przed dwoma laty.

Głośne, kultowe i kontrowersyjne dzieła sztuki funkcjonują w ściśle określonym celu - ich zadaniem jest zainicjowanie „publicznej debaty", polegającej na publikacji w którymś z ogólnokrajowych dzienników szeregu tekstów na określony temat. Teksty, zgodnie z regułami każdej dyskusji, piszą zaproszeni goście, reprezentujący rozmaite opcje światopoglądowe - przy czym reprezentanci szeroko rozumianej opcji konserwatywnej zwykle nie bardzo wiedzą, o co chodzi, a reprezentanci lewicy, podkreśliwszy w kilku zdaniach ważny, głośny i kultowy charakter zjawiska, poświęcają resztę tekstu na konsekwentne promowanie swoich przekonań, będące istotnym celem całej „publicznej debaty".

Nie dalej jak w marcu, na łamach „Tygodnika Powszechnego", czasopisma ważnego i znaczącego, mimo stosunkowo niskiego nakładu, krytyk literacki Igor Stokfiszewski zainicjował „publiczną debatę" pod hasłem „Poezja a demokracja" - określając przy tym w konkluzji swojego tekstu[1] rolę, jaką powinna pełnić słuszna poezja: ma ona mianowicie poświęcać się bieżącej

refleksji społeczno-politycznej i poszukiwać „konkretnej treści społecznej", angażując się w krytykę politycznego modelu liberalno-demokratycznego. Odpór Stokfiszewskiemu dawał m.in. Marian Stała, wskazujący na znane bardzo dobrze, a fatalne w skutkach, przykłady prób upolitycznienia literatury - sęk w tym, że wypowiedź młodego krytyka została przedrukowana np. w sieciowym wydaniu „Krytyki Politycznej" (zwanej niekiedy „Krytyką Potyliczną") i na wpływowym, środowiskowym blogu „kumple", natomiast dalszy ciąg debaty śledzili już jedynie najbardziej zainteresowani. Tym samym cel został osiągnięty - programowa koncepcja Igora Stokfiszewskiego stosunkowo szerokiemu gronu przedstawiona została jako rodzaj niefalsyfikowalnego manifestu, a nie li-tylko propozycja, nad której sensownością trzeba się poważnie zastanowić. Co więcej - tekst Stokfiszewskiego, jako inicjujący „publiczną debatę" i przedrukowany w „najważniejszym organie młodej lewicy", będzie - zgodnie z efektem śniegowej kuli - z pewnością niejednokrotnie przywoływany w dyskusjach literaturoznawczych w charakterze istotnego punktu odniesienia; wypowiedzi pozostałych krytyków, którzy wzięli udział w dyskusji TP będą prawdopodobnie jedynie skrótowo referowane. Tak się robi historię.

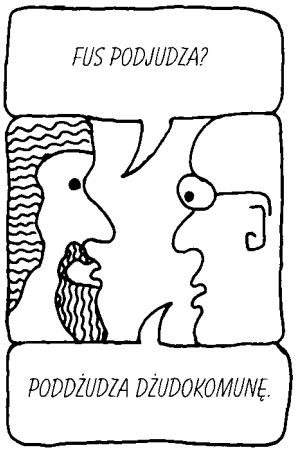

Próby angażowania się artystów w bieżący dyskurs miewają tymczasem, nierzadko, charakter groteskowy - w styczniu bieżącego roku w Koszalinie otwarta została wystawa niejakiego Petera Fussa, artysty ulicznego. Wystawa miała być, oczywiście, „ważnym głosem w debacie na temat polskiej ksenofobii i antysemityzmu": integralnym elementem ekspozycji był umieszczony przed miejscowym kościołem billboard, przedstawiający twarze osób publicznych (m.in. Lecha Kaczyńskiego, Wisławy Szymborskiej i Aleksandra Kwaśniewskiego, ale także Doroty Rabczewskiej czy Marka Kondrata) z dużym podpisem „Żydzi won z katolickiego kraju". Ważny głos w debacie został najwyraźniej niewłaściwie odczytany przez „ksenofobiczne i antysemickie" społeczeństwo, ponieważ miejscowa ludność sztuki nie zrozumiała, oburzyła się na podpis i powiadomiła służby porządkowe - te zaś całą wystawę zamknęły w dwie godziny. Mogłoby się wydawać, że klęska Fussa jest całkowita,

a bezpodstawność jego wizji społeczeństwa została wykazana w najdobitniejszy z możliwych sposobów. Nic bardziej mylnego: zamknięcie wystawy stało się pretekstem do, jakże by inaczej, „publicznej debaty" na temat cenzurowania wypowiedzi artystycznych, w której to debacie bez umiaru szafowano określeniami takimi, jak „państwo policyjne" czy „faszystowskie[2] zapędy".

Tym obszarem kultury, na którym ideologiczne wpływy lewicy są szczególnie widoczne, jest od pewnego czasu teatr - w wielu instytucjach teatralnych do władzy i głosu dotarło bowiem młode pokolenie, o dosyć skonkretyzowanych poglądach politycznych. W czasie swoich przygotowań do próby napisania dramatu na zamówienie TR Warszawa (próby, przyznaję, zakończonej - jak dotąd - całkowitym fiaskiem) zapoznawałem się m.in. z tekstami teatralnymi[3] zebranymi w antologiach *Made in Poland,* p. red. Romana Pawłowskiego i *TR/PL ND05* p. red. Agnieszki Tuszyńskiej. Czegóż tam nie ma! I córka, prostytuująca się pospołu z matką (iż w warunkach nieludzkiego kapitalizmu inaczej nie da się zarobić na godziwe życie), i piekło tradycyjnego modelu rodzinnego, w którego centrum postawiona została matrona, miewająca nieziemskie widzenia - a rekordowy poziom wrażliwości na aktualne problemy społeczne osiągnął prawdopodobnie Przemysław Wojcieszek, który w tekście *Cokolwiek się zdarzy, kocham cię* skonstruował opowieść o problematycznej miłości dwóch młodych kobiet; miłości, rzecz jasna, gorliwie flekowanej przez opresyjne, tradycjonalistyczne społeczeństwo. Cechy konstytutywne tegoż zamyka najpełniej postać brata jednej z pań: świeżo powrócony z Iraku na ojczyzny łono żołnierz, paradujący w narodowej fladze, nadużywający alkoholu, bijący kobiety i rzucający w kierunku zakochanych lesbijek obficie określeniami z gatunku „bolesnych bardziej od kamieni". Jedynie dla formalności dodam, że miłość ostatecznie zwycięża wszystko, a para zakochanych, po wygłoszeniu okolicznościowego wiersza (hymn narodu, składającego się z pary kochanków - jak dla mnie, taki naród wystarczy w zupełności) odchodzi w kierunku zachodzącego słońca. Z większą czułością pochylić się nad troskami dnia powszedniego przedstawicieli grup wykluczenia zapewne się nie da - a przynajmniej taką mam cichą nadzieję.

Chciałbym być dobrze zrozumiany: w żadnym wypadku nie odmawiam literaturze i sztuce prawa do analizowania rzeczywistości - nazwijmy ją umownie - bieżącej, do twórczego eksploatowania aktualności i wrażliwości na ważne zjawiska społeczne. Sztuka, która próbowałaby, z jakichś względów,

odciąć się zupełnie od tu i teraz, skazywałaby samą siebie na uciekanie w abstrakcję - bądź w przytulne wnętrza skansenów, muzeów i katedr, odwiedzanych głównie przez turystów. Problem w tym, że obowiązujący paradygmat podporządkowania twórczości celom użytecznym ideologicznie prowadzi niejednokrotnie do efektów karykaturalnych, które jednak ze względów strategicznych akceptowane są jako norma, a niekiedy obwoływane artystycznymi sukcesami. Tymczasem ich pretekstowy charakter, podporządkowany inicjowaniu „publicznych debat", jest aż nadto oczywisty: w czasie dyskusji, związanych z promocją tytułów Korporacji Ha! art, mniej więcej co drugi z zaproszonych gości zaczyna swoją wypowiedź słowami: „Wprawdzie nie czytałem jeszcze książki, o której dzisiaj mamy rozmawiać...".

Nieprzypadkowo, szkicując metody działania młodej lewicy, używam określenia „taktyka" - wpisują się one bowiem jako całość w szeroką koncepcję strategiczną, której zręby zdefiniowane zostały przez pewien podział wewnętrzny. Część młodych intelektualistów lewicowych odrzucała bowiem jakiekolwiek działania wewnątrz ram, zakreślonych przez istniejący konsensus polityczno-społeczny, wskazując na niemożność przeprowadzenia skutecznej krytyki z pozycji wewnętrznych. Inni zdecydowali się na podjęcie próby „rozsadzenia systemu od środka" - z wykorzystaniem jego własnych mechanizmów, na drodze konsekwentnej redefinicji pojęć[4], prowadzącej do stopniowej internalizacji progresywnych koncepcji politycznych. Ta właśnie frakcja, skupiona wokół „Krytyki Politycznej", jest obecnie najbardziej ekspansywna.

Intelektualna atrakcyjność propozycji lewicowych dla artystów młodego pokolenia wynika, w dużej mierze, właśnie ze skutecznego wykorzystywania mechanizmów marketingu i propagandy. Czym bowiem jest sama „Krytyka Polityczna", jeżeli nie doskonale promowanym *brandem,* spajającym symbolicznie bardzo szerokie spektrum postaw „postępowych", niekiedy w niejawny sposób skonfliktowanych wewnętrznie? Lewica, zwolniona *ex definitione* z za-

lecenia „niech mowa wasza będzie: tak - tak; nie - nie", intensywnie wykorzystuje możliwości, jakie dają manipulacje językowe, szczególnie w zakresie definicji pojęć. Nawet dokument *Wprowadzenie: lewica,* dostępny w internetowym serwisie „Krytyki Politycznej", jest na tyle ogólnikowy, że pod pojęcie „lewicowca" podciąga właściwie wszystkich ludzi „dobrej woli", o ile tylko nie spożywają ludzkiego mięsa na śniadanie w każdy czwartek i zasadniczo zgadzają się z tym, że lepiej jest wtedy, kiedy jest lepiej.

Zwycięstwo lewicy w sferze symbolicznej wydaje się bezdyskusyjne: młoda lewica jest po prostu *cool,* w przeciwieństwie do skonfliktowanej wewnętrznie i nierzadko, ze względów fundamentalnych, ortodoksyjnej młodej prawicy, która wprawdzie również próbuje wykorzystywać mechanizmy popkulturowe (czego najlepszym przykładem jest sama „Fronda", z jej okładkami i odzieżowym sklepikiem), ale nie może ukryć pod ich fasadą prostych i klarownych zasad, które wyznaje i na których opiera swoje przekonania. Proste i klarowne zasady nie są *cool,* nie dają bowiem tej intelektualnej podniety, jaka towarzyszy - powiedzmy - próbie interpretacji komentarzy Slavoja Żiżka do wznowionych przez „Krytykę Polityczną" dzieł Lenina. Żiżek z kolei jest bardzo *cool,* ponieważ „podejmuje wielopłaszczyznową grę kulturową", a w tekście o charakterze filozoficznym posiłkuje się licznymi odwołaniami do hollywoodzkich filmów, tworząc ostatecznie gęstą znaczeniową miazgę, której sensu właściwego sam diabeł nie dojdzie, a której dowolne, zgodne choćby ogólnie z ideologią, odczytanie daje czytelnikowi satysfakcję „zrozumienia". Z kolei właściwie każde odczytanie ideologicznie niepoprawne (np. próba wskazania na niebezpieczeństwo wyciągania z czeluści piekielnych koncepcji, skompromitowanych doszczętnie w praktyce) może być natychmiast zdewaluowane przy pomocy argumentu o „niezrozumieniu". Genialnie proste w swoim skomplikowaniu.

W świecie medialnych i znaczeniowych gier nic nie może dziwić i wszystko znajduje jakieś uzasadnienie - nawet to, że bojownik pierwszej linii frontu walki o „grupy wykluczenia" swoje zaangażowane społecznie teksty pisze w mieszkaniu na luksusowym osiedlu, strzeżonym całodobowo przez ochroniarzy, a wezwania do poszanowania praw pracowniczych formułowane są w miejscu, w którym, w imię rewolucji, pozostawać trzeba niekiedy w ramach etatowych obowiązków do czwartej nad ranem. Rewolucja jest jednak *cool* i luksusowe mieszkania też są *cool,* a rewolucja plus luksusowe mieszkanie jest *megacool* i każdy by tak chciał.

Jeżeli do tego obrazu dodamy, będącą tajemnicą poliszynela, „niesamodzielność intelektualną"[5] sporej części młodych artystów, których światopoglądowe intuicje są z zapałem rozwijane na gruncie towarzyskim przez naczelnych ideologów, chętnie objaśniających jedyną słuszność drogi społecznego postępu, podsuwających właściwe lektury i z zapałem objaśniających meandry wywodów tego lub owego tytana myśli postępowej - tryumfalny pochód lewicowych koncepcji w młodej kulturze staje się najzupełniej zrozumiały. Twardy rdzeń intelektualistów, istotnie rozumiejących, o co toczy się i jakimi metodami prowadzona jest walka, zasilają bowiem szeregi tych, którzy wprawdzie nie umieją objąć rozumowo całokształtu pola bitwy, ale wiedzą, że jedna ze stron ma fajne, kolorowe chorągwie, podczas gdy druga - takie bardziej monochromatyczne.

Działania młodej lewicy, trzeba przyznać, cechuje wyjątkowa konsekwencja i umiejętność utrzymywania raz zdobytych pozycji. Dla przykładu - obecność Sławomira Sierakowskiego na łamach „Rzeczpospolitej" i „Dziennika" oraz zaproszenie na Zjazd Gnieźnieński okazały się, w jego zaskakującym logicznie dowodzie, argumentami na rzecz tezy, że nie reprezentuje skrajnej lewicy - mimo że w swoich publikacjach *de facto* nawołuje często do wyrzucenia pewnych opcji światopoglądowych poza nawias jakichkolwiek dyskusji; czymże zaś byłaby tak radykalna próba nieodwracalnej modyfikacji rzeczywistości dyskursywnej, jeżeli nie - przeprowadzoną po cichu i nieznacznie - rewolucją? Sierakowski sumiennie przerobił lekcję, udzieloną przez Adama Michnika i wie, że w XXI wieku nie trzeba już wyprowadzać na ulice czołgów - i wie również, że wielu nadal tego nie rozumie.

Język, jakiego używają młodzi lewicowcy, jest przy tym zawsze precyzyjnie dostosowany do charakteru medium - wystarczy porównać stonowane głosy reprezentantów lewicy w czasopismach wysokonakładowych do znacznie bardziej radykalnych wezwań i analiz, formułowanych na łamach „Krytyki Politycznej", „Ha! artu" czy gazet zagranicznych, żeby zrozumieć, jaką wagę przywiązuje lewica do odpowiedniego dawania medium - przekazu. Ten sam

Stokfiszewski, który w „Tygodniku Powszechnym" namawia do „spoglądania na język poetycki jako nośnik wiedzy o przemianach demokracji", na łamach „die tageszeitung" zaczyna tekst słowami:

> Polska jest dziś krajem tryumfalnego pochodu prawicowego radykalizmu o fundamencie religijnym. Krajem, którego polityka wewnętrzna sprowadza się z jednej strony do nieustannego rozliczania prawdziwych lub fałszywych przewin ludzi żyjących w komunizmie (a zatem niemal wszystkich), z drugiej do osuszania liberalnego bagna (bo tak dzisiejszym władzom jawi się Polska w okresie ustrojowej transformacji) minionych 18 lat: walki ze wszelkimi objawami pluralizacji i demokratyzacji życia społecznego za pomocą metod na granicy państwa policyjnego,

kończąc apelem do „zachodnich przyjaciół - pisarzy, artystów, polityków, intelektualistów" o wsparcie

> w walce przeciw władzy, kpiącej z wolności, posługującej się językiem zemsty i nienawiści, jątrzącej historyczne rany, jak i w szerokim froncie włączenia literatury, sztuki, teatru w spór o kształt Europy, która nie poddawałaby się dyktatowi neoliberalizmu.

Sam fakt ciągłego zapraszania reprezentantów młodej lewicy do niemal wszystkich dyskusji na łamach mediów tradycyjnie konserwatywnych, za jakie uważa się „Rzeczpospolitą" i „Dziennik", wymaga, być może, głębszego zastanowienia. Czy przyczyną jest przekonanie o konieczności zapewnienia pluralizmu poglądów, czy może raczej kalkulacja, zgodnie z którą świeża, wciąż pozbawiona faktycznego zaplecza społecznego lewica odebrać ma mandat publicznej reprezentacji mastodontom z nadal groźnego, bo dysponującego realną siłą polityczną Sojuszu Lewicy Demokratycznej? Tego nie wiem. Pozostaje mi żywić nadzieję, że - wbrew buńczucznym zapowiedziom - środowisko „Krytyki Politycznej" nie dąży do władzy, upatrując dla siebie rolę bonzai-lewicy: wiecznej, bezpiecznej, intelektualnej opozycji, świeckiego zakonu czcicieli ducha nieuniknionego postępu, wykorzystujących skrzętnie medialne zapotrzebowanie na fotogenicznych bojowników o wolność dla

sardynek w puszkach. Taka jedynie nadzieja mi pozostaje, bowiem niewielu rzeczy obawiam się tak, jak konsekwencji ewentualnego przejęcia sterów rządu przez moich serdecznych przyjaciół[6].

PIOTR CZERSKI

PS

Tytuł niniejszego tekstu został, oczywiście, zapożyczony z opowiadania Sławomira Mrożka; z pewnych względów wydał mi się niezwykle adekwatny do zagadnienia.

PRZYPISY

1 Warto zauważyć, że tekst Stokfiszewskiego konsekwentnie wykorzystuje opisywane mechanizmy, określając mianem „drugiego najbardziej wpływowego nurtu młodopoetyckiego" tzw. neolingwizm - akcydentalne zjawisko, stworzone przez kilku warszawskich poetów (m.in. Jarosława Lipszyca), które jako forma zorganizowana przestało istnieć kilka miesięcy po hucznie ogłoszonym powstaniu i nie doczekało się bodaj żadnych kontynuatorów.

2 Nieprzypadkowe, że lewica posługuje się przymiotnikiem „faszystowski", zamiast znacznie bardziej naturalnego w naszych warunkach odwołania do nazizmu; ten manewr wykorzystywała już propaganda ZSRR w celu ominięcia kłopodiwego źródłosłowu terminu „nazizm", jednoznacznie wskazującego na socjalistyczną proweniencję tej ideologii.

3 Używam określenia „tekst teatralny", bowiem nazwy „dramat" czy „sztuka" wydają się cokolwiek nieadekwatne; zresztą unika ich także lewicowa krytyka.

4 Wspomniana redefinicja pojęć, przesuwanie ich znaczeniowych granic i zastępowanie jednych określeń innymi (do którego to procesu znakomicie pasuje trawestacja hasła reklamowego jednej z marek piwa: „prawie jak synonim") realizowana jest w obszarze kultury zgodnie ze starą zasadą, że rękę można ugotować niepostrzeżenie, o ile tylko wodę podgrzewa się powoli. Ja sam przed kilku laty rozpocząłem współpracę z *niezależnym* czasopismem Ha! art, które gdzieś po drodze stało się pismem *zaangażowanym;* następnie zaś okazało się, że *zaangażowanie* jest równoznaczne z lewicowością. W nowej odsłonie pismo będzie już otwarcie pełnić funkcję kulturalnej przybudówki „Krytyki Politycznej".

5 Pieszczotliwe to określenie funkcjonuje w samym środowisku lewicowym; samo zjawisko nie powinno jednak dziwić, jeżeli tylko zauważymy, że artysta, zwyczajowo zaliczany do kategorii intelektualistów, w istocie funkcjonuje zazwyczaj w świecie pojęć estetycznych i emocjonalnych raczej niż czysto rozumowych i logicznych.

6 Chcę i muszę bowiem podkreślić, że z takimi postaciami nowej lewicy, jak Piotr Marecki, szef „Korporacji Ha! art", obecnie tworzący wydawnictwo „Krytyki Politycznej", czy cytowany wielokrotnie w tym tekście Igor Stokfiszewski, łączą mnie więzy głębokiej, serdecznej, ludzkiej przyjaźni, w najdoskonalszy sposób niezależnej od fundamentalnych różnic światopoglądowych. Zjawisko to, pozornie zaskakujące, wynika z kultywowanej w naszym kręgu, a godnej - jak sądzę - najszerszego rozpropagowania, tendencji do najściślejszego z możliwych oddzielenia wartościowania człowieka i jego czynów od oceny głoszonych przez niego poglądów, wartej zauważenia zwłaszcza w środowisku radykalnie prawicowym, w którym zarzut ideologicznego odstępstwa wiąże się, niestety, zwykle z odrzuceniem personalnym i przypuszczeniem bezpardonowego ataku wymierzonego bezpośrednio w osobę.

Równo w połowie owego wieku ideologii, 16-letniemu Markowi Hfasce matka załatwiła robotę gońca w stoczni rzecznej. Młody, obiecujący prozaik skończył niebawem kurs prawa jazdy i podjął pracę we wrocławskim przedsiębiorstwie transportowym. Później zatrudniony był przy wywózce drewna z lasu, a następnie na budowie w Warszawie, by wreszcie, stawiając swój „pierwszy krok w chmurach", rozpocząć współpracę w filmie.

Się nie należy

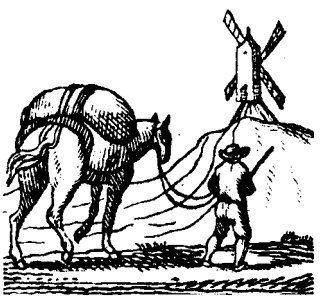

BENIAMIN MALCZYK PESSIMUS

Zamiatam schody prowadzące do
Pałacu Sztuki. Żadna metafora:
autentyczna historia. Dodatkowe pieniądze.
Poezja musi jakoś żyć. Poezja
musi jeść.
Marcin Świetlicki, Etos *pracy*

W pamiętnikach z czasów młodości Władysława Broniewskiego natknąć się można co chwila na barwne opisy codziennego życia tego, początkującego wówczas, poety. Dwudziestoletni Broniewski, walczący na wschodnich frontach w burzliwych czasach kształtowania się granic między Rzeczpospolitą

a raczkującym czerwonym molochem sowieckim, dostawał żołd, z którego wydzielał sumy, starczające na kupno niezliczonych książek oraz bilety do teatrów. Narażał swoje życie w pierwszych szeregach kawalkady, czasem nawet z szaleńczą brawurą, by potem, w trakcie krótkich urlopów, zapolować na miłość i przeżycie to zamknąć w klatce ze słów i lirycznych wyobrażeń. Tak spędził młodość ten przyszły, nieco zagubiony, miłośnik rymowanej techniki pisania wierszy.

Zupełnie inaczej zarabiał na chleb młody Bolesław Prus. Autora *Lalki,* bardziej od teatralnej, interesowała codzienna scena uliczna, na której rozgrywały się dramaty i komedie przeobrażeń Polski końca XIX wieku - ciężkiego czasu kwitnącej industrializacji, której symbolem stały się fabryczne skupiska czerwonoceglastych robotników i spoconych robotnic. Tej właśnie codzienności pisarz przez wiele lat poświęcał swe pióro publicysty i felietonisty warszawskiego „Kuriera". Ćwicząc swój zmysł obserwacji i talent w przelewaniu go na papier, serwował czytelnikom tematy niewygodne i nonkonformistycznie je problematyzował. Swą cotygodniową służbę piórem autor *Kronik* określał jako „robotę parobczą". Prus nie ukrywał trudu i ciężkiej konieczności, także finansowej, którą było dlań dziennikarstwo, ale i nie lekceważył tej formy wypowiedzi. „Tak mi była ważna polska sprawa" - mawiał.

Talent do prowadzenia majątku ziemskiego miał w swej błękitnej krwi uczestnik wielu wojen i bitew epoki napoleońskiej oraz autor przezabawnych memuarów i wielu wierszy patriotycznych, Aleksander hrabia Fredro. Zaskakujący może dziś wydać się fakt, że dla tego wybitnego komediopisarza własne pisarstwo było zaledwie dodatkiem do podstawowych życiowych funkcji wspaniałego męża i ojca oraz człowieka interesu. Młody Fredro zgłębił arkana sztuki zupełnie innej - sztuki gospodarowania, dzięki czemu, z roku na rok, jego dochody rosły. Można, rzecz jasna, powiedzieć, że to żadna sztuka, kiedy już na samym progu dorosłości dziedziczy się rodową posiadłość. Mógłby tak stwierdzić z zazdrością Cyprian Kamil Norwid, któremu po śmierci ojca przyznana została pensja emerytalna, jednak zwłoka z jej wypłatą zmusiła ledwie 18-letniego wówczas poetę do podjęcia starań o zdobycie posady rządowej w stolicy Królestwa Kongresowego. A jednak doprowadzenie podlwowskiej Beńkowej Wiszni do rentowności i stała modernizacja majątku wymagały od autora *Zemsty* ciężkiej pracy. Wszystko to zaś z myślą o zabezpieczeniu rodziny, która stanowiła dlań dobro najwyższe. Stale powiększając

gospodarczy potencjał swojej ziemi, hrabia dawał również pracę okolicznej ludności. Fredro miał też głowę do najprzeróżniejszych operacji finansowych. Wiedział, że pieniądze, będące w ruchu, przynoszą zysk, spoczywające zaś na dnie kufra - stratę, grał więc na giełdzie. Uczciwość łączył Fredro z trzeźwością, kalkulację z wrażliwością, praktycyzm z wyobraźnią. To wielka sztuka.

Żywot bardziej nomadyczny prowadził Władysław Reymont, autor czterotomowych *Chłopów,* gdzie wspaniale opisał barwne życie społeczności wiejskiej na tle cyklicznie rodzącej się i umierającej przyrody. Tragiczne położenie materialne zmusiło go już w wieku 18 lat do wyruszenia w świat. Wędrował z trupą teatralną po miasteczkach, utrzymywał się z marnie płatnej posady na kolei, a nawet kształcił się jako czeladnik krawiecki. I mimo że zdobyte uprawnienia nigdy mu się nie przydały, warszawski cech krawców wmurował na swej siedzibie przy Krakowskim Przedmieściu 41 tablicę pamiątkową ku czci pisarza jako „mistrza krawieckiego". Młodziutki Reymont po cichu pisał swe pierwsze wiersze i nowele. Tak wegetując, miał jednak czas na marzenia i swobodę, konieczną dla rozwoju myśli twórczej. Mając 25 lat, a na koncie cykl drobnych utworów, pisarz zdawał już sobie sprawę z miary swego talentu; wzrastała też jego wola zajęcia ważnej pozycji w świecie literackim. Z żadnym z uprawianych zawodów nie wiązał więc nadziei na przyszłość. Traktował je jako obojętne, doraźne zajęcia, których celem było nie zaspokojenie własnych życiowych ambicji, lecz wyłącznie zdobycie środków egzystencji, niezbędnych do niezależnego, choć głodowego bytowania. Pisał: „żyję jak anachoreta, bez towarzystwa żadnego, bez przyjemności, surowo i ostro, i wstrzemięźliwie". Reymont czerpał dochody także z pracy pisarskiej i reporterskiej, ale od czasu do czasu i z domu coś tam mu listonosz przyniósł, a to od brata, a to od siostry, którzy - doceniając talent kochanego Stasia - zawsze o nim pamiętali. Paradoksalnie, materialne zabezpieczenie przyniosła późniejszemu nobliście katastrofa kolejowa, której padł ofiarą. Odszkodowanie zapewniło spokojną egzystencję Reymontowi, który wkrótce stał się poczytnym i sławnym autorem.

W bardzo ciężkich warunkach nie tyle żył, co właściwie wegetował w wieku młodzieńczym Stefan Żeromski. Osierocony, bez środków do życia, czasem dosłownie nie miał co do garnka włożyć, nieosiągalne dlań bywały nawet chleb i herbata. Musiał więc dorastać bardzo szybko. W tych warunkach jedynym środkiem ratunku i podstawą jego istnienia stało się udzielanie korepe-

tycji. Studiując w Warszawie w Instytucie Weterynaryjnym, Żeromski starał się też o zasiłki i trudnił pracami dorywczymi. Nieregularne odżywianie i częsty głód zmuszają go jednak do przerwania nauki i powrotu do pedagogicznych zatrudnień. Mieszkając na stancji uczniowskiej, pełnił Żeromski funkcję opiekuna najmłodszych, a w czas letniej kanikuły pełnił obowiązki guwernera po szlacheckich dworkach. Jak wiadomo, przymuszanie do nauki głów często tępych, leniwych, krnąbrnych i rozwichrzonych, to zajęcie żmudne. „Obyś cudze dzieci uczył" - mówi gorzkie porzekadło. Dzięki temu mógł jednak poznać środowisko ziemiańskie i chłopskie, co po latach zaowocowało najpiękniejszymi kartami w jego *Popiołach, Wiernej rzece* i *Przedwiośniu.*

Mający do dziś wielu zagorzałych wielbicieli, ceniony za wielkość swej pisarskiej wyobraźni, skromny, prowincjonalny, trochę dewiant, autor książek 0 dojrzewaniu, rodzinnych tajemnicach i tabu, Bruno Schulz przez całe swe dorosłe życie utrzymywał siebie oraz matkę i siostrę ze skromnej pensji, którą pobierał jako nauczyciel rysunku w drohobyckim gimnazjum. Znajomością żadnego fachu nie mógł się natomiast poszczycić współczesny Schulzowi literat, z którym zresztą autor *Sklepów cynamonowych* korespondował, Stanisław Ignacy Witkiewicz. Witkacy był typowym pasożytem: żył na koszt rodziców, czego ojciec nie omieszkał mu wytknąć w jednym z listów. Dopiero w wieku 39 lat, omawiając z dopiero co poznaną Jadwigą Unrug materialną stronę małżeńskiego życia, jakie mieli wkrótce rozpocząć, autor *622 upadków Bunga* podejmuje decyzję o otworzeniu „firmy portretowej". Malowanie cudzych podobizn traktował zawsze jako upokarzające artystę zajęcie zarobkowe, nie mające wiele wspólnego ze sztuką jako taką.

Przeznaczeniem zmagającego się z formą, kościołem międzyludzkim 1 tradycyjną polskością Witolda Gombrowicza, ulubieńca francuskich pięknoduchów, okazała się egzystencja emigranta. Przepłynąwszy transatlantykiem ocean, z początku nosił ciężary w porcie, by wkrótce wylądować na urzędniczej posadce w argentyńskim Banco Polaco. Znany z ekscentrycznych upodobań pisarz bynajmniej nie z własnego wyboru, lecz z ekonomicznej konieczności, mieszkał w najtańszych hotelikach, czasem wręcz ruderach. Nie ukrywał jednak, że dzięki skupiającemu się wokół niego w tych warunkach towarzystwu, wchodząc w smugę cienia, bardzo odmłodniał - tak pod względem psychicznym, jak i fizycznym. Gombrowicz dla zarobku pisywał też felietoniki do gazet, a w „La Nacion" opublikował kilka obszerniejszych

artykułów. Po zdobyciu pisarskiej sławy mógł wrócić do Europy i utrzymywać się już wyłącznie z pióra.

Niezwykle bogaty życiorys zawodowy miał Zbigniew Herbert. Miłośnik starożytności klasycznej należał do pokolenia, które w trudnym okresie dojrzewania musiało zmagać się nie tylko z problemami metamorfozy chłopca w mężczyznę, lecz i z totalitarnymi metodami przekształcania żywego człowieka w numer w kartotece. W czasie niemieckiej okupacji Lwowa nastoletni Herbert zarobkował jako karmiciel wszy, które przystawiano mu głodne w małej klateczce do nogi lub ręki, w produkującym szczepionki przeciwtyfusowe instytucie profesora Weigla. Trudnił się też handlem jako sprzedawca w sklepie z wyrobami metalowymi. Po wojnie zakres nabytych przezeń fachów rozszerzył się o kalkulatora-chronometrażystę w Inwalidzkiej Spółdzielni Emerytów Nauczycieli „Wspólna Sprawa", starszego asystenta w Centralnym Biurze Studiów i Projektów Przemysłu Torfowego „Torfprojekt", ekspedienta w sklepie, kierownika administracyjnego w biurze Związku Kompozytorów Polskich. Pracował także w gdańskim radiu, w redakcji „Przeglądu Kupieckiego" i w Narodowym Banku Polskim. Oczywiście, jeszcze zanim w wieku 30 lat zadebiutował jako poeta, udzielał się Herbert publicystycznie, pisząc artykuły, recenzje i felietony do prasy warszawskiej i krakowskiej.

Zrodzona w krwawej walce i bólach zgniecionych ofiar powojenna nowa rzeczywistość stawiała przed młodymi ludźmi nowe wyzwania. Ludowa demokracja wymagała od obywateli posłuszeństwa i gotowości do poświęceń. Nowy człowiek, niesiony falą współzawodnictwa pracy, wyzbyty był uczuć i pasji barwy innej niż jego szary roboczy drelich. Pozostawała mu praca, pełnienie swej roli kółka w mechanizmie, ogromnego jak pół świata, kombinatu. Wymagające wielu wysiłków załatwianie produktów pierwszej potrzeby stanowiło omalże jedyną formę kontaktu interpersonalnego. Równo w połowie owego wieku ideologii 16-letniemu Markowi Hłasce matka załatwiła robotę gońca w stoczni rzecznej. Młody, obiecujący prozaik skończył niebawem kurs prawa jazdy i podjął pracę we wrocławskim przedsiębiorstwie transportowym. Później zatrudniony był przy wywózce drewna z lasu, a następnie na budowie w Warszawie, by wreszcie, stawiając swój „pierwszy krok w chmurach", rozpocząć współpracę w filmie.

W przededniu październikowej odwilży w krakowskim „Dzienniku Polskim" podejmuje pracę jako dziennikarz Andrzej Bursa, który niedługo

wcześniej, jeszcze jako uczeń szkoły średniej, debiutował w tejże gazecie krótką recenzją teatralną. Przechodzi zwykłą drogę kariery dziennikarskiej, pracując kolejno w kilku działach: rolnym, reportażowym, kulturalnym. Nie znosi tego, męczy się, ale jego sytuacja jest ciężka. Nie widzi innego wyjścia, zaciska więc lewą pięść, a prawą zrywa maski autorytetom. Przełomowy w powojennych dziejach rok 1956 jest dlań rokiem wielkiej aktywności na polu twórczym. Bursa współpracuje z teatrem Tadeusza Kantora „Cricot *2",* publikuje wiersze, nawiązuje kontakty z twórcami „Piwnicy Pod Baranami", bierze aktywny udział w życiu młodoliterackim, współpracuje z pismem „Zebra". Jednocześnie jest przykładnym mężem i ojcem. Wkrótce jednak umiera, mając zaledwie 25 lat.

W tym samym czasie zatrudniony w Spółdzielni Ogrodniczej w Aleksandrowie Kujawskim jako pracownik fizyczny 19-letni Edward Stachura zbija drewniane skrzynki. Rok później niewielkie sumy i honoraria za druk swoich utworów uzupełnia o żebraninę. Publikuje opowiadania, chodzi po ludziach, zaczyna pić. Mając 24 lata, przyszły autor *Się* prowadzi już własną rubrykę w czasopiśmie.

BENIAMIN MALCZYK PESSIMUS

O ile wiadomo, jakiej nowej lewicy nie chcieliby jej potencjalni zwolennicy i sympatycy, a nie chcieliby zapewne jakiejś mutacji SLD, to już znacznie trudniej przychodzi im dookreślić, jaki kształt ideowy i programowy powinna mieć owa nowa lewica. Argumentacja „przeciw" jest dosyć klarowna, natomiast argumentacja „za" - to jest, choćby pośrednio, wyrażane sformułowanie racji, składających się na projekt życia społecznego nowej lewicy - stanowi dla obserwatorów nie lada łamigłówkę.

NIECH NIE WIE

TWOJA LEWICA!

TOMASZ OCHINOWSKI, JERZY JAGODZIŃSKI

Spojrzenie z retorycznej perspektywy

W dokumentach IPN można znaleźć z pozoru zabawną, prawdziwą historyjkę, jaka wydarzyła się w połowie lat 70. ubiegłego stulecia. W jednym z prowincjonalnych szpitali ubecy chcieli zlikwidować kaplicę dla chorych. Jednak pacjenci tego szpitala czynnie przeciwstawiali się tym planom. Kiedy tylko

bezpieczniacy rozebrali ołtarz, na ogół w nocy, nazajutrz pojawiał się nowy, przy którym można było odprawiać mszę. Pewnego razu szef powiatowej ubecji nakazał ukaranie krnąbrnych „obywateli". Zadysponował, aby na oddziale, przy którym znajdowała się kaplica, przez cały tydzień nie podawano chorym na podwieczorek kawy oraz bułki z dżemem.

Opowiedzieliśmy tę historyjkę jednemu ze znajomych, przyznającemu się do sympatii do nowej lewicy. Wzruszył nieco ramionami i powiedział: „Postępowanie ubeków było głupie, ale z drugiej strony, już wtedy Kościół chciał mieć monopol na rząd dusz."

Oczywiście, trudno uznać, że ten komentarz odzwierciedla opinię w pełni reprezentatywną dla całej nowej lewicy. Ale jeśli dziś zastanawiamy się nad tym, co stanowić może wyróżnik omawianej formacji, to przychodzą na myśl przede wszystkim mocno zacietrzewione postawy antyreligijne, ubrane w antyklerykalną retorykę. Zachowania grupy wierzących katolików, broniących prawa do zaspokajania swoich potrzeb religijnych, zostały przez naszego rozmówcę jednoznacznie zinterpretowane jako wyraz - czy raczej jako skutek - ekspansji instytucji Kościoła w przestrzeni publicznej. Jakże to odległe od zapamiętanych z dzieciństwa przez jednego z nas wspomnień o jego dziadku - robotniczym działaczu PPS-u, który śpiewał następującą piosenkę: „«Pepeesowiec» wierzy w Matkę Boską, a narodowiec w mateczkę Kozłowską". Podobnie, cytowany zwolennik nowej lewicy, nie słyszał zapewne o dyskutowanym w kręgach religioznawców powiedzeniu, iż przeciętny Polak jest bardzo religijny po matce i bardzo antyklerykalny po ojcu, ani o wspierających to twierdzenie tekstach amerykańskiego socjologa Jose Casanovy na temat niezwykłej odporności społeczeństwa polskiego wobec procesów radykalnej sekularyzacji.

Przytoczona anegdota z doświadczeń IPN dobrze ilustruje specyfikę języka, używanego przez niektórych przynajmniej przedstawicieli nowej lewicy do opisu rzeczywistości społecznej. Wyznacza ona jednocześnie perspektywę, jaką proponujemy Czytelnikom przy publicystycznej analizie wspomnianego nurtu myślenia politycznego. Należy spojrzeć na zjawisko nowej lewicy przez pryzmat tzw. retorycznego nurtu w naukach społecznych, rozwijanego, głównie na zachodzie Europy, od przynajmniej kilkunastu lat. Michael Billig z brytyjskiego Uniwersytetu Loughborough, jeden z najbardziej reprezentatywnych przedstawicieli podejścia retorycznego, zaproponował - wraz

ze współpracownikami - oparcie psychologii społecznej na studiach nad językiem, ze szczególnym uwzględnieniem logiki i funkcji argumentowania. Wspomniani badacze wychodzą z założenia, że dyskutowanie, formułowanie argumentów, jest jedną z najważniejszych cech człowieka, odróżniającą go od świata zwierząt. Analizując argumenty, pojawiające się w dyskusjach zarówno prywatnych, jak i publicznych, możemy wiele dowiedzieć się i o poszczególnych ludziach, i o szerszych zbiorowościach. Analiza retoryczna szczególnie przydaje się przy badaniach ideologii i pamięci zbiorowej. Jak lapidarnie rzecz ujął jeden z kolegów Billiga, John Shotter

> nasze sposoby mówienia o przeżywanych przez nas doświadczeniach nie zmierzają przede wszystkim do wyjaśnienia natury tych doświadczeń samych w sobie, lecz do wyjaśnienia ich po to, by konstytuować i utrzymywać taki lub inny rodzaj porządku społecznego.

Patrząc z tej perspektywy, zrozumiałe jest, iż wśród znacznej części elit politycznych III lub IV Rzeczpospolitej, jak kto woli, dominuje pogląd, że postkomunistyczna lewica, zarówno ze względu na swoją przeszłość w PRL-u, ale także z powodu jej wątpliwej jakości „osiągnięć" już w nowej, posierpniowej Polsce, powinna znaleźć się na śmietniku historii. Kapitalizm polityczny, którego ojcem był Aleksander Kwaśniewski, bezprecedensowe związki władzy ze środowiskiem przestępczym, psucie państwa, podejrzane prywatyzacje, wraz z planami pozbycia się wpływu państwa na kluczowe, z punktu widzenia interesów kraju, obszary polskiej gospodarki, obecność ludzi służb specjalnych w ważnych miejscach gospodarki i strukturach polityki, to tylko niektóre fakty, składające się na lewicowy horror, którego byliśmy świadkami. Jeśli dodamy do tego jeszcze, rzekomo typowy dla lewicy europejskiej, projekt wprowadzenia podatku liniowego (tutaj nominację do ekonomicznego Oskara należałoby przyznać Leszkowi Millerowi), to mamy tylko cząstkę wyobrażeń o tym, jak postkomunistyczna lewica chciała realizować swój wyrazisty ideowy projekt sprawiedliwości społecznej.

W tej sytuacji, tęsknota do nowej lewicy wydaje się w niektórych kręgach polskiej inteligencji, choć nie tylko inteligencji, czymś naturalnym. Jednak istnieje pewien zasadniczy problem. O ile wiadomo, jakiej nowej lewicy nie chcieliby jej potencjalni zwolennicy i sympatycy, a nie chcieliby zapewne ja-

kiejś mutacji SLD, to już znacznie trudniej przychodzi im dookreślić, jaki kształt ideowy i programowy powinna mieć owa nowa lewica. Argumentacja „przeciw" jest dosyć klarowna, natomiast argumentacja „za" - to jest, choćby pośrednio, wyrażane sformułowanie racji, składających się na projekt życia społecznego nowej lewicy - stanowi dla obserwatorów nie lada łamigłówkę.

Kadr z filmu „Znaki czasu". Reż. Emanuele Gierkoska. Główna bohaterka, Rita (Kozelota Nyszynes), sprawiając rybę deklamuje międzynarodówkę.

Jak się wydaje, nie ma żadnego oficjalnego dokumentu, czy nawet zasadniczego zarysu programowego ugrupowania, sytuującego się na lewo od SLD. Można wskazać jedynie na jego pewne odizolowane fragmenty. Znamy główne punkty programowe ugrupowań ekologicznych, czy tzw. Zielonych, wiemy, na co stać te grupy, gdy idzie o protesty w obronie środowiska naturalnego. Nie trudno było zauważyć aktywność osób, związanych z mniej lub bardziej radykalną lewicą w sprawie tolerancji dla kochających inaczej. Wreszcie, można założyć, że nowi, młodzi lewicowi działacze, choć stronią oficjalnie od kontaktów ze starą lewicą postkomunistyczną, to jednak mocno identyfikują się z nią, gdy trzeba silnie zaakcentować postawę antyklerykalną. Tak było na przykład w czasie jednego z wieców, na którym posłanka SLD - Joanna Senyszyn szydziła z papieża. Nie słychać było, aby ktokolwiek z nowej lewicy odciął się od tej kultury politycznej, której spadkobierczynią jest dzisiejsza postkomunistyczna lewica.

Jeśli ktokolwiek miałby podejrzenia, że piszemy te słowa, bowiem mamy awersję do wszystkiego, co symbolizuje kolor czerwony, a z uporem maniaka bronimy wszystkiego, co wiąże się z kolorem czarnym, to głęboko się myli. Po prostu próbujemy analitycznie, aczkolwiek tylko na poziomie publicystycznym, ująć perspektywy rozwoju nowej lewicy na polskiej scenie politycznej. Naszym zdaniem, wynikającym z zasygnalizowanego wcześniej podejścia retorycznego, aby taka, lewica mogła stać się istotną siłą polityczną, to powinna udzielać odpowiedzi na fundamentalne pytania, ważne w dyskursie

społecznym dzisiejszej Polski. Pytania te dadzą sprowadzić się przynajmniej do trzech zasadniczych kwestii: do oceny dziedzictwa i dorobku PRL-u, sposobu realizacji postulatu sprawiedliwości społecznej oraz dylematów, wobec których stoi Polska w jednoczącej się Europie.

Przyjrzymy się zatem argumentom, formułowanym przez nową lewicę, odnośnie wspomnianych trzech obszarów zagadnień. W ten sposób - naszym zdaniem - zgodnie z podejściem retorycznym, wyrazista stanie się tożsamość tej formacji.

Pytanie pierwsze: Jak należy ocenić dziedzictwo i dorobek PRL?

Oczywiście, można ograniczyć się do analizy formułowanych od czasu do czasu przez przedstawicieli dyskutowanej formacji banalnych ogólników - a to na temat ograniczonej suwerenności, a to o krachu polityki gospodarczej czy represyjności tamtego systemu. Wystarczą one jako retoryczny materiał, ujawniający tożsamość środowisk nowej lewicy. W takim razie jednak mówić należałoby jedynie o swoistej „tożsamości rozmytej", dość powierzchownej, tak naprawdę nie wyróżniającej się niczym; czy więc w ogóle będącej jakąkolwiek tożsamością ideową? Tymczasem problem jest znacznie głębszy. Psychologowie retoryczni pokazali ponad wszelką wątpliwość, iż nie da się uciec od historii. Zbiorowe pamiętanie, czyli proces dyskutowania w danym środowisku koncepcji przeszłości i jej sensów, stanowi rodzaj „instytucji społecznej". Jest czynnikiem niezbędnym dla poczucia tożsamości oraz integracji mniejszych czy większych grup:

> Nie jest właśnie tak, że ten, kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość, ale [jest tak, że] ten, kto kontroluje przeszłość, kontroluje to, kim jesteśmy,

jak rzecz lapidarnie sformułowali kolejni współpracownicy Billiga - David Middleton i Derek Edwards. Rozmowy na temat czasu minionego, prowadzone między sobą przez członków zbiorowości przy pomocy „wynegocjowanego" języka, stają się właśnie treścią zbiorowego pamiętania.

Jak dotychczas, formacja nowej lewicy nie ujawniła szerszej publiczności zawartości rozmów tego typu. Trudno więc powiedzieć, w oparciu o jakich

patronów buduje ona swoją tożsamość. Czy chce odwoływać się do tradycji symbolizowanej postacią Kazimierza Pużaka, czy raczej Jacka Kuronia; liberałów komunistycznych w rodzaju Tadeusza Fiszbacha, czy ludzi tworzących środowisko czasopisma „Polityka"? Szczególnie pierwsza z wymienionych przez nas przykładowo osób wydaje się być szczególnie ważna. Wbrew bowiem obiegowej opinii, w Europie Środkowo-Wschodniej prehistoria nowej lewicy nie zaczęła się wraz z rokiem 1968. Sięga czasów nieco bardziej odległych, mianowicie lat stalinowskich, zakreślonych datami 1944-1956. Właśnie wtedy totalitarna władza zawłaszczyła lewicową tradycję, jednocześnie niszcząc - poprzez bezprecedensowe represje - rzeczywistych jej kontynuatorów. Pośrednio, choć bez używania tej nazwy, zawłaszczona została również sama kategoria „nowa lewica". Przecież stalinowska propaganda ówczesny aparat ideologicznego (i nie tylko ideologicznego) terroru kreowała na jedynego spadkobiercę postępowych nurtów polskiej myśli politycznej, którym to nurtom nadawała właśnie „nowy", ostatecznie spełniony sens. Warto przypomnieć choćby, opisany przez Leopolda Tyrmanda, numer „Trybuny Ludu" z 11 marca 1954 roku, zawierający portrety sławnych Polaków z przeszłości, którzy, gdyby żyli współcześnie, to należeliby do PZPR. Znaleźli się w tym gronie między innymi Kościuszko i Lelewel. Równocześnie stalinowskie kazamaty zapełniali przedstawiciele lewicy, odmawiający współpracy z komunistycznym reżimem. Literacki obraz ideowego dramatu lewicowców tamtego okresu interesująco przedstawił Janusz Krasiński. Jeden z bohaterów jego powieści *Na stracenie,* socjalista Obarski, tak poucza w więziennej celi kolegę, przybyłego świeżo zza granicy:

> Dzisiaj, drogi panie, system... on wszystko zohydzi. Nawet tak piękną ideę, jak antyklerykalizm. Skorumpuje, zserwilizuje... w końcu wstyd się do niej przyznać.

Najbardziej tragicznym symbolem losu lewicowości zniszczonej przez stalinizm pozostaje, oczywiście, przykład wspomnianego już Kazimierza Pużaka. Ten, niewątpliwie najwybitniejszy przedstawiciel nonkonformistycznej powojennej lewicy polskiej, mający doświadczenie jeszcze carskiego więzienia, po 1944 r. był z premedytacją dręczony najpierw przez NKWD na Łubiance, a potem przez komunistów w więzieniach na terenie Polski, w których stracił

życie. Charakterystyczne, że ani po 1956 roku, ani po 1989 nie odrodziły się w znaczący sposób dwa nurty myślenia politycznego, których środowiska zostały unicestwione przez stalinowskie represje. Chodzi o radykalny katolicyzm społeczny, reprezentowany przez głównych publicystów „Tygodnika Warszawskiego" oraz właśnie tradycje PPS-u. Przy czym, trudno oczywiście oczekiwać „odgrzewania" rozważań sprzed 50 lat. Szkoda jednak, że nie ma kontynuacji na poziomie najgłębszym, na poziomie inspiracji ideowej, właśnie tożsamościowej. Przeszłość nie została bowiem zniszczona bezpowrotnie. Jak trafnie zauważył amerykański historyk, zainteresowany naszą częścią świata, Rubi Watson, „sanktuaria pamięci" stanowiły ważny element opozycji wobec systemu komunistycznego przez cały okres jego panowania. Zawężając tę uwagę zachodniego badacza do dziejów lat stalinowskich w Polsce, warto postawić pytanie o rzeczywistych bohaterów historii społecznej tego okresu, w przeciwieństwie do postaci kreowanych przez propagandę czy „państwowotwórczą" historiografię.

Nie jest jednak znany przypadek, iżby nowa lewica przywoływała, na przykład, więzienne losy Kazimierza Pużaka, sygnalizując przez to klarowne wskazania moralne, dotyczące zachowań w warunkach skrajnego naruszania praw człowieka, a także swe głębokie zakorzenienie w tradycji obrony marginalizowanych środowisk patriotycznych. Czyżby, może nieco upraszczając, wystarczało tu nowej lewicy ostentacyjne wspieranie postulatów homoseksualistów i udział w manifach na ich rzecz?

Szerzej rzecz ujmując, bez dyskusji o swych ideowych korzeniach, bez zmierzenia się z tak naprawdę jeszcze nie przepracowanym intelektualnie historycznym dziedzictwem zawłaszczania pojęcia nowości w kontekście lewicowości (tu kłania się, na przykład, sprawa wspominanego już przez nas wielokrotnie antyklerykalizmu, jakich tradycji jest on rozwinięciem bądź kontynuacją?), nowa lewica tylko dezinformuje swoich obecnych lub potencjalnych sympatyków, a - *de facto* - także samą siebie. Bezpośrednio wiąże się z tym zagadnieniem inna sprawa. Nie jest nam znane zasadnicze stanowisko nowej lewicy wobec lustracji. I znów, trudno uznać za wystarczające do poznania poczucia tożsamości omawianego środowiska wyjaśnienie, że „oszołomy" prawicowe niszczą polską demokrację, a Trybunał Konstytucyjny ma rację w sprawie ustaw lustracyjnych. Ciekawi nas, jak nowa lewica ocenia stan wojenny i jego reperkusje dla państwa. Czy potrafi jednoznacznie

nazwać i ocenić okres rządów generała Jaruzelskiego? Czy - pytamy dalej - pułkownik Kukliński (używając kolejnego przykładu postaci - symbolu) jest dla niej bohaterem czy zdrajcą? Czy matki synów z „Wujka" mają prawo do elementarnego zadośćuczynienia, czy ich kaci powinni pobierać emerytury, gwarantujące im spokojny byt? I znów, można obejść tę sprawę, na przykład poprzez argumentację o prawach nabytych lub potrzebie spojrzenia naprzód, a nie do zakamarków mrocznej przeszłości; można nieco zdystansować się od tragicznych doświadczeń późnego komunizmu. Ale są to argumenty, określające taką tożsamość, jaką już skądinąd znamy. A jeśli tak, to użycie przymiotnika „nowa" (lewica) byłoby psychologiczną, być może nieświadomą, uzurpacją.

Brak odpowiedzi na powyższe, naszym zdaniem centralne dla publicznego dyskursu we współczesnej Polsce, pytania, sporo mówi o języku „wynegocjowanym" - by znowu przywołać terminologię podejścia retorycznego na terenie psychologii społecznej - wewnątrz środowisk nowej lewicy. Jak podkreśla Billig, język „jest zarówno ekspresywny, jak i represyjny". Aby mówić w sposób, zgodny ze standardami wypracowanymi przez dyskusje w danym środowisku, konieczne jest nauczenie się rutynowego tłumienia chęci mówienia „nieodpowiednio". W każdym kontekście społecznym, a więc także w ramach każdej formacji ideowej

> występują normy i ustalone porządki, które dopuszczają określone działania dyskursywne [czyli sposoby mówienia, poruszanie i realizacje danych tematów itp. - przyp. TO i JJ], a innych zabraniają.

Być może, w wypadku nowej lewicy mamy do czynienia z tożsamością „unikową", tożsamością grupy, która samą siebie sytuuje (znowu nie rozstrzygamy, czy i na ile świadomie) na obrzeżach głównych problemów ideowych polskiego społeczeństwa, paradoksalnie pretendując równocześnie do odegrania roli znaczącej siły politycznej. Trochę, ale podkreślamy, tylko trochę przypomina to mentalność, charakterystyczną dla grup kultowych, potocznie, aczkolwiek bardzo nieprecyzyjnie nazywanych sektami. Z psychospołecznej perspektywy, środowiska tego typu stanowią wyzwanie kontrkulturowe wobec kultury „panującej". Rzadko, ale udało się to na przykład chrześcijaństwu, które „startowało" właśnie jako typowe mniejszościowe środowisko

kultowe. Zdarza się, iż sekta narzuca otoczeniu swój projekt ideowy i zmienia dominującą kulturę. Czyżby - *toutes proportions gardees* - podobne były marzenia nowej lewicy odnośnie polskiej sceny politycznej? Jest tylko jedno, ale za to niezbyt małe „ale". Jak już wskazywaliśmy kilkakrotnie, bardzo trudno jest nam znaleźć zasadnicze pozytywne elementy projektu nowej lewicy, które określałyby specyfikę tej formacji i odpowiadały na istotne potrzeby społeczne. „Unikowość" tożsamości omawianego środowiska dotyczy bowiem nie tylko ideowych problemów polskiego społeczeństwa, ale także bardzo praktycznych problemów, związanych z wyzwaniami współczesności, takimi jak kwestia sprawiedliwości społecznej oraz integracji europejskiej.

Pytanie drugie: W jaki sposób należy zrealizować postulat sprawiedliwości społecznej?

Nie sposób otrzymać odpowiedź na to pytanie, bez jasnego postawienia dylematu: ile państwa, a ile rynku w gospodarce i polityce społecznej? Przykład, narzucający się sam, gdy piszemy niniejszy tekst - strajk pracowników służby zdrowia. Nie widać, aby nowa lewica dystansowała się od spektakularnych dowodów hipokryzji lewicy SLD-owskiej, tak jak było w przypadku wizyty pani prezydentowej Kwaśniewskiej na polu namiotowym strajkujących, zdesperowanych pielęgniarek.

Ale jest coś jeszcze bardziej zastanawiającego - brak, ze strony nowej lewicy, jakiegokolwiek planu rozwiązania problemu reformy w służbie zdrowia. Jasne, można mówić, że media są dla nowej lewicy nieżyczliwe, więc i tak nie można byłoby się przebić z takim projektem. Jednak stanowiłoby to, oczywiście, kolejną odmianę „tożsamości unikowej": „nie chcą nas słuchać, to nie będziemy rozmawiać".

Pustka programowa nowej lewicy dotyczy także i wielu innych obszarów życia gospodarczego i społecznego. Uprzejmie prosimy o pokazanie - nie tylko nam - dokumentu omawianej formacji, w którym ukazano by jej stosunek do centralnego problemu obecnej sytuacji gospodarczej Polski - prywatyzacji. Czy nowa lewica uważa zasadniczy udział prywatnej własności jako nieodzowny warunek postępu gospodarczego i społecznego? I jak, w takim razie, patrzy na tendencje etatystyczne, wyraźnie dominujące w filozofii i praktyce części elit prawicowych?

Te pytania pozostają bez odpowiedzi.

Jeden obszar sprawiedliwości społecznej jest jednak, w aspekcie zaangażowań analizowanego środowiska, bardzo wyrazisty. Chodzi o prawa homoseksualistów, zdaniem przedstawicieli nowej lewicy, traktowanych w polskiej rzeczywistości bardzo niesprawiedliwie (ocena prawdziwości takiego postawienia sprawy daleko wykracza poza tematykę naszego tekstu). Fakt wyboru problematyki tego właśnie środowiska, jako jednego z centralnych przedmiotów zainteresowania, dostarcza interesujących danych do analizy poczucia tożsamości nowej lewicy. Homoseksualizm jest bowiem zarówno zjawiskiem biologicznym, psychologicznym oraz społecznym, jak i ideologicznym. Pomijając szczegóły fachowych dyskusji, warto przypomnieć, iż geneza zachowań homoseksualnych do dziś pozostaje tajemnicą. Nie wiadomo, jak ostatecznie współdziałają ze sobą czynniki: genetyczny i społeczny, jaka jest natura tych interakcji, jaka ich dynamika, itp. Miesięcznik „Forum" przypomniał niedawno, kluczowe dla tej problematyki, podsumowanie aktualnego stanu wiedzy, sformułowane przez Glen Wilson:

> Rolę odgrywa zarówno stres, jak i hormony płciowe (...). Ale daleko nam jeszcze do tego, by naprawdę zrozumieć te procesy i nikt nie umie nimi sterować.

Najwyraźniej we współczesnej kulturze homoseksualizm jest tajemnicą, którą trudno udźwignąć, zracjonalizować, oswoić. Jako taki, łatwo podlega ideologizacji. W przeciwieństwie do natury zachowań homoseksualnych, sporo już dzisiaj wiemy na temat ich funkcji kulturowych. I tak na przykład Theodore Zeldin, brytyjski badacz dziejów, autor *Intymnej historii ludzkości,* zwraca uwagę, iż od XIX wieku homoseksualizm jest traktowany jako swoista „epifania kulturowa", jako nośnik wartości, dramatu i nowości. Taki sposób myślenia jest szczególnie nasilony od lat 90. ubiegłego stulecia. Przybiera wręcz charakter apostolatu, oręża rewolucji świadomościowej.

> Nasza bezdzietność, nasza minimalna odpowiedzialność - pisał cytowany przez Zeldina Edmund White - to, że nasze związki nie są konsekrowane, a nawet samo nasze wycofywanie się do gett homoseksualistów w poszukiwaniu ochrony i wolności (...) sprzyjają wy-

kształcaniu się stylu, pozwalającego nam eksplorować - nawet wbrew naszym świadomym intencjom - rzeczy, które pewnego dnia okażą się użyteczne dla heteroseksualnej większości.

Już kilkanaście lat temu badacze życia codziennego poddali w wątpliwość cytowane marzenia (warto w tym kontekście zajrzeć choćby do polskiego przekładu niezwykle wyważonego podręcznika *Historia życia prywatnego,* t. 5, pod redakcją Antoine'a Prosta i Gerarda Vincenta). Apostolski impet najwyraźniej jednak pozostał. Tak naszym - publicystycznym - zdaniem rozwinął się „homoseksualizm ideologiczny", ruch kulturowy niewiele mający wspólnego z rzetelnymi badaniami i spokojną refleksją społeczną nad fenomenem homoseksualizmu. Ten różnorodny ruch cechuje krzykliwość, trywializacja miłości erotycznej, problemy z szacunkami ilościowymi oraz domaganie się dyskusyjnych przywilejów, jak na przykład prawo adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Jesteśmy dalecy od przypisywania nowej lewicy niecnych intencji instrumentalizowania problematyki, związanej z homoseksualizmem. Niemniej jednak, aktywne włączenie się omawianej formacji w nurt „homoseksualizmu ideologicznego", a wręcz uczynienie go jednym z najbardziej wyrazistych przejawów aktywności na płaszczyźnie sprawiedliwości społecznej, nasuwa nieodparte skojarzenie z dobrze znanym, opisywanym wielokrotnie przez psychoanalityków mechanizmem kompensacji. „Nasza tożsamość, podobnie jak tożsamość homoseksualistów, dziś jest marginesowa, bo represjonowana, ale stanowi ona „pieśń przyszłości" - zdaje się mówić retoryka nowej lewicy.

Na zakończenie wróćmy jednak do teraźniejszości.

Pytanie trzecie: Jak nowa lewica widzi Polskę w jednoczącej się Europie?

Nie oczekujemy od nowej lewicy odpowiedzi na pytania szczegółowe, dotyczące, na przykład, potrzeby wprowadzenia euro w Polsce, czy, szerzej, zarysowania perspektywy dochodzenia do takiego rozwiązania. Wymagałoby to od niej zaplecza eksperckiego, a takiego nowa lewica, gdy idzie o obszar ekonomii, chyba* nie posiada. Tym bardziej, że rzetelne rozważanie nad

problemem wspólnej waluty europejskiej wymagałoby ustosunkowania się do kwestii, związanych z uzdrowieniem finansów publicznych, z tempem zmian możliwych w nich do zaakceptowania, itp. Ale to wszystko są dylematy o charakterze szczegółowym, jak rozumiemy, leżące poza poczuciem tożsamości nowej lewicy. Pozostaje jednak całe *spectrum* kulturowych aspektów integracji europejskiej. Tu narracja nowej lewicy bywa bardzo wyrazista, choć nadal trudna do pogłębionej interpretacji. W jaki sposób omawiana formacja ideowa chce unowocześnić „polski zaścianek"? Czy głównie poprzez otwieranie się Polski na prądy laickie i import wzorców kulturowych, pozostających w sprzeczności z dominującym nurtem polskiej tradycji i kanonem akceptowanych wzorców etycznych?

Nie pytamy o ocenę potrzeby otwierania się na nowe zjawiska kulturowe, czy upowszechnianie takich wartości, jak szacunek dla odmienności religijnej, obyczajowej bądź preferencji seksualnych. W tych dziedzinach postulaty nowej lewicy są klarowne, wyraźnie budują jej tożsamość jako formacji, różniącej się ideowo od innych.

Warto natomiast pytać o sposób rozumienia przez nową lewicę pojęcia tolerancji, różnorodności światopoglądowej i - jak sama nieraz to nazywa - zerwania z ciemnogrodem. Wreszcie - znowu wracając do poziomu „skrzeczącej rzeczywistości" - jakie jest stanowisko nowej lewicy wobec rzeczywistych dylematów polskiej polityki zagranicznej? Nie wystarczy przecież oskarżać część elit prawicowych, w szczególności tych z PIS-u, o rusofobię i nastawienie skrajnie antyniemieckie - to zbyt proste, nawet do tego, by budowało względnie trwałą tożsamość ideową środowiska. Nie wystarczy także politykę amerykańską, w szczególności tę w Iraku, potępiać w czambuł. Także pani minister Fotyga i jej umiejętności dyplomatyczne mogą stać się przedmiotem łatwej krytyki.

Znacznie ciekawszy, jak mamy nadzieję - nie tylko dla nas, jest spory deficyt myśli programowej nowej lewicy wobec szans i zagrożeń, przed jakimi stoi Polska we współczesnym świecie. Czy niezbędną modernizację Polski można - upraszczając - przeprowadzić w oparciu o sojusz z konserwatywną Ameryką czy też liberalną Europą? Dla nowej lewicy nie jest to, jak się zdaje, dylemat iluzoryczny. Zresztą nie tylko dla niej. Nawet lewicowy rozum mówi, że bez Ameryki się nie obejdziemy, ale wstrętnego Busha nie chcemy znać. Za to Europa jest piękna," nowoczesna i otwarta, prawie cała pójdzie do nieba: fe

- co mówimy - do salonu ziemskiej doskonałości, ale w sprawach bezpieczeństwa trudno na niej polegać... Może więc w tym obszarze problemowym leży szansa na „odmarginalizowanie" tożsamości nowej lewicy? Na razie szansa.

Nowa lewica w Polsce mogłaby uzyskać należne jej miejsce na scenie politycznej. Przede wszystkim dlatego, że w każdej demokracji liberalnej istnieje naturalne zapotrzebowanie na przeciwstawne i rywalizujące ze sobą nurty ideowo-polityczne, wyrastające ze społecznych potrzeb, suwerenne i wiarygodne. W Polsce brakuje lewicy innej niż ta, którą znamy, czyli lewicę postkomunistyczną. Jednak wiele wskazuje na to, że tak się nie stanie. Lewica ma niewielkie szanse, aby znaleźć się w głównym nurcie polskiej polityki. Z powodów, o których piszemy, będzie - najpewniej potrzebnym - jednak raczej marginesem intelektualnym. Na własną prośbę i w wyniku własnej retoryki.

TOMASZ OCHINOWSK1

JERZY JAGODZIŃSKI

W niniejszym artykule autorzy wyrażają wyłącznie swoje prywatne poglądy. Patrz: noty o autorach.

Rewolucja przenosi się na teren kultury i na tym poziomie odtwarza podział na lewicę i prawicę. W rewolucji kulturalnej chodzi już nie o życie, lecz o styl życia, i nie o władzę, lecz o prestiż. Wygrywa nie ten, kto zapanuje nad wojskiem i wyprowadzi lud na ulicę, lecz kto narzuci modę. „Prawa człowieka" wchodzą, oczywiście, w obręb zainteresowań postmodernistycznej lewicy, ale jako prawa modnego człowieka.

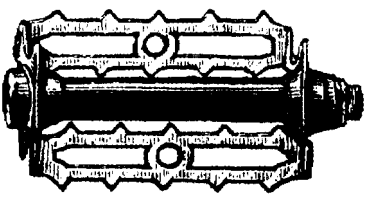

Lewica i prawica

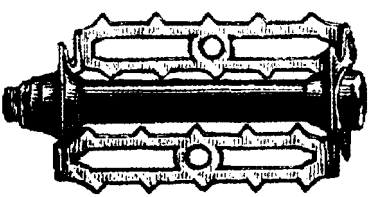

- KONIEC HISTORII -

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

Na początku był chaos; mgławica pragnień, konfliktów, walk mniej lub bardziej krwawych, marzeń mniej lub bardziej naiwnych, dążeń do władzy mniej lub bardziej uprawnionych, uwielbienia władzy lub nienawiści do niej, poglądów na winę i zasługę, na prawomocność i uzurpację. I przyszła Wielka Rewolucja Francuska i rzekła: niech się stanie porządek. I oddzieliła lewicę od prawicy. Od tego czasu wszystko, co sprzyja rewolucji, co ją pobudza, co ją usprawiedliwia, nazywa się lewicą, zaś to, co jej się sprzeciwia, co ją tamuje i ogranicza, nazywa się prawicą.

Nie można zrobić trzech kroków w myśleniu o lewicy, jeśli się nie weźmie pod uwagę, że powstała ona z rewolucji i dzięki kolejnym rewolucjom się odnawia. Gdy minione rewolucje, zwłaszcza te o uniwersalnym oddziaływaniu - jak francuska i rosyjska - są źle wspominane, gdy umacnia się pogląd, że w swoich skutkach były jałowe lub katastrofalne, gdy nowych rewolucji nikt nie chce, nie planuje i się nie spodziewa - lewica słabnie, traci określoność, staje się niknącym światłem po gwieździe, która już dawno się wypaliła, pogłosem dawnych poglądów, pełnym zakłóceń i wieloznaczności; tak, że tylko z trudem można ją odróżnić od prawicy, która zresztą także definiuje się w stosunku do rewolucji jako jej negacja i podlega obecnie temu samemu procesowi entropii.

Można zapytać, dlaczego podział na lewicę i prawicę wywodzimy z rewolucji francuskiej 1789 roku, a nie z „chwalebnej" rewolucji angielskiej, 0 sto lat wcześniejszej. Przecież nie dlatego, że tych nazw wcześniej nie wymyślono; można było wymyślić inne, gdyby rozróżnienie rzeczowe zostało dokonane. Przyczyna jest istotna. Rok 1688 był rewolucją w sensie metaforycznym. Słowo wzięto z terminologii astronomicznej, gdzie znaczyło powrót do poprzedniego stanu. Anglicy zbuntowali się w imię wolności, którą mieli w przeszłości (przynajmniej tak sądzili), a która następnie została im odebrana. Ich wizja dziejów była konserwatywna. Francuska rewolucja rodziła się 1 przebiegała pod gwiazdą przewodnią idei postępu. Progresizm jest drugim, może jeszcze ważniejszym niż stosunek do rewolucji, wyróżnikiem lewicy. We Francji słowo „rewolucja" do tego stopnia udosłowniło się w sensie politycznym, że jego pierwotne astronomiczne użycie wydaje się metaforą.

Obecnie, ale nie od dziś, widzimy w Europie i w całym świecie zachodnim spadek znaczenia podziału na lewicę i prawicę, przez wielu uznawany za ostateczny, odnotowany w teorii jako „koniec historii". Jest to następstwo rozczarowania się lewicy do ostatniej wielkiej rewolucji o zasięgu uniwersalnym, to znaczy rewolucji rosyjskiej i jej skutków, a także do licznych rewolucji w Trzecim Świecie. Nowe rewolucje wydają się nieprawdopodobne, mit rewolucji już nie oczarowuje. Zaszła jeszcze inna ważna zmiana: kultura modernistyczna i postmodernistyczna zdestruowały idee postępu. Nie istnieją więc dwa najważniejsze punkty odniesienia dla samookreślenia się lewicy i rozpoznania jej, dwie jej gwiazdy przewodnie.

W ciągu dwóch wieków lewica wytworzyła system pojęć, kryteriów, wartości, ustanowiła hierarchię autorytetów, i wszystko to nie może nagle zniknąć.

Istnieją lewicowe wzory myślenia i trzeba przyznać z całą jasnością, że nie dają one poznawczego dostępu do tego, co obecnie jest istotne. Ponadto, podział na lewicę i prawicę będzie sobie przedłużał żywot, przenosząc się na inne, stare lub nowe, podziały. Czy wieczny konflikt tradycji z nowatorstwem nie przypomina lewicy i prawicy? Czy rewolucja, która była egzystencjalnym faktem politycznym, nie może być przemieniona w metaforę i czy nie można mówić z sensem, chociaż przenośnie, o rewolucji przeciw *superego?* Rewolucja przenosi się na teren kultury i na tym poziomie odtwarza podział na lewicę i prawicę. W rewolucji kulturalnej chodzi już nie o życie, lecz o styl życia, i nie o władzę, lecz o prestiż. Wygrywa nie ten, kto zapanuje nad wojskiem i wyprowadzi lud na ulicę, lecz kto narzuci modę. „Prawa człowieka" wchodzą, oczywiście, w obręb zainteresowań postmodernistycznej lewicy, ale jako prawa modnego człowieka.

***

Do osłabienia podziału na lewicę i prawicę w Polsce, obok powodów powszechnych, przyczyniły się też okoliczności krajowe. Obecnie główna linia podziału, przypominająca niekiedy intensywność przeciwstawienia „wróg - przyjaciel", przebiega między obozem post-solidarnościowym, używającym szyldu antykomunistycznego, a stroną nominowaną na postkomunizm. Rządzącej partii postsolidarnościowej zarzuca się słusznie stosowanie niedemokratycznych i pozaprawnych metod rządzenia, nikt jednak nie może powiedzieć, że dyskryminowani są ludzie za poglądy lewicowe lub lewicową identyfikację. Przeciwnie, rzecznicy obozu postsolidarnościowego wygłaszają słowa nadziei, że powstanie postsolidarnościowa partia lewicowa, zdolna przyciągnąć wyborców. Jedna z wielu oznak, że podział na lewicę i prawicę ma nikłe znaczenie.

Powojenna historia Polski zaczęła się od ustanowienia władzy radykalnie lewicowej i zdelegalizowania sił prawicowych. Legitymizacja nowego ustroju zasadzała się na jego rewolucyjnym rodowodzie - pochodzeniu od Rewolucji Październikowej. Kult tej rewolucji sublimował się w idealizację wszelkiej rewolucji i wszelkiego buntu przeciw zastanemu porządkowi (oczywiście, poza czasem i obszarem panowania radzieckiego). Wszelki konserwatyzm był potępiany, a „kontrrewolucja" oznaczała największe niebezpieczeństwo. Powstania narodowe korzystały z idealizacji buntu i były czczone, zwłaszcza

te pod zaborem rosyjskim, ponieważ carat był uznawany, zresztą słusznie, za antycypowaną kontrrewolucję. Z czasem kult rewolucji zaczął władzy ciążyć, jednakże zaniechanie go groziło wyłonieniem się i zadomowieniem w przestrzeni publicznej całego kompleksu uczuć i poglądów kontrrewolucyjnych, podmywających legitymizm systemu.

Realne życie społeczne wymagało jednak myślenia realistycznego i konserwatywnego. Świecka religia rewolucyjnego komunizmu była od wewnątrz rozkładana dość często praktykowanym przez co bardziej odpowiedzialnych ludzi władzy ketmanem realizmu. Jednakże ideologiczne, marksistowskie *superego* było wystarczająco silne, aby utrzymać się do końca i przeszkodzić wykrystalizowaniu się racjonalnej, realistycznej świadomości. Tak zwani dziś postkomuniści wynieśli z systemu ideokratycznego racjonalną podświadomość i irracjonalną lewicową świadomość. Jak bardzo praktycznie bezużyteczna, intelektualnie pusta jest ta „lewicowość", przekonują się za każdym razem, gdy czynią wysiłki, aby ją zdefiniować.

Obóz postsolidarnościowy jest „antykomunistyczny", ale nie jest prawicowy. Charakteryzuje się pryncypialnym brakiem szacunku dla rzeczywistości. Wyznaje skrajny woluntaryzm. Panuje nad nim duch rokoszu, *liberum veto* i *liberum conspiro.* Historycznie biorąc, przypadła mu obiektywnie rola kontrrewolucji, ale przeprowadza ją na sposób rewolucyjny. Nie uznaje wyższości prawa nad „wolą polityczną". Politykę pojmuje jako sferę demonstrowania tożsamości i „realizowania się" jednostek przywódczych, pragnących dać wyraz swoim autentycznym przekonaniom-iluzjom, choćby się to miało dokonać z pogwałceniem najbardziej fundamentalnych reguł państwa. Wywodząc się z buntu mas, do którego nie stosowały się żadne znane pojęcia typologiczne, przyjął identyfikację prawicową, którą swoimi działaniami kompromituje i jej zaprzecza. Jego ideologią jest polska gnoza narodowa z charakterystycznym dla niej przenoszeniem realnych problemów w wymiar symboliczny. Poczucie misji, jakie zarozumiale żywi, nie wymaga potwierdzenia w wymiarze empirycznym i sprawdzalnym. Patriotyzmem tego obozu jest wiara w patriotyzm. Wytwarza to atmosferę odrzeczywistnienia, męczącą jak niedorzeczny sen, w którym z prawdy zachowało się tylko poczucie, że przebudzenie jednak nastąpi i wrócimy do rzeczywistości. Pod względem psychologicznym przypomina to wytwarzaną zupełnie innymi środkami politycznymi atmosferę komunistycznej ideokracji.

Z tą sytuacją nie radzi sobie intelektualnie ani lewica „postkomunistyczna", ani nowa metaforyczna lewica kulturowa. Pierwszej brak kategorii do analizowania nadrzeczywistości, druga zaś nie ma zainteresowania dla rozróżnienia: rzeczywistość - nierzeczywistość. Obie znajdują się poza terenem, na którym dzieją się rzeczy o najważniejszym dla Polski znaczeniu. Przebudzenia z gnostyckiego snu mogłaby dokonać prawica, opierająca się na europejskiej tradycji politycznego realizmu, ale jest to „marzenie ściętej głowy".

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

— Jaki będzie nasz los, skoro lewica to prawica?
— Jeżeli źle trafisz, stracę palce, a ty wspólnika.

Eisler przytacza Marcina Kulę, który po kolejnej fali publikacji marcowych wiosną 1994 roku odnotował, że w pobliżu szkoły podstawowej przy ulicy Filareckiej w Warszawie wymalowano wielkimi literami napis: „Mam w dupie bohaterów marca '68". My też - głównie dlatego, że ich nie było.

MARZEC '68:

ODBRĄZOWIĆ HISTORIĘ, USUNĄĆ POMNIKI!

JÓZEF DAJCZCEWAND, BOGUMIŁA TYSZKIEWICZ

Mojsze Szafir zjawia się u ostatniego rabina, jaki pozostał w Warszawie. „Rebe, coś mi się zdaje, że bezpieka mi depcze po piętach. Jakie kroki mam podjąć?" Na to rebe: „Duże kroki, Mojsze! Jak największe!" Takie dowcipy krążyły po Polsce w roku 1968, a nieco później w Izraelu powiadało się tak:

Chaim Treptyner dociera w końcu do Izraela i wzdycha: „Przez 2000 lat modliliśmy się daremnie o powrót do Ziemi Obiecanej. I akurat teraz mnie musiało to spotkać". Obfitujący w czarny humor i ludzkie nieszczęścia, masowy exodus Żydów z Polski na skutek antysemityzmu państwowego, ufundowanego polskiemu społeczeństwu przez ówczesne władze, jest jednak tylko częścią wielkiego obrazu, dzisiaj opisywanego jako „wypadki marcowe". Za rok będziemy obchodzić ich okrągłą, czterdziestą rocznicę. To dobra pora, by wrócić do tamtych czasów i spróbować je trochę odkłamać.

Warszawa jest tak dużym miastem, a opozycyjni uczestnicy późniejszych wydarzeń marcowych pochodzili z tak różnych miejsc i środowisk, obracali się w tak zróżnicowanych instytucjach i tak różnorodne mieli zainteresowania, że w zasadzie nigdy nie powinni spotkać się w inny sposób niż przelotnie. Stało się inaczej. I od tego powinna rozpoczynać się każda dobra opowieść o Marcu, że - wbrew obiegowym opiniom - to nie jest historia powstawania opozycji demokratycznej w powojennej Polsce, lecz opowieść o momencie założycielskim współczesnej sceny politycznej. Tej dzisiejszej.

Wokół Marca narosło wiele mitów, w tym wykreowanych bezpośrednio przez policję polityczną, która miała potem dużo czasu na to, by upowszechniać je jako historyczną prawdę. Podstawienie własnej interpretacji w miejsce rzeczywistego opisu było tym łatwiejsze, że świadomość społeczna w totalitarnym państwie miała charakter wyspowy: totalna kontrola przepływu informacji powodowała, że np. o wydarzeniach w Radomiu mogli wiedzieć mieszkańcy Radomia, ale Poznania już nie, o ile nie mieli prywatnych kontaktów z Radomiem lub nie czytali ulotek, których wtedy było bardzo niewiele. Zadaniem oficjalnych mediów nie było nawet relacjonowanie wydarzeń według wskazówek Biura Politycznego, lecz gorzej - relacjonowanie bieżących interpretacji ideologicznych partyjnego kierownictwa, wypowiadanych z powodów mniej ważnych niż interpretacja, często nieznanych nawet samym dziennikarzom.

Dzisiejszy młody czytelnik, bombardowany strumieniami informacji, musi się zdobyć na wielki wysiłek umysłowy, by choć przez chwilę poczuć ten stan błogiej nieświadomości bytu, w jakim żyło się w PRL-u. Stan ten był zresztą nieunikniony także w głowach samej opozycji, bo jeśli się nie pojechało samemu, albo nie miało na miejscu kolegi, to, mimo najszczerszych chęci, się nie wiedziało. Stąd wynikała nie tylko pewna łatwość socjo-

technicznego rozgrywania członków opozycji przeciwko sobie, dyskutowana ostatnio z okazji opublikowania teczki przez Lecha Wałęsę, ale też otwartość społeczna na manipulację i wynikająca z niej skuteczność policyjnych technik wprowadzania do świadomości społecznej własnych interpretacji faktów, zamazywania ich przez mitologizację, skoro już te fakty zostały poznane, oraz przerywania historycznej ciągłości społecznych doświadczeń poprzez zapominanie i pomniejszanie. Jak pisał Sainte-Beuve: „wywierać wpływ na psychikę społeczną - to znaczy wywierać wpływ na wydarzenia historyczne." Do tego dochodziły własne interpretacje ludzi poddawanych tej socjotechnice, domysły, czytanie między wierszami komunistycznej prasy oraz jakaś szczątkowa wiedza o otaczającym świecie, uzupełniana wyobrażeniami, nadziejami, ale też często poczuciem bezsilności i własnej mizerności wobec machiny państwa. Dopiero w takim kontekście widać, jak niebywałym osiągnięciem było przełamanie monopolu informacyjnego państwa na skalę masową przez Solidarność w latach 80., i jak wielkim przełomem, prowadzącym prosto do strajków sierpniowych, było pierwsze pokoleniowe doświadczenie polityczne, organizowane poza strukturami PZPR w okresie Marca na skalę kraju.

Jednym z najsilniejszych mitów marcowych okazał się być nie ten o syjonistycznej V kolumnie, dzisiaj powoli demontowany dzięki mrówczej pracy historyków, lecz uderzająca bajkową prostotą opowieść o dziejach opozycji demokratycznej w Polsce, zaczynająca się buntami młodzieży studenckiej na przełomie lat 60. i 70., poprzez dorastanie w KOR-ze do Solidarności, opór w stanie wojennym, pokojowe negocjacje z komunistami przy Okrągłym Stole i późniejszą „wojnę na górze", od której zaczęła się właściwa pluralizacja byłej opozycji na rozmaite nurty polityczne.

To nieprawda.

Opozycja nie powstawała w latach 60., bo istniała nieprzerwanie od II wojny światowej. Wielką niesprawiedliwością byłoby traktować ludzi z pokolenia AK, mordowanych i przetrzymywanych w stalinowskich więzieniach, jakby nigdy nie istnieli. Ostatni przedstawiciele wojennego pokolenia włączali się później nawet w działania Solidarności, ale zbyt wielu z nich zabito i wyniszczono więzieniami, by mogli jako formacja wywrzeć znaczący wpływ polityczny na układ sił czy sposób dyferencjacji sceny politycznej po 1989 roku. Między innymi dlatego nie udały się wszystkie próby odwoływania się do przedwojennych tradycji politycznych. Już w 1968 roku było ich zbyt mało.

Kiedy słucha się wspomnień ostatnich przedstawicieli tego pokolenia, uderza w ich historiach obecność śmierci, dla której kres wojny nie jest żadną cezurą. Słuchaliśmy kiedyś takiej opowieści o kolegach z klasy: ów został zamordowany przez gestapo, inny w obozie zagłady, inny został zabity w partyzanckiej potyczce, ów trafił do gułagu, jeszcze inny został powieszony przez UB po wojnie, kolejnego zatorturowano na śmierć w piwnicach bezpieki, a jeszcze jeden uniknął prześladowań dzięki emigracji. Dla tych ludzi wolność przyszła za późno, ale można im dać przynajmniej pamięć.

Dlatego tak ważne jest powiedzieć, że polityczny fenomen 1968 roku nie polega na wytworzeniu impulsu do powstania opozycji demokratycznej, a sama opozycja nie spluralizowała się dopiero po 1989 roku, na skutek wałęsowskiej „wojny na górze" - była pluralistyczna już w Marcu. Marcowy fenomen polega na znalezieniu przez ówczesne, aktywne politycznie pokolenia, własnej definicji demokracji jako pluralizmu w sytuacji, kiedy odwołanie do historycznych doświadczeń jest niemożliwe. W ogóle naiwnością jest sądzić, że byłby możliwy demontaż maszerującego, totalitarnego pochodu za pomocą organizacji równie ujednoliconego, alternatywnego pochodu, z własnymi świętymi.

Istniała więc w Warszawie grupa walterowców Kuronia i Modzelewskiego, której najbardziej znanym przedstawicielem jest Adam Michnik, istnieli asystenci Zambrowskiego, grupa Bernarda Tejkowskiego i Waldemara Kuczyńskiego, a wreszcie największe liczebnie, rozpalone politycznie akademiki na Kickiego z grupą Nowych Form Józefa Dajczgewanda. Najbardziej umuzykalnioną grupą byli „Wietnamczycy" Henryka Szlajfera z klubu „Babel", którzy próbowali połączyć ferment zachodniej młodzieży przeciwko wojnie w Wietnamie z postulatami samostanowienia narodów także w obrębie Europy Wschodniej. Byli zwolennicy tradycji przedwojennego PPS, jak Sławomir Kretkowski, który się najwięcej politycznie nauczył od własnej rodziny i do dzisiaj posiada figurkę Piłsudskiego na poczesnym miejscu w swojej biblioteczce. Pojawiło się pierwsze pokolenie kobiet, zdolnych odgrywać pierwszoplanowe role polityczne, którego najwybitniejszą przedstawicielką jest Irena Lasota, prowadząca wiec na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. Jednym z jego uczestników był dzisiejszy prezydent Lech Kaczyński, który wiele lat później powiedział, że uznał wtedy Irkę za najpiękniejszą kobietę na świecie. Wśród dokumentów IPN z przesłuchań, prowadzących do procesu Dajczgewanda i Kretkowskiego, jest też protokół z przesłuchania studenta Macierewicza, który wmawiał przesłu-

chującemu oficerowi, że przechodził, ale nie zauważał, spotykał, ale nie zapamiętywał, a gdy się coś działo, to akurat zawiązywał sznurowadła w butach.

Wszystkich uczestników wymienić w eseju nie sposób, ale chyba nie ma potrzeby. Już ten krótki przegląd uzmysławia, jak bardzo zróżnicowana politycznie była ówczesna, warszawska młodzież. Bardzo obszerny indeks nazwisk, choć ciągle jeszcze niekompletny, można znaleźć w książce Jerzego Eislera *Polski rok 1968*. Jest to bardzo dobre kompendium, nie tylko dlatego, że autor powstrzymuje się od łatwych interpretacji politycznych i stara głównie o prezentację wiedzy, pochodzącej z wywiadów i materiałów źródłowych IPN, lecz dlatego, że to jest chyba pierwsza publikacja, która przedstawia Marzec we właściwej skali: wielu ludziom do dzisiaj jest trudno uwierzyć, że to nie była mała rewolta w jednym mieście, i nie rewolta młodzieży studenckiej, a w ogóle młodzieży, i to na terenie całego kraju. Najliczniejszą grupę zatrzymanych stanowili w Marcu robotnicy, a nie studenci. Według danych MSW, od 7 marca do 6 kwietnia w całym kraju zatrzymano 2725 osób, w tym 937 robotników - o ponad 300 więcej niż studentów. W świetle przytoczonych tu liczb trudno podtrzymywać tezę o pasywnej postawie tych pierwszych w czasie „wydarzeń marcowych" - pisze Eisler. Osób biorących udział

W tym samym czasie na drugiej półkuli

w zamieszkach, protestach i strajkach mogło być nawet ponad 200 tys. na terenie całego kraju. Marcin Zaremba w pracy *Biedni Polacy '68. Społeczeństwo polskie wobec wydarzeń marcowych w świetle raportów KW i MSW dla kierownictwa PZPR* zwraca uwagę, że wszyscy zatrzymani byli młodzi i bardzo młodzi, mieli nie więcej niż 30 lat. Własna pamięć to potwierdza, że to nie studenci i nie robotnicy się ruszyli, tylko młodzież ogółem, od wieku szkolnego poczynając. To ważne powiedzieć, że Marzec był doświadczeniem pokoleniowym.

Eisler przytacza Marcina Kulę, który po kolejnej fali publikacji marcowych wiosną 1994 roku odnotował, że w pobliżu szkoły podstawowej przy ulicy Filareckiej w Warszawie wymalowano wielkimi literami napis: „Mam w dupie bohaterów marca '68". My też - głównie dlatego, że ich nie było. Nie na bohaterstwie Marzec polegał, a na autentycznym, prawdziwym buncie całego pokolenia, które wbrew totalitarnemu otoczeniu, przy całkowitej blokadzie informacyjnej i zerwanej ciągłości pokoleniowej doszło do wniosku, że prasa kłamie, a ich reakcją na to jest - pluralizm. Tylko dlatego ci sami ludzie w sierpniu 1980 roku - już jako dojrzałe osoby - wiedzieli, dlaczego należy zrobić strajk solidarnościowy ze Stocznią Gdańską. Wiedzy, którą zdobyli w Marcu, już nigdy nie dali sobie odebrać, mimo że musieli się osobiście mierzyć z ciężkim oskarżeniem, formułowanym przez ówczesną propagandę rządową, w jakiejś zmutowanej formie istniejącym zresztą do dzisiaj: oskarżeniem o zdradę z syjonistyczną Piątą Kolumną.

Ówczesna młodzież nie miała żadnych swoich bohaterów. Owszem, na części ulotek pojawiały się nazwiska aresztantów z Warszawy, w tym i współautora tego tekstu, ale tak naprawdę nikt się za dobrze nie orientował, kim są ludzie, wymieniani w ulotkach i jakie im konkretnie stawiają zarzuty. Chodziło o hasło „prasa kłamie", powtarzane na wiecach w całym kraju, od którego zaczął się właściwy demontaż systemu totalitarnego: postulat pluralizmu informacyjnego, który byłby się nie pojawił, gdyby wcześniej nie doszło do pluralizacji światopoglądowej. Innymi słowy, w monokulturowym społeczeństwie totalitarnego państwa postulat otwarcia prasy na dyskusję może się pojawić tylko wtedy, gdy istnieją różne poglądy, między którymi może dojść do polemiki. Skoro istniały, i skoro nawet w personalnym sensie powtarzają się nazwiska uczestników wydarzeń marcowych i animatorów dzisiejszej sceny politycznej w Polsce, to znaczy że Marzec jest momentem założycielskim dzisiejszej sceny politycznej.

Jaka informacja o Marcu byłaby ciekawa dla niedawnych uczniów szkoły podstawowej z ulicy Filareckiej? Nie ta z napuszonych akademii rocznicowych, ale taka, że Henryk Szlajfer dostawał w areszcie czekoladę z przepisowego przydziału dla dzieci i młodzieży, bo był niedorosły. Taka, że bezpieka kręciła filmy na przesłuchaniach i wszyscy, o których pisał Gontarz, że planują obalenie panującego ustroju i spiskują w niebywałym spisku, w rzeczywistości mają dziecinne, pucułowate buzie i bardzo wystraszone wyrazy twarzy. Walterowcy w rzeczywistości byli jedynie niewielką, skłonną do izolowania się grupą, którą Jacek Kuroń wyprowadził ze swoich drużyn harcerskich, a zdecydowanie największy ferment odbywał się w akademikach, ze względu na ilość zgromadzonej młodzieży i jej pochodzenie z całej Polski. Po marcowych relegacjach ich mieszkańcy wracali do swoich miast, ale to tylko sprzyjało przełamywaniu „kordonu sanitarnego" wokół fermentującej, niezależnej myśli.

Po wielu latach akademiki na Kickiego stały się inspiracją dla jakiejś części pokolenia Pomarańczowej Alternatywy, w tym współautorki tego tekstu. To oni pierwsi, jeszcze przed Marcem, wymyślili „wkręcanie się" w pochody pierwszomajowe z własnymi transparentami i hasłami skandowanymi przed trybuną Gomułce w twarz. Mieli własną gazetkę ścienną, której najsłynniejszy numer, złożony z wyciętych fragmentów „Świerszczyka" (gazety dla dzieci), miał zachwycająco antypaństwowy charakter. W okresie największego zrewoltowania podbili nawet radiowęzeł akademika. Bitwa o rękawiczki, stoczona na przysposobieniu obronnym, rozwesela swoim absurdem do dzisiaj, choć dla kilku osób skończyła się wnioskami o relegację ze studiów. Różnica była taka, że nie nazywali się „Pomarańczowa Alternatywa", a „Nowe Formy". Mieli też podobny stosunek do ówczesnych zjawisk politycznych, co Pomarańczowa Alternatywa w swoich czasach: „List Otwarty" Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego przyjęli raczej sceptycznie, ale Kuroń z Modzelewskim siedzieli, wobec czego należało ich bezwarunkowo bronić. Dokładnie na tej samej zasadzie Pomarańczowa Alternatywa w drugiej połowie lat 80. sceptycznie odnosiła się do pomysłów kierownictwa Solidarności, ale potrafiła zorganizować akcję na rzecz jej więźniów politycznych szybciej niż sama Solidarność.

Dlaczego piszemy akurat o tym?

Od czegoś trzeba zacząć. Marzec '68 roku jest aż gęsty od mitów. Dzisiaj właściwie codziennie można przeczytać w prasie odwołania do Marca. Część, to chwyty propagandowe, ale część, być może nieuświadomiona, może

wynikać z naturalnego procesu konstytuowania się sceny politycznej i najzupełniej naturalnego odwoływania się do jej momentu założycielskiego - na tej samej zasadzie, co w USA, gdzie polemiści odwołują się do swoich Ojców Założycieli. Jednak, naszym zdaniem, trzeba tę historię odbrązowić i usunąć z niej pomniki. Wszystkim uczestnikom, także stojącym dziś na pomnikach, to bardzo dobrze zrobi. Może i nie byliśmy bohaterami, lecz tylko przestraszonymi młodymi ludźmi, ale za to myśleliśmy samodzielnie - i było nas dużo. Bardzo dużo. W całej Polsce.

Być może nadszedł czas integracji doświadczeń kilku pokoleń. Potrzebne jest też odkłamanie wojny „Chamów" z „Żydami", która straszliwie okaleczyła uczestników Marca, zarówno etnicznie polskich, jak i etnicznie żydowskich; tych na emigracji, jak i w kraju, i która również ma bardzo silny wpływ na dzisiejsze postawy polityczne. A nie powinna. Trzeba to zrobić jak najprostszym językiem, łatając dziury, które nam wszystkim zafundował system totalitarny. W czasie, który nam został do rocznicy, mamy szansę na zaleczenie wszystkich ran: trzeba marcowcom w kraju, tym z dużych miast i małych miasteczek, powiedzieć, że nigdy, nikogo i niczego nie zdradzili. A przymusowym emigrantom - że nie muszą mówić „urodziłem się w Polsce", tylko dumnie „jestem Polakiem" lub „polskim Żydem". To się nam wszystkim należy.

JÓZEF DĄJCZCEWAND

BOGUMIŁA TYSZKIEWICZ

„...nie można być równocześnie dobrym katolikiem i prawdziwym socjalistą". Mimo pewnej słabości do socjalizmu, imputowanej przez niektórych - zwłaszcza papieżom soborowym oraz podejmowania prób „dialogu" z komunizmem, stanowisko takie będzie obowiązywało w czasie następnych pontyfikatów.

CZERWONA WIEŻA BABEL

RAFAŁ ŁĘTOCHA

Ni takiej znają niewoli na świecie
Ci, których Turek, albo Chińczyk gniecie.
Przed komunizmu dopiero obliczem
Każda jednostka w społeczeństwie - niczem.
Własność przepada - twe włosy, twa skóra
Nie twe, lecz rządu - to mi dyktatura!...
Rząd, gdy jednym właścicielem będzie,
Zaraz się zjawi moc i pogrom wszędzie.
Ci wywłaszczeni wszyscy w jednej chwili.
Jak lwy się będą - obaczycie - bili.
Nic tak człowieka w animusz nie wpędza,
Jak zwrot do stanu zwierząt: głód i nędza!...
Zygmunt Krasiński, *Dzień dzisiejszy*

Alain Besancon w swoim znakomitym eseju *Pomieszanie języków* stawia tezę, iż Kościół tak naprawdę nigdy w pełni nie rozpoznał natury komunizmu, że w katolickim nauczaniu społecznym mamy do czynienia ze ślizganiem się

po powierzchni i niezrozumieniem jego istoty. Przykładem tego ma być chociażby fakt, iż kolejni papieże w swoich encyklikach nie wahali się stawiać na jednej płaszczyźnie liberalizmu, socjalizmu i komunizmu jako błędnych ideologii, będących w zasadzie różnymi postaciami tego samego zła. Zdaniem francuskiego myśliciela, komunizm traktowany był jako jedna z wielu fałszywych doktryn, tymczasem powinien być analizowany jako problem metafizyczny, nie zaś socjologiczny. Nie można Besanconowi odmówić całkowicie racji, rzeczywiście trudno w wypowiedziach papieskich szukać jakiejś pogłębionej analizy, próby interpretacji zjawiska komunizmu w stylu znanym z prac Voegelina, Bierdiajewa czy Zdziechowskiego, ale też nie taka przecież jest rola encyklik. Powstają one w ściśle określonych warunkach, jako reakcja na konkretne zło. Ich zadaniem jest jego piętnowanie i przypominanie pewnych oczywistych, choć często zapomnianych i niemodnych, prawd. Modelowym przykładem jest tutaj encyklika Piusa XI *Dhini Redemptoris,* która, pomimo iż nosi tytuł „O bezbożnym komunizmie", to i tak w lwiej części poświęcona jest przypomnieniu prawdziwej nauki, którą przeciwstawiono komunistycznemu fałszowi. W papieskich wypowiedziach rzadziej spotykamy się z namysłem nad charakterem, sensem i naturą komunizmu niż z krytyką konkretnych posunięć komunistycznych reżimów wobec religii i Kościoła. Jednakże, wbrew temu, co twierdzi Besancon, jeśli wnikliwie poszukać, zatrzymać się nad bardzo „gęstymi" nierzadko dokumentami Magisterium, odnajdziemy tam również próby pogłębionej refleksji.

Radix malorum

Kwestią socjalizmu i komunizmu zainteresowali się już papieże pierwszej połowy XIX w. W zasadzie jednak należałoby cofnąć się jeszcze do czasów rewolucji francuskiej, której wyjątkowość, wedle Alexis de Tocqueville'a, polegała na tym, iż we wszystkich wielkich przewrotach politycznych do jej czasów

> ...ci, co porywali się na ustalone prawa, nie tykali wierzeń, a w większości rewolucji religijnych ci, co atakowali religię, nie ciążyli jednocześnie do zmian natury i porządku wszystkich władz ani do całkowitego obalenia dawnej struktury rządu. Czyli zawsze, podczas największych społecznych wstrząsów jakiś punkt pozostawał stały. Ale podczas Rewo-

łucji Francuskiej, która obaliła równocześnie i prawa religijne, i prawa świeckie, duch ludzki stracił całe swoje oparcie; nie wiedział już, czego się uchwycić ani gdzie się zatrzymać, i oto pojawili się rewolucjoniści nieznanego dotąd gatunku, którzy odwagę spotęgowali do szaleństwa, których żadna nowość nie mogła zadziwić, żaden skrupuł zahamować i którzy nigdy nie wahali się przed wykonaniem żadnego zamiaru[1].

Przeciwko rewolucji francuskiej, stanowiącej swoisty archetyp wszystkich rewolucji oraz „mit założycielski" komunizmu, jej programowi oraz polityce w stosunku do religii i Kościoła wystąpił Pius VI w brewe *Ouod aliquantum* oraz liście apostolskim *Charitas,* wydanych w 1791 r. Trudno jednak szukać tam jakiejś pogłębionej analizy, dotyczącej haseł i idei, na których ufundowana została rewolucja; dotyczą raczej spraw bieżących, konkretnych posunięć rewolucyjnych rządów, godzących w dobro francuskiego Kościoła. Warto zauważyć, iż owe działania były bliźniaczo podobne do tych, stosowanych ponad stulecie później przez bolszewików. W obydwu przypadkach mamy do czynienia z profanacjami Kościołów, procesami duchownych, propagandą antyreligijną i ateistyczną, prowokowaniem rozłamów (we Francji efektem tej polityki będzie Kościół Konstytucyjny, w ZSRS tzw. Żywa Cerkiew Aleksandra Wwiedeńskiego) czy próbą rugowania wszystkich rezyduów chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej, czego wyrazem będzie choćby reforma kalendarza.

„Mistrzowie oszustwa"

Z biegiem czasu jednak problematyka komunizmu i socjalizmu (wymienianych przez XIX-wiecznych papieży jednym tchem, bez żadnej dyferencjacji) zajmować będzie coraz więcej miejsca w wypowiedziach Magisterium Kościoła. Widoczne jest to już w nauczaniu Piusa IX, który w inaugurującej jego pontyfikat encyklice z 1846 r., mówi o ideologach i działaczach tej proweniencji: „...wrogowie prawdy i światła, a najbieglejsi mistrzowie oszustwa, usilnie pracują nad tym, ażeby we wszystkich duszach powygaszać jakiekolwiek pragnienie pobożności, sprawiedliwości i uczciwości, ażeby popsuć obyczaje, zburzyć wszelkie prawa Boże i ludzkie, podkopać religię katolicką i społeczeństwo cywilne, wstrząsnąć nimi, więcej - jeśliby to było kiedykolwiek możliwe, by je do szczętu wywrócić"[2]. W kolejnych dokumentach odnaj-

dziemy analogiczne wypowiedzi, dość wspomnieć *Quibus quantisque* z 1849 r., *Quanto conficiamur maerore* z 1863 r., allokucję *Singulari quidam* z 1854 r. czy opublikowaną rok po wydaniu przez Marksa i Engelsa *Manifestu komunistycznego* encyklikę *Nostis et nobiscum, w* której Papież pisał:

> Wiadomo zaś, że owych nauczycieli komunizmu i socjalizmu - jakkolwiek różne są ich drogi i środki - łączy ostatecznie ten wspólny cel, by zwiódłszy kłamstwami i otumaniwszy obietnicą lepszego bytu robotników i innych, niższego zwłaszcza stanu ludzi, podburzać ich ciągłymi rozruchami i stopniowo ich przysposabiać do cięższych przestępstw, dzięki czemu tamci będą później mogli wykorzystać ich działania do odebrania możliwości kierowniczej jakiemukolwiek wyższemu autorytetowi, do wyniszczenia, rozgrabienia bądź zawłaszczenia własności najpierw Kościoła, a potem kogokolwiek innego, do pogwałcenia wreszcie wszelkich praw Boskich i ludzkich, do zniszczenia czci Bożej i wywrócenia całego porządku społeczeństw cywilnych. W tym krytycznym momencie losów Italii jest obowiązkiem Waszym, Czcigodni Bracia, wytężyć całą Waszą pasterską gorliwość, by lud wierny uświadomił sobie, że tego rodzaju przewrotne poglądy i teorie - jeśli pozwoli się nimi zwodzić - doprowadzą go tak do wiecznej, jak do doczesnej zguby[3].

Natomiast w czwartej sekcji słynnego „Syllabusa błędów" ten sam papież potępił socjalizm, komunizm, tajne stowarzyszenia, towarzystwa biblijne, liberalne stowarzyszenia duchownych, wymieniając je, co symptomatyczne, jednym tchem. Wydaje się, iż zabieg ten wskazywać może, iż wedle Piusa IX nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy tymi doktrynami. Wszystkie one mają charakter mniej lub bardziej antykatolicki i rewolucyjny, mamy co najwyżej do czynienia z różnicą stopnia, ale nie istoty. Poza tym posiadają wspólne korzenie i *per saldo* (w sposób bardziej lub mniej świadomy, otwarcie lub skrycie) zmierzają do tego samego celu.

Własność i rodzina

Dużo więcej uwagi komunizmowi poświęcił Leon XIII. Na pierwszym miejscu trzeba tutaj wymienić encyklikę *Quod apostołki muneris* z 1878 r., poświę-

coną tylko i wyłącznie tej tematyce. Encyklika ta stanowi doskonały przykład równowagi i umiaru, nieulegania emocjom, spokojnego oglądu rzeczywistości tak charakterystycznego dla papieskich wypowiedzi. Leon XIII poddaje tam ostrej krytyce wiele aspektów komunizmu i socjalizmu, dostrzega ich destruktywną siłę, antyludzki, antycywilizacyjny charakter, pisząc o „nieprawym przymierzu", którego celem jest rozbicie fundamentów społeczeństwa cywilizowanego[4]. Krytykuje negacje przez komunistów dotychczasowych praw, władzy, hierarchii, związków małżeńskich czy prawa własności. Przypomina o boskim pochodzeniu władzy i obowiązku posłuszeństwa wobec niej, równoważąc zresztą to zaraz cytatem z Księgi Mądrości, mówiącym, iż najcięższy sąd będzie „...nad panującymi. Najmniejszy znajdzie litościwe przebaczenie, ale mocnych czeka mocna kara"[5]. Broni praw właścicieli, na które zamach robią komuniści, ale jednocześnie bogatym przypomina o ich obowiązkach, akcentuje godność osób ubogich i potrzebę szczególnej o nich troski. Ostrzega też przed strojeniem się w szaty chrześcijańskie, nadużywaniem Ewangelii w celu zwodzenia nieostrożnych. Etienne Cabet, Victor Considerant, Karl Kautsky i inni nie wahali się wysuwać tezy, iż chrześcijaństwo zostało niewłaściwie zrozumiane; nazywali Chrystusa pierwszym komunistą czy anarchistą, a jego naukę - socjalistyczną i twierdzili, że oni właśnie usiłują doprowadzić do jej urzeczywistnienia w postaci niezafałszowanej. Bardziej dogłębnej analizy jednego z aspektów doktryny komunistycznej dokonuje Leon XIII w encyklice *Rerum nomrum.* Chodzi, rzecz jasna, o własność wspólną, której zaprowadzenie miało stanowić uniwersalne panaceum na wszelkie bolączki ówczesnego świata. Przede wszystkim, Papież przypomina, iż posiadanie własności prywatnej jest naturalnym prawem człowieka, tym, co odróżnia go od zwierząt, atak na nią stanowi więc zamach na jego godność. Krytykując koncepcję własności wspólnej, Leon XIII jest bezlitosny, można by rzec, iż trafia zawsze w dziesiątkę, antycypując skutki, do jakich doprowadziłoby zastąpienie własności prywatnej przez tzw. wspólne posiadanie. Kiedy czytamy bowiem, iż jeżeli ludziom od-

bierze się perspektywę zarobku, nabycia jakiejś własności, to nie będzie im się chciało pracować[6], przypominają się od razu czasy „realnego socjalizmu" i dominujące wówczas podejście do pracy. Gdy czytamy, iż krok ten doprowadziłby do społecznego rozstroju implikującego powszechną niewolę, że równość, o której marzą socjaliści, byłaby niczym innym jak zrównaniem wszystkich w niedoli[7], że lekarstwo, które socjaliści proponują, gorsze jest od choroby, którą ma zdławić, nie mamy wątpliwości, iż przewidywania Leona XIII były słuszne. Wreszcie, kiedy wczytamy się w słowa encykliki, dotyczące zagrożeń dla rodziny, przypomną nam się automatycznie sowieckie dietdomy i miliony tzw. urków czy bezprizornych; propagowanie rozwiązłości seksualnej przez apostołkę „skrzydlatego erosa" Aleksandrę Kołłontaj i Czerwoną Międzynarodówkę Kobiet, wyzwalającą płeć piękną z jarzma rodziny, macierzyństwa, religii i moralności burżuazyjnej; kult donosicielstwa, którego symbolem do dziś jest Pawka Morozów; korespondencyjne rozwody czy niczym nieograniczone prawo do aborcji. Aleksander Wat w swoich wspomnieniach opisuje sytuację, z którą zetknął się w 1944 r. w Kazachstanie, a która stanowi dobrą egzemplifikację sowieckiej polityki w stosunku do rodziny. Pewną kobietę w zaawansowanej ciąży postanowiono wysłać do pracy w kopalniach Karagandy. Jej protesty, że nie może, bo mąż na froncie, a trójka dzieci w chacie, spotkały się z ripostą, żeby nie robiła problemu z niczego, ponieważ tam znajdzie sobie nowego męża i urodzi jeszcze pięcioro dzieci[8].

Kontynuacja czy zmiana

Kolejnemu papieżowi, który w swoich encyklikach zajął się głębiej analizowanym problemem, przyszło sprawować swój urząd w na tyle ciekawych czasach, iż mógł odnieść się w swoich wypowiedziach nie tylko do ideologii, ale i praktyki komunizmu. Najważniejszą encykliką Piusa XI, bo o nim mowa, dotyczącą tych zagadnień będzie, oczywiście, *Divini Redemptoris.* O bezbożnym komunizmie, jednakże i w innych dokumentach, na czele z encykliką *Quadragesimo anno* odnajdujemy wiele odniesień do kwestii komunizmu i socjalizmu. Alain Besancon we wzmiankowanym już eseju przeciwstawia dobrego i mądrego Leona XIII

Piusowi XI, a Leonową encyklikę *Rerum novarum* Piusowej *Ouadragesimo anno.* Zdaniem Besancona, Pius XI posługuje się już innym językiem niż jego wielki poprzednik, a doktryna społeczna Kościoła zaczyna podupadać właśnie w czasach jego pontyfikatu. Wyrazem tego ma być zaangażowanie się Piusa XI, we wzmiankowanej encyklice, w propagowanie korporacjonizmu katolickiego, postrzeganie komunizmu bolszewickiego jako prostej konsekwencji socjaldemokracji, zrzucanie na liberalizm odpowiedzialności za powstanie komunizmu czy symetryczne ujęcie liberalizmu i socjalizmu.

> Liberalizmowi - pisze Besancon - jednemu z kierunków XIX-wiecznej myśli ekonomicznej, nadawano tym samym treści, jakich nie posiadał, ogarniając nim wszelki ustrój gospodarczy i społeczny. Socjalizmowi zaś przypisywano jedność, która w rzeczywistości nie istniała[9].

Czy rzeczywiście przykłady te mogą dawać asumpt do przeciwstawienia tych dwóch papieży? Wydaje się, że nie, wbrew temu bowiem, co pisze francuski myśliciel, mamy, w przypadku nauczania społecznego Piusa XI, do czynienia nie z jakimś radykalnym zerwaniem z umiarkowanym stanowiskiem jednego z poprzedników, ale rozwojem w kontynuacji. Spójrzmy choćby na korporacjonizm, którego lansowanie stanowiło, według Besancona, tak horrendalny błąd papiestwa. Trzeba tutaj przypomnieć, iż to wcale nie Pius XI zapoczątkował owo zainteresowanie reformą ustroju społecznego w tym duchu, ale właśnie Leon XIII. Faktem jest, iż w encyklice *Rerum novarum* nie ma spójnego i rozbudowanego wykładu na temat korporacjonizmu, tak jak w *Ouadragesimo anno,* ale pewne sygnały zainteresowania takim modelem również tam odnajdujemy. Wystarczy jednak sięgnąć po inną encyklikę Leonową - *Immortale Dei, aby* przekonać się, że zauroczenie średniowiecznym modelem również w jego przypadku było duże[10]. Wreszcie zaś warto zwrócić uwagę na działającą pod patronatem Leona XIII Unię Fryburską; skupieni tam badacze *gros* swojej uwagi poświęcili właśnie opracowywaniu modelu reformy społecznej w duchu korporacyjnym. Druga sprawa to problem rzekomo „liberalnych źródeł komunizmu", jednak wbrew temu, co twierdzi francuski badacz, to również nie Pius XI jest autorem tej tezy. Pisze o tym nie kto inny, lecz sam Leon XIII, w jednej ze swoich pierwszych encyklik, wspomnianej już *Quod apostolici muneris*[11].

Przechodząc jednak do meritum, tzn. kwestii Piusowej krytyki komunizmu, na początku warto wymienić cykl „encyklik meksykańskich" tego papieża. Trzeba przypomnieć, iż właśnie wtedy w Meksyku dochodzi do przejęcia władzy przez siły radykalnie „postępowe", choć nie komunistyczne, jednakże Pius XI chociażby w encyklikach *Acerbi anime* czy *Divini Redemptoris* będzie porównywał sytuację w Meksyku i w Rosji. W 1914 r., za prezydentury Venustiano Carranzy, rozpoczyna się okres otwartych prześladowań Kościoła i katolików meksykańskich. Trzy lata później uchwalono antykatolicką konstytucję, której trzeci artykuł pozbawiał Kościół katolicki jakiegokolwiek wpływu na edukację i zakazywał mu prowadzenia wszelkich instytucji oświatowych, a piąty znosił zakony, argumentując, jakoby śluby zakonne godziły w wolność człowieka. Jednak nie był to jeszcze szczyt religijnych prześladowań, z intensyfikacją tego rodzaju działań będziemy mieli doczynienia po 1924 r., kiedy urząd prezydenta Meksyku obejmie Elias Plutarco Calles, socjalista i mason, nazywany osobistym wrogiem Boga lub *el anticristo.* W reakcji na to wszystko latem 1926 r. wybuchnie słynne powstanie ludowe - *Cristiada.* Pius XI kilkakrotnie będzie zabierał głos w sprawie Meksyku, w 1926 r. ogłosi encyklikę *lniquisa afflictisque,* w 1928 r. *Miserentissimus Redemptor,* cztery lata później *Acerba animi,* a w 1937 r. *Nos e muy conocida.* Papież protestował w nich przeciwko ateistycznej i antyreligijnej polityce rządów tego kraju i z uznaniem wyrażał się o postawie wiernych i duchownych Kościoła meksykańskiego, pisząc:

> Wobec takich niesprawiedliwych i prześladowczych ustaw, które by Kościół Meksykański wydały w ręce rządów świeckich i samowoli władców, wrogo wobec religii katolickiej usposobionej, Wy, Bracia Czcigodni, postanowiliście wstrzymać nabożeństwa publiczne. (...) Dla apostolskiej stałości i nieustępliwości Waszej niemal bez wyjątku z ojczyzny wygnani, mogliście jako banici z daleka podziwiać święte walki i męczeństwo Waszych kapłanów i Waszych wiernych[12].

W podobnym duchu zareaguje też na wydarzenia w Hiszpanii w encyklice *Dilectissima nobis* i swoim Przemówieniu do uchodźców z Hiszpanii z 1936 r.

Jednak najważniejsze dokumenty, dotyczące omawianej problematyki, to dwie wzmiankowane już encykliki *Ouadragesimo anno* i *Dwini Redemptoris*. W pierwszej z nich Papież odchodzi od tego, z czym mieliśmy do czynienia w dokumentach Magisterium w XIX w., czyli zamiennego w zasadzie używania terminów „socjalizm" i „komunizm". W encyklice czytamy, iż - o ile za czasów Leona XIII socjalizm byl prawie jednolitym ruchem - to z czasem

> ...rozdzielił się na dwa obozy, które przeciwstawiają się sobie i zwalczają się ostro, nie porzucając jednak wspólnej całemu socjalizmowi przeciwchrześcijańskiej podstawy. Jeden odłam socjalizmu przeszedł przemianę podobną do tej, której uległo - jak poprzednio wyjaśniliśmy - gospodarstwo kapitalistyczne. Popadł w komunizm, i tak w teorii, jak w praktyce stawia sobie dwa cele: najostrzejszą walkę klas i zupełne zniesienie własności prywatnej; a robi to nie skrycie i nie na drodze okrężnej, lecz jawnie, otwarcie, przy użyciu wszelkich, nawet najgwałtowniejszych, środków. W dążeniu do tych celów na wszystko się waży i przed niczym się nie cofa; a kiedy dorwie się do władzy, objawia nieprawdopodobną i straszliwą brutalność i nieludzkość (...). Mniej radykalnym bez wątpienia jest drugi obóz, który zachował nazwę „socjalizmu". Nie tylko rezygnuje on z posługiwania się gwałtem, ale nadto wprowadza pewne złagodzenie i ograniczenie w walkę klas i w dążność do zniesienia prywatnej własności, chociaż ich całkiem nie odrzuca. Można by powiedzieć, że socjalizm przerażony swoimi zasadami i wnioskami, które z nich wyciągnął komunizm, skłania się i zbliża się do prawd uświęconych przez chrześcijańską tradycję; nie da się bowiem zaprzeczyć, że jego postulaty nieraz bardzo przypominają sprawiedliwe żądanie, które stawiają chrześcijańscy reformatorzy społeczni[13].

Sytuacja taka, jak pisze Pius XI, daje niektórym asumpt do snucia projektów jakiegoś sojuszu chrześcijańsko-socjalistycznego, przeciągnięcia socjalistów na stronę Kościoła, wyjścia im naprzeciw poprzez „złagodzenie i stępienie" zasad chrześcijańskiej prawdy. Zdaniem Papieża, żadna konwergencja nie jest

jednak ani możliwa, ani potrzebna. Fakt, że obóz umiarkowany odszedł od frazeologii rewolucyjnej i najbardziej radykalnych punktów swego programu, a niektóre jego postulaty są zbieżne z tymi, propagowanymi w nauczaniu społecznym Kościoła, nie oznacza, aby socjalizm mógł zostać zaakceptowany przez katolików. Dzieje się tak z kilku powodów. Po pierwsze, te spośród socjalistycznych dezyderatów, które można nazwać słusznymi i sprawiedliwymi żądaniami, nie są wyłączną własnością socjalizmu. Toteż nie jest konieczne wiązanie się z obozem socjalistycznym tych, którzy pragną ich urzeczywistnienia. Co najistotniejsze jednak,

> ...socjalizm czy jako teoria, czy jako zjawisko historyczne, lub jako «ruch społeczny», jeśli prawdziwie jest socjalizmem, nie da się pogodzić z dogmatami Kościoła katolickiego, i to nawet wówczas, gdy w tych sprawach, o których mówiliśmy, poczynił ustępstwa na rzecz prawdy i sprawiedliwości; przyjmuje bowiem pogląd na społeczeństwo zasadniczo różny od chrześcijańskiej prawdy[14].

Nieprzezwyciężalne dywergencje istnieją przede wszystkim na poziomie antropologicznym, w kwestiach dotyczących natury człowieka, jego miejsca w przyrodzie i społeczeństwie oraz celów przed nim stojących. Socjaliści, jak pisze Pius XI, skłonni są do deprecjonowania wymiaru transcendentnego, duchowego człowieka i jego powołania jako dziecka Bożego oraz instrumentalizowania jednostki, wychodząc z przekonania, iż *bonum commune* może być osiągnięte z pominięciem *bonum particulare.* Zważywszy na to, Papież konkluduje, iż choć w socjalizmie podobnie, jak w każdym innym błędzie, można odnaleźć *semina verbi,* to jednak z powodu owych rudymentarnych różnic „...nie można być równocześnie dobrym katolikiem i prawdziwym socjalistą" [15]. Mimo pewnej słabości do socjalizmu, imputowanej przez niektórych - zwłaszcza papieżom soborowym oraz podejmowania prób „dialogu" z komunizmem, stanowisko takie będzie obowiązywało w czasie następnych pontyfikatów. Mocne nawiązanie do niego znajdziemy w krytyce ekonomizmu w encyklice *Laborem exercens* czy też *welfare state* z *Centesimus annus.* W pierwszej z nich Jan Paweł II krytykuje stawianie tego, co materialne ponad tym, co duchowe i osobowe, konstatując rozpowszechnienie się tego rodzaju błędu, jeśli nawet nie w postaci materializmu teoretycznego, to przynajmniej prak-

tycznego. Jednakże, nie jest to stanowisko właściwe tylko dla socjalizmu, pojawia się z równą siłą w gospodarce liberalnej[16]. W drugiej z encyklik Papież zarzuca natomiast „państwu opiekuńczemu" czy też „nadopiekuńczemu" przesadny interwencjonizm w życie jednostek i grup niższego rzędu, hamowanie ich inicjatywy, odbieranie przynależnych im kompetencji, czyli generalnie odejście od zasady pomocniczości, zakazującej państwu nadmiernego ingerowania w wewnętrzne sprawy społeczności niższego rzędu. Papież odrzuca tutaj logikę biurokratyczną, charakterystyczną dla tego rodzaju modelu oraz ograniczanie się tylko do „zimnych", państwowych metod pomocy dla potrzebujących[17].

Bezbożny bolszewizm

Największym zainteresowaniem Papieża cieszyła się odmiana radykalna, czyli komunizm. Trzeba pamiętać, iż Pius XI, jeszcze jako arcybiskup Achille Ratki, miał okazję przyjrzeć się bliżej temu zjawisku, pełniąc obowiązki nuncjusza apostolskiego w atakowanej przez hordy bolszewickie Warszawie. W 1930 r. już jako Papież wystosował list do kard. Pompili, w którym mowa jest o niesłychanych prześladowaniach religii przez bolszewików. Czytamy tam m.in.:

> W czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia nie tylko zostały zamknięte setki kościołów, spalone całe masy obrazów, zmuszono do pracy wszystkich robotników i uczniów w szkołach i zniesiono świętowanie niedziel, lecz tak posunięto się daleko, by zmusić robotników fabrycznych, mężczyzn i kobiety, do podpisania deklaracji, stwierdzającej ich formalną apostazję i nienawiść do Boga, pod groźbą, że zostaną im odebrane ich karty na chleb, ubranie i mieszkanie, bez czego każdy mieszkaniec tego nieszczęśliwego kraju musiałby umrzeć z głodu, nędzy i zimna. Oprócz tego we wszystkich miastach i wielu wioskach - zorganizowano haniebne karnawałowe widowiska, podobne tym, jakie zagraniczni dyplomaci mieli przed oczyma w samej Moskwie, w centrum stolicy, w czasie świąt Bożego Narodzenia: widziano przejeżdżające platformy, na których zgromadzona gawiedź, ubrana w szaty liturgiczne, szydziła i pluła na krzyż, i na wielkich samochodach ciężarowych obwożono duże choiny, na których wisiały powieszone za szy-

> ję manekiny, przedstawiające biskupów katolickich i prawosławnych. W samem centrum miasta inna grupa wyrzutków młodzieży popełniała wszelkiego rodzaju czyny świętokradzkie przeciw krzyżowi[18].

List kończyła zapowiedź nabożeństwa ekspiacyjnego i wynagradzającego w Bazylice św. Piotra oraz wezwanie do krucjaty modlitw za Rosję. Apel ten spotkał się z szerokim odzewem nie tylko świata katolickiego, ale i prawosławnego oraz protestanckiego, rabini w Polsce ogłosili natomiast „Dzień postu" na znak protestu przeciwko zamykanym i bezczeszczonym synagogom.

W 1937 r. wydany zostaje natomiast najważniejszy dokument, dotyczący komunizmu - encyklika *Divini Redemptoris.* Pius XI pisze tam o komunizmie jako „szatańskiej zarazie", prowadzącej świat do barbarzyństwa, któremu nie ma dotąd równych w historii[19]. Stanowi on dla niego swoistą antyreligię dążącą

> ...do tego, aby zniszczyć doszczętnie wszelki ład społeczny i podważyć same podwaliny cywilizacji chrześcijańskiej[20].

Nazywa ideologię komunistyczną nową Ewangelią, „...którą bolszewicki i bezbożny komunizm głosi jako orędzie zbawienia i odkupienia ludzkości" [11]. Byłby więc dla niego komunizm czymś na kształt *perversa imitatio* chrześcijaństwa. Mikołaj Bierdiajew twierdził, iż komunizm jawi się, w gruncie rzeczy, jako sataniczne przedrzeźnianie religii prawdziwej.

> Komunizm - pisał - sam chce być religią, zastąpić chrześcijaństwo, pretenduje do tego, by dać odpowiedź na problemy o charakterze religijnym, nadać sens życiu. (...) Właśnie dlatego walka z innymi wierzeniami religijnymi jest nieunikniona[22].

O tej walce wspomina przede wszystkim w swoim dokumencie Pius XI podkreślając, iż „po raz pierwszy w dziejach ludzkości jesteśmy świadkami starannie i planowo przygotowanego buntu przeciwko wszystkiemu «co nazywa się Bogiem»" [23]. Praktyczne działania komunistów w Związku Sowieckim pokazują, że Pius XI ani trochę nie przesadził, mówiąc o dążeniu przez nich do zniszczenia wszystkich przejawów religii, wykorzenienia z duszy ludzkiej wszelkiej myśli o Bogu. W tym samym czasie Hans Kelsen w swojej klasycz-

nej już pracy z lat 30. *Państwo monopartyjne,* porównując stosunek nazizmu i komunizmu do religii, pisał, iż o wiele większe niebezpieczeństwo dla niej stanowi hitleryzm, który, eksploatując mit krwi i rasy, nie może z chrześcijaństwem pozostać w zgodzie. Bolszewizm zaś, jego zdaniem, w teorii ogranicza się jedynie do rozdziału państwa od Kościoła i uznając religię za sprawę prywatną, w zasadzie nie zabrania funkcji religijnych. Stara się jedynie

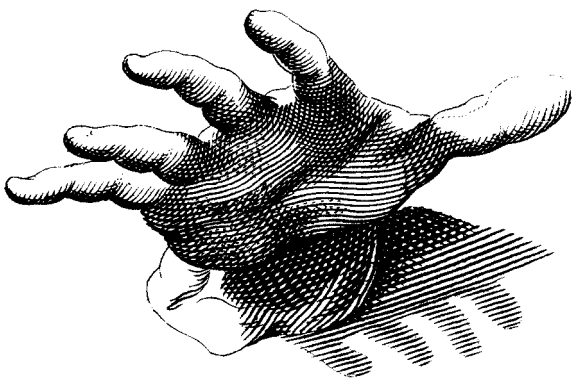

> ...wszelkimi środkami działalność chrześcijaństwa zdemaskować jako ideologię popierającą burżuazyjny porządek społeczny, a wierzenia ośmieszyć[24].

Wydaje się, iż niemiecki uczony nie zrozumiał charakteru komunizmu, pogląd taki bowiem nijak się ma do sytuacji, z którą mieliśmy do czynienia w krajach komunistycznych. Zapisy o wolności religijnej z dekretu Komisarzy Ludowych „O oddzieleniu Kościoła od państwa i szkoły od Kościoła", jak i konstytucji stalinowskiej z 1936 r., pozostawały martwą literą. Religia bynajmniej nie była traktowana jako sprawa prywatna, lecz *par excellence* społeczna, co wynikało przecież już z myśli Marksa, który uznawał, iż stanowi ona opium dla ludu i główną przeszkodę na drodze wyzwolenia mas. Jeśli zaś chodzi o metody stosowane do walki z religią i Kościołami, to nie mieliśmy do czynienia jedynie z próbami ich ośmieszania, ale w walce tej wykorzystywano cały arsenał zróżnicowanych środków: propagandę, najściślejsze ograniczenie wpływu Kościoła, więzienie, procesy pokazowe, egzekucje, ujarzmianie wspólnot

religijnych przy pomocy praw i środków administracyjnych[25]. Absurdalność tezy Kelsena widoczna jest chociażby, jeśli spojrzymy na całkowitą likwidację duchowieństwa oraz ośrodków kultu religijnego na terenie Rosji sowieckiej (o ile zaraz po rewolucji bolszewickiej otwartych tam było ok. 1200 kościołów i kaplic katolickich, w których pracowało ok. 400 księży, to w 1942 r. pozostały jedynie dwa kościoły w Moskwie i Leningradzie, oraz dwaj pracujący przy nich księża, Francuz Michel Folrent oraz Amerykanin Leopold M. Braun, nie mający uprawnień do duszpasterstwa sowieckich obywateli)[26]. Duchownych pod byle pretekstem aresztowano, zsyłano do więzień i obozów oraz mordowano, w latach 1937-1938 w zbiorowych procesach na terenie ZSRS skazano na najwyższy wymiar kary 120 księży katolickich[27]. Zamknięte zaś świątynie przeznaczano na składy zboża, kartofli, muzea ateizmu, fabryki, warsztaty mechaniczne, mieszkania, a nawet miejsca tortur i rozstrzeliwań. Akcją antyreligijną na terenie ZSRS kierował Związek Wojujących Bezbożników, założony przez Jemieliana Jarosławskiego (wł. Gubelman), wydający czasopisma, broszury, książki, plakaty, organizujący pogadanki, wiece, przedstawienia teatralne, wystawy, w których wyszydzano religię i duchowieństwo. Organem centralnym związku było pismo „Biezbożnik", ukazujące się od 1922 r., łączny zaś nakład prasy antyreligijnej firmowanej przez związek wynosił 44 min egzemplarzy. W wydawanym w Mińsku polskojęzycznym organie prasowym Związku Bezbożników pod nazwą „Orka" wzywano do „współzawodnictwa socjalistycznego w bojkotowaniu kleru i religii", ogłaszano Boże Narodzenie dniem industrializacji, prowadzono kampanię antyświąteczną, publikując tzw. hasła przeciwświąteczne, nakłaniające do walki z pojednawczym stosunkiem do religii oraz uderzenia w kułaków i kler „kolektywizacją i socjalistyczną przebudową wsi" czy przestrzegające, iż religia oraz wódka „...to dwie trucizny, które otumaniają umysł i osłabiają wolę mas pracujących do walki o socjalizm"[28]. W 1927 r. zakazano umieszczania krzyży na mogiłach, a w 1929 r. wprowadzono nowy kalendarz z sześciodniowym tygodniem oraz zabroniono używania nazw niedzieli (woskriesienije) i soboty (subbota), mających religijne konotacje. Na początku lat 30. zaczęto propagować wśród młodzieży pozdrowienie: „Boga niet" i odzew - „I nie nado" lub „I nie budiet"[29].

Komunizm jest dla Piusa XI próbą stworzenie świata bez Boga, radykalną immanentyzacją eschatonu, używając terminologii Voegelina, obietnicą doczesnego samozbawienia, próbą sprowadzenia człowieka do czysto somatycznego wymiaru. Jego sukces to wynik między innymi tego, iż w przewrotny sposób wykorzystuje tkwiący w człowieku popęd prometejski, apeluje do obecnego w każdym z nas pragnienia dokonania naprawy społecznej, zniesienia niesprawiedliwości, udzielenia pomocy słabym i pokrzywdzonym. Idea wyzwolenia propagowana przez komunizm jest jednak fałszywa, obietnice, którymi szermuje - zwodnicze, cała jego doktryna zaś jest

> ...pewnym błędnym mistycyzmem, który daje tłumom pozyskanym złudnymi obietnicami zapał i sugestywnie szerzący się entuzjazm[30].

Terror, masowe mordy to jedynie prosta konsekwencja dążenia komunistów do urzeczywistnienia „ludzkości bez Boga" [31], następstwo przyjęcia „dogmatów" komunistycznej wiary. Jeżeli bowiem

> ...w sercach ludzkich gaśnie idea Boga, wtedy następuje rozluźnienie obyczajów, co nieuchronnie spycha ludzi w najokrutniejsze barbarzyństwo[32].

Hiszpański tradycjonalista, Juan Donoso Cortes, powiedział kiedyś, iż gdyby Bóg nie stał się człowiekiem, to gad, którego właśnie rozdeptał, w mniejszym stopniu zasługiwałby na pogardę niż człowiek. Praktyczna działalność komunistów w ZSRS, Kambodży, Chinach, Wietnamie itd. pokazała, iż odrzucenie Boga, zanegowanie Wcielenia prowadzi do takiej właśnie pogardy dla człowieka, odebrania mu jakiejkolwiek godności; staje się on czymś w zasadzie zbędnym, a wartość posiada o tyle, o ile służy dobrze kolektywowi, partii, sprawie rewolucji. Włodzimierz Majakowski w wierszu *Włodzimierz Iljkz Lenin* wyraził to sposób poetycki, pisząc:

> Partia - to ręka milionopalca,
> w jedną miażdżącą pięść zaciśnięta
> Jednostka - zerem, jednostka - bzdurą
> sama - nie ruszy pięciocalowej kłody
> choćby i wielką była figurą
> cóż dopiero podnieść dom pięciopiętrowy.

Winą za przygotowanie gruntu pod sukcesy komunizmu został w encyklice obarczony liberalizm. Papież stwierdza, iż nie byłoby problemu komunizmu i socjalizmu, gdyby nie zaniedbania w dziedzinie moralno-religijnej, będące rezultatem systemu gospodarki liberalnej oraz zlekceważenie nauki Kościoła i próba budowania na fundamencie laicyzmu i liberalizmu lepszego świata, nowych struktur społecznych, które, nie mając trwałych podstaw, rozpadały się „...jak żałośnie runąć musi wszystko, co nie opiera się na jednym kamieniu węgielnym - Chrystusie" [33].

Pius XII może zostać uznany za kontynuatora swojego poprzednika, jeśli chodzi o naukę nt. komunizmu, czemu dał wyraz w licznych przemówieniach i encyklikach, jak np. w encyklice o Kościele unickim *Orientales omnes Ecclesias,* czy wydanych w czasach powstania węgierskiego *Luctuosissimi eventus* oraz *Datis nuperrime,* czy też skierowana do biskupów chińskich *Ad apostolorum principis.* Przede wszystkim zaś za jego pontyfikatu zostaje wydany dekret Świętego Ofkjum, zabraniający wiernym jakiejkolwiek współpracy z komunistami pod karą ekskomuniki.

Próby dialogu

Rzecz paradoksalna - w momencie, kiedy w całej Europie tabuny intelektualistów w rodzaju George'a Bernarda Shawa, Romaina Rollanda, Andre Gide'a wychwalały pod niebiosa Rosję sowiecką i Stalina oraz hołubiły „osiągnięcia" gospodarki komunistycznej, Kościół wbrew modnym na salonach opiniom występował z jego bezpardonową krytyką. W chwili zaś, kiedy nawet dawni funkcjonariusze komunistyczni, jak Leszek Kołakowski, Francois Furet czy Stephane Courtois zaczęli go krytykować, Kościół zaczął jakby uelastyczniać swoje sztywne dotąd stanowisko. Zamiast bezwarunkowego odrzucenia, będziemy mieli do czynienia z coraz intensywniejszymi poszukiwaniami w komunizmie „ziaren prawdy", współpracą między działaczami komunistycznymi i katolickimi, tzw. polityką wschodnią Watykanu czy tolerowaniem przez długi czas różnych eksperymentów w rodzaju „teologii wyzwolenia", będącej w gruncie rzeczy próbą ochrzczenia marksizmu.

Można zastanawiać się, co spowodowało taką woltę, która przecież zauważana jest przez myślicieli tej miary, co Józef Mackiewicz czy Alain Besancon. Czy komunizm/blok komunistyczny został uznany za fakt, z którego istnie-

niem trzeba się jakoś pogodzić? Byłoby to dosyć dziwne, zważywszy, iż jego historia to ledwie kilkadziesiąt lat. Może więc pojawiły się nadzieje na to, że można jakoś obłaskawić, oswoić ową ideologię, uczynić ją bardziej ludzką, wykorzystać tkwiące w niej „ziarna prawdy". Besancon sugeruje w jednej ze swoich prac, iż komunizm w ten właśnie sposób był traktowany - jako wypaczone chrześcijaństwo, które można naprostować. Konstatuje istnienie wśród wielu duchownych przeświadczenia o możliwości ochrzczenia Marksa, analogicznie do tego, co zrobił Akwinata z filozofią Arystotelesa. Kluczowym elementem kryzysu Kościoła było, wedle niego, właśnie opanowanie duchowieństwa

> ...przez ideologię leninowską w postaci czystej (dochodzi wtedy do nawrócenia na komunizm) bądź też nieco złagodzonej[34].

Pokazywałoby to, iż mieliśmy do czynienia z całkowitym niezrozumieniem fenomenu komunizmu, złudnymi nadziejami, zupełnym nie przemyśleniem lub nie przyjęciem do wiadomości tego, co na jego temat mieli do powiedzenia Pius IX, Pius XI, Leon XIII czy Pius XII. Wezwania do jednoczenia się wszystkich ludzi dobrej woli, przyzwolenie na współpracę katolików z komunistami w dziele realizacji wspólnych celów dane *implicite* przez Jana XXIII w encyklice *Pacem in Tenis,* są tego wyrazem. Przecież niespełna trzy dekady wcześniej, Pius XI nazywał komunizm złem bezwzględnym, z którym w żadnej dziedzinie nie może „...współpracować ten, kto pragnie ocalić cywilizację chrześcijańską"[35] oraz pisał o pokrętnej taktyce komunistów, stosowanej przez nich mimikrze, uciekaniu się do każdego oszustwa po to tylko, by osiągnąć swoje cele.

> Wodzowie komunizmu - czytamy na kartach *Divini Redemptoris* - zauważyli na przykład powszechne pragnienie pokoju i dlatego udają gorliwych rzeczników i krzewicieli idei pokojowych, ale jednocześnie zachęcają gorąco do walki klas, prowadzącej do straszliwego przelewu krwi, a ponieważ nie wierzą w jakiekolwiek gwarancje pokojowe, uciekają się do nieograniczonych zbrojeń[36].

Pius XII zaś, w jednym ze swoich bożonarodzeniowych przemówień, podkreślał:

> Jakże jeszcze można nie widzieć, że taki jest wyłącznie cel owej nieszczerej agitacji, jaka występuje pod nazwą „rozmów" i „spotkań"? Po co zresztą rozprawiać, jeżeli się nie ma wspólnego języka, lub jakże można się spotykać, jeżeli drogi się rozchodzą, tj. gdy jedna ze stron uparcie odrzuca i zaprzecza wspólnych wartości absolutnych, uniemożliwiając tym samym urzeczywistnienie wszelkiej „koegzystencji w prawdzie"? Już przez wzgląd na samo imię chrześcijanina należy wstrzymać się od uczestniczenia w podobnych taktykach, gdyż - jak napomina Apostoł - nie podobna zasiadać do Stołu Bożego, by równocześnie chcieć biesiadować z nieprzyjacielem Boga[37].

Wyrazem tych tendencji była też niechęć wobec pomysłu opracowania osobnego dokumentu soborowego, prezentującego stosunek katolickiej nauki społecznej do marksizmu, komunizmu i socjalizmu oraz perturbacje, związane z umieszczeniem w *Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym Gaudium et spes* bardzo delikatnej, oględnej i wyrażonej *implicite* krytyki wobec komunizmu[38]. Słowa, które wywołały tak wielkie zamieszanie, zostały wstawione do *Konstytucji* na skutek osobistej interwencji Pawła VI:

> Kościół, wiernie oddany Bogu jak i ludziom, nie może przestać z bólem, z całą stanowczością, jak to już czynił uprzednio, ganić tych zgubnych doktryn i działań, które sprzeciwiają się rozumowi i powszechnemu doświadczeniu ludzkiemu i oddalają człowieka od wrodzonej mu wspaniałości[39].

Nadzieje na dialog, porozumienie, obłaskawienie czy raczej ucywilizowanie komunizmu były jednak płonne, stanowiły efekt niezrozumienia jego istoty. Znawca tej problematyki, Włodzimierz Bukowski, pisał, iż komunizm stanowi rodzaj choroby zakaźnej, dżumy, z którą nie można się pokłócić lub pogodzić, można tylko zachorować na nią lub nie.

> Dżumy nie sposób więc „przebudować" lub zreformować, trzeba się z niej wyleczyć, wytężywszy całą swoją wolę życia[40].

W czasie samego Soboru zwracał też na to uwagę Prymas Polski Stefan Wyszyński, ostrzegając, iż

diamat podważa i odrzuca wszelkie stale i ciągle normy prawa i ustaw. W świecie, w którym rządzi, nie istnieją ani porządek społeczny, ani wieczne zasady, ani niezmienne idee. Idea prawa ustępuje wobec zasady, że cel uświęca środki, w tym także środki siły i przemocy. Gdy cel zostaje osiągnięty, środki zostają porzucone, gdyż straciły rację bytu. Dzisiaj mogą służyć jako narzędzia walki, jutro się je odrzuci. To samo dotyczy układów, paktów i konwencji przyjętych z powodów taktycznych bądź strategicznych. W żaden sposób nie wpływają one na świat diamatu, podczas gdy druga strona czuje się moralnie zobligowana. Umowa pomiędzy Kościołem a państwem diamatu zobowiązuje Kościół, lecz w żadnym stopniu nie zobowiązuje państwa diamatu z chwilą, gdy osiągnęło ono swój cel, to znaczy ujarzmiło Kościół[41].

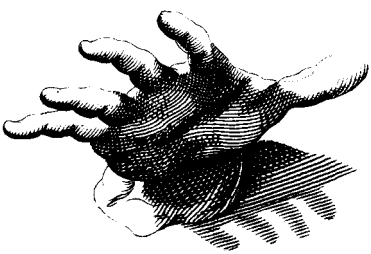

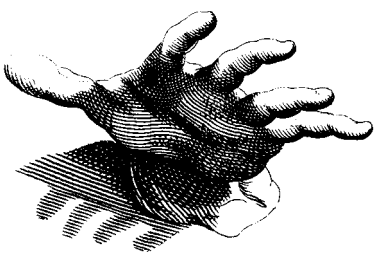

Natomiast przywoływany niejednokrotnie już Besancon trafnie zauważa, że współpraca pomiędzy komunistami a chrześcijanami w imię wyższych celów była czymś szkodliwym i stanowiła rezultat prostego błędu, ponieważ

> ...pod słowami „pokój" i „sprawiedliwość" komuniści pojmowali komunizm, podczas gdy Kościół rozumiał pokój i sprawiedliwość. Było to pomieszanie synonimów z homonimami[42].

Trzeba tutaj jednak podkreślić, iż zmiany, o których mowa, dotyczą przede wszystkim prakseologii, na płaszczyźnie teoretycznej trudno mówić o jakiejś rewolucji w nauczaniu papieskim. Warto choćby odwołać się tutaj do Listu apostolskiego *Octogesima acheniens* Pawła VI, w którym mamy do czynienia z mocnym podkreśleniem, iż nie można jednocześnie być chrześcijaninem i marksistą. Jednak zmiana taktyki wobec komunizmu oddziaływała na ka-

tolików na całym świecie w o wiele większym stopniu, ośmielała ich do porozumienia z marksizmem na płaszczyźnie praktycznej oraz teoretycznej, natomiast zastrzeżenia, mieszczące się w jednym paragrafie papieskiego dokumentu i „łagodzone" zaraz analogiczną krytyką kapitalizmu, nie musiały wywierać większego wrażenia.

Coda

Pius XI kończył swoje rozważania na temat komunizmu w encyklice *Divini Redemptoris* profetycznym stwierdzeniem, iż komunizm skazany jest na klęskę, nigdy nie zdoła urzeczywistnić swych celów w żadnej dziedzinie, nawet czysto gospodarczej, ponieważ nie można bezkarnie gardzić prawem naturalnym ani Bogiem. Rzeczywiście, pomimo prześladowań, komunistom nie udało się jednak wykorzenić wiary z serc ludzkich, nie nastąpiło też coś, co w świetle materializmu historycznego i dialektycznego miało być nieuchronne, tj. naturalne obumarcie religii, będącej jedną z form alienacji człowieka, powstałej jako projekcja lepszej przyszłości w innym świecie. Chantal Delsol nie bez słuszności twierdzi, iż można walczyć z religią

> ...zabijając księży lub burząc kościoły, ale taka próba jest na ogół skazana na porażkę, bo żarliwość religijna rośnie wraz z prześladowaniami. Natomiast skuteczność będzie większa, kiedy spróbujemy usunąć religię, ośmieszając ją i sprowadzając do rangi zachowania odpowiedniego dla australopiteka, utożsamiając Kościół z sektami[43].

Komunizm usiłował wykorzystywać obie metody, ale drugą niezgrabnie, z właściwym sobie brakiem finezji. Wydaje się, iż siły postępu we współczesnym świecie przemyślały doświadczenia walki z religią w ZSRS, Meksyku czy Wietnamie i doszły do analogicznych wniosków, co francuska filozof. Postanowiono skupić się na tej skuteczniejszej metodzie, dodatkowo stosując ją w sposób o wiele bardziej wyrafinowany oraz dbając przy okazji o to, aby zgodnie ze wskazówkami Jemieliana Jarosławskiego, założyciela Związku Wojujących Bezbożników, nie tworzyć

męczenników, ale raczej apostatów. Tej dyrektywy zaś komunistom w ich szale antyreligijnym nigdy nie udawało się do końca przestrzegać. W pewnym momencie niektórzy dawni „sieriozni", marksistowscy bojownicy o wyzwolenie proletariatu, przekształcili się w ironicznych dekonstrukcjonistów, soc-postmodernistów, obrońców „uciskanych" mniejszości. Konstatując bankructwo idei, które wyznawali, zaczęli kwestionować wszystko, pod maską naukowości i obiektywizmu przypuścili wyrafinowany atak nie tylko na *credo,* ale i *cognosco.* Główny wróg pozostał jednak ten sam - Kościół, religia jako depozytariusze i obrońcy zasad uznanych za przestarzałe i ograniczające wolność ludzką, podpora opresywnej patriarchalnej struktury, gnębiącej i spychającej na margines „innych", „wykluczonych", czyli po prostu nowy „proletariat". Zaczęto głosić, że człowiek ma prawo decydować o kryteriach wszelkich wartości, a każda etyka o charakterze normatywno-uniwersalnym to narzędzie jego zniewolenia. Jeśli tak, to oczywiście Kościół traktowany być musi jako instytucja nie tylko niepotrzebna, ale i szkodliwa, ubezwłasnowolniająca człowieka przy pomocy arbitralnie narzucanych zakazów i nakazów. Skoro zaś prawda obiektywna nie istnieje, stanowiąc co najwyżej pewien konsensus lub, jak chciał tego Michel Foucault, formę władzy jednych nad drugimi, to Kościół, który uważa się za depozytariusza prawdy objawionej, uznawany jest za instytucję wrogą człowiekowi, ciemiężącą go, implikującą rozwiązania totalitarne. Jan Paweł II w encyklice *Fides et ratio* określił tego rodzaju myśl mianem nihilistycznej, podkreślając, że jest ona

> ...odrzuceniem wszelkich fundamentów i negacją wszelkiej prawdy obiektywnej. *Nihilizm* nie tylko pozostaje w sprzeczności z wymogami i z treścią słowa Bożego, ale przede wszystkim jest zaprzeczeniem człowieczeństwa człowieka i samej jego tożsamości. Nie wolno bowiem zapominać, że usunięcie w cień zagadnień bytu prowadzi nieuchronnie do utraty kontaktu z obiektywną prawdą, a w konsekwencji z fundamentem, na którym opiera się ludzka godność. W ten sposób stwarza się możliwość wymazania z oblicza człowieka tych cech, które

ujawniają jego podobieństwo do Boga, aby stopniowo wzbudzić w nim destrukcyjną wolę mocy albo pogrążyć go w rozpaczy osamotnienia. Gdy człowiekowi odbierze się prawdę, wszelkie próby wyzwolenia go stają się całkowicie nierealne, ponieważ prawda i wolność albo istnieją razem, albo też razem marnie giną[44].

W dobie dzisiejszej powraca się raczej do oświeceniowej taktyki przedstawiania Kościoła jako źródła zabobonu i ciemnoty. Fakt, iż niektóre zasady uznaje on za niekwestionowalne w dyskursie politycznym powoduje, że jego postawa zaczyna być określana, mającymi rzekomo jedynie charakter deskryptywny, terminami „fundamentalizm" czy „integryzm". Każda odważniejsza próba upominania się o pewne fundamentalne zasady spotyka się z oskarżeniami o wchodzenie Kościoła w sprawy, którymi nie powinien się zajmować, chęć

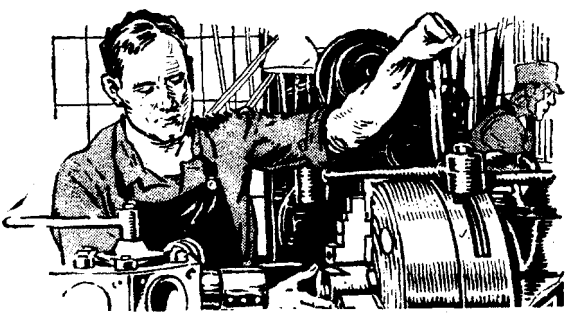

— Święty Józefie, Ty wiesz, co czuję, teraz, gdy muszę opuścić fabrykę, powierzam ci moją rodzinę, módl się za nami!

restaurowania hierokracji, a nawet chrystofaszyzm czy skłonności totalistyczne. Sprawa Traktatu Konstytucyjnego, Rocco Butiglionego, pastora Ake Greena to pierwsze z brzegu przykłady niemaskowanej chrystofobii współczesnej, tzw. cywilizowanej lewicy. W tej dzisiejszej walce istotną rolę odgrywa zapewne też logika resentymentu; ludzie, którzy kiedyś uwierzyli w utopię komunistyczną i możliwość uczynienia świata lepszym poprzez jej urzeczywistnienie, nie chcą przyznać się do własnej pomyłki. Nie potrafią uznać tej prostej prawdy, że świat urządzony w oparciu o zasady, które Kościół promuje czy rozwiązania przezeń lansowane, jest znośniejszy, choć nie doskonały, po-

nieważ przyjmuje się tutaj jako punkt wyjścia pewne odwieczne prawdy na temat człowieka, jego natury i miejsca w społeczeństwie. Zamiast podejmować skazane z góry na niepowodzenie próby radykalnego jego przeobrażenia i dostosowania do wykoncypowanych założeń czy systemu, bierze się pod uwagę człowieka rzeczywistego, a nie abstrakcyjnego, jakiego nikt nigdy nie widział. Zaczynają więc dyskredytować wszystko, wyolbrzymiając słabości instytucji Kościoła oraz starego świata, których przecież nie brak. Główną troską bowiem człowieka późnej nowoczesności jest strach przed „cofnięciem się",

> ...czyli przed ponownym uznaniem tych prawd, które chciała odrzucić utopia. [...] Wielu wolałoby raczej umrzeć, niż przywołać niektóre dawne postulaty, na przykład ten, zgodnie z którym grzech ludzki jest nieusuwalny[45].

RAFAŁ ŁĘTOCHA

PRZYPISY

1 A. de Tocqueville, *Dawny ustrój i rewolucja,* Warszawa 2005, s. 196.
2 Pius IX, *Qui pluribus.* Encyklika o współczesnych błędach i sposobach zapobiegania im, nr 4.
3 Pius IX, Nostis et nobiscum. Encyklika o zagrożeniu Kościoła we Włoszech *przez Rewolucje,* nr 18.
4 Tenże, *Quod apostołki muneńs. O sekcie komunistów, socjalistów i nihilistów,* Warszawa 2002, s. 5.
5 Mdr 6, 5-6.
6 Leon XIII, *Rerum novarum. Encyklika o kwestii robotniczej,* nr 5.
7 Ibid., nr 12.
8 A. Wat, Mój wiek. Pamiętnik mówiony, cz. 2, Warszawa 1990, s. 13.
5 A. Besancon, Pomieszanie języków [w:] tenże, Świadek wieku. Wybór *publicystyki z pierwszego i drugiego obiegu,* t. II, Warszawa 2006, s. 292.
10 Zob. Leon XIII, *Immortale Dei.* Encyklika o ustroju państwa chrześcijańskiego, nr 21.
11 Tenże, *Ouod...,* s. 7.
12 Pius, XI, Acerba animi. O prześladowaniu Kościoła w Meksyku, nr 4.
15 Tenże, *Ouadragesimo anno.* O odnowieniu ustroju społecznego i dostosowaniu go do normy prawa Ewangelii, nr 111-113.
14 Ibid., nr 117.
15 Ibid., nr 120.
16 Jan Paweł II, *Laborem exercens. O pracy ludzkiej,* nr 13.
17 Tenże, *Centesimus annus,* nr 48-49.
18 Pius XI, List do Kardynała Bazylego Pompili o prześladowaniach religijnych w Rosji, http://www.kns.gower.pl/pius_xi/pius_xi.htm
" Tenże, *Divini Redemptoris.* O bezbożnym komunizmie, nr 2, 7.
20 Ibid., nr 3.
21 Ibid., nr 14.

[22] M. Bierdiajew, Źródła i sens komunizmu rosyjskiego, Kęty 2005, s. 116.

[21] Pius XI, Divini..„ nr 22.

[24] H. Kelsen, Państwo monopartyjne, Warszawa 1938, s. 10.

[25] J.M. Bocheński, *Lewica, religia, sowietologia,* Warszawa 1996, s. 310.

[26] R. Dzwonkowski SAC, Kościół katolicki w ZSSR 1917-1939. Zarys historii, Lublin 1997, s. 73.

[27] Ibid., s. 234.

[28] „Orka" 1929, nr 96.

[25] R. Dzwonkowski SAC, op. cit., s. 99-100.

[30] Pius XI, *Dhini...,* nr 8.

[31] Ibid., nr 12.

[32] Ibid., s. 21.

[33] Ibid., nr 38.

[34] A. Besancon, *Pomieszanie...,* s. 244.

[35] Pius XI, *Db/ini...,* nr 58.

[36] Ibid., nr 57.

[37] Pius XII, Orędzie w wigilię Bożego Narodzenia 1956 *roku,* http://www.kns.gower.pl/pius_xii/pius_xii.htm.

[38] R. Wiltgen SVD, Ren wpada do Tybru. Historia Soboru Watykańskiego *II,* Poznań 2001, s. 353-361.

[35] Gaudium et spes. Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym, nr 21.

[40] W. Bukowski, *Moskiewski proces. Dysydent w archiwach Kremla,* Warszawa 1998, s. 114.

[41] Cyt. za: A. Besancon, Drugie milczenie Kościoła, „Kultura" (Paryż) 1983, nr 3.

[42] Zamiast posłowia [w:] A. Besancon, Świadek..., s. 418.

[43] Ch. Delsol, Esej o człowieku późnej nowoczesności, Kraków 2003, s. 45.

[44] Jan Paweł II, *Fides et ratio.* O relacjach między wiarą a rozumem, nr 90.

[45] Ch. Delsol, op.cit., s. 38.

Św. Paweł Alaina Badiou niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Uznanie apostoła narodów za burzyciela porządku, negującego Prawo Tory i porządek kosmiczny Greków czy odrzucającego znaczenie partykularnej wspólnoty, ma mniej więcej tyle wspólnego z historią, ile uznanie Jezusa Chrystusa za „pierwszego rewolucjonistę" czy „bojownika o prawa mniejszości seksualnych". Trudno bowiem nie dostrzec, że choć nawrócenie Pawła dokonuje się na pustyni, w drodze do Damaszku i ma wymiar całkowicie jednostkowy, to już dalsza jego droga jest ściśle związana ze wspólnotą.

Pochwała partykularyzmu,

czyli o świętym Pawle Alaina Badiou

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

O świętym Pawle z książki Alaina Badiou *Święty Paweł. Ustanowienie uniwersalizmu* za dużo dowiedzieć się nie można. Francuski maoista, choć przeczyta! wielokrotnie (jak twierdzi) wszystkie pisma apostoła narodów, niewiele z nich zrozumiał. Wciskając Pawła w schematy dialektyki, chwytając jego

myśl w kategoriach postsekularnych czy określając wiarę w zmartwychwstanie Chrystusa mianem „bajki" - z góry zresztą skazał się na niepowodzenie, pomijając i lekceważąc to, co w sytuacji apostoła było najbardziej fundamentalne, czyli spotkanie z osobowym Bogiem, przeżycie nawrócenia w drodze do Damaszku. A jednak, mimo wszystkich tych wad i niedociągnięć książki, warto ją przeczytać. Pokazuje ona bowiem w sposób naoczny to, czym różni się od siebie chrześcijaństwo i marksistowski mesjanizm czy czysto politycznie rewolucyjna lewica i konserwatyzm; oraz dlaczego oba te systemy myślowe są ze sobą absolutnie nie do pogodzenia.

Paweł aktywista

Święty Paweł Alaina Badiou, a może lepiej byłoby powiedzieć - święty Lenin z Tarsu, jest głosicielem bezosobowego, niehistorycznego i nieempirycznego wydarzenia (ostatecznie określanego bajką), „erupcji przypadku", która nie ma nic wspólnego z realnymi wydarzeniami z życia Chrystusa, a opiera się wyłącznie na „ustanowieniu" objawienia, jego sformułowaniu w oderwaniu od jakichkolwiek faktów czy wydarzeń. „Paweł nie wierzy w istnienie prawdy historycznej" - stwierdza wprost francuski maoista i dodaje, że są one dla niego wyłącznie czymś, co stanowić ma wielką narrację polityczną, co może stać się podstawą działania. Taka wizja Pawła pozwala filozofowi uznać go za prekursora współczesnych, postmodernistycznych rewolucjonistów. Wiara w to, że jakakolwiek grupa społeczna może posiadać cechy mesjańskie (jakimi, według tradycyjnych marksistów, dysponowała klasa robotnicza, albo przynajmniej w wersji leninowskiej - partia), przekonanie o tym, że jakieś wydarzenie może oznaczać początek wielkiej przemiany społecznej i politycznej, której efektem będzie przemiana człowieczeństwa - także nie da się już wyprowadzić z rzeczywistości empirycznej. Historia, ekonomia, politologia przynoszą kolejne zaprzeczenia mesjańskich wizji marksizmu. Jedynym ratunkiem dla nich jest więc uznanie, że są one, jak zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa dla Pawła, bajką, nieprawdą empiryczną i historyczną, marzeniem, które jednak jest konieczne, by dać podstawy do rewolucyjnych przemian. Bez uznania istnienia radykalnej, totalnej, ale - co trzeba podkreślić - czysto subiektywnej prawdy, nie istnieje możliwość działania politycznego, które wykraczałoby poza doraźną grę interesów czy ochronę stanu posiadania.

Rewolucja, ufundowana być może jedynie na bazie przeżycia, bezosobowego wydarzenia, które w działalności partyjnej z przeżycia jednostki staje się bezosobowym ufundowaniem „uniwersalizmu", staje się podstawą działania politycznego, niszczącego to, co dotychczasowe.

Uniwersalizm ten oznacza dla Badiou wierność absolutnie subiektywnemu wydarzeniu, które jest „akosmiczne" i „bezprawne", nie podlegające ograniczeniom ani natury, ani prawa, będące absolutnym przeciwieństwem wszelkiego partykularyzmu (a przecież każde prawo i każda moralność posiada takie cechy).

> Trzeba wyjść od samego wydarzenia, które jest akosmiczne i bezprawne, nie łączy się z żadną całością i nie jest znakiem niczego. Wyjście od wydarzenia nie dostarcza żadnego prawa, żadnej formy panowania, ani tej należnej mędrcowi ani prorokowi. Można powiedzieć, że dyskurs grecki oraz dyskurs żydowski są dyskursami Ojca. Dlatego spajają wspólnoty poprzez posłuszeństwo (Kosmosowi, Imperium, Bogu lub Prawu). Uniwersalnym, odciętym od wszelkich partykularyzmów, ma szansę być tylko to, co wystąpi jako dyskurs Syna

- podkreśla Badiou. Oznacza to, ni mniej ni więcej, tylko uznanie, że do uprawiania uniwersalistycznej (a w gruncie rzeczy rewolucyjnej) polityki konieczne jest odrzucenie wszelkich zasad, norm i praw. Partykularne wspólnoty powinny zostać unieważnione, bowiem narzucają one jednostce ograniczenia, sprawiają, że nie jest ona w stanie podjąć rzeczywiście rewolucyjnego wyzwania, nie jest w stanie odrzucić moralności i opowiedzieć się po stronie „amoralnej rewolucji". Fundamentem tego odrzucenia musi się jednak stać wydarzenie. Arbitralnie (przez aktywistę czy, częściej, partię) wybrana data, proces historyczny czy symbol, którym nadana zostanie pieczęć absolutności, jako jedyna wyrwać może jednostkę z władzy konkretnego zakorzenienia, partykularnej wspólnoty, w której człowiek uczy się mówić, myśleć, żyć moralnie, a także (co wcale nie najmniej istotne) modlić.

Oczywiście, Badiou ma świadomość, że podstawą tego arbitralnego wyboru ustanawiającego wydarzenie, będące początkiem odrzucającego wspólnotę uniwersalizmu, jest konkretna sytuacja życiowa, zdarzenie. U Pawła była to droga do Damaszku, którą Badiou określa „gromem", „cezurą" czy wręcz

„rozkazem, ustanawiającym nowy podmiot". Jednak pozbawienie tego wydarzenia osobowych odniesień i jego sprowadzenie do osobistego (ale już nie osobowego) przeżycia pozwala na takie jego ujęcie, które pozbawia znaczenia zarówno wspólnotę, w której wiara się realizuje, jak i Osobę, która jest jej podstawą. Jezus Chrystus, którego spotka! na swojej drodze Szaweł, jego osobiste pytanie: „Szawle, Szawle! Dlaczego Mnie prześladujesz" (Dz. 22, 7), nie jest w takim ujęciu elementem istotnym. I nawet trudno, nie tylko z przyczyn teologicznych, ale również politycznych, się temu dziwić. Uznanie osobowego wymiaru tego spotkania prześladowcy Kościoła i Jezusa - oznaczałoby nie tylko konieczność uwierzenia, ale także porzucenia antypartykularnego, uniwersalistycznego pojmowania polityki. Jeśli bowiem początkiem działalności Pawia jest spotkanie z Osobą - to pozostaje ono partykularne, zakorzenione w konkrecie nowej, rodzącej się wspólnoty tych, którzy, jak Szaweł, spotkali na swojej drodze Jezusa Chrystusa. Uniwersalizm rozumiany jako brak zakorzenienia, jako wrogość wobec wymiaru Prawa czy Kosmosu, możliwy jest tylko wówczas, gdy początkiem działalności Pawła jest wybór, decyzja, subiektywne opowiedzenie się po stronie jakiejś wartości, która jednak nie ma konkretnego, historycznego czy, tym bardziej, metafizycznego znaczenia.

Apostoł narodów

Problem polega tylko na tym, że św. Paweł Alaina Badiou niewiele ma wspólnego z rzeczywistością. Uznanie apostoła narodów za burzyciela porządku, negującego Prawo Tory i porządek kosmiczny Greków czy odrzucającego znaczenie partykularnej wspólnoty ma mniej więcej tyle wspólnego z historią, ile uznanie Jezusa Chrystusa za „pierwszego rewolucjonistę" czy „bojownika o prawa mniejszości seksualnych". Trudno bowiem nie dostrzec, że choć nawrócenie Pawła dokonuje się na pustyni, w drodze do Damaszku i ma wymiar całkowicie jednostkowy, to już dalsza jego droga jest ściśle związana ze wspólnotą. Jezus objawia się Pawłowi, przekazując mu podstawowe przesłanie dotyczące tego, że Ukrzyżowany wciąż żyje, ale po konkrety odsyła już do innych chrześcijan. „Idź do Damaszku, a tam ci powiedzą wszystko, co Bóg zamierzył wobec Ciebie" - mówi Jezus Pawłowi (Dz 22, 10). To zresztą wcale nie Paweł, ale właśnie członkowie wspólnoty chrześcijańskiej, jako pierwsi dowiadują się, do czego powołał dawnego prześladowcę Bóg.

„W Damaszku znajdował się pewien uczeń, imieniem Ananiasz. Ananiaszu! - przemówił do niego Pan w widzeniu. A on odrzekł: Jestem, Panie! A Pan do niego: Idź na ulicę Prostą i zapytaj w domu Judy o Szawła z Tarsu, bo właśnie się modli. (I ujrzał w widzeniu, jak człowiek, imieniem Ananiasz, wszedł i położył na nim ręce, aby przejrzał). Panie - odpowiedział Ananiasz - słyszałem z wielu stron, jak dużo złego wyrządził ten człowiek świętym Twoim w Jerozolimie. I ma on także władzę od arcykapłanów więzić tutaj wszystkich, którzy wzywają Twego imienia. Idź - odpowiedział mu Pan - bo wybrałem sobie tego człowieka za narzędzie. On zaniesie imię moje do pogan i królów, i do synów Izraela. I pokażę mu, jak wiele będzie musiał wycierpieć dla mego imienia. Wtedy Ananiasz poszedł. Wszedł do domu, położył na nim ręce i powiedział: Szawle, bracie, Pan Jezus, który ukazał ci się na drodze, którą szedłeś, przysłał mnie, abyś przejrzał i został napełniony Duchem Świętym" (Dz 9, 10-17) - relacjonuje św. Łukasz. Objawienie i powołanie, choć skierowane bezpośrednio do św. Pawła (do tego osobistego powołania apostoł bardzo często się odwoływał), dokonuje się zatem w konkretnej wspólnocie, w partykularyzmie pierwotnej wspólnoty judeochrześcijańskiej, a nie w jakiejś bezosobowej sferze decyzji.

Wiara jest zatem u Pawła (mimo całego jej osobistego wymiaru, który u tego apostoła jest szczególnie mocny) wydarzeniem wspólnotowym. Indywidualizm w znaczeniu liberalnym jest czymś całkowicie obcym pierwszym chrześcijanom. Bóg objawia się konkretnym osobom - Abrahamowi, Izaakowi, Jakubowi i ich rodzinom, Mojżeszowi i jego ludowi. Izrael wręcz zostaje uformowany przez Boga jako miejsce, w którym dokonać się ma Pierwsze Objawienie. Wbrew opiniom uniwersalistów - przesłanie Boże dokonuje się w konkretnym miejscu, czasie i wobec konkretnych osób. Jego uniwersalność jest nie tyle zerwaniem z konkretnością, ile zaofiarowaniem konkretności Boga wszystkim. Prorocy - mówiąc o uniwersalności Bożego Przymierza, nie wyrywają go z konkretu Izraela, ale pokazują, że do tego konkretnego miejsca „Syjonu" pielgrzymować będą wszystkie narody. Nie inaczej jest z rodzącym się chrześcijaństwem. Jezus Chrystus tworzy wspólnotę, która ma przebywać z Nim, a później głosić Jego przesłanie. To ona, jak najbardziej partykularna i historyczna grupa apostołów i uczniów, jest pierwotnym miejscem objawiania się Boga w Jezusie Chrystusie. Uczniowie i apostołowie, poznając Mistrza, a później doświadczając historycznego wydarzenia Jego śmierci i doświadczając Jego zmartwychwstania, stopniowo przechodzą do głoszenia prawdy o Nim. I dopiero z niej rodzi się Ewangelia, będąca zapisem przeżycia, doświadczenia, modlitwy, ale i teologii wspólnoty. W tym sensie rację ma Bultmann sugerując, że Ewangelia jest zapisem wiary pierwotnej wspólnoty. Nie ma jej jednak sugerując, że ma być to słabość Pisma Świętego, i że trzeba szukać jakiegoś przedewangelicznego, rzekomo jedynie prawdziwego Jezusa Chrystusa. Wiara chrześcijan, wspólnota, jaką oni tworzą, jest bowiem partykularnym miejscem, w którym odczytane i przyswojone zostają wszystkie słowa, znaki i czyny Jezusa Chrystusa.

Konkretność, partykularność Objawienia przejawia się jednak chyba najmocniej w samym fakcie Wcielenia Jezusa Chrystusa. Miejscem objawienia staje się bowiem już nie tylko wspólnota (Izraela, a później Nowego Izraela - Kościoła), ale konkretna osoba ludzka. Trudno o większe zaufanie do konkretu, a jednocześnie mocniejsze podkreślenie znaczenia jednostkowości. Bóg objawia się chrześcijanom w konkrecie wydarzenia: powołania apostołów, rozmów z młodzieńcem, ale przede wszystkim procesu, skazania, ukrzyżowania i spotkań po zmartwychwstaniu. Objawienie dokonuje się zatem nie tyle przez traktaty filozoficzne, ile przez konkret spotkania twarzą w twarz, przekazu przez rozmowę, słowa zapisane na piasku czy gest.

Nie inaczej jest ze św. Pawiem. Jego wiara jest jak najbardziej konkretna, wypływa z osobistego i osobowego spotkania. Nie ma więc racji Alain Badiou, powtarzając do znudzenia, że wiara nie ma dla Pawła nic wspólnego z wydarzeniami historycznymi czy empirycznymi.

> Do czego odnosi się słowo „apostoł"? Na pewno do niczego historycznego lub empirycznego. Aby być apostołem, nie trzeba być współtowarzyszem Chrystusa, świadkiem wydarzenia. Paweł [...] jawnie odrzuca pretensje tych, uważających się za gwarantów prawdy w imię tego, kim byli i co widzieli

- przekonuje francuski maoista. I choć trudno nie zgodzić się z faktem, że posłanie apostolskie Pawła oparte jest na innych podstawach, to trudno też nie zauważyć, że podobnie jak tamte (i podobnie jak każde powołanie apostolskie w kolejnych pokoleniach), opiera się ono na fundamentalnym doświadczeniu, a może lepiej powiedzieć - fakcie spotkania ze zmartwychwstałym Chrystusem. Istotą przesłania apostolskiego nie było bowiem głoszenie życia i nauczania Chrystusa, ale głoszenie, że jest on żywy. Nie tylko Paweł, ale i Piotr (będący świadkiem życia) w swoich kazaniach koncentruje się nie na legionach, nie na cudach, ale na podstawowym fakcie, że ten, który został ukrzyżowany rękoma bezbożnych żyje, i daje życie innym. To doświadczenie historyczne i empiryczne, choć jednocześnie wykraczające poza historię i empirię - jest fundamentem apostolstwa, tak Pawła, jak i pozostałych.

Nie jest także prawdziwym przeciwstawienie uniwersalnego przesłania Pawła partykularnym przesłaniom Greków i Żydów. Odrzucając tak kosmizm Greków, jak i rytualizm judaizmu - Paweł nie odrzuca bowiem znaczenia konkretu. Wiara realizuje się bowiem dla niego wewnątrz konkretnej wspólnoty ludzi, którzy uwierzyli, że Jezus Chrystus jest Panem i Zbawicielem. Wewnątrz tej wspólnoty granice narodowe, językowe czy nawet religijne (w znaczeniu religii pochodzenia) nie stanowią już barier. Nie oznacza to jednak, że nie istnieją w ogóle granice czy mury wokół rodzącej się wspólnoty. Tym murem są nie tylko zasady soboru jerozolimskiego, ale także uznanie mesjańskiego posłannictwa Jezusa, wiara w Niego, która staje się wyznacznikiem przynależności do wspólnoty - konkretnej, historycznej wspólnoty, która kształtuje się w"procesie.

Konserwatyzm kontra rewolucjonizm

Już to, z konieczności krótkie, przedstawienie rozumienia św. Pawła przez Alaina Badiou pozwala jasno stwierdzić, jaka jest jego wizja polityki, którą w oparciu o przykład „apostoła narodów" albo lepiej „aktywisty narodów" chciałby on uprawiać. Ma to być polityka wielkich celów, przemieniania społeczeństw i stanowienia w nich „uniwersalizmów" w miejsce partykularyzmów, multikulturalizmów czy choćby politycznych poprawności. Cywilizacja niezakorzenionych, pozbawionych konkretności synów ma zastąpić dotychczasowe cywilizacje ojców, a oparcie się na „bezosobowym wydarzeniu" (niekoniecznie zresztą prawdziwym) ma stać się wezwaniem do wielkiej akcji politycznej, która taką właśnie cywilizację synów ma ustanowić. Problem polega tylko na tym, że nie widać powodów, dla których takie działania, stanowiące uniwersalizm, mają być podejmowane. O ile bowiem pierwsze pokolenia marksistów rzeczywiście wierzyły w świeckie spełnianie się mesjańskich obietnic, o tyle obecni postmarksiści mają pełną świadomość fikcyjności, nieempiryczności i niehistoryczności wszystkich tych przekonań. Brak im zatem inspiracji do podejmowania działań. Trudno bowiem za nią uznać bezosobową decyzję o arbitralnym uznaniu jakiegoś wydarzenia za to, które rozpocząć ma stanowienie uniwersalizmu.

Arbitralność wyboru, wolitywność uprawiania polityki w miejsce tradycyjnego realizmu (nawet jeśli okraszonego idealizmem) - to zatem fundamenty rewolucyjnego myślenia o rzeczywistości. I właśnie one pozostają całkowicie nie do pogodzenia z tym, co określić można mianem konserwatyzmu. Nurt ten bowiem, nawet jeśli opowiada się za jakąś formą rewolucji kulturowej czy kontrrewolucji politycznej, nie chce opierać jej na arbitralnej decyzji, która stanowić ma jakiś „uniwersalizm". Dla niego fundamentem pozostaje konkretna wspólnota, z jej jak najbardziej konkretnymi potrzebami, pragnieniami czy brakami. To w niej dokonać się ma przemiana, to ona podlegać ma „nawróceniu" na właściwą drogę. Plan powszechnego zbawienia politycznego dla wszystkich nie istnieje, są tylko partykularne próby poprawienia tego, co złe. Świetnym przykładem takiego myślenia, już nie tylko politycznego, ale także eklezjalnego, pozostaje Apokalipsa św. Jana. Nie ma tam listu do całego Kościoła, ale posłania do konkretnych wspólnot, z których każda ma jakieś kłopoty. I podobnie konkretne, partykularne ukierunkowanie właściwe jest

polityce konserwatywnej. Chce ona leczyć i naprawiać nie uniwersum, nie całość, ale konkretne źle działające rzeczywistości w ramach swojego narodu. Oznacza to, oczywiście, brak wielkich narracji, a skupienie się na rzeczach małych. Zamiast rewolucji - naprawianie, zamiast wysadzania w powietrze dusznego mieszkania - otwarcie okien. Jednym słowem, głoszenie pochwały konkretu, zamiast całości; miłość bliźniego, a nie ludzkości.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

A. Badiou. *Święty Paweł. Ustanowienie uniwersalizmu.* Kraków 2007

KORNEL UJEJSKI

Z DYMEM POŻARÓW

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

Ileż to razy Tyś nas nie smagał,
A my, nie zmyci ze świeżych ran,
Znowu wołamy: „On się przebłagał,
Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!"
I znów powstajem w ufności szczersi,
A za Twą wolą zgniata nas wróg,
I śmiech nam rzuca, jak głaz na piersi:
„A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?"

I patrzym w niebo, czy z jego szczytu
Sto słońc nie spadnie wrogom na znak -
Cicho i cicho, pośród błękitu
Jak dawniej buja swobodny ptak.
Owóż w zwątpienia strasznej rozterce,
Nim naszą wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce;
Sądź nas po sercu, nie według słów!

O! Panie, Panie! Ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas,
Syn zabił matkę, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Ależ, o Panie! Oni niewinni,

Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

Patrz! My w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje lono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą plyniem jak senni ptacy,
Co lecą spocząć wśród własnych gniazd.
Osłoń nas, osłoń ojcowską dłonią,
Daj nam widzenie przyszłych Twych łask.
Niech kwiat męczeństwa uśpi nas wonią,
Niech nas męczeństwa otoczy blask.

I z archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój,
I na drgającym szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!
Dla błędnych braci otworzym serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest;
Wtenczas usłyszy podły bluźnierca
Naszą odpowiedź:
„Bóg był i jest!".

KORNEL UJEJSKI

Muszę sobie kupić tę książkę, postanowiłem, choć historia komunizmu zawsze budziła mój głęboki wstręt. Muszę sobie kupić, rozwijać się, podążać za tym, co głosi Waldek, Pyza, inni, starać się chociaż, brnąłem dalej, choć wiedziałem jednocześnie, że nie kupię, nie przeczytam, nie postawię na półce, a jutro zapomnę o wszystkim. Słomiany ogień potrwa chwilę, życie potoczy się zwykłym nurtem.

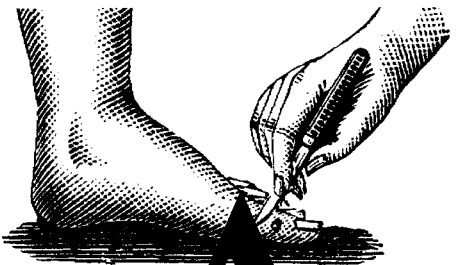

RZA

WOJCIECH CHMIELEWSKI

Mało o niej wiem, prawie nic. Być może dlatego właśnie nie powinienem pisać na jej temat. A jednak robię to, może z czystej przekory. Rozmawiałem tylko raz albo dwa razy, na pewno wtedy, kiedy kończyła swą pracę nauczycielki w liceum, a ja obejmowałem po niej stanowisko. Krótkie to były rozmowy, trochę jej uwag o szkole, młodzieży, nauczycielach; ja zresztą ich znałem, bo dziesięć lat temu sam kończyłem to liceum, nauczyciele byli prawie ci sami. Teraz niby moi koledzy z pokoju nauczycielskiego. Absurd. Przepracowałem tam jeden semestr, okazałem się nauczycielem nieprzystosowanym. „Jest pan niepoważny" - kiedy zwalniałem się z pracy, tak powiedział dyrektor, przez cały czas bębniąc grubymi paluchami w klawiaturę laptopa.

Niewesoło wspominam tamten z nią kontakt, ale przecież znalem ją już wcześniej, z uniwerku. Pyzata buzia, długie wijące się blond włosy, takie drobne loczki i grube nogi. Energicznie wspinała się na schody instytutu. Stąd widocznie widok jej nóg tak utrwalił się w mej pamięci. Była na wszystkich zebraniach nielegalnej organizacji studenckiej, do której się zapisałem. Pamiętam nawet jej wystąpienia, bo wśród dziewczyn nie było poza nią żadnych liderek. Mówiła pewnym głosem o naszych sprawach, niestety, dziś już nie wiem, o jakich, ale na pewno ważnych, na jej okrągłe policzki występowały rumieńce. Klaskaliśmy. Inni nasi przywódcy - Ciompa, Stanisławski, Mario, Skwiet - mieli do niej duży szacunek, aż dziw brał, że nie była dziewczyną żadnego z nich. Właśnie. Przez cały długi okres studiów nie zauważyłem, żeby miała chłopaka. Ale to tylko moja niedoskonała obserwacja, studiowałem rok niżej niż ona, widywałem ją przecież tylko na zebraniach, na schodach instytutu, w czytelni, zatem bardzo możliwe, że była z kimś, tylko mnie wtedy niewiele to obchodziło. Dopiero dzisiaj piszę o niej, więc co do jej życia prywatnego mogę się mylić.

I potem, po tych heroicznych latach, strajkach, spaniu na stołach w śpiworze - ona też była na strajku, pewnie robiła kanapki, herbatę, ale ja już nic nie pamiętam, nie pamiętam nawet, z kim wtedy rozmawiałem i o czym, chociaż alkoholu nie piłem prawie w ogóle - zachciało mi się ją wspomnieć. Pamiętam, jak wtedy Bujak do nas przyjechał i powiedział, że nam przypierdolili w studentów, bo my im wcześniej przypierdoliliśmy w listę krajową. Dostał rzęsiste oklaski. Ale macie pełne poparcie, perorował dalej, Regionu Mazowsze; żądajcie, czego wam tu potrzeba na strajku: śpiworów, jedzenia, pieniędzy, drukarni.

A potem mam białą tablicę w pamięci, gęsta mgła i spowite nią wiece, skandowania, transparenty, precz z komuną, zebrania, nic z tego właściwie we mnie istotnego nie pozostało, nawet lęk ani strach przed esbekami, zomowcami, przecież to każdy by zapamiętał. Nic. A ona tam była, jasne roztrzepane włosy, lekko kręcone, zawsze czyściutkie, wyczesane. U mnie na roku były dziewczyny-brudasy. Wstyd o tym wspominać, ale makijaż zrobiony, niby ubranie ładne, ale włosy tłuste, a za paznokciami czarno. Boże mój miły, dlaczego ja pamiętam tę żałobę zza paznokci, a nie pamiętam, co mówił do nas nasz przywódca, co jeszcze dalej mówił Zbigniew Bujak, co mówiła ona? Pamiętam jej grube nogi na schodach w instytucie. Być może właśnie

dlatego piszę teraz o niej na przekór sobie, na przekór zmarnowanemu czasowi i studiom, które okazały się niewypałem. Tylko po co pisać na przekór sobie, do czego to właściwie ma prowadzić, nie czuję się wobec niej w jakikolwiek sposób winny, ponieważ my w ogóle się nie znamy. Nawet nie wiem, jaką epoką historyczną zajmowała się przez pięć lat studiów. Domyślam się, że mógł to być wiek XX, wiek, którym fascynowali się nasi przywódcy: sowietologia, proces Slansky'ego, lekarzy moskiewskich, konferencja w Szklarskiej Porębie, Jugosławia, Tito, czeska opozycja, rockowy nielegalny zespół Plastic People - też czeski, Havel, wydawany w podziemiu. To poruszało ich wyobraźnię, widzieli tu jakieś przełożenie na naszą sytuację, pewnie słusznie, więc tym się zajmowali, pisali prace roczne, potem magisterskie. Ona z nimi, starała się dotrzymywać kroku najinteligentniejszym, badała źródła, dyskutowała na zajęciach, przesiadywała w lektorium, w którym Marceli Handelsman z przedwojennej fotografii dobrotliwie spoglądał na swoje dzieci, pochylone nad książkami.

Po tych wszystkich latach spotkałem ją niespodziewanie w miasteczku, w którym po ślubie zamieszkałem z żoną. Robiła zakupy w naszym supermarkecie, stała przy kasie - wtedy ją zobaczyłem. Ona mnie też, ale nie poznała. Nie zdziwiłem się. Nawet gdyby mnie poznała, to miała prawo mnie olać, bo była starszą koleżanką, bardziej niż ja zaangażowaną w opozycję. Więc ten olew byłby dla mnie czytelny. Ale teraz, kiedy spisuję te uwagi, przypomniało mi się, że przecież, kiedy byłem nauczycielem, nosiłem brodę. Dawno ją zgoliłem i prawie już o tym zapomniałem, ale może właśnie dlatego Pyza nie mogła mnie rozpoznać.

Stała już przy kasie z pełnym wózkiem, ale nagle przypomniała sobie o czymś. Zawróciła i włożyła do wózka dwa najpopularniejsze w kraju dzienniki, jeden lewicowy, drugi prawicowy. Do pary, jak papużki-nierozłączki. Złośliwie pomyślałem, że jeszcze parę lat temu włożyłaby do koszyka tylko ten lewicowy, ale zbeształem się za to. Co ja o niej wiem? Dodać należy, że w tej najnowszej odsłonie wcale nie była już Pyzą. Lata robią swoje, także dieta. Twarz pociągła, a długie blond włosy prawie wyprostowane. Znacznie wyszczuplała, wyglądała świetnie. Nogi niemal smukłe, była w mini. Czarne pantofle. Tylko wokół ust, kiedy obserwowałem, jak wyciąga portmonetkę, jakiś cień zmęczenia, taki rys, który być może pojawia się wtedy, gdy zbyt intensywnie myślimy o tym, co już minęło.

Przypomniałem sobie, że podczas tych pogaduszek w liceum wspomniała niejasno o kupnie domu, widocznie nie mogła się opanować przed chwaleniem się, a ja nie skojarzyłem, że ten jej dom to właśnie tu, gdzie i ja zamieszkałem kilka lat później. Ułożyło mi się wszystko w jaki taki obraz, ale poczułem się naraz, nie wiedzieć dlaczego, odrzucony przez nią, przez naszych przywódców, właściwie przez wszystkich. Dopadła mnie goń myślowa, same najgorsze momenty, na przykład ten, kiedy byłem świetnie przygotowany do seminarium z historii średniowiecza, porobiłem szczegółowe notatki, przetłumaczyłem tekst z łaciny, a potem nie odezwałem się ani słowem. Po zakończeniu zajęć bezsilnie łkałem w kiblu, darłem kartki i szczałem na nie. Albo jak nie potrafiłem na mapie Afryki pokazać wszystkich francuskich kolonii, może nie wiedziałem, gdzie leży Senegal, trudno stwierdzić, pamięć zawodzi, grunt, że w tym samym kiblu dostałem po tym wszystkim bolesnej sraczki, a potem przed tym konwersatorium też często miałem rozwolnienie.

Wtedy w supermarkecie, ze złości, kupiłem jabola i wypiłem go w krzakach przy torach. Butelkę roztrzaskałem o betonowe podkłady. Nadziabany, potoczyłem się w stronę domu. Wszystko przez nią, przez Pyzę, która teraz stała się laską, mamrotałem i spluwałem raz po raz obrzydliwą słodkawą śliną. W naszym miasteczku kręciło się dużo dziewczyn, których głównym zajęciem było odsłanianie części ciała i wystawianie ich na żer chłopców. Krótkie spódniczki, gołe giry, głębokie dekolty, brzuchy (często obrzydliwe, wystające, podobnie jak kolebiące się na plecach zwały tłuszczu), wreszcie wyeksponowane w klapkach stopy z pomalowanymi w najdziwniejsze wzory paznokciami - cały ten obraz cuchnął, latem trudno było znieść codzienną kanonadę w sklepach, na peronie kolejki, w kościele.

Taka Pyza mogła tu uchodzić za ideał inteligenckiej panienki, która mogłaby się oddać jedynie wybitnemu intelektualiście. Na przykład temu profesorowi od historii najnowszej, który, jak doniosły media, okazał się agentem komunistycznej Służby Bezpieczeństwa. Pyzie na pewno by to nie przeszkadzało. Przecież był autorytetem. Wtedy on z satysfakcją zanurza siwą brodę pomiędzy jej gładkie uda. Potem zdejmuje gacie, widać obwisłą czerwoną dupę. Ostra wyżywka staruszka, który chędożył już z niejedną studentką, a potem w uniwersyteckiej stołówce stawiał jej obiadki za kasę, wypłacaną przez oficera esbecji. Pensję oddawał żonie.

Kiedy wytrzeźwiałem, zdałem sobie sprawę, jak bardzo pomiatałem Pyzą. Zrobiło mi się głupio i przykro. Przecież razem walczyliśmy przeciwko zbrodniczemu systemowi. I zwyciężyliśmy. Słuchałem jej wystąpień, była to (i jest, bo niby dlaczego miałbym w to wątpić) bardzo szlachetna osoba. Razem strajkowaliśmy. Więc skąd we mnie to zapętlenie, straszne kompleksy, których przecież nie rozwiąże spożywanie alkoholu. Skąd to we mnie, pojąć nie mogę. Zapomniałem napisać o jej oczach - błękitne, czyste, natchnione. Tam nie było cienia wahania, kompromisu, układu z całym brudem, który wtedy zalewał nas jak tsunami. Teraz też jest, ale zalewa chyba tylko mnie, od środka.

Pewnego dnia, był to Wielki Piątek, na błotnistych ulicach naszego miasteczka miała być odprawiona droga krzyżowa. Na szczęście było sucho. Stacje Męki Pańskiej zostały przygotowane przez mieszkańców, spod kościoła parafialnego wyruszyła procesja z ogromnym, zbitym z belek krzyżem. Kolejno niosły go różne grupy, wywoływane przez księdza z megafonem: kółko różańcowe, ministranci, różne bractwa kościelne. Zaintonowano pieśni pasyjne.

W wolno poruszającym się tłumie ludzi nagle dostrzegłem Waldka. Duże zaskoczenie - był to jeden z naszych dawnych przywódców, może mniej liczący się niż Ciompa, Stanisławski, Mario czy Skwiet, ale jednak postać charyzmatyczna. Nosił zawsze dżinsy, amerykańską wojskową kurtkę i zamszowe buty. Teraz też był tak ubrany, na ramieniu nieodłączna skórzana torba wypchana książkami i gazetami, a kiedyś - bibułą.

Przywitaliśmy się serdecznie, byłem zaskoczony spotkaniem w naszym miasteczku. Pierwsze moje pytanie odnosiło się właśnie do tego zbiegu okoliczności. Wtedy Waldek wymienił nazwisko Pyzy. Przyjechał do niej, ona ma tu dom, mieszkała kiedyś z narzeczonym, ale rozstali się. Jest sam na procesji, bo Pyza jest niewierząca.

Wszystkie uwagi wymienialiśmy pomiędzy kolejnymi stacjami drogi krzyżowej. Przyklękaliśmy, odmawialiśmy modlitwy i słuchaliśmy słów Ewangelii. A potem rozmowa o tamtych czasach, o dniach, które bardzo chciałem sobie przypomnieć i dlatego wypytywałem o nie Waldka. Odpowiadał chętnie, zawsze podziwiałem jego oszczędny sposób mówienia, niezwykle elegancki i skromny. Był to chłopak o wielkiej wiedzy, kilka lat temu napisał i obronił doktorat, był specjalistą od historii Związku Sowieckiego. Zawsze ostrzyżony na jeża, w okularach w czarnych oprawkach, poważny, ale miły, nie wywyższający się, potrafiący słuchać.

To właśnie jego widziałem kiedyś na peronie kolejki z angielską książką poświęconą historii Sowietów, ale wtedy, o siódmej rano, byłem tak zaskoczony, że nie dowierzałem własnym oczom. Nie podszedłem. A wtedy też musiał wracać od Pyzy.

- Pamiętasz - opowiadał podczas drogi krzyżowej Waldek - jak na strajku baliśmy się, że będą chcieli nas spacyfikować, wedrą się na kampus esbecy i zaczną nas grzmocić, bo szturm zomoli przez główną bramę był raczej niemożliwy. Chociaż wiesz - zamyślił się i po chwili dopowiedział - to też było jakoś przez nas brane pod uwagę, właściwie liczyliśmy się z każdym scenariuszem. Pyza była niezła, chodziła z nami na nocne obchody murów z drzewcem od flagi w ręku, wtedy jeszcze bejsboli nie było.

Przyklęknęliśmy. Wśród stukotu wielkopostnych kołatek poczułem nagle dawny świat, chłopaków i dziewczyny, materace, śpiwory, wiecowanie, George Mikes *Węgry 1956,* lektura też mi się przypomniała, kupiłem tę książkę na straganie z bibułą, który był czynny we wszystkie dni tygodnia przed uniwersytecką bramą. Jeszcze *Poeta się onanizuje,* zapamiętane zdanie z jakiejś powieści Milana Kundery. Książkami handlował Janek, miał ogromny znaczek PPS w klapie. Zawsze czymś zaaferowany, często w polemikach ze swymi klientami. Pyzę, oczywiście, pamiętałem, grube nogi, stopy w sandałkach, zawsze rozpuszczone blond włosy i moja nieśmiałość, by odezwać się do niej. Bo chyba wtedy miałem potrzebę jej poznania, przecież była w jakiś sposób częścią świata, do którego - tak głęboka była moja święta i naiwna wiara - mocno przynależałem.

Dochodziliśmy już do ostatniej stacji, złożenie Pana Jezusa do grobu. Ulica wpadała w inną, prowadzącą wprost do szkoły podstawowej, na dziedzińcu której stał pomnik Marszałka.

- Zobacz, widzisz - wskazał ręką Waldek - w tym domu mieszka Pyza.

- To bardzo blisko kościoła - odpowiedziałem.

Było już szaro, dostrzegłem bryłę jasnego budynku stojącego na działce przylegającej do szkolnego boiska. Pożegnaliśmy się serdecznie, wymieniliśmy wizytówki. On jeszcze szedł do niej, na herbatę, tak powiedział. Byłem bardzo zadowolony ze spotkania z dawnym kolegą. To w ogóle mogło się nie wydarzyć, a tak poczułem łączność z dawnymi czasami, o których przez ostatnie lata starałem się w ogóle nie myśleć, a teraz, dzięki Pyzie i Waldkowi, poczułem ich walor szczególny.

Co z tego, gdy nastrój ten raptownie się skończył. Na Świętochowskiego przy kapliczce skręciłem w lewo. Asfalt odchodził tu płatami, raz po raz wpadałem w dziurę. Zapaliły się latarnie, pokrywając ten pejzaż landrynkową poświatą. Coś we mnie zaczęło jarzyć się niedobrym światłem. Nastrój wywołany spotkaniem z Waldkiem prysł.

- Gówno, gówno - powtarzałem półgłosem, a najbardziej wkurzała mnie świadomość, że w domu czekają na mnie dwie kochane osoby - żona i półroczna córeczka, a ja, zamiast cieszyć się na to spotkanie, przejmuję się rozpamiętywaniem strajku z Pyzą w sandałach, i nie daje mi to spokoju. „Zostawcie umarłym grzebanie umarłych", to powiedział Jezus. Ja byłem tym umarłym, choć szedłem Świętochowskiego w stronę torów. Mam rodzinę, Karolinka wspaniałe się rozwija, kiedy z nią jestem, opuszczają mnie wszystkie wątpliwości i te moje myśli o Pyzie są śmieszne po prostu. Przeszłość nie istnieje, nie ma nic, koniec, szlus, wszyscy won! Bulgotało coś w środku, warzyło się, fermentowało, pękały bąble, a wszystko przez to, pomyślałem, że nie mogę powiązać ze sobą fragmentów własnego życia. Nie dostrzegałem wcale związku pomiędzy tym, kim byłem na studiach, a tym, którym jestem teraz, w miasteczku. Dlatego osoba Pyzy wyprowadzała mnie z równowagi. Do tego jeszcze doszedł Waldek - miły, cichy intelektualista, ubrany jak za dawnych lat, jak za dawnych lat czysty nieskalanym idealizmem.

Na tej ulicy pełno było posesji, porośniętych wybujałymi krzakami i chwastami, stare parkany straszyły rdzą, połupane betonowe słupki kruszały od dziesięcioleci. To nie zmieni się nigdy, zawsze tak będzie, zupełnie nie wiedziałem, jak sobie poradzić. Wreszcie chwyciłem obiema dłońmi zardzewiałą siatkę i zacząłem trząść nią w bezsilnej złości.

- Na chuj to wszystko, na chuj! - bryzgi śliny i ciemno przed oczami.

Telepało mną dobrych kilka chwil. Potem wszystko minęło. Otrzepałem ręce, wytarłem usta rękawem i popatrzyłem w niebo. Jakie piękne gwiazdki! Nie mogło być lepszej pogody w Wielki Piątek. To może oznaczać, że i Wielkanoc będzie słoneczna, pójdziemy z wózkiem do kościoła święcić pokarmy, spotkamy się z rodziną, ze znajomymi. Będziemy rozmawiać o tym i o owym, cieszyć się życiem, a czas otuli nas kolorowym szalem i swobodnie wpłyniemy w wiosenne oczekiwanie na lato. Wtedy w ogródku nadmucham basenik, Karolina będzie mogła się pluskać w nagrzanej słońcem wodzie.

Od tamtych wydarzeń znowu minęło wiele miesięcy. Ani razu nie spot-

kalem Pyzy. Nie było jej w supermarkecie, na zakurzonych uliczkach, na peronach, nawet na poczcie. Raz w radio usłyszałem Waldka. Dyskutował na temat książki *Gułag,* autorstwa Anne Applebaum. Zdjęcie tej pięknej Żydówki z Nowego Jorku pamiętałem z okładki miesięcznika, poświęconego nowościom wydawniczym. Potem jeszcze widziałem ją w telewizji, miała równe białe ząbki.

- Cicho, cicho! - zacząłem od razu uciszać żonę, choć nic nie mówiła. - To mój kolega z uniwersytetu, wiesz, kim on jest?

Żona nie odezwała się, znała mnie na wylot. Wyszła do drugiego pokoju.

Głos Waldka miły, rzeczowy, czasem jednak polemiczny w tonie. Muszę sobie kupić tę książkę, postanowiłem, choć historia komunizmu zawsze budziła mój głęboki wstręt. Muszę sobie kupić, rozwijać się, podążać za tym, co głosi Waldek, Pyza, inni, starać się chociaż, brnąłem dalej, choć wiedziałem jednocześnie, że nie kupię, nie przeczytam, nie postawię na półce, a jutro zapomnę o wszystkim. Słomiany ogień potrwa chwilę, życie potoczy się zwykłym nurtem. Ale znowu miałem moment uniesienia, w czasie którego wydawało mi się, że potrafię, że muszę, że znowu powinienem podnieść sztandar, przypasać szablę, przypiąć skrzydła i rzucić się w wir wielkiej sprawy, walczyć z całym złem świata tego. Waldek, przywódca mój, przez radio obudził we mnie dążenie do chwały.

W naszym miasteczku są dwa kościoły, dwie stacje kolejowe, dwa cmentarze, dwie podstawówki, dwa gimnazja i jedno liceum. Pomyślałem, że jak Pyza straci pracę, to mogłaby tu uczyć historii. Stanie się poważaną obywatelką tego przysiółka i spocznie na miejscowym cmentarzu, tuż obok okazałego grobowca słynnego lekarza, który po pijaku rozwalił się samochodem na drzewie. Ale na razie życie toczyło się dalej, Karolinka skończyła trzy lata i poszła do przedszkola, a ja Pyzy w ogóle nie widywałem. To zresztą było zrozumiałe - pracowała w Warszawie, niestety, nie wiedziałem gdzie, więc przyjeżdżała do swego domu koło szkoły wieczorami. Brała gorącą kąpiel, owijała się w gruby szlafrok frotte i z mokrymi włosami pogrążała się w lekturze *Gułagu* Anne Applebaum. Budzik nastawiony na szóstą rano. Albo włączała odtwarzacz DVD i oglądała film w reżyserii Antonioniego, może Bergmana lub Almodovara. Te spokojne wieczory przerywały niekiedy telefony od znajomych, Waldka i innych, wymieniali uwagi o ostatnich wydarzeniach politycznych, przeczytanych książkach, umawiali się na spotkania w Warszawie

lub na grilla u niej. Miała przecież ogródek za domem, idealny do tego rodzaju imprez.

W tym spokojnym inteligenckim życiu Pyzy, w całości skomponowanym z moich obsesji, nie widziałem dla siebie miejsca. Chyba dlatego o niej myślałem. Planowałem nawet wizytę u niej. Zonie powiedziałbym, że idę do kościoła, to musiałoby być w niedzielę. I poszedłbym na mszę, potem zapukał do domku Pyzy, a raczej zadzwonił dzwonkiem przy furtce. Po wymienieniu uprzejmości i przypomnieniu mojej osoby, Pyza zaprasza mnie do siebie. Już w przedpokoju widać, z kim ma się do czynienia: półka z książkami, a wśród nich dyskretnie złoci się grzbietami kilka tomów pamiętników Saint-Simona, obok Herodot i komplet *Drugiej wojny światowej* Winstona Churchilla, z piętnaście tomów w beżowych obwolutach. Taki przedpokój robi wrażenie.

Przechodzimy do kuchni na herbatę. Z powały zwieszają się pęki suszonych ziół, wianki czosnku, na półeczce kolekcja starych żelazek na dusze, poza tym czystość i nowoczesność. Elektryczna płyta. Chrom. Zmywarka do naczyń. Czy nie za dużo wody pobiera, czy nie ma problemów z szybko wypełniającym się szambem, problemy są, ale w przyszłym roku mają już zrobić kanalizację, burmistrz obiecał. Siadam przy stole z litego drewna w ciepłym kolorze sosny, dostaję kubek herbaty z opuncją figową, zaczynam opowiadać o moim życiu w miasteczku, ale rychło schodzimy na znajomych i wydarzenia na uniwersytecie. Wtedy było tak, było siak, łyk z kubka, ona pije wodę ze szklanki, wzór IKEA. Rozglądam się dalej po kuchni, półeczki, a na nich książki: kuchnia meksykańska, kuchnia francuska, kuchnia żydowska, kuchnia andaluzyjska. Z lekka zaczyna mnie to wszystko osaczać, jeszcze dostrzegłem puszki na herbatę w stylu wiktoriańskim: Darjeeling, Lipton, Twinings. Więc zagaduję Pyzę w te słowa:

- Słuchaj, a co ty w ogóle sądzisz o Jezusie?

Ona na to:

- Uważam, że pierwsi chrześcijanie kształtowali historię pod wpływem innych religii, które już wówczas były rozwinięte, zwłaszcza chodzi mi o kulty misteryjne takich bogów, jak Ozyrys, Adonis, Dionizos... Ci bogowie corocznie schodzili do świata zmarłych, potem powracali. Stąd masz zmartwychwstanie.

Pyza wdzięcznym gestem zakłada jasne kosmyki za uszy.

- Ale przecież Jezus był człowiekiem, a tamci chyba niekoniecznie.

- Czy uważasz, że Dionizos nie żył? On żyje nadal, w naszej kulturze.

Poczułem się jak w przeddzień wyjazdu z nadmorskiej miejscowości. Spędziło się tu kilka wspaniałych dni, a dziś ostatni raz nocna plaża, na której płoną ogniska, wieje lekki wiatr, a od portu zalatuje rybą.

Nie śmiem prosić, ale w końcu wychodzi na to, że Pyza pokazuje mi resztę domu z wyjątkiem sypialni. W salonie telewizor duży, nie znam się na calach, ale ten większy, obok stojaki, płyty DVD, CD. Książki, wypełnione nimi półki z jasnego drzewa. Nie mogę się oprzeć, znowu podchodzę i czytam tytuły na grzbietach. Leszek Kołakowski, ks. Józef Tischner, ciekawe, ona podobno jest niewierząca, może dostała w prezencie od Waldka, jest Levi-Strauss i Jung, jest wreszcie sam wielki Leopold von Rankę i jego *Dzieje papiestwa.* Na szklanym blacie stolika kawowego leżą albumy z zabytkami Europy, jeden ze zdjęciami budowli Gaudiego. Byłaś w Barcelonie, tak, dwa lata temu, ale wolę Madryt i Salamankę. Kominek zamyka się antyżarową szybą. Lekko w środku osmalony, leżą polana gotowe do przyhajcowania i zrobienia atmosfery podczas wieczoru, niespiesznie spędzonego z przyjaciółmi, przy czerwonym winie i marihuanie. Wtedy dopiero płyną wspomnienia, wszystko spowite kremowym dymem, śmiechawką, rozleniwieniem, Pyza opiera smukłe nogi na stoliku, złoty refleks gra na popielatych rajstopach i wspomina przez sekundę swoje grube kolumienki, kiedy to było, jakieś piętnaście lat temu, czy tak naprawdę wyglądałam, a jak się ubierałam, w to, co dała mama, sukienki matki musiałam przerabiać, tylko Waldek zawsze chodził tak samo ubrany jak dzisiaj, Waldek wypił dużo caberneta i leży przy kominku, wpatrując się w cienie, rzucane przez płomienie na sufit, spokojnie leży, pod głowę podłożył sobie moją ulubioną poduszkę z haftem toledo, musi też mu się podobać. Pozostałe osoby spoczywają w niedbałych pozach, zupełnie jak na rzymskiej uczcie, dekadencja Rzymu, nawet ktoś rzuca to hasło, większość z nich zanocuje u mnie, mam materace, mam karimaty, mam śpiwory. Na drewnianym stojaku zimno połyskuje kilka butelek wina, zostały mi jeszcze dwa, przywiezione z Hiszpanii, jedno jest z supermarketu, też hiszpańskie, potem prezent od Marcina i Joli, oboje siedzą na kanapie, obejmują się, bordeaux czerwone, może właśnie to zaraz otworzę, pasuje do tych, które już piliśmy. Okna szerzej, strasznie przypalali, w szklanej lufce crack, nawet już nie skręcali jointów. To znaczy, na początku krążył jeden skręt, potem na scenę wszedł mocniejszy towar, Marek przyniósł, ale mnie to nie obchodzi, nie ciągnęłam

w ogóle, wolę wino, czerwone, białe, różowe kalifornijskie. Zasnęłam na fotelu, nie wiem, jak wszystko się skończyło, ale wydaje mi się, że Waldek masował mi stopy. Niesamowite uczucie, takie przyjemne, Marcin i Jola zwinęli się na górę, kochali się na pewno, a Markowi urwał się film, zanim zasnęłam. On niedawno się rozwiódł, po dwóch latach małżeństwa, synek pozostał z żoną, Marek strasznie wszystko przeżywa.

Po tym wszystkim jeszcze raz ją widziałem. Widziałem naprawdę, nic nie zmyślam, nie jest to gra podnieconej wyobraźni. To wszystko, co zostało opisane poniżej, naprawdę się zdarzyło.

Byliśmy na niedzielnej mszy: żona, Karolina i ja. Mała wytrzymała tylko jedną trzecią, zaciągnęła mnie na plac zabaw, urządzony przy szkole, przylegającej do terenu kościoła. Plac zabaw, pożal się Boże, drabinki z łańcucha, wisząca opona, samotna huśtawka bez oparcia. Ale dziecko i tak było zadowolone. Tam, gdzie teren szkolny dotyka działki Pyzy, jest niewielka górka. Karolinka wbiegała na nią i zbiegała, bawiliśmy się, ja ją łapałem, a mała śmiała się do rozpuku.

Wtedy, z niewielkiego wzniesienia, zobaczyłem Pyzę. Siedziała na ogrodowym krzesełku, nogi miała oparte o takie samo stojące nieopodal. Na stoliku kubek, pociągała z niego drobnymi łykami. Jeszcze coś - u nóg Pyzy na trawniku leżał olbrzymi czarny sznaucer. Strzygł uszami. Dziewczyna siedziała zwrócona w stronę kościoła, na jej działce doskonale słychać było wszystkie słowa wypowiadane przez księdza. Zagrały organy. Znowu przypomniałem sobie to, co powiedział mi o niej Waldek podczas drogi krzyżowej.

Pyza siedziała w swoim ogródku i słuchała niosących się nad szkolnym boiskiem głosów.

WOJCIECH CHMIELEWSKI

2007

BARBARA CRUSZKA-ZYCH

***

siedzieliśmy przy drewnianym stole
z oczami sęków
patrzącymi na nas
z wnętrza innego świata

NIDA II

nie chciałam wejść na ten cmentarz
na górce wiatr zwracał na siebie uwagę
trawa rozłożona między grobami
przypominała łąkę pod nadzorem słońca
to z jego powodu krzyże pomnożone
przez swoje cienie stały prawie
w wojskowych szeregach choć
leżały pod nimi osoby cywilne
wypisane na biało imiona i nazwiska
Niemców którzy może pływali
tutaj w Zatoce Kurońskiej a może
tylko przechodzili brzegiem
i od niechcenia przemykali oczami
po wodzie jak my dziś po nich

KWAŚNA WNUCZKA

Włodkowi W.

1

płacze za drzwiami
tu wiszą plecy babci w granatowym fartuchu
w białe kropki mrówek
ciągle przez nie zjadane
nie da się przytulić

2

zlizuje z łyżeczek powidła
teraz grzeją

przecież ona je grzała na piecu godzinami

3

miąższ jabłek śliwek dyni
mięso ogrodu
zamknięte przez nią w słoikach
nie psuje się jak jej ręka

4

była gruba jak beczka
do kiszenia kapusty
potem schudły jej nawet usta
i wszystko było kwaśne nawet wnuczka

5

ta łopatka mniejsza niż na cmentarzu
idzie nią uklepać
rozsypaną
w piaskownicy babkę

6
na jedno oko widziała mgłę
teraz za mgłą
chodzi po kuchni i przedpokoju
tłucze garnkami

sama się stłukła

7
trochę włosów
w jej gęstym grzebieniu
jakby podczas czesania straciła głowę

8
rano i wieczorem do kościoła
zamiast w podróż zagraniczną
teraz ją tu przynieśli

zza granicy

BARBARA CRUSZKA-ZYCH

SZYMON BABUCHOWSKI

Czegoś brakuje tej wiośnie.
Jest tylko sna, sna, i śni się,
i w las się wchodzi, i błądzi,
i wola się głucho, i echo
sny mówi.

I znów: kra, kra - spływa po mnie
ten rechot ech, hymn żałobny,
zgrzyt zgliszcz, granie bagien, koncert
na głuchy pień i pnącze
opadłe.

Zanim wiatr wio zawoła,
wiedzie mnie tylko ta droga,
ten martwy trakt, stukot serca,
w błoto zmieniona ziemia,
śpiew ślepca.

* * *

a teraz prowadź mnie łagodnie tą drogą pod górę
w słońcu w deszczu w wietrze niech wstępuję w Ciebie
i niech mnie nogi niosą niech mi skrzydła rosną
Ty mnie prowadź jak obłok jak ogień jak cień

który mi wszystko zabrałeś i wszystko mi dajesz:
sen i światło poranka wolność i tę drogę
prowadź mnie wiatrem szeptem cierpliwym muskaniem
w to miejsce przeczuwane brakujące słowo

SZYMON BABUCHOWSKI

REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK

SERCE OGRODNIKA

W ogrodzie lub na balkonie
w zwykłych donicach, doniczkach
w czerni ziemi
po kilku dniach patrzenia
na jej martwotę
kiełkuje zieleń mikroskopijna
cud życia
nieokreślona zapowiedź gatunku
z troską podlewana każdego dnia
doglądana, kochana sercem ogrodnika
pomagającego Mistrzowi Stworzenia.
Z czasem przychodzi pierwsza refleksja
rozczarowanie
przykrość skrywana.
To chyba chwast?!
Ten też
i tamten!
Skąd na naszej grządce
to się przyplątało
niechciane, irytujące!
Ale cofamy rękę
i zostawiamy, jeszcze się zdąży wyrwać
takie to małe
nawet ładne, wzruszająco bezbronne.
Niech podrośnie,
może się mylimy,
może to nie chwast.
Trzeba mieć sumienie i serce.
A to rośnie na naszych oczach
w naszym przywiązaniu, sentymencie
w naszym sercu.

KONIEC WAKACJI 2007

Tyle rosło to i niech sobie rośnie,
bo to już nie obcy chwast, tylko Nasz.
Prawie rodzina.
Domownik.
W końcu oset rozpoznany
bez cienia wątpliwości, metrowy
albo dmuchawiec wielki jak sałata.
Wysysa i zagłusza całą donicę, pół grządki
dopiero wtedy ciachamy go sekatorem
bo ręką już nie da rady.
Ciachamy, albo i nie.

czerwiec 2007

KONIEC EPOKI ZŁOTYCH ZĘBÓW

Stuletnia Epoka gorsetów
Zegarków z dewizką
Przypinanych kołnierzyków
rajerów, egret, woalek i monokli...
ulotnych szpargałów
Ledwie człowiek kupił
już wyrzucał, gubił, sprzedawał
Jedynie
złote zęby - to było coś
na całe życie
nobilitacja i prestiż.
Na początku tylko
książę pan, bogacz, minister
później proboszcz, rejent, aptekarz
Doktor X. z całym garniturem.
Elita i elity.
W 1939 zaczęło się wyrywanie.
Jednym pozwalało to przeżyć parę dni
innym wyrywano je pośmiertnie
obcęgami przed krematorium.
Tysiące zębów w jednej sztabie złota
płaconej Szwajcarom czy Szwedom za rudę.
Po wojnie epoka kulała, zamierała,
tak jakoś żyła
ukradkiem
dopiero za Breżniewa nastąpił Łabędzi Śpiew.
Aparatczyk bez złotego błysku był nieważny
cała podkremlowska dzielnica Złotych Zębów
paradowała, była wożona, przemawiała
Andropow w szerokim śmiechu
i Czernienko, ostatni ze złotoustych starców
zatrzasną za nią wieko trumny.

czerwiec 2007

REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK

Bo jest czas Sienkiewicza i czas Gombrowicza. Jednego drugim nie można się wyprzeć. Kto to zrobił, już wpadł w pułapkę - znalazł się na jednym z biegunów polskości. Wybrał jeden z dwóch typów naszej egzystencji. Przerysowanej. Jakby była wzięta z komiksu. To piekło nasze - Polska. I niebo - niespełniona nigdy Rzeczpospolita.

Ogniem i sercem

ARTUR NOWACZEWSKI

i.

Śmierć Podbipięty spotkała mnie w naszej kuchni we Wrzeszczu. Ojciec piekł ciasto przed jakimiś imieninami, a może tylko go pilnował? W każdym razie powstała luka czasowa, którą trzeba było jakoś wypełnić. Nie pamiętam, czy ojciec czytał akurat *Ogniem i mieczem* i doszedł właśnie do pamiętnego rozdzia-

łu, czy może widząc, że plączę się pod nogami, doznał natchnienia, żeby podzielić się ze mną tą opowieścią. Nie wiem, ile mogłem mieć lat. Pewnie nie więcej niż osiem. Tato musiał zresztą zacząć czytać ze środka od słów: „Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery czarne postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów". Dialog wydobył je z ciemności - byli to znani mi z telewizji Wołodyjowski i Zagłoba oraz bliżej niezidentyfikowani Skrzetuski i Longinus. Jak się okazało, to Pan Longin właśnie miał się stać bohaterem. Przyjaciele patrzą, jak zsuwa się z wału, przechodzi przez fosę i zagłębia się w ciemność.

Wejdź w tę ciemność z Panem Longinem. Popatrz, jak niebezpieczna jest droga: oto na horyzoncie majaczy las dębowy, ale wcześniej trzeba przejść przez cały kozacki obóz. Na dziesięć kroków nie widać ani człowieka, ani drzewa. Pan Longin idzie powoli. Ostrożnie. Poczuj, jak oblepia go mrok. Jak strach przechodzi ci po plecach, bo choć nie znałeś wcześniej Pana Podbipięty, już poczułeś się z nim jakoś związany, jakbyś był jednym z jego przyjaciół, niewidzialnym i bezsilnym duchem, podążającym za nim krok w krok. Jakbyś przechodził przez kręgi piekieł. Wojna pozostawiła tu szańce i moc trupów. Ale każdy trup jest tu trupem z osobna. Ile się przewija obrazów przez każde słowo powieści! Tu sterczy martwa ręka, tam trupie otwierają się usta, oczy się wytrzeszczają. A przecież niektórzy martwi żyją jeszcze - słabe jakieś jęki, westchnienia czołgają się po pobojowisku. I akapit za akapitem stąpa Podbipięta, omijając kozackie dialogi, Zerwikapturem gasząc przerażone pytajniki.

Czym jest tęsknota? Nieobecnością tych, których kochamy. Odwaga - czym? Przekroczeniem lęku. Nie jego brakiem - nie boją się tylko głupcy albo szaleńcy. („Pan Longinus, jakkolwiek nieustraszony, poczuł jakby lekki dreszcz w krzyżach".) Dziś widzisz w Panu Podbipięcie dziecko schowane w ciele dorosłego mężczyzny; dziecko, które opuszcza matkę, świat znany i bezpieczny i wchodzi w dorosłość. Wielu facetów jest w jakimś stopniu podszytych Panem Podbipięta i nosi ukrytego głęboko w sobie małego chłopca, jakieś swoje marzenie o trzech ściętych głowach. A kiedy już się ono spełni, okazuje się, że to nie takie proste. Ze to dziecko w nich nieraz kopną i zranią, czasem zdradzą, a nawet zabiją. Niektórzy tracą je wcześnie i stają się cyniczni. Inni przechowują w sobie przez długie lata. Na zewnątrz są silni, schowani w skorupie, w środku pozostają odsłonięci i bezbronni.

To nieokreślone miejsce, gdzie umiera chłopiec, a rodzi się mężczyzna. Być gotowym dla bliskich na śmierć. Wziąć za nich odpowiedzialność. Ale to nie tylko umieranie za innych. To także śmierć rzeczywista. Umiera przecież nawet Podbipięta. Taki mocarz! Bo jest ten niezapomniany rozdział *Ogniem i mieczem* wielką lekcją śmierci, która dokonuje się w absolutnej samotności. Grad strzał spada na skronie, ramiona, tułów, nogi Pana Longina w rytm szeptanej litanii. A on daje pokaz rycerskiej *ars moriendi.*

II.

Czytam *Trylogię* i odnajduję w sobie chłopca. Czuję swoje przejęcie sprzed lat, kiedy pochłaniałem kolejne tomy *Ogniem i Mieczem, Potopu, Pana Wołodyjowskiego.* Kto wie, czy w okolicach matury, ze względu na *Trylogię,* nie wybrałem polonistyki jako kierunku studiów. W czwartej klasie podstawówki Sienkiewicz inspirował do poznawania ojczystych dziejów. Po Sienkiewiczu był czas na Jasienicę, Polski Piastów, Jagiellonów, był czas na serie bitewne Bellony i biografie wielkich wodzów. Ale jako maturzysta poszedłem nie za historią, ale za pięknem opowieści. I znów Sienkiewicz miał głos znaczący. Pierwszą rozprawą o literaturze, która mnie zafascynowała była... recenzja *Ogniem i mieczem,* napisana przez Bolesława Prusa. Co za wspaniałe zderzenie dwóch pisarskich osobowości! Sceptyk Prus bierze na warsztat moje ukochane z dzieciństwa postacie i pisze o nich w sposób, który oświetla je z nowej

strony i pozwala się przyjrzeć, w jaki sposób autor *Ogniem i mieczem* kreśli swoje figury:

> pewna miara, ale - miara przesady w uwydatnieniu jakiejś cechy charakterystycznej jest dla pisarza koniecznym warunkiem. Autor pokazuje palcem, że ten a ten człowiek ma te i te właściwości; a że jednocześnie pomija inne cechy, tym samym poprzednie wzmacnia. Taka jednak przesada jest pierwszym warunkiem sztuki. Bez niej, bez silnego akcentowania cech czytelnik nie pozna charakteru.

Tak. Bolesław Prus myśli bardzo trzeźwo i przygląda się krytycznie Sienkiewiczowskim opowieściom. Czyż, mając za sobą Jasienicę, Polski Piastów i Jagiellonów, mogę już tak bezkrytycznie ulegać Sienkiewiczowi? Oczywiście, że nie. Iluż to czytelników „odkochało się", porzucili *Trylogię* jak książkę młodzieżową, dla niedojrzałych chłoptasiów, rumieniących się na myśl o koleżance z sąsiedniej ławki. Prus uderza w *Ogniem i mieczem* sztychem realizmu. Przez to figury powieściowe jawią się nam jako realne i fantastyczne. Fantastycznymi są Skrzetuski, Podbipięta i Zagłoba, realnymi - wszystkie inne.

Podbipięta to „gilotyna w ludzkiej postaci" i „olbrzym z bajki", Zagłoba to Falstaf i podstarzały Ulisses w jednym, broniący się dzielnie i przebiegle, w chwilach krytycznych zachowujący świeży umysł i zimną krew. Obok nich Wołodyjowski, „śmiertelnie kąsająca osa", pierwszy w Rzeczpospolitej szermierz, który nie wie, czym jest odwaga, gdyż nie zna bojaźni; no i Skrzetuski, którego Prus podsumował jako „Chrystusa w roli oficera jazdy". Dziwna jakaś kompania. Kontrasty prawie jak u Tolkiena, gdzie w Drużynie Pierścienia elf występuje pod ramię z krasnoludem, hobbit maszeruje obok rosłego mężczyzny.

III.

Czesław Miłosz dziwił się kiedyś, że wiek XX nie przyniósł w literaturze bohaterów heroicznych. Jedynym prawdziwym bohaterem XX wieku stał się więc...hobbit. Dwie wojny światowe kładą się cieniem na Europie; znika jako gatunek epos, którym karmiły się Sienkiewiczowskie powieści, zaczyna się straszna wojna pozycyjna, pojedynczy żołnierze giną w morzu statystyk, za-

mieniają się w armatnie mięso. I druga wojna nadchodzi jeszcze straszniejsza, z wizgiem bomb, nurkujących sztukasów, złowrogim zgrzytem gąsienic czołgów, w których kryją się tygrysy, pantery, generał Sherman i anonimowe T34. W tym czasie w polskich lasach roi się od Kmiciców, którzy pod przybranym nazwiskiem walczą z okupantem, z junacką fantazją i optymizmem, nie licującym z tragicznym położeniem kraju między dwoma potęgami. Za tę brawurę, za tę krew młodych chłopców, przelaną w powstaniu i partyzantce, osądzą Sienkiewicza, konserwatywnego pana wrośniętego głęboko w wiek XIX. A przecież, kiedy pisarz żył, świat nie znał totalitaryzmu i okrucieństw nowoczesnej wojny. Bohater *Lalki,* Wokulski, z wojny przyjeżdżał z fortuną, Rzecki z wiarą w Napoleona brał udział w kampanii węgierskiej.

Kiedy zacznie się pochód awangardy, z powieści zniknie prosta radość opowiadania. I zaczną się kwękania nad Sienkiewiczem, nad prostą religijnością jego rycerzy. Po agresji ustrojowej z pewnością nie pomogą mu amerykańskie ekranizacje *Quo vadis;* ale i tak strukturaliści zabiorą się do rozbioru Sienkiewiczowskich powieści. Chociaż to pisarz o reakcyjnych poglądach, uchowa się jako autor historycznych epopei.

XIX wiek w Polsce nie znał jeszcze, na dobrą sprawę, kultury masowej, mógł więc autor *Potopu,* tworząc literaturę wysoką, korzystać z dokonań li-

teratury popularnej. Ale za parędziesiąt lat będzie to już niedopuszczalne; wyznaczy się granicę, która przetnie na pół Sienkiewicza i większa jego część zostanie po stronie gorszej, zastrzeżonej dla dzieł niższego lotu. Lecz nawet i wtedy nie zginie *Trylogia* - dzięki filmom Hoffmana, Łomnicki-Wołodyjowski zrośnie się z twarzą powieściowego pierwowzoru. Wśród papierów swojej mamy znajdę kiedyś pocztówkę z Olbrychskim-Kmicicem. I już wyobrażam sobie ją jako uczennicę gdańskiej Topolówki, jak idzie z klasą na projekcję *Potopu* do kina Leningrad.

IV.

Różnych pisarzy czytało się na polonistyce. A największym był Gombrowicz. Zostawmy baroki, romantyzmy, Króle Duchy, *Pana Tadeusza, Nad Niemnem.* Czy ktoś naprawdę się tym ekscytował? Miało to jakieś życiowe znaczenie? Przekładało się to na problemy nasze, na nasze gadania na parapetach humany? Jeden tylko geniusz: Gombrowicz. Gęba przeciw gębie. Dupa w stronę pimkowatości. Tam, gdzie pleni się niedojrzałość, gdzie łoi się browary, Gombrowicz wchodzi między nas. Jest mistrzem naszej ścierny. Gombrowicz wybatoży serca nasze! Bośmy polscy przeciw Polakom. Synczyzna przeciw ojczyźnie. Tenże Gombrowicz wybierał sobie przeciwnika nie pośród wieszczów romantycznych, zbolałych, chroniących się w wielkiej poezji. Choć poetów podgryzał, na polu prozy jednego tylko obrać musiał sobie przeciwnika: Sienkiewicza. Gombrowicz wyrasta z Sienkiewicza jako dąb potężny. Gdzie tamten pocukrzy, to ten pieprznie! Gdzie ten pogładzi, ten przyrżnie, aż miło! Zamiast pokrzepień i głaskań, sado-maso! „Ułan musi lubić wódkę, choćby jej nie lubił, wyrostek musi kochać papierosy", a student polonistyki pod pachą niesie Gombrowicza. Albowiem Gombrowicz jest ostatnim z rodu wieszczów. Przed nim same trupy, a po nim nikt.

Grzech wyniesiony i grzech opluty! Grzech polski i grzech wyparty - w środku, ale na zewnątrz. Oto Gombrowiczowski specjał nad specjały. To przez Gombrowicza wstyd kobiecie kwiaty przynieść, bo jakoś pupciowato, zbyt słodkawo. Miłość w piżamce onieśmiela. Przez Gombrowicza poezja i romantyczność wyciekła z nas jak z dziurawego gara. Dzień Polaka stał się dniem świra.

Bo jest czas Sienkiewicza i czas Gombrowicza. Jednego drugim nie można się wyprzeć. Kto to zrobił, już wpadł w pułapkę, znalazł się na jednym

z biegunów polskości. Wybrał jeden z dwóch typów naszej egzystencji. Przerysowanej. Jakby była wzięta z komiksu.

To piekło nasze - Polska. I niebo - niespełniona nigdy Rzeczpospolita.

V.

Co rusz napotykam w sieci opinie: ta książka uratowała mi życie. Ejże! Mamy postmodernizm! Co to za książka, które może życie uratować? Gdybym przeczytał ją wcześniej... Niestety. Ale lepiej późno niż wcale. John Eldredge - *Dzikie serce. Opowieść o tęsknotach męskiej duszy.* Na nowo odkryte marzenie o tym, by stoczyć bitwę i uratować piękną. Czujecie, jak wierci się w was ten intelektualista? Nie, to nie dla nas! Jakiś tam Amerykanin będzie nam opowiadał o Melu Gibsonie w roli Williama Wallace'a. Takich marzeń i książek się wstydzimy. A niby dlaczego?

Znałem wcześniej ten schemat, tę opowieść. Ktoś wcześniej już mi o tym opowiedział. Ale inaczej. Wstaw na miejsce Williama Wallace'a Andrzeja Kmicica. I poczujesz się jak w domu.

VI.

Szukam w *Trylogii* wzorów męskości. Gdzie męskość się objawia? Tam, gdzie ściera się ze sobą. W walce:

> Pierwszy szczęk ozwal się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął jakby od niechcenia, pan Kmicic odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymali. Kmicic atakował z furią, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę w tył założył i stał spokojnie, niedbale czyniąc ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić, a zarazem oszczędzić przeciwnika - czasem cofnął się o mały krok w tył, czasem postąpił naprzód - widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny jak mistrz próbujący ucznia i coraz spokojniejszy;

Starcie dwóch wielkich bohaterów Trylogii - jeden mężczyzna dojrzały, opa-

nowany, w swoich cechach okrzepły; drugi dopiero wchodzący na karty powieści, nieukształtowany chłopak-gorączka... Z jednej strony: spokój, wyrachowanie, nawet pewna nonszalancja i luz. Z drugiej: furia, zapamiętanie, eksplodująca siła. Którego wybierasz? Kim chciałbyś być? Z którym chciała-

byś się kochać? Mężczyźni wybiorą Wołodyjowskiego. Bo chcą mieć kontrolę. Kobiety oddałyby się dzikiemu Kmicicowi.

> Nie rzymianin Skrzetuski, ale grzesznik Kmicic jest typowym bohaterem Sienkiewicza - pisze Gombrowicz. - Kmicicom i Winicjuszom pozwala się grzeszyć pod warunkiem, aby grzech pochodził z nadmiaru sił żywotnych i czystego serca. Sienkiewicz zrealizował to wyzwolenie grzechu, które od dawna było koniecznością polskiego rozwoju.

Do Kmicica mamy cały czas zaufanie i sympatię. Człowiek ten postępuje głupio, kretyńsko wręcz, pakuje się w straszne tarapaty, ale - jak członkowi rodziny - jesteśmy w stanie to wybaczyć, znamy przecież jego duszę szczerą, choć błądzącą. Sam Pan Andrzej to chłop na schwał, złote serce. Tylko inni

ciągle na złą drogę go sprowadzają. Jego kompanioni stanowią stado oprychów, z którymi strach by pójść na kawalerski wieczór. Hetman wielki, wojewoda wileński ze swoim teatrem władzy i majestatu podstępnie wykorzystuje młodego oficera do własnych politycznych celów. Łudzą więc Jędrka z jednej strony warcholskie przyjaźnie, z drugiej autorytet wielkiego magnata. Właśnie autorytet, władza nie jest na kartach Potopu władzą absolutną. Kmicic jako ślepe narzędzie, wedle rozkazu, będzie konfederatów - jako kat - wycinał. Człowieczeństwo zachowa, gdy wypowie posłuszeństwo. Jest w tym polska mądrość, wcale nie tak powszechna w Europie, która zna ostrze francuskiej gilotyny i rycerskość Wermachtu. Bądź wierny rozkazom, ale patrz, pod jakim panem służysz. Gdyby *Potop* polscy intelektualiści z uwagą czytali, nie ukąsiłby ich Hegel i nie otumanił żaden bolszewicki Mefisto.

VII.

Panie Pułkowniku Wołodyjowski! Larum grają! Nieprzyjaciel w granicach, a ty się nie zrywasz, na koń nie siadasz. Co się z tobą stało, żołnierzu?

Byłeś największym z czarno-białych bohaterów mojego dzieciństwa. Byli wszak inni: Janek Kos, Kloss, Zorro, Robin Hood, później Batman, Rambo i Schwarzenegger w postaciach wielu, ale żaden z nich nie mógł się równać z tobą. Nikczemnej byłeś postury i nie miałeś szczęścia w miłości. Postać z ciebie półkomiczna, dzielna i bardzo przez to smutna. Pewnie dla tych panien z fraucymeru byłeś mniej męski niż te rosłe oficery, Skrzetuscy i Ketlingi. A jednak to ty „siekłeś" w razie potrzeby największych junaków i mołojców - Bohuna, Kmicica. Oni nie musieli nic udowadniać, wystarczyło na nich spojrzeć. Ty zawsze miałeś gorzej. Byłeś rycerzem ciemiężonych i bitych, niczym sarmacki Dawid w obliczu brutalnej siły. W małości twojej można było się odnaleźć. Podobnie jak w twoim późnym szczęściu.

Bo mięśnie wiotczeją, cyniczni przystojniacy zamieniają się w obleśnych satyrów. Tylko wielkość ducha stale rośnie.

VIII.

Rodzinna legenda. Rok - musi być 1919. Trwa wojna z bolszewikami. Rodzina Bogdanowiczów (Bogdanowicz - panieńskie nazwisko mojej mamy)

mieszka na Białorusi. Nad Berezyną. Front stoi wówczas na rzece. Pradziadek Bronisław ma lat niespełna dwadzieścia, razem ze starszym bratem Józefem przedzierają się przez front. Chcą iść do polskiego wojska. Choć ich zaścianek znajduje się daleko na wschód od terenów zamieszkałych przez polską ludność, mówią czystą polszczyzną. Ale w legendzie tło jest ważne, nie suche fakty. Zapewne jest noc, aby trafić do polskiej armii, trzeba przepłynąć rzekę. Ale jak, skoro ta jest pilnie strzeżona? Bracia Bogdanowiczowie używają fortelu. Kładą się na dnie rzeki, trzymając trzciny w ustach. Tak mylą ścigający ich bolszewicki patrol i wymykają się sowieckim czujkom. Co ten śmiały czyn przypomina? Przedzieranie się Skrzetuskiego do króla przez śmierdzące zbaraskie stawy i bagna. Zapewne nie tylko w plecakach żołnierskich Bogdanowiczów *Trylogia* służyła jako lembas na froncie i krzepiła serca w obliczu krążącej wokół śmierci.

IX.

Jeśli kiedyś będę miał syna, co mu przeczytam przed snem? Kiedy będzie znał już Kubusia Puchatka, Muminki, smutek baśni Andersena, Tolkiena i Narnię, sięgnę po baśń z naszych dziejów. Kiedy oswoi się z tym, że Krzyś odchodzi ze Stumilowego Lasu i tym, że Dolina Muminków jest pusta w listopadzie, gdy już zajrzy w oczy mrocznej krainy Mordor, gdzie zaległy cienie, będzie gotów, by wyjść z Panem Longinem z murów Zbaraża.

I wyjdziemy razem.

ARTUR NOWACZEWSKI

Wrzeszcz, czerwiec 2007

Profesjonalny ruch-gest - mawiał - nie zaburza w najmniejszym stopniu aury powagi panującej wewnątrz biura. Każdy ruch winien być stonowany - jakby pozorny, a jednak realny, nasączony znaczeniem, w żadnym wypadku frywolny, i kategorycznie pozbawiony egzaltacji.

PETENT

JAN MAROSZ

- Panie nadpisywaczu, znowu to samo - mówiąc to, Małgorzata wiedziała, że podniesie poziom poirytowania mężczyzny siedzącego za biurkiem.

- W biurze nie używa się związku frazeologicznego „znowu to samo" - chłodno, lecz nie bez karcącej nuty, oświadczył mężczyzna.

Małgorzata jednym, niemal niezauważalnym ruchem, przesunęła się nieco w lewo, dając w tym geście wskazówkę, by mężczyzna spojrzał w kierunku drzwi. Czyniąc ten gest wspominała dawniejsze lekcje, których zazwyczaj równie zimnym tonem udzielał jej nadpisywacz. „Profesjonalny ruch-gest - mawiał - nie zaburza w najmniejszym stopniu aury powagi panującej wewnątrz biura. Każdy ruch winien być stonowany - jakby pozorny, a jednak realny, nasączony znaczeniem, w żadnym wypadku frywolny, i kategorycznie pozbawiony egzaltacji. Ruchy mają być godne, a nie emocjonalne. Gdy przyjdzie Pani do głowy się poruszyć, niech lepiej Pani o tym pamięta".

Spojrzał, a właściwie omiótł wzrokiem wejście do pokoju. Już w pierwszej fazie ruchu Małgorzaty, przy jej pierwszym drgnięciu wiedział, przeczuwał, co zobaczy. Bezbłędnie wyczytał to ze sposobu zmrużenia jej powiek.

Przed drzwiami leżało ciało petenta. Nie doczekawszy się rozpatrzenia swojej sprawy, petent wydał ostatnie tchnienie. Jego dusza odeszła, zabierając ze sobą całe zniecierpliwienie. Bez świadomości, że nic więcej już nie da się załatwić, stygnące ciało petenta leżało pokornie przygarbione. Pozbawione głosu nie prosiło, nie upraszało, nie błagało i nie skomlało, było przykurczone, nieważne... słowem - idealne. A jednak trwało, czekało udoskonalając swoje niespełnienie. Wielu młodszych rangą urzędników, widząc w nim jedynie samą tylko pokorę i uniżenie, przeoczyłoby ową nieustępliwość, która trwała mimo zgonu, a może przez jego zaistnienie, stawała się nawet bardziej dokuczliwa.

- Petent nie może tu nale... zalegać - odezwał się do Małgorzaty. - Proszę wezwać kogoś z działu technicznego, niech uprzątnie...

snuć*

- Pan od recyklingu pyta, czy to pójdzie do organicznych? Powiedziałam, że tak, ale wolę to potwierdzić u pana - oświadczyła Małgorzata wchodząc po raz drugi tego dnia do pokoju nadpisywacza.

- Sprawdzę - mruknął i zaczął przeglądać papiery. - Hm, ciekawe... podanie o pracę, zapytanie o podanie, odwołanie do zapytania... Hm, hm... wszędzie przedstawia się jako plastyk technik. Świadectwo ukończenia liceum plastycznego to potwierdza.

- Nie rozumiem...

- W żadnym wypadku do organicznych, Pani Małgorzato, dokumenty jasno stwierdzają, że to plastyk. Proszę odwołać swoją decyzję i powiadomić pana od recyklingu, że to plastyk.

JAN MAROSZ

Książkę Helfey'ów należy uznać za propagandową pracę baptystów amerykańskich, która - z niejasnych dla mnie przyczyn - została w całości przełożona na polski, wydana w renomowanym wydawnictwie katolickim i rozpropagowana w katolickich środkach przekazu. Nie wydaje mi się, by wystarczającym powodem wydania tego rodzaju publikacji były względy ekumeniczne, gdyż na szczególnie newralgicznym polu wzajemnych zadrażnień między katolikami i protestantami, książka stoi na stanowisku antykatolickich przesądów i jednostronnych ocen.

XX-wieczne MĘCZEŃSTWO OKIEM BAPTYSTÓW

Refleksje na temat pewnej nieudanej publikacji

PAWEŁ SKIBIŃSKI

Sprawa męczeństwa wielu milionów chrześcijan w dwudziestym wieku jest nadal w Polsce znana w niedostatecznym stopniu. W ostatnich latach ukazały się na naszym rynku dwie książki, mające ambicje ukazania rozmiarów prześladowań religijnych w dwudziestym wieku. Grzegorz Kucharczyk napisał pracę *Czerwone karty Kościoła: męczennicy - ofiary rewolucji* (Radom 2004). Przetłumaczone też zostało włoskie opracowanie, podsumowujące prace papieskiej komisji, zajmującej się zbieraniem świadectw na temat prześladowa-

imprimatur

nia Kościoła w XX wieku - Andrea Riccardi, *Stulecie męczenników: świadkowie wiary XX wieku.* (Warszawa 2001). Obie te prace trudno jednak uznać za ostatnie słowo, jeśli chodzi o przybliżenie polskiemu czytelnikowi doświadczenia krwawych prześladowań religijnych, jakie miały miejsce w minionym stuleciu. Prześladowań, które słusznie porównywane są przez historyków jedynie z prześladowaniami Kościoła pierwotnego.

Brakuje nam nie tylko prac, zajmujących się całością antychrześcijańskich prześladowań religijnych w XX stuleciu, ale także nie mamy ujęć monograficznych, które w odpowiednio udokumentowany i rzetelny sposób przybliżać będą polskiemu czytelnikowi ten wielowymiarowy problem. Na przykład, jeśli chodzi o bodaj najbardziej intensywne prześladowania religijne w Europie, które miały miejsce w Hiszpanii podczas tamtejszej wojny domowej w drugiej połowie lat 30., do tej pory doczekaliśmy się jedynie jednego popularnego ujęcia monograficznego (Vicente Carcel Orti, *Mrok nad ołtarzem,* Warszawa 2003). Książka ta została zresztą wydana - z nieznanych dla mnie przyczyn - w sposób żenująco słaby i uwłaczający wręcz wadze poruszanego w niej problemu.

Trzeba z całą mocą podkreślić, że znaczenie męczeństwa chrześcijańskiego i jego rozmiarów w XX stuleciu jest podstawowe nie tylko dla zrozumienia historii chrześcijaństwa w ostatnich dziesięcioleciach, ale wręcz, by zrozumieć w ogóle miniony wiek. Skala męczeństwa wyznawców Chrystusa ilustruje bowiem jednoznacznie barbarzyński charakter XX stulecia. Pokazuje, że proces laicyzacji i sekularyzacji, zaawansowany w minionym stuleciu i utożsamiany wręcz z modernizacją, wbrew obiegowej opinii, nie tylko nie sprzyjał rozszerzeniu się wzajemnej tolerancji, ale wręcz przeciwnie - doprowadził do rozszerzania się krwawych i brutalnych prześladowań na tle religijnym. Można w wielu wypadkach stwierdzić, że pod fałszywym hasłem szerzenia tolerancji, kryło się w rzeczywistości usiłowanie zwalczania wszelkich tożsamości religijnych, a zwłaszcza chrześcijaństwa.

Bardzo charakterystyczne, że chrześcijanie, uznawani przez zwolenników sekularyzacji za grupę nietolerancyjną, byli w rzeczywistości brutalnie atakowani niemal ze wszystkich stron; atakowani tym bardziej, im bardziej żyli w zgodzie ze swoją wiarą. Powszechnie wiadomym faktem jest, że chrześcijanie byli prześladowani przez reżimy totalitarne. Podlegali prześladowaniom prowadzonym nie tylko przez komunistów, ale także przez nazistów i, w nieco mniejszym stopniu, faszystów. W powszechnej świadomości mniej znany

imprimatur

jest jednak fakt, że aktywne i barbarzyńskie prześladowania prowadziły w minionym stuleciu także inne systemy polityczne: tradycyjne reżimy azjatyckie, kraje islamskie, a wreszcie - co może wydawać się najbardziej zdumiewające - przez państwa liberalne i demokratyczne. Oczywiście, skala i rozmiary tych prześladowań były bardzo różne. Nie wszystkie też fale prześladowań można traktować jako czyste prześladowania religijne - bardzo często zjawiska takie łączyły się bowiem także z prześladowaniami na tle społecznym, politycznym czy narodowym. Wyraźnie potrzebujemy pogłębionej refleksji na ten temat, na co zwracał wielokrotnie uwagę także Jan Paweł II.

Wobec takiego głodu rzetelnych opracowań, wzbogacających naszą wiedzę na temat okoliczności i rozmiarów męczeństwa chrześcijan w minionym wieku, z radością przyjąłem opublikowanie przez krakowskie wydawnictwo „M" książki, napisanej przez dwoje Amerykanów - Jamesa i Marti Hefley'ów. Jej autorzy są amerykańskimi baptystami, chociaż, jak twierdzą, starają się uwzględnić perspektywę różnych wyznań chrześcijańskich i wiele miejsca poświęcają także męczennikom katolickim czy prawosławnym - zwłaszcza tym, którzy byli prześladowani przez komunistów i nazistów.

Książka wzbudza zaufanie swoimi rozmiarami (liczy sobie niemal sześćset stron), a także kompletnością geograficzną. Autorzy systematycznie zajmują się bowiem kolejno męczennikami chrześcijańskimi w Chinach, Japonii, Indiach, Europie, Afryce, na Bliskim Wschodzie i wreszcie w Ameryce Łacińskiej.

Z satysfakcją zauważyłem, że praca ta cieszy się wsparciem ważnych katolickich mediów, które zaangażowały się w promocję tak zaniedbanej, a tak istotnej przecież tematyki. Na okładce książki wydawnictwa „M" znajdują się bowiem loga największego w Polsce katolickiego tygodnika - „Gościa Niedzielnego", Katolickiej Agencji Informacyjnej oraz prestiżowego portalu internetowego - „Opoka".

Jednak bliższe przyjrzenie się pracy dwojga autorów pozwala stwierdzić, że zalety recenzowanej książki są w znacznej mierze pozorne. Sam zaś fakt opublikowania książki przez wydawnictwo katolickie budzić musi wielkie zdziwienie.

Tylko z pozoru książka ogarnia całość badanej problematyki. Brakuje bowiem, przede wszystkim, jakichkolwiek informacji na temat prześladowań religijnych, jakie miały miejsce w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych. Pozornie wydaje się, że być może autorzy mają rację, uważając, że są to epizody niewarte wzmianki, jednak po głębszym namyśle, musimy uznać, że mamy do czynienia z karygodną niekompetencją albo też świadomą manipulacją autorów.

W wyniku takiego zabiegu nie ma bowiem ani słowa o prześladowaniach katolików przez reżim laicki we Francji na początku XX wieku, połączonych z wyrzuceniem z terenów „tolerancyjnej" i „oświeconej" republiki większości zgromadzeń zakonnych. Nie ma ani słowa o wspomnianych przeze mnie bezprecedensowych prześladowaniach Kościoła katolickiego w Hiszpanii okresu II Republiki (1931-1936) oraz późniejszej hiszpańskiej wojny domowej. Jest to tym bardziej zdumiewające, że z założenia książka ma obejmować całość doświadczenia chrześcijańskiego męczeństwa religijnego. Tymczasem wypadki na Półwyspie Iberyjskim dały podstawy do wyniesienia na ołtarze najliczniejszej grupy męczenników w historii. W tej chwili zastęp hiszpańskich błogosławionych liczy ponad 470 osób (w tym 11 kanonizowanych), a w październiku, po kolejnych masowych beatyfikacjach, liczba ta osiągnie 977.

Z każdym czytanym rozdziałem przekonujemy się, że mamy do czynienia z brakami, mającymi jednoznaczny i wyraźny charakter manipulacji. W książce bowiem znalazł się cały rozdział o męczennikach chrześcijańskich w Meksyku, ale próżno będziemy tam szukać niewinnych ofiar tzw. *cristiad,* a więc wojen domowych pomiędzy katolikami i liberałami w Meksyku lat 20. Dodajmy, że także liczna grupa z nich została beatyfikowana przez papieża Jana Pawła II. Możemy natomiast dowiedzieć się o prześladowaniach protestantów, którzy padli ofiarą katolickiej większości.

Podobnie w Peru, wśród męczenników maoistowskiej partyzantki Świetlisty Szlak, nie pojawiają się liczni księża katoliccy i katolicy świeccy, którzy zostali zamordowani z ręki komunistycznych oddziałów zbrojnych. Mowa jest tylko o ewangelikach, stanowiących znikomą mniejszość tamtejszej ludności i, w związku z tym, znikomą część ofiar.

Południowoamerykańskie reżimy liberalne, które odpowiadają za zaostrzenie konfliktów religijnych na tym terenie, są traktowane jako tolerancyj-

impri
matur

ne i pożyteczne, ponieważ zwalczały wyznaniowy katolicki charakter państw Ameryki Łacińskiej. Tego rodzaju przykładów można by podać jeszcze kilka.

Tu dotykamy problemu, który jest szczególnie bolesny w publikacji, przygotowanej przez zasłużone krakowskie wydawnictwo katolickie. Zwłaszcza w rozdziale poświęconym Ameryce Środkowej i Południowej, stanowiącym ostatnią część książki, znajdziemy obszerne informacje o prześladowaniach, dokonywanych przez katolików. Szczególnie wiele uwagi autorzy poświęcili wydarzeniom, które miały miejsce w Meksyku i Kolumbii.

Opisy tych wypadków są w swej wymowie jednoznacznie antykatolickie. Autorzy wyrażają wprost opinię, że bezpośrednią odpowiedzialność za nie ponosi hierarchia Kościoła katolickiego, która, ich zdaniem, mobilizowała katolickich fanatyków - zarówno zwykłych świeckich, jak i przedstawicieli władz - do fizycznej rozprawy z ewangelikami.

Trudno mi się odnieść rzeczowo do tych twierdzeń, ponieważ nie znam szczegółowo kontekstu opisywanych wydarzeń. Trudno jednak uwierzyć, by rzeczywiście katolicy byli w stanie zorganizować tego rodzaju krwawe wystąpienia, z udziałem przedstawicieli władz, zwłaszcza w Meksyku. Przecież w tym kraju państwo zajmowało programowo antykatolicką postawę jeszcze w latach 80. Tymczasem wydarzenia, o których mówią amerykańscy autorzy, miały miejsce w latach 40. i 50. O braku ich obiektywizmu świadczy fakt całkowitego pominięcia przez nich laickiego charakteru państwa meksykańskiego w swoim opisie wypadków.

Trudno też uwierzyć, że biskupi kolumbijscy czy meksykańscy aktywnie inspirowali tego rodzaju akty. Autorzy zupełnie nie rozważają możliwości, że były to raczej tumulty, skierowane przeciwko obcej mniejszości czy wydarzenia, mające tło społeczne, a nawet kryminalne. Nie tłumaczą też w żaden sposób przyczyn ewentualnej niechęci biskupów katolickich wobec swoich współwyznawców.

Prawdziwe intencje autorów odsłania też język, którego używają dla opisu Kościoła katolickiego. We wspomnianych rozdziałach termin chrześcijanin jest utożsamiany z ewangelikami rozmaitych odmian, prowadzącymi misje wśród katolickiej - najczęściej zapewne głównie z nazwy - ludności wiejskiej. Termin wolne Kościoły jest zarezerwowany dla rozmaitych wspólnot protestanckich, co sugeruje, że Kościół katolicki wolnym Kościołem nie jest...

Nie mogę też oprzeć się wrażeniu, że przemilczenia, dotyczące męczenni-

ków katolickich w Meksyku czy w Hiszpanii, wynikają także z tego powodu, że w krajach tych protestanci nie tylko na ogół nie przeciwstawiali się prześladowaniom katolików, ale uważali je za rodzaj dziejowej sprawiedliwości wobec znienawidzonych papistów, a nawet za okazję do wyciągnięcia korzyści dla własnych wspólnot religijnych.

We wstępach do poszczególnych rozdziałów aż roi się od uproszczeń, krzywdzących dla katolików i gloryfikujących antykatolicką działalność kościołów protestanckich. Inkwizycja musi być, zdaniem autorów, niesławna; hiszpańska konkwista Ameryki Południowej to ogromna krzywda dla Inków (w końcu pogan!), itd.

Paradoksalnie, stosunek autorów do Kościoła katolickiego nie jest jednoznacznie negatywny. W kilku miejscach autorzy opisują katolickie ofiary prześladowań religijnych, choć czynią to na ogół w dość ogólny sposób, w przeciwieństwie do ofiar protestanckich (a zwłaszcza baptystów). Z książki możemy dowiedzieć się o eksterminacji Kościoła katolickiego w Związku Sowieckim czy o losie polskich katolików. Wydaje się jednak, że katolicy godni są wzmianki autorów tam, gdzie nie ma mowy o męczennikach protestanckich, więc tam, gdzie wpływy protestanckie były bardzo skromne, by nie powiedzieć - zerowe.

Książka ma także inne rażące wady i pozostawia w czytelniku poczucie sporego niedosytu. Niestety, autorzy publikacji nie starają się w żaden sposób uporządkować i ogarnąć całościowo zagadnienia męczeństwa w XX wieku. Nie widzimy próby całościowego ujęcia ilościowego problemu czy też porównania przyczyn prześladowań. Autorzy poprzestają na opisie poszczególnych przypadków, przy czym tyle samo miejsca potrafią poświęcić śmierci niewielkiej liczby swoich współwyznawców w krajach Ameryki Łacińskiej oraz eksterminacji prawosławnych i bolszewików w Sowieckiej Rosji.

Ten ewidentny brak proporcji jest niezwykle rażący, utrudnia bowiem zrozumienie opisywanego zjawiska. Jest to jeden tylko z dowodów na rażący intelektualny bałagan, jaki panuje w pracy amerykańskich autorów, która przypomina raczej dowolnie zestawiony katalog heroicznych postaw, gdzie na sąsiednich stronach znajdują się obrazki, przedstawiające cierpienia milionów i pojedynczych ludzi. Cierpienia zadawane przez wyznawców znieprawionych ideologii i religijnych fanatyków, ale także te, mające miejsce w wyniku przyczyn całkowicie naturalnych. Autorzy zachowują się nie jak badacze zjawiska,

impri matur

którzy starają się je zrozumieć i podzielić się z czytelnikiem swą refleksją, lecz jak kolekcjonerzy, w dodatku skupieni przede wszystkim na własnej - partykularnej z katolickiego czy uniwersalnego punktu widzenia - wspólnocie.

Bałagan ten wynika, moim zdaniem, stąd, że autorzy niemal całkowicie pominęli zagadnienie teologii męczeństwa. Mimo że sprawa jest dość trudna i wymaga głębokiej refleksji, autorzy niemal przechodzą nad nią do porządku dziennego. Podają bardzo obszerną, a zarazem dwuznaczną definicję bycia męczennikiem - piszą bowiem, że gdy mowa o męczennikach, chodzi o ludzi, którzy „umierają, cierpią, poświęcają wszystko dla zasad, dla sprawy". W książce Helfey'ów nie znajdziemy pogłębionej refleksji nad tym zagadnieniem, mimo że np. katolicka teologia męczeństwa rozwinęła się znacznie w XX wieku, a zwłaszcza za pontyfikatu Jana Pawła II.

Wystarczy wspomnieć zakwalifikowanie przez polskiego papieża św. Maksymiliana Marii Kolbego, nie jako męczennika za wiarę w ścisłym znaczeniu tego słowa, a męczennika miłości. Polski franciszkanin nie został przecież zamordowany w obozie koncentracyjnym Auschwitz bezpośrednio z powodu bycia katolikiem, ale dlatego, że poświęcił swe życie z miłości do bliźniego, do czego wzywała go motywacja religijna. Odniesienia do tych ciekawych i ważnych spraw w książce dwojga Amerykanów czytelnik jednak znaleźć nie może.

Niestety, wspomniane już rozdziały poświęcone Ameryce Południowej jaskrawo ukazują także rażące zaniedbania wydawcy. Nie odniósł się on do kontrowersyjnych fragmentów i nie opatrzył ich żadnym, choćby oględnym, komentarzem. Na skutek tych zaniedbań polski czytelnik otrzymał książkę, w której bez zmrużenia oka wydawca przyjmuje, że katoliccy biskupi nawoływali do wymordowania protestantów w Meksyku i Kolumbii. Uważam, że tego rodzaju publikacja nie powinna raczej być wydawana przez firmę katolicką, a z całą pewnością nie w tej formie. Nie powinna być też bezkrytycznie obejmowana patronatem prasowym przez poważne katolickie media.

Zlekceważenie zagadnienia wypaczonego obrazu Kościoła katolickiego nie jest jedynym zaniedbaniem krakowskich wydawców. Właściwie wydali oni książkę, opisującą wiele egzotycznych z polskiego punktu widzenia spraw bez żadnego aparatu krytycznego. Próżno szukać wstępu czy posłowia wydawcy, próżno starać się odnaleźć propozycję uzupełniającej bibliografii, nie ma też praktycznie żadnych przypisów pochodzących od wydawcy, które ko-

mentowałyby tego rodzaju kontrowersyjne twierdzenia czy wprost nieścisłości, których w książce jest więcej. Wydaje się, że krakowska oficyna wydawnicza musiała publikować książkę w dużym pośpiechu, ponieważ jej redakcja językowa także, niestety, jest daleka od ideału.

Książkę Helfey'ów należy uznać za propagandową pracę baptystów amerykańskich, która z niejasnych dla mnie przyczyn została w całości przełożona na polski, wydana w renomowanym wydawnictwie katolickim i rozpropagowana w katolickich środkach przekazu. Nie wydaje mi się, by wystarczającym powodem wydania tego rodzaju publikacji były względy ekumeniczne, gdyż na szczególnie newralgicznym polu wzajemnych zadrażnień między katolikami i protestantami, książka stoi na stanowisku antykatolickich przesądów i jednostronnych ocen. Trudno się nawet poważnie odnosić do zarzutów, postawionych katolikom na jej kartach.

Lektura tej książki to jeden wielki zawód, zarówno z punktu widzenia historyka XX wieku, jak i wierzącego katolika. Wypada tylko wyrazić zdziwienie, że tak zasłużona oficyna wydawnicza jak wydawnictwo M sięgnęło po tę właśnie pozycję, by zaznajomić polskiego czytelnika z XX-wiecznym męczeństwem wyznawców Chrystusa. Mam nadzieję, że nie poprzestanie na tym. Przyjdzie nam jednak poczekać na podsumowanie tych zagadnień w mądrzejszy i bardziej stosowny do wagi problemu sposób.

PAWEŁ SKIBIŃSKI

James i Marti Hefley. W/ara *i krew. Wielka księga męczenników XX wieku.* Wydawnictwo M, Kraków 2006

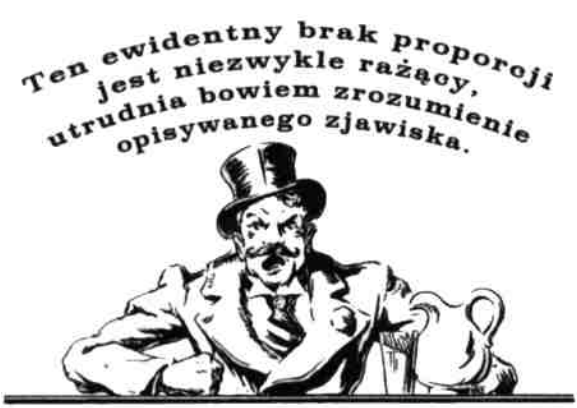

impri matur

Kto uwierzy, że takie dinozaury, latami terminujące u obranego przez siebie starego mistrza i nie spieszące się z publikowaniem, zdarzają się wśród rówieśników autorów, znanych z warszawskiej „Lampy" i krakowskiego „Ha! artu"? Komu w tym pokoleniu przyszłoby do głowy wytrwale szlifować styl, dopracowywać materię i formę swej twórczości, domyśliwać to, co chce pokazać poprzez postacie i sytuacje narracyjne, zderzenia języków i gestów (nie zaś w publicystycznych wtrętach, wkładanych na siłę w usta papierowych bohaterów); słowem: pisać do szuflady aż do debiutu... po trzydziestce?

ZAMIAST PRZEŻYCIA

ALEKSANDER KOPIŃSKI

Debiuty w czasach lansu

Jak się dzisiaj wchodzi w świat literatury? Wśród szturmujących od kilku lat bramy parnasu przedstawicieli roczników siedemdziesiątych i osiemdziesiątych - rzecz jasna, nade wszystko gremialnie, pod pokoleniowymi sztandarami, na których wypisano hasła postępowych „dyskursów". Na początek warto więc wydać powieść feministyczną, antykapitalistyczną lub pederastyczną, a w ramach jej promowania dokonać aborcyjnego *coming outu,* wystąpić w sesji fotograficznej jako *drag queen* albo urządzić performance z biczowaniem się parówkami, względnie podpisywać swe dzieło na targach książki w księżej sutannie; gdy zaś brak pomysłów na bardziej wyrafinowane strategie

impri matur

marketingowe, to w ostateczności przylutować w mordę któremuś, nieco bardziej już znanemu, koledze po piórze. Stosując któryś z tych zabiegów, autor od razu skupia na sobie uwagę sporego grona czytelników (na ogół również aspirujących do miana literatów) żywo zainteresowanych bliskim jego sercu palącym problemem społecznym lub po prostu również nie darzących sympatią jego antagonisty, natomiast recenzentom (zazwyczaj zresztą serdecznym kolegom) ułatwia powiązanie swego pisarskiego produktu z nośnym i łatwym do zapamiętania *brandem.* Teraz już tylko kwestią czasu pozostaje, kiedy na fali medialnego zainteresowania którąś kolejną, dążącą do emancypacji, mniejszością młody twórca doczeka się swoich pięciu minut. Można by to uznać za zaledwie zjadliwą karykaturę, gdyby nie fakt, że wszystkie powyższe przykłady zostały wzięte wprost z młodoliterackiego życia ostatnich paru lat, a podobnych zebrałoby się jeszcze kilkakrotnie więcej.

Kim jest ów przeciętny debiutant, a - dzięki dostępności cyfrowego druku - niebawem autor dwóch, trzech książek? Wydaje się on wręcz odwrotnością swego poprzednika sprzed kilkudziesięciu, a nawet kilkunastu lat: początkującego pisarza, jeszcze niepewnego, czy pisarzem na pewno będzie, próbującego sił w mniejszych formach - reportażach, opowiadaniach, szlifującego styl w skrzętnie chowanym diariuszu i wydeptującego posadzki redakcyjnych korytarzy w oczekiwaniu na pierwsze publikacje. Obecnie rokujący literackie nadzieje, a przynajmniej samemu je żywiący, stara się robić wszystko, by jak najszybciej stać się postacią znaną w środowisku. Jeszcze w liceum zakłada autorską witrynę internetową, gdzie na bieżąco udostępnia swe świeżo powstałe teksty. Jednocześnie pisze błoga i usilnie zabiega, by był on znany innym blogerom o podobnych ambicjach. Powinien również występować na slamach oraz - koniecznie! - bywać w trendy-klubach i pokazywać się na publikowanych w sieci zdjęciach z imprez lub

impri matur

amatorskich filmikach, zawieszanych na witrynie YouTube, żeby jego twarz zaczęła się kojarzyć z nazwiskiem. Hm, no właśnie, to nazwisko, ze statystycznej konieczności na ogół dość przaśne, często sprawia kłopot, więc czym prędzej trzeba wymyślić sobie wpadający w ucho pseudonim i lansować się już pod nim.

Jaka przyszłość czeka tych początkujących literatów? Ogromna większość pozostaje autorami jednej książki, której tytuł i okładka, czasem jeszcze ideologiczne przesłanie, ale rzadko kiedy coś więcej, przewinęły się przez media wraz z chwilową popularnością tematu, na który postawił twórca. Złudzenia mijają jednak szybko, a pierwsze trudności i niepowodzenia zniechęcają do kontynuowania wysiłków. Epizod pisarski pozostaje zaledwie czymś, co pracownikom działów personalnych pozwala w stosie nadsyłanych CV odróżnić życiorys niegdysiejszego młodego zdolnego od reszty jego rówieśników; pełni więc funkcję podobną, jak w przypadku innych, mniej zresztą licznych niż efemeryczni prozaicy, zabawa modelami samolotów, paintball, rekonstrukcje historyczne lub coś w tym rodzaju.

Czy to zatem możliwe, by obok tego stada literackich wilczków uchowały się okazy, należące do innego gatunku? Jak na tym tle wyglądaliby pisarze, którzy nie tylko nie mają swoich stron w sieci, ale nawet nie da się z nimi szybko skontaktować za pomocą e-maila? Kto uwierzy, że takie dinozaury, latami terminujące u obranego przez siebie starego mistrza i nie spieszące się z publikowaniem, zdarzają się wśród rówieśników autorów, znanych z warszawskiej „Lampy" i krakowskiego „Ha! artu"? Komu w tym pokoleniu przyszłoby do głowy wytrwale szlifować styl, dopracowywać materię i formę swej twórczości, domyśliwać to, co chce pokazać poprzez postacie i sytuacje narracyjne, zderzenia języków i gestów (nie zaś w publicystycznych wtrętach, wkładanych na siłę w usta papierowych bohaterów); słowem: pisać do szuflady aż do debiutu... po trzydziestce? W dodatku świadomie wybierać oddalenie, życie prowincjonalne, jakiś Pułtusk czy Sulejówek, rezygnując z bywania na imprezach w modnych pracowniach na Pradze oraz mrocznych zadymionych norach na Kazimierzu? Wreszcie zaś, być przykładnym mężem swojej pierwszej i jedynej żony, o koncie nie obciążonym alimentami na rzecz dzieci z innych przelotnych związków?

Wszystko to do niedawna wydawało się właściwie niemożliwe, dopóki nie pojawili się Wojciech Chmielewski i Rafał Wojasiński.

impri matur

Staroświecki młodzieniec

Ostentacyjnie niedzisiejsza, wręcz staroświecka - a może raczej po prostu normalna, choć daleka od standardów, obowiązujących w silącym się na oryginalność światku literackim i na ich tle ekstrawagancka - jest jednak nie tylko postawa autorów, lecz przede wszystkim sama ich twórczość. Chmielewski już w drugim zdaniu prozy *Wmieście,* otwierającej jego debiutancki zbiór opowiadań *Biały bokser,* a potem jeszcze kilkakrotnie, używa słowa „młodzieniec", brzmiącego dzisiaj, trudno ukryć, równie biblijnie, co jakaś „białogłowa" czy „niewiasta". Ale mylne byłoby skojarzenie tej próby sprowokowania współczesnego czytelnika jakąś kabotyńską maskaradą z użyciem rekwizytów w guście surduta, laseczki i cylindra. Nowele Chmielewskiego, chociaż nie dotykają tak istotnych dla wielu autorów zagadnień, jak selekcja przy wejściu do dyskoteki albo wzrastająca konkurencja na rynku reklamy, to mówią o współczesnej Polsce o wiele ciekawiej i więcej niż nieodróżnialne ani pod względem stylu, ani światopoglądu produkcje książkowe dwudziesto- i trzydziestolatków, oprawione w łudząco do siebie podobne mdło-pastelowe okładki.

O czym zatem właściwie opowiada *Biały bokser?* Najczęściej o tym, co kryje się za rogiem, na podwórku, w jakimś zakamarku, którego nie zauważamy, przechodząc główną arterią. Narratorem tych opowiadań wydaje się na ogół ktoś o naturze Baudelaire'owskiego flaneura, z zamiłowaniem penetrujący bramy kamienic, wystający na rogach ulic i wypatrujący z zadartą głową śladów dawnej świetności fasad lub kontemplujący trudny urok oficyn, nade wszystko zaś z uwagą śledzący życie małych sklepików i zakładów usługowych w suterenach, jako że obserwacja ludzkiego mrowiska to jego najsilniejsza namiętność. Scenerię tej prozy stanowi zwykle świat podwarszawskich miasteczek z sennymi stacyjkami kolejek dojazdowych, niekiedy jakaś górska miejscowość, w której można domyślać się Szczyrku czy Zakopanego, widzianych jednak nie jako popularne narciarskie kurorty, tylko przez przybrudzone szyby podupadłej chaty na uboczu. Jest to więc w sumie rzeczywistość, oglądana oczami warszawiaka, ale raczej peryferyjnego, nie bywającego tam, gdzie wypadałoby bywać. W tym wyborze świata ciemnych przecznic, lokalnych gazet i peerelowskich spelunek, jeśli już koncertów, to mało komu znanego muzyka sprzed dwóch czy trzech dekad, a jeśli didżej party, to w coraz szybciej starzejącym się stylu techno - jest Chmielewski nieodrodnym uczniem swego mentora, Marka Nowakowskiego.

impri matur

Późno, bo w wieku już trzydziestu siedmiu lat, wchodzący na literacką scenę autor nie snuje jednak sentymentalnych historii z czasów młodości. Perspektywa kogoś nieco niedzisiejszego, z której prowadzi narrację, mogłaby dać okazję do wspominania, lecz pełni tu inną funkcję: pozwala oprzeć się pokusie aktualności i środowiskowej anegdoty, które zapewniłyby jego utworom zapewne bardziej gorący, chociaż tylko chwilowy odbiór. Ale Chmielewski chce uniknąć narzucających się skojarzeń - na przykład spotkania z poetą, kreślącym w jednym z jego opowiadań swój rymowany obraz świata, z realnym pierwowzorem owej sytuacji. Pozwala temu skojarzeniu zaistnieć w pamięci tych kilkudziesięciu osób, które akurat miały okazję być w pewien mroźny wieczór przed kilku laty w stołecznym ośrodku kultury przy Elektoralnej [w latach 1957-1975 Stołeczny Dom Kultury, 1975-2001 Warszawski Ośrodek Kultury, od 2001 roku Mazowieckie Centrum Kultury i Sztuki - przyp. red.], ale pozostałym czytelnikom nieznajomość tego kontekstu nie uniemożliwia lektury noweli. Istotny jest w niej bowiem kontrast między literatem, odtwarzającym w wierszu po przebytych zawirowaniach ład swego życia, a jego zagubionym słuchaczem, który przed własnymi zapętleniami erotycznymi z przeszłości chroni się w pozorne bezpieczeństwo i anonimowość internetu.

Bohaterami swoich opowiadań czyni Chmielewski często ludzi, którzy niekiedy - mimo swego wieku - zachowali młodzieńczość, pozostając w jakiś sposób niedojrzali. Chętnie spogląda na świat oczami nastolatków albo postaci naznaczonych przez pewien brak emocjonalny: zaniżone poczucie własnej wartości, nie spełnione marzenie o swojej drugiej połówce, zagubienie i nieporadność życiową, to znów samotność i niepogodzenie z rutyną codzienności. Dominuje w tej prozie atmosfera tęsknoty, żalu, oczekiwania na coś, ale połączonego z brakiem nadziei, świadomością bezsensu, jałowości wszelkich rojeń. Kiedy któryś z tych ptaków o podciętych skrzydłach decyduje się wreszcie zrobić krok w nieznane, kończy jednak, jak bohater opowiadania *Fafał i Pojtek* - brodząc na oślep wśród pryzm śmieci na nielegalnym wysypisku i zastanawiając się: „A może to ja jestem bęcwałem?".

Jedyne wyjście poza to napięcie między realiami a pragnieniami, jedyny wyłom, przez który prześwieca jakaś inna rzeczywistość, stanowi historia. Tytułowe głosy w jednym z opowiadań, słuchane co noc na kwaterze, stawiają narratora - szukającego w nartach i przypadkowym flircie odpoczynku od rozpadającego się związku ze swoją kobietą - przed czymś zupełnie dlań niespodziewanym, a naprawdę ważnym, gdy jego pijący przez kilka dni z kompanami gazda okazuje się dawnym NSZ-owcem. „Długo pan walczył? - Jeszcze po wojnie. - Jak to po wojnie? [...] - Po wojnie, panie, to w tych lasach tylko echo szło od wystrzałów. Tam, gdzie pan teraz jeździsz na nartach. - A potem? [...] - Potem przez siedem lat w kopalni, taki wyrok dali." W innej nowelce konfrontacja z banalnym ideologicznym słowotokiem koleżki, wykładającego przy wódce racje podszytego panświnizmem postkomunistycznego historycznego kompromisu, skondensowane w soczystej frazie: „dobrze zrobił generał", sprawia, że bohater jakoś musi się ustosunkować, zająć stanowisko, co ostatecznie przyjmuje postać... pijackich torsji.

Z kolei w *Jidysz* ujawnia się obsesyjny aspekt owego przenikania historii w czas teraźniejszy. Bohater, mieszkający na terenie niegdysiejszego warszawskiego getta, słyszy cały czas głosy Żydów, a nawet widzi ich wysiedlanie z tej części „dzielnicy zamkniętej", co faktycznie miało miejsce z końcem 1941 roku. Wkrótce potem właśnie w miejscu akcji opowiadania, na rogu Chłodnej i Żelaznej, zbudowano ów słynny drewniany pomost, łączący południowe „małe" getto z „dużym" północnym. Ten fragment ulicy, z zachowaną brukowaną nawierzchnią i nędzną, miejscami parterową zabudową, pozostaje jednym z najbardziej sugestywnych reliktów nie istniejącego miasta; dla bohatera *Jidysz* jednak najwyraźniej zbyt sugestywnym.

Co ciekawe, nie wydaje się, by podobne otwarcie szerszych perspektyw, jak historia, przynosiła religia. Tego typu oddziaływanie mają raczej rozmaite „dziwy" i „niesamowitości" w rodzaju tytułowego psa - boksera albinosa - albo srebrnego odlewu ręki świętej w kościele. W żaden sposób jednak nie wykraczają one poza swoją materialność. Koloryt temu światu nadają wyłącznie marzenia.

Biały bokser jest debiutem Wojciecha Chmielewskiego, czyli niejako dopiero zapowiedzią. Trzeba przy tym podkreślić, iż zapowiedzią bardzo obiecującą, bo autor umie ciekawie opowiadać swoje historie, dzięki czemu czyta się je z prawdziwą przyjemnością. Kwestią zasadniczą dla przyszłego rozwoju

impri matur

tej twórczości jest natomiast tematyka, jakiś centralny problem, który by to pisarstwo napędzał. Wydaje się, iż jego odkrycie Chmielewski ma wciąż przed sobą.

Żyć dobrze

Dwa kolejne zbiory próz Rafała Wojasińskiego, po powszechnie chwalonym i kilkakrotnie nagradzanym *Złodzieju ryb,* stanowią natomiast potwierdzenie, iż ten autor ów węzłowy punkt już znalazł. W sposób niemal wzorcowy prezentuje go ponadstustronicowe opowiadanie *Przyjemność życia* z tomu pod tym samym tytułem. Zdążyło się ono stać zresztą swoistym „firmowym produktem" tego autora, poprzez który będzie odtąd odczytywana jego twórczość, a także postrzegany on sam, jako że w narratorze-bohaterze nietrudno dostrzec jego *porte-parole.* Podobnie znakiem rozpoznawczym książek Wojasińskiego wydaje się już to, że główne, tytułowe opowiadanie zajmuje każdorazowo przeszło połowę tomu, pozostałe nowele zaś jedynie uzupełniają nie rozwinięte w nim wątki poboczne. Wszystko to razem sprawia wrażenie przemyślanej kreacji, zgrabnie podanej czytelnikowi wraz z wyraziście ukształtowanym wizerunkiem podmiotu tej prozy. Jaki to wizerunek?

Ważnym jego elementem jest, bez wątpienia, motyw ciągłej wędrówki. W *Przyjemności życia* bezimienny narrator-bohater wraz z żoną przemierza Polskę w poszukiwaniu nie tyle nawet źródeł utrzymania, co raczej właściwego, przeznaczonego im miejsca, pomieszkując po drodze (śladem rzeczywistych peregrynacji swojego twórcy) w Łowiczu, Bukowinie, Pułtusku, Warszawie. Oboje są nauczycielami polskiego i cały ich majątek stanowi kilka mebli oraz książki, wydaje się jednak, że inaczej nie umieliby żyć. A na pewno nie chcieliby, mimo że w ich rozmowach co rusz powraca temat własnej biedy i porównywanie jej ze statusem osiągniętym przez kolegów; ale także duma z samodzielnego dawania sobie rady. Częste deklaracje znajomych, że zazdroszczą im tej wolności, kryją przerażenie tułacza egzystencją.

Tytułowa przyjemność życia przez dużą część utworu wydaje się polegać głównie na tym, by po odbębnieniu zawodowych obowiązków coś zjeść, napić się piwa, trochę posiedzieć i pogadać, wreszcie usnąć przed telewizorem. Wrażenie prostoty obyczajów wzmaga behawiorystyczny styl Wojasińskiego, który opisuje wyłącznie zdarzenia zewnętrzne, nie dopuszczając czytelnika do

impri
matur

świata psychicznego swoich postaci. Monotonia i niezróżnicowanie języka bohaterów, podobne do jednostajności i szarzyzny (pomimo częstych zmian miejsca!) ich życia, sprawiają, że chwilami trudno byłoby tu mówić o przyjemności czytania.

Dość niespodziewanie zatem, mniej więcej w połowie opowiadania, okazuje się, że narrator-bohater coś pisuje i otrzymuje za to listowne pochwały od starszych literatów. Wkrótce też poznaje jednego z nich, niejakiego Kowalewskiego, w barze, w którym można domyślić się Corso przy placu Zbawiciela, gdzie bywa Marek Nowakowski. To rozpoznanie pierwowzoru potwierdzają rady, udzielane przez Kowalewskiego młodemu pisarzowi, a także jego sposób wyrażania się, czyniący go na dobrą sprawę jedyną pełnokrwistą postacią w tej noweli. Z czasem znajomość przekształca się w zażyłość, a przed początkującym prozaikiem otwierają się bramy środowiska; poznaje Janusińskiego, w którym nietrudno rozpoznać powieściopisarza Janusza Krasińskiego, i innych luminarzy literatury.

W trzecim tomie próz Wojasińskiego imiona postaci zmieniają się (w tytułowym *Humusie* Karolinę z *Przyjemności życia* zastępuje u boku narratora Ania), ale takie same pozostają łączące je relacje oraz ów instynktowny pęd ku ciągłym zmianom. Powraca tu również sentyment głównego bohatera do swej rodzinnej wsi na Kujawach (jej portret dał Wojasiński w swym debiutanckim zbiorze nowel) i częste do niej ucieczki przed warszawską szarpaniną, a także wspomnienia i znajomości pułtuskie. Wszystko to, mimo pewnych zmian akcentów, pozwala traktować narratora jako przedłużenie postaci, wykreowanej w poprzednim tomie.

Delikatnie tylko zasygnalizowana w *Przyjemności życia* słabość protagonisty do żywotów świętych urasta w *Humusie* do rozmiarów obsesji, kontrastując z równie neurotyczną obawą o utrzymanie rodziny. Niestety, wyradzające się w natręctwo pragnienie świętości i kompulsywne dążenie do życia w dostatku objawiają się głównie mało zrozumiałym wewnętrznym rozedrganiem narratora-bohatera. Jego celem jest, by „żyć dobrze", co tylko z pozoru brzmi prosto i przejrzyście."Wyraz „dobry" pełni bowiem u Wojasińskiego funkcję

impri matur

swoistego słowa-klucza, mieniącego się rozmaitymi znaczeniami: od świętości, przez wierność sobie i uczciwość, aż po zdrowie i trywialny dobrobyt. Osiągnięcie tego ostatniego stanowi swego rodzaju probierz wartości człowieka, jest próbą charakteru, w której powinien się sprawdzić zwłaszcza mąż i ojciec rodziny. Pytanie „czy żyjemy dobrze?", wielokrotnie stawiane sobie przez bohaterów *Przyjemności życia* i *Humusu,* jest zatem, w istocie, bardzo wieloznaczne, gdyż dotyczy zarówno stanu portfela, jak i stanu duszy, przy czym jedno z drugim ściśle się wiąże.

W obu anonimowych opowiadaczach z najobszerniejszych, ponadstustronicowych opowiadań (minipowieści?) Wojasińskiego jest jednak coś nieprzekonującego, co podważa wiarygodność szumnych reklamiarskich haseł w rodzaju „barbarzyński humanizm" i „dziki pisarz", którymi, w odniesieniu do tej twórczości, szermują recenzenci i wydawcy. To drugie, mające określać narratora *Przyjemności życia,* jeśli bliżej przyjrzeć się tej postaci, okazuje się skrojone zdecydowanie na wyrost. W zamierzeniu autora jego *porte-parole* miał chyba być typem mocnego mężczyzny, co wielu recenzentów wzięło za dobrą monetę, przeoczając fakt, iż dopiero dzięki zawiązaniu przyjaźni z Kowalewskim w jego otoczeniu przestają niepodzielnie dominować kobiety. Pozornie „dziki pisarz" tak naprawdę wychodzi na zupełnie oswojonego bawidamka, gdy tymczasem jego męskość, manifestowana samotnym wpadaniem co rusz na wódkę do baru i piciem jej wyłącznie setkami albo wręcz szklankami, chwilami robi wrażenie pozerstwa. I swoją drogą, trudno się temu dziwić, skoro u Wojasińskiego wyraźne są inspiracje prozą Marka Hłaski, zaznaczone także jawnie - pragnieniem narratora-bohatera, by przenieść się pomiędzy (często przecież niezamierzenie karykaturalnych) silnych facetów, zaludniających hłaskowski świat.

Z kolei jego kontynuator z *Humusu,* dziennikarz albo PR-owiec, *zabiegając* o „dobre" życie, w gruncie rzeczy, raz po raz, garnie się pod skrzydła to tego, to innego patrona: raz jest nim zatrudniający go minister, kiedy indziej - wspomagający datkami zaprzyjaźniony biznesmen z Pułtuska. Dążenie do znalezienia się pod czyjąś opieką, którego innym wariantem jest wszak także relacja młodego literata ze starym w *Przyjemności życia,* jaskrawo kontrastujące z ideałem męskiej siły i zaradności, w pełni udaje się zrealizować bohaterowi noweli *Naprawdę niezły skurczybyk* z tomu *Humus.* Ten ni to lump, ni to poeta regularnie objada swojego mecenasa, malarza Andrzeja (przypominającego

tragicznie zmarłego Zdzisława Beksińskiego), i wyłudza odeń pieniądze, stając się, w gruncie rzeczy, jego utrzymankiem. Ta sytuacja, dosyć zatem typowa dla bohaterów Wojasińskiego, sugeruje wprawdzie pewne ich pokrewieństwo z niedojrzałymi postaciami z opowiadań Chmielewskiego, ale tylko powierzchowne. Różnica - koniec końców niebagatelna - zasadza się na tym, że tylko u drugiego z nich owa niedorosłość jest, bez wątpienia, w pełni świadomie zamierzona. Znamienna jest jednak sama obecność tego zagadnienia w centrum twórczości obu autorów.

Pragnienie pisania krwią

W ostatnich latach przez łamy prasy przetoczyły się niezliczone debaty nad tożsamością pokolenia dzisiejszych prawie- oraz nieco więcej niż trzydziestolatków - i od razu dodajmy, że z mizernym rezultatem. Najważniejsze, ujawnione w tych dyskusjach tendencje zbiegają się w dwóch, spośród dziesiątek, ukutych przez publicystów formuł: „generacja nic" i „pokolenie JP2". Ale nietrudno dostrzec, iż obie są właśnie skrajnie tendencyjne, choć różnym kierunkom ideowym służą. Pierwsza diagnozuje dominację łagodnego, konsumpcjonistycznego nihilizmu, typowego dla posthistorycznych czasów „wyczerpania", druga zaś - jako charakterystyczną - wskazuje postawę głęboko religijną, upatrującą niekwestionowanego autorytetu w papieżu Polaku. Oczywiście, każda z tych formuł mówi prawdę; jest to jednak prawda li tylko częściowa i do tego stopnia niepełna, że nie dająca się rozciągnąć na całą generację ani nawet na jej dominujący odłam. Dlaczego zatem roczniki siedemdziesiąte i osiemdziesiąte wymykają się próbom ściślejszej definicji? Czemu tak trudno nadać im jedną łączną nazwę?

Wydaje się, że czynnikiem, scalającym przypadkowe grupy rówieśnicze, przekształcającym je w zbiorowości o na tyle mocnym wspólnym rysie, że możliwe i uprawnione staje się nazywanie ich (takim lub innym) pokoleniem, jest doświadczenie generacyjne. A w życiu naszego pokolenia właśnie owego elementu zabrakło. Tego rodzaju przeżyciem nie stało się bowiem ani wejście do Polski sieci McDonald's, ani też którekolwiek z licznych spotkań Ojca Świętego z młodzieżą. Albo raczej: każde z tych - przywołanych tu, rzecz jasna, jako symbole - wydarzeń wywarło formujący wpływ na wyrazisty, lecz zaledwie wycinek roczników siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, potęgując

impri
matur

ich wewnętrzną polaryzację. Czy historia mogła jednak potoczyć się inaczej? Co miałoby zjednoczyć ludzi urodzonych za późno, by świadomie i aktywnie przeżyć choćby tylko ów schyłek PRL-u, raczej komiksowy niż dramatyczny, bo sprowadzony do alternatywy: „jesteś za Wałęsą czy za Jaruzelskim?", które to pytanie pamiętam, jak zadawały sobie, wiernie naśladując swoich rodziców, dzieci w piaskownicach i na podwórkach (o ludziach „ekstremy" i księżach, mordowanych przez SB jeszcze grubo po Magdalence, Okrągłym Stole i zaprzysiężeniu „pierwszego niekomunistycznego", usilnie przecież nie informowano)?

Kiedy się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, jak mój ojciec wspominał moment swojego, jeszcze jako licealisty, pierwszego pokoleniowego doświadczenia (choć, oczywiście, tak tego nie nazywał): pałowania na Krakowskim Przedmieściu w marcu 1968 roku. To, że się tam znalazł - podobnie było zresztą bez wątpienia w przypadku znakomitej większości jego rówieśników - nie miało w rzeczywistości wiele wspólnego z jakimś prostodusznym studenckim protestem w obronie relegowanych kolegów, których poza aleją Przyjaciół mało kto przecież znał, za to dużo więcej z pragnieniem, by czerwonemu wreszcie rzucić w twarz: „Paszoł won!". Jeśli zatem dzięki sinym pręgom na plecach ich generacja w jednej chwili dorosła, odnajdując własne miejsce w polskich dziejach, stając się kolejnym ogniwem długiego łańcucha pokoleń, to jaki wpływ na nasze dojrzewanie wywarłyby wydarzenia z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdyby przybrały inny, gwałtowniejszy obrót; gdyby zamiast spektaklu, odegranego wśród tandetnych dekoracji, zakończyły się czymś naprawdę poważnym? Czy nie przyspieszyłoby to momentu, w którym uwaga człowieka powoli odwraca się od dziecinnych zabaw, a jego zainteresowanie zaczynają budzić sprawy dorosłych?

Bo czy w ostateczności to nie właśnie owo pokoleniowe doświadczenie pomaga zgrai dzieciaków, razem przechodzących obowiązkowe szczepienia i przez szereg lat kopiących piłkę na szkolnym boisku, poczuć i zdać sobie sprawę z istnienia kategorii „my"? Czy, wreszcie, brak tego wspólnego przeżycia nie utrudnia (aby nie powiedzieć: uniemożliwia) pełnej socjalizacji, czyli choćby bezwiednego uznania siebie za część większej całości?

Przedstawianie świata to sama istota literatury. Ale proza naprawdę wielka, rozrastająca się do rozmiarów powieści, nie może być jedynie odmalowywaniem rzeczywistości za pomocą słów. Małe scenki, mikroświaty, fragmenty ludzkiego życia i mowy stanowią materiał na nowele. Tylko i aż na nie. To zaś, co napędza złożoną i wielowątkową fabułę, co skłania pisarza do jej tworzenia, a czytelnika do spędzenia nad książką kilku czy kilkunastu godzin, musi dalece wykraczać poza los jednostkowy. Powieść wymaga zatem od autora wykroczenia poza swoją pojedynczość, a zdobycie się na to musi być wszak niezwykle trudne dla pisarzy z pokolenia, którego okoliczności nigdy nie skłoniły do zaryzykowania wyjścia poza własną prywatność, więc z czasem stawało się ono coraz mniej ku temu skłonne, coraz głębiej schowane przed wszystkim, co publiczne. Brak istotnego, formacyjnego doświadczenia oznacza również, że puste pozostaje naturalne źródło tematów dla literatury, którym są przeżycia autora, jego samego zaś żaden wewnętrzny impuls nie przynagla do przetwarzania ich we wciąż nowe narracje.

Takie, konstytuujące tożsamość, przeżycie zazwyczaj bywa niejako dane z góry, bez udziału ludzkiej woli ani możliwości wyboru. Tak, jak w przypadku Mirona Białoszewskiego i „najważniejszego przejścia jego życia", które stało się dlań również najważniejszym wyzwaniem literackim, wymagało bowiem długotrwałych poszukiwań formy dla jego wypowiedzenia, o czym mówi w *Pamiętniku z powstania warszawskiego:* „Przez dwadzieścia lat nie mogłem o tym pisać. Chociaż tak chciałem. I gadałem. O powstaniu. Tylu ludziom. Różnym. Po ileś razy. [...] A nie wiedziałem przecież, że właśnie te gadania [...] ten to sposób nadaje się jako jedyny do opisania powstania". Cóż mają jednak począć ci, którym zgoła nic podobnego się nie przydarza? Żaden jako tako wrażliwy człowiek nie byłby przecież w stanie pozostać wyłącznym przedmiotem swojego zainteresowania, szczególnie zaś pisarz, który skupiony jedynie na sobie - po prostu nie miałby o czym pisać. Dlatego naturalnym odruchem literatów, należących do generacji, która wyrosła w zaciszu pry-

impri matur

watności i innego poza nią świata nie zna, staje się dążenie do nadrobienia owego niedostatku realnych doświadczeń. Bo czymże innym niż pogonią za przeżyciem i próbą rzucenia rękawicy światu, który sam nie kwapi się do stawiania wyzwań, są wspomniane na wstępie, podejmowane przez młodych pisarzy, próby walki piórem pod sztandarami nowej lewicy? I nie jest w tym momencie najistotniejsze, czy walka to w dobrej sprawie; interesujące, bo głęboko prawdziwe, jest samo ich pragnienie, by pisać krwią.

I to samo źródło mają również zmagania z historią bohaterów Wojciecha Chmielewskiego oraz obrona własnej prowincjonalności przez protagonistów nowel Rafała Wojasińskiego. Wydają się one przy tym bardziej wiarygodne, gdyż nie oparte na ideologicznych konstruktach, lecz wynikające z autentycznych pasji i namiętności, z decyzji, aby konsekwentnie pójść za ich głosem, choćby aż na granicę szaleństwa, jeśli okaże się to konieczne, byle zachować wewnętrzną uczciwość. U obu autorów literackie świadectwo tej pogoni za przeżyciem przyjmuje skromną formę małego realizmu, skrócenia perspektywy, skupienia uwagi na najbliższym planie.

W przypadku Wojasińskiego zdecydowanie najlepszy efekt przynosi to w drobnych nowelach, gdzie ze sporą dozą empatii kreśli on bezpretensjonalne obrazki z życia wiejskich „poniżonych" - trochę ofiar losu, a trochę własnego lenistwa, w których prymitywizm i brutalność splatają się z wrażliwością, a czasem też filozoficznym usposobieniem. Trudno byłoby jednak przypisać prozie Wojasińskiego sens ocalający - wzorem patronującej mu twórczości Marka Nowakowskiego, który wobec wojennego i powojennego przeorania substancji materialnej i ludzkiej Warszawy sięgał do świata dalekich przedmieść i społecznych nizin, by odnaleźć tam ostatnie rezidua ducha miasta. Jeśli bowiem miałoby to być epitafium odchodzącej bezpowrotnie w przeszłość tradycyjnej polskiej wsi (jej pegeerowską narośl zdążył już pożegnać Daniel Odija powieścią *Tartak),* to, niestety, chybione: kujawskie na poły dziady lub wręcz żuliki żyją wszak na marginesie wiejskiej społeczności, która nimi gardzi, budzą zaś zainteresowanie jedynie przybyłego z miasta, inteligenckiego narratora.

Lecz, najwyraźniej, słabości i ograniczenia tego pisarstwa uwidaczniają próby większych form prozatorskich w tytułowych opowiadaniach ze zbiorów *Przyjemność życia* i *Humus.* Te pierwsze od biedy ratują jeszcze ostre kontrasty między surowymi realiami na prowincji a życiem wielkiego miasta oraz

główny wątek wybijania się pary głównych bohaterów do czegoś wyższego ponad codzienną egzystencję, do „lepszego" życia, do literatury. Natomiast w *Humusie* obnażona zostaje niewystarczalność prywatnych pasji i obsesji jako motoru i tematu prozy o skali bliskiej powieściowej, mimo że egotycznych roztrząsań i autoanaliz narratora wystarczyłoby zapewne na motyw przewodni niejednego tomiku wierszy (i wielu poetom wystarcza). Możliwości pisarskie Wojasińskiego nie wykraczają na razie poza opowiadania i scenki z życia honornych i rozpitych ludzi wsi. Już dziś zresztą słusznie uchodzi on za ich głównego piewcę w najnowszej polskiej literaturze i bywa porównywany ze Stasiukiem, od którego różni go brak skłonności do wynoszenia się ponad opisywanych i paternalistycznego traktowania ich z góry. Otwarte pozostaje pytanie, czy po autorze trzech - tak jednolitych i pod względem formy, i tematyki - tomów opowiadań można spodziewać się jeszcze czegoś zdecydowanie różnego od dotychczasowej twórczości.

Jeszcze trudniej byłoby przewidzieć przyszły rozwój talentu autora *Białego boksera*. Tak późny debiut prozatorski tego, skądinąd ciekawego, krytyka i eseisty może wszak oznaczać także i to, że uprawianie prozy stanowi jedynie margines jego zainteresowań. Byłoby jednak szkoda, gdyby Chmielewski poszedł w ślady Jacka Baczaka, autora arcydzielnych *Zapisków z nocnych dyżurów* - wydanych (początkowo własnym sumptem) dwanaście lat temu jako pokłosie jego pracy w charakterze pielęgniarza w domu starców - który, mimo spektakularnego sukcesu (dwóch wznowień, kilkunastu recenzji i wywiadów, a nawet poświęconego mu filmu dokumentalnego, że nie wspomnę już o uhonorowaniu go Nagrodą Kościelskich) od tamtej pory zamilkł i dzisiaj jest już bodaj całkowicie zapomniany. Młodej polskiej literaturze brakuje bowiem, niestety, pisarzy trawionych żarem innym niż tylko papierowy.

ALEKSANDER KOPIŃSKI

Wojciech Chmielewski. *Biały bokser.* Oficyna Wydawnicza Agawa. Warszawa 2006
Rafał Wojasiński. *Przyjemność żyda.* Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2005
Rafał Wojasiński. *Humus.* Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2006

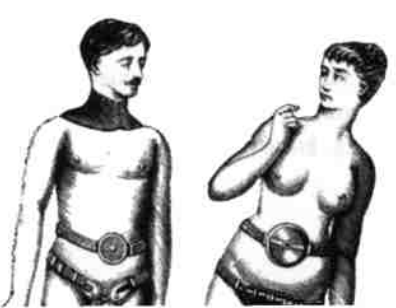

Nawiązując do słusznej idei samorealizacji, jaką Paulo Coelho prezentuje w swojej powieści, trzeba wytknąć jedną jej wadę. Kładzie ona nacisk jedynie na rozwój intelektualno-duchowy, z pominięciem elementów fizycznych.

Jesteśmy boginiami

WOJCIECH WENCEL

Gdyby literatura była sztuką uwodzenia, Paulo Coelho już dawno miałby na swoim koncie Nagrodę Nobla. Doświadczeni playboye wiedzą, że - aby zdobyć kobietę, nie należy przesadzać z kwiatami i czekoladkami. Wystarczy głęboko spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, że ma w sobie twórczy potencjał: wyjątkową wrażliwość, autentyczny talent czy inną „magiczną siłę". Żeby zadziwić świat, powinna tylko uwolnić się z klatki zobowiązań i rozwinąć skrzydła. Jeśli ofiara uwierzy w te brednie, sukces murowany.

Czarownica z Portobello, nowa powieść ulubieńca popkultury, to rozpisana na głosy historia kobiety, która „umarła dla świata, by narodzić się dla siebie". Szirin Khalil vel Atena jest cygańskim dzieckiem, adoptowanym przez libańskie małżeństwa Urodzona w Transylwanii - ojczyźnie Vlada Draculi - posiada wampiryczną naturę, która pozwala jej czerpać energię od innych.

Jej przekonanie o własnej niezwykłości początkowo realizuje się w Kościele maronickim. Atena żarliwie się modli i miewa wizje, jak św. Teresa z Lisieux. Po wyjeździe do Londynu rozpoczyna studia architektoniczne, wychodzi za mąż i rodzi syna. Niestety, małżeństwo nie wytrzymuje próby czasu i Atena traci możliwość przyjmowania komunii, co ostatecznie zraża ją do instytucji Kościoła. Na szczęście, niedługo później odkrywa wspólnotę „Poszukiwaczy Wierzchołka", której rytuały polegają na tańcu z zamkniętymi oczami w rytm muzyki, pochodzącej z syberyjskich stepów. Dowiaduje się też, że istnieją dwie tradycje: „jedna, która każe nam powtarzać to samo przez stulecia, i druga, która otwiera przed nami drzwi do nieznanego". Ta druga, magiczna tradycja jest jednak na tyle wymagająca, że musi pozostać wiedzą tajemną. Medytując w blasku świec, Atena staje się medium Wielkiej Matki. Już tylko krok dzieli ją od założenia sekty.

Łącząc toposy dziewicy, męczennicy, świętej i czarownicy, Coelho składa hołd postmodernizmowi. W powieści roi się od parafraz, zmieniających sens ewangelii i od zdań typu: „Mistrz nigdy nie mówi uczniowi, co powinien robić. Mistrz i uczeń są jedynie towarzyszami podróży". Jak w *Pachnidle* Patricka Siiskinda, człowiek staje się tu bogiem, tyle że o kobiecym obliczu. W końcu „jesteś tym, czym wierzysz, że jesteś", bo w każdym z nas drzemie magiczna siła. Podczas tanecznego transu energia ta emanuje z serc, wydostaje się przez pępek i rozwija ukryte zdolności. Atena, już jako kapłanka sekty, potrafi dostrzegać aurę duchową wokół konkretnych ludzi, odczytywać ich przeszłość i uzdrawiać chorych, a jej uczennice przemieniają się w natchnione artystki albo boginie seksu.

Czarownica z Portobello to jednocześnie krytyka stylu życia „strasznych mieszczan", którzy nie mają czasu na samorealizację, bo uganiają się za pracą i pieniędzmi. Żyć tylko chwilą obecną, jak Cyganie, dla których nie istnieje czas, jest tylko przestrzeń - oto recepta brazylijskiego pisarza dla ludzi XXI wieku. Wniosek do przemyślenia, bo sportretowana przez Coelho cywilizacja rzeczywiście chyli się ku upadkowi. Nikt - oprócz katolickich ortodoksów - nie kręci nosem, kiedy Atena głosi religijne banialuki. Kontrowersje wokół sekty pojawiają się dopiero w momencie, gdy kapłanka wzywa swoje uczennice do rezygnacji z terapii odchudzających.

Mimo wszystko, teza Coelho, że również w naszych czasach trwa polowanie na czarownice, wydaje się przesadzona. Kiedy podczas transu Atena

zwraca się do zebranych słowami: „Mówi do was Hagia Sofia" i rozpoczyna odgadywanie ludzkich historii, wcale nie budzi w czytelniku złych emocji. Przypomina raczej postać poety z *Rejsu* Marka Piwowskiego. Jak pamiętamy, bohater filmu też chciał odkryć przed pasażerami statku cząstkę ich przeszłego życia, a nikt nie chciał go palić na stosie. Jedyną formą polemiki był głos sportowca, który zachowuje aktualność również w kontekście *Czarownicy z Portobello.* Nawiązując do słusznej idei samorealizacji, jaką Coelho prezentuje w swojej powieści, trzeba wytknąć jedną jej wadę. Kładzie ona nacisk jedynie na rozwój intelektualno-duchowy, z pominięciem elementów fizycznych. W związku z powyższym proponowałbym następujące dyscypliny sportowe: pływanie, zapasy, boks.

WOJCIECH WENCEL

Paulo Coelho. Czarownica z *Portobello.* Wyd. Drzewo Babel. Warszawa 2007

Dzieło Yuriego Slezkine'a to głównie książka historyczna, jednak najważniejszy jej fragment może równie dobrze odnosić się do czasów bieżących. Pod koniec autor pisze: „Wszelkie radykalne próby przerobienia rodzaju ludzkiego są de *facto* atakami na rodzinę i są albo nieskuteczne, albo skrywane. Dla większości ludzi przez większość czasu dążenie do szczęścia oznacza uganianie się za płcią przeciwną, płodzenie i wychowywanie dzieci, co jest zawsze formą dyskryminacji i niewyczerpanym źródłem plemienności".

Natura nie da się oszukać nawet Merkuremu

FILIP MEMCHES

Pamięci moich żydowskich przodków

Zajmowanie się po holocauście politycznymi i ideologicznymi uwikłaniami osób narodowości żydowskiej z góry budzi podejrzenia co do przyświecających temu intencji. Znakomicie ilustruje to prywatna opinia pewnego publicysty na temat nadtytułu, jakim został opatrzony polski przekład książki Yuriego Slezkine'a *Wiek Żydów*. W zdaniu „Dlaczego Żydzi odgrywają tak wybitną rolę w historii" publicysta ów dopatrzył się antysemickiego podtekstu, bowiem - według niego - w sformułowaniu tym może być zawarta jedynie sugestia, że chodzi o „rolę nikczemną". Czy są powody do tego rodzaju przypuszczeń, czy też należy je uznać za przejaw politycznej paranoi?

Aby uzyskać odpowiedź na tak postawione pytanie, warto na początku dowiedzieć się, kim jest sam autor. Yuri Slezkine (a właściwie Jurij Slezkin) urodził się w roku 1956 w Moskwie, w rodzinie rosyjsko-żydowskiej. W stolicy ZSRS studiował językoznawstwo i literaturę, a następnie pracował jako tłumacz w sowieckich placówkach dyplomatycznych za granicą. W roku 1982 wyemigrował do USA. Obecnie jest profesorem i dyrektorem Instytutu Studiów Słowiańskich, Wschodnioeuropejskich i Eurazjatyckich Uniwersytetu w Berkeley.

W jednym z pierwszych zdań książki Slezkine wyznaje, że dedykuje ją pamięci swojej babci, która

> poszła do więzienia jako komunistka i wyemigrowała do Argentyny, skąd wróciła w 1931 roku, by budować socjalizm. Na starość była bardzo dumna ze swoich żydowskich przodków, uznając całe przeszłe życie za błąd.

W pewnym sensie dzieło amerykańskiego historyka ma charakter rozliczeniowy. W swej ogromnej części ukazuje ono perypetie Żydów z terenu dawnego Imperium Rosyjskiego - dzieje ich fascynacji komunizmem, zaangażowania w tę ideologię, prób wdrażania jej przez nich w państwie sowieckim; wreszcie żydowskiego rozczarowania nią. Jednak autor wychodzi w książce od zupełnie innej kwestii.

Slezkine dokonuje historycznego podziału na osiadłe narody apollińskie i koczownicze narody merkuriańskie. Te pierwsze w ciągu wieków tworzyły państwa, prowadziły wojny, trudniły się rolnictwem, drugie zaś - zajmowały się przede wszystkim handlem i działalnością usługową, krzewiąc zarazem wśród konserwatywnych zbiorowości nowinkarstwo ideologiczne oraz swobody obyczajowe. Żydzi zaliczają się do tej drugiej grupy. Trzeba jednak podkreślić, że klasyfikacja ta dotyczy społeczeństw tradycyjnych. Nowoczesność bowiem przyniosła im radykalny przełom, a to w dużym stopniu za sprawą Żydów.

Żydzi byli merkurianami Europy. Ich styl życia stał się typowy dla przemian modernizacyjnych, które przeorały Stary Kontynent, by później objąć swym zasięgiem cały świat. Jedną z najważniejszych cech nowoczesności jest rozpad społeczeństwa stanowego i przejmowanie przez mieszczaństwo ról, zadań i przywilejów, które na przestrzeni stuleci zarezerwowane były dla

impri matur

warstw wyższych. Przywiązany do konkretnego miejsca na ziemi i do określonej tradycji, Apollo zaczął ponosić porażki w starciu z Merkurym, patronem wykorzenionych wiecznych tułaczy. Narodziny kapitalizmu upodobniły narody europejskie do Żydów.

Nowoczesność to także epoka, zrywających - w mniejszym lub większym stopniu - z tradycją i przeszłością, wielkich projektów ideologicznych: liberalizmu, nacjonalizmu, socjalizmu (głównie jego radykalnej odmiany - komunizmu) . Zdaniem Slezkine'a, najbardziej znaczącym z nich okazał się nacjonalizm. Jedną z jego wersji stał się syjonizm. Postulował on budowę państwa żydowskiego w Palestynie, którego gospodarzem byłby laicyzujący się, nowoczesny naród. Umacnianie tożsamości narodowej w oparciu o religię mojżeszową zostało uznane przez pionierów syjonizmu za antymodernizacyjny anachronizm.

Ogromna część Żydów propozycji syjonistycznych jednak nie przyjęła, wybierając asymilację. Dla wielu z nich była to ucieczka z getta, w którym trwali od stuleci ich przodkowie, ku liberalizmowi i socjalizmowi. W przeciwieństwie do syjonizmu, ideologie te uzasadniały - choć każda na inny sposób - niwelowanie bądź obniżanie znaczenia różnic etnicznych.

Liberalizm (w sensie pozbawionej antyreligijnych uprzedzeń ideologii klasy średniej) zadomowił się przede wszystkim w USA - obok Palestyny, drugiego potężnego ośrodka żydowskiej imigracji z Europy. W odróżnieniu od nacjonalizmu i komunizmu, projekt liberalny nie miał aspiracji cjuasi-religijnych; nie oferował ani teorii zła, ani obietnicy nieśmiertelności. Społeczeństwo amerykańskie ukształtowało się jako zbiorowość, pielęgnująca indywidualizm i brak zakorzenienia, a jednocześnie w pełni akceptująca niezależne od państwa tożsamości wspólnotowe (religijne, etniczne, obyczajowe) jej członków.

Slezkine jednak - jak już zostało wspomniane - najwięcej uwagi poświęca rosyjskiemu i sowieckiemu komunizmowi. Zgłębia motywacje, jakie skłaniały Żydów z obszaru Imperium Rosyjskiego do angażowania się w rewolucję bolszewicką i tworzenie państwa sowieckiego. Problem ten - problem „żydokomuny" - jest akurat w Polsce rozpoznany, pomijając mnóstwo funkcjonujących w tej sprawie mitów i stereotypów, niezależnie od ich zabarwienia ideologicznego czy politycznego - dlatego warto poprzestać na kilku podstawowych uwagach.

Wraz z powstaniem ZSRS komunizm ujawnił swój utopijny charakter, a w realnym socjalizrriie nie udało się przezwyciężyć ani antysemityzmu (także

impri matur

na szczytach władzy), ani w ogóle rozmaitych antagonizmów etnicznych. Historia Związku Sowieckiego to również dzieje rozczarowania Żydów projektem komunistycznym i przechodzenia ich na pozycje wrogie „dyktaturze proletariatu", zwłaszcza po wojnie sześciodniowej oraz uznaniu przez Kreml Izraela za państwo „imperialistyczne" i wroga obozu „demokracji ludowej".

Oczywiście, tę żydowską opozycyjność należy pojmować wieloznacznie. Mieszczą się w niej bardzo różne postawy: z jednej strony niezłomny antysowietyzm zamykanych w więzieniach i łagrach bohaterskich dysydentów, z drugiej zaś - działalność takich cwaniaków, jak Borys Bieriezowski i Michaił Chodorkowski, którzy w czasach sowieckich nie byli dysydentami, ale wykorzystali ówczesne legalne instytucje do podjęcia działalności gospodarczej, w efekcie czego po upadku ZSRS zbili gigantyczne fortuny, stając się oligarchami.

Rola Żydów, jaką w swojej książce przedstawia Slezkine, wydaje się złożona, a jej ocena ambiwalentna. I chwała należy się historykowi, który, poruszając temat stanowiący w poholocaustiańskim świecie tabu, nie dostosował się do wątpliwych standardów, narzucanych przez środowiska, uprawiające - pod pretekstem walki z antysemityzmem - terror intelektualny. Żeby jednak nie było wątpliwości, Slezkine kontestuje wszelkie próby obarczania odpowiedzialnością zbiorową Żydów za rewolucję bolszewicką i jej skutki (polemizuje chociażby z tezą książki Aleksandra Sołżenicyna *Dwiestie Het wmiestie).*

Wielką zaletą dzieła jest to, że autor operuje w nim twardą faktografią i *zarazem* nie stroni od rozmaitych przypowieści i anegdot, dzięki czemu całość ociepla. Slezkine stosuje pewną metaforę poprzez przywołanie postaci ze słynnej powieści Szołema Alejchema *Dzieje Tewji Mleczarza.* Historię córek tytułowego bohatera interpretuje w sposób alegoryczny, snując domysły co do ich dalszych losów i przedstawiając drogę życiową każdej z nich jako określony wybór życiowy i światopoglądowy, dokonywany przez Żydów w XX wieku. W powieści Alejchema Cejtł poślubia ubogiego krawca, Hodł - rewolucjonistę Perczyka, Szpririka, porzucona przez narzeczonego tonie, Bejłkie wy-

impri matur

chodzi za mąż za kombinatora, z którym emigruje do USA, wreszcie Chawa ucieka z nieżydowskim samoukiem, i choć jest już opłakiwana przez ojca jako zmarła, wraca pod koniec książki skruszona do domu rodzinnego. Slezkine dopisuje przyszłe losy córek Tewji: Cejtł ginie w holocauście, Hodł - zostaje funkcjonariuszką aparatu państwa komunistycznego, Bejłkie - osiąga sukces życiowy, jakim jest realizacja liberalno-kapitalistycznego „amerykańskiego snu", Chawa - emigruje do ziemi przodków, czyli Palestyny (to właśnie symbolizuje powrót do domu ojca).

Jaki więc płynie z książki profesora uniwersytetu w Berkeley główny wniosek? Z trzech projektów ideologicznych XX wieku Żydzi zyskali na dwóch: syjonizmie i liberalizmie. Stało się tak też dlatego, że nie negowały one ich tożsamości etnicznej; syjonizm zaś wręcz ją wzmocnił. W świetle żydowskich dziejów Izrael stanowi dziś pewien fenomen. To, paradoksalnie, apollińskie państwo w merkuriańskim świecie (co Slezkine formułuje *expressis verbis).* O ile antysemityzm uchodzi w merkuriańskich krajach za postawę politycznie niepoprawną, o tyle krytykowanie Izraela traktowane jest jako wyraz humanistycznej troski o pokój w świecie. Piętnuje się zatem nie kosmopolityzm diaspory żydowskiej, lecz izraelski patriotyzm, który z kolei pacyfiści i alterglobaliści (oraz wtórujące im pewne nurty prawicy) porównują wręcz do nazizmu. Znamienne, że antyizraelska retoryka współczesnych lewicowych intelektualistów żydowskich może się kojarzyć z antysztetlową retoryką dawnej „żydokomuny" (choć - gwoli sprawiedliwości - trzeba przyznać, że również i dawnych syjonistów).

Dzieło Slezkine'a to głównie książka historyczna, jednak najważniejszy jej fragment może równie dobrze odnosić się do czasów bieżących. Pod koniec autor pisze:

> Przynależność do plemienia jest powszechną ludzką kondycją, a rodzina jest najbardziej podstawową i konserwatywną ze wszystkich ludzkich instytucji [...]. Wszystkie ludzkie kultury zorganizowane są wokół regulowania reprodukcji, a reprodukcja - bez względu na reżim, jaki ją reguluje - wymaga preferowania pewnych partnerów i faworyzowania własnego potomstwa. Wszelkie radykalne próby przerobienia rodzaju ludzkiego są *de facto* atakami na rodzinę i są albo nieskuteczne, albo skrywane. Dla większości ludzi przez większość czasu dążenie do

impri matur

szczęścia oznacza uganianie się za płcią przeciwną, płodzenie i wychowywanie dzieci, co jest zawsze formą dyskryminacji i niewyczerpanym źródłem plemienności. Żadna wizja sprawiedliwości-jako-równości nie obejmie ludzkiej rodziny, jakkolwiek zbudowanej, ani żadna ludzka społeczność, obejmująca wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, nie zlikwiduje rozróżnienia między krewnymi i niekrewnymi. Chrześcijaństwo, nakazujące kochać dzieci innych jak własne, przetrwało dlatego, że uczyniło małżeństwo (przyrzeczenie wyłącznej lojalności) religijnym sakramentem takim samym jak instytucja małżeństwa znana wszystkim plemiennym społecznościom. Komunizm, będący głupim, pozbawionym polotu młodszym bratem chrześcijaństwa, po etapie młodzieńczego idealizmu wygasł, bo nie zdołał włączyć w swój projekt rodziny, okazał się zatem niezdolny do reprodukcji. Nad obiema formacjami zatriumfował nacjonalizm, który zaktualizował i unowocześnił tradycyjną (genealogiczną) odmianę nieśmiertelności, oferując plemienny sposób na nowoczesność i nowoczesny sposób na plemienność.

Wywód Slezkine'a uświadamia nam, że tym, co najbardziej obciąża komunizm, nie są stosowane przez niego brutalne metody przymusu, czyli środki, lecz negacja ludzkiej natury, a więc cel. Obecnie prawie w całym świecie zapanował *consensus* co do potępienia samych środków. Krytyczna refleksja nad celem nie jest już tak powszechna. Wręcz przeciwnie, jak wiadomo, w wielu opiniotwórczych środowiskach wciąż w dobrym tonie pozostają rozważania nad wzniosłymi ideałami komunizmu.

Perspektywa Slezkine'a koresponduje, do pewnego stopnia, z perspektywą przyjętą przez Piusa XI w encyklice *Divini redemptoris.* Wbrew temu, co wiele osób myśli, uznanie komunizmu przez Papieża za bezbożny nie wynika z faktu cechującego tę ideologię ateizmu. Zasadnicze oskarżenie dotyczy odrzucania prawdy, wynikającej z porządku naturalnego. Odrzucanie to polega na negacji wartości także „pogańskich": więzi rodzinnych, honoru, uczciwości, itd. Są one podporządkowane naczelnemu celowi ideologicznemu, czyli budowie ziemskiego raju. Komunizm jest więc bezbożny, bo jest kłamstwem, a nie odwrotnie.

Dzisiaj negacja ludzkiej natury nie polega już jednak na uświadamianiu szerokim masom tego, że własność prywatna to „burżuazyjny przeżytek",

lecz przykładowo na walce z „homofobią". Dlatego na gruncie polskim za ideologicznych spadkobierców komunizmu należy uznać nie Leszka Millera lub Andrzeja Leppera, ale feministki i „gejowskich" aktywistów oraz wspierających ich na „paradach równości" niektórych przedstawicieli społeczności żydowskiej. Zdumiewające jest to, że ci ostatni, po przyjęciu wiary przodków, w swojej działalności publicznej kierują się raczej dogmatami *political correctness* aniżeli Torą, określającą homoseksualizm mianem „obrzydlistwa" *(toevah).* Można odnieść wrażenie, iż judaizm traktują oni jako rodzaj kontrkulturowej ekstrawagancji, odróżniającej ich od pogardzanego przez nich polskiego katolickiego „ciemnogrodu", a nie jako religię, której Prawo dane od Boga pozostaje w sprzeczności z postulatami nowej lewicy.

Czytając książkę Slezkine'a, nie można oprzeć się wrażeniu, że jedną z historycznych pułapek żydowskich, wynikających z merkuriańskiej wiecznej tułaczki, pozostaje zrywanie własnych korzeni. Takie jest brzemię bycia umiłowanym narodem Boga, wzorem w tym samym stopniu wierności, co i wiarołomstwa. Upierdliwość proroków od czasów biblijnych bywała zaprzęgana w służbę i Stwórcy, i bluźnierczym ideologiom. Tak jest zresztą po dziś dzień.

Nowoczesność sprzyjała temu, żeby Żydzi szukali swojej siły w rozmywaniu własnej tożsamości. Poczucie wyobcowania zaczęło im w epoce powszechnej sekularyzacji kultury i obyczajów coraz bardziej doskwierać. To, co na gruncie religii mojżeszowej jest wybraństwem, w świecie nowoczesnym okazało się dla wielu potomków Abrahama przekleństwem, bo zaprzeczało ich asymilacyjnym potrzebom. Stało się tak w opozycji do czarnego charakteru modernistycznej narracji, czyli chrześcijaństwa, które wybraństwo pojmuje jako, między innymi, umieranie na krzyżu.

Separowanie się od swojej tożsamości jest jednak samobójcze. Nawet jeśli się odkrywa, że po ojcu można odziedziczyć wyłącznie cechy prowadzące do życiowej klęski, nic to nie zmienia. Owszem, w poszukiwaniu utopii - psychologicznej, religijnej, politycznej, kulturowej - można takie liche dziedzictwo odrzucić. Ale żadne alternatywne tożsamości nie zapełnią pustki. Na dłuższą metę pozostaną one tak sztuczne, jak sztuczne okazały się „sowieckość", „europejskość" czy po prostu abstrakcyjna „ludzkość".

Warto się wreszcie ustosunkować do postrzegania przez Slezkine'a chrześcijaństwa - bądź co bądź czwartego poważnego wyboru Żydów w XX stuleciu, wyboru dokonanego z udziałem takich postaci, jak Edith Stein, Andre

imprimatur

Frossard, Aleksander Mień. Istotą chrześcijaństwa nie jest kultywowanie porządku naturalnego - w ramach którego mieszczą się zarówno więzi rodzinne, jak i narodowe - lecz głoszenie i przyjmowanie Dobrej Nowiny „nie z tego świata". Tego zdaje się autor kompletnie nie rozumieć, chociaż, być może ze względu na jego biografię, trudno mieć o to do niego pretensje.

Slezkine jednak przy okazji wskazuje też pewien właściwy trop. Chrześcijaństwo nie uległo gnostyckiej pokusie. Seksualność i płodność uznało za dary (a zarazem zadania) od Boga, nie zaś za przekleństwo, rzucone przez jakiegoś Demiurga. Naród traktuje ono jako naturalną, a więc służącą rozwojowi człowieka, wspólnotę mowy i kultury. Tylko czy to wystarcza do zbawienia?

FILIP MEMCHES

Yuri Slezkine *Wiek Żydów,* Media Lazar NADIR. Warszawa 2006

Luria w zupełnie nowy sposób zdefiniował posłannictwo Izraela, wyjaśnił też sens diaspory - synowie Abrahama, poprzez pobożne czyny, mają przywracać harmonię we wszechświecie. Pobożność chasydzka będzie odtąd polegała na bezustannym „przylgnięciu" do Boga, wyrażonym poprzez głębokie poczucie wdzięczności za dar życia oraz przez świadomość, że każdy czyn może być wyrazem uwielbienia, modlitwy i dziękczynienia, przywracającego światu jego pierwotną łączność z Jahwe.

Zbieranie rozproszonych iskier

WOJCIECH CHMIELEWSKI

Chasydzi. Ilu z nas zastanawiało się nad zapomnianym duchowym dziedzictwem pokoleń tych Żydów, zamieszkujących jeszcze na początku XX wieku polskie i ukraińskie ziemie? Był to niezwykły świat religijnej wyobraźni, która inspirowała nie tylko wybitnych myślicieli religijnych i filozofów, ale także

impri matur

wielkich pisarzy jidyszystów, choćby braci Singerów, Altera Kacyzne, poetę Icyka Mangera i wielu innych. W głośnej powieści Izraela Joshui Singera (starszego brata noblisty Isaaca Bashevisa), zatytułowanej *Josie Kałb,* autor całą akcję umiejscowił właśnie w świecie chasydów, na dworze rabbiego Mełecha z Nieszawy, postaci wzorowanej na którymś ze słynnych dziewiętnastowiecznych cadyków, owych chasydzkich „duchowych fundamentów świata", jak mówił o nich pobożny Elimelech z Leżajska. Młody Nachumcie, zięć cadyka z powieści Singera, zafascynowany jest postacią Izaaka Lurii, słynnego kabalisty i mistyka, którego uważa się za duchowego ojca całego ruchu chasydów.

Dziwną, frapującą, chasydzką duchowość łatwiej zrozumieć po lekturze książki ks. Tomasza Jelonka *Chasydzi. Radośni mistycy żydowscy.* Już w tytule oddana została jedna z istotnych cech ich pobożności - radość, którą czerpali z dziękczynienia Bogu za dar życia. Chasydzi wnieśli do judaizmu pierwiastek spontaniczności, a przede wszystkim przekonanie, że Jahwe jest obecny w życiu wierzącego nie tylko poprzez przepisy Swego Prawa, zawarte w Torze i *Talmudzie,* ale w codziennych, zwyczajnych, nawet prozaicznych zdarzeniach. „Święte odblaski" przenikające świat były dla pobożnego chasyda niczym zadanie do rozwiązania, tajemnica do odkrycia.

> Tylko zwykli ludzie myślą, że Bogu można służyć jeno *Torą* i modlitwą. To jest nieprawdą, gdyż Bogu można służyć czynnościami najzwyklejszymi, jedzeniem, piciem lub wykonywaniem jakiejkolwiek bądź pracy ręcznej

- nauczał Jakub Józef z Połonnego.

Dużym atutem publikacji ks. Jelonka jest nie tylko chronologiczne zapoznanie czytelnika z dziejami chasydyzmu, ale także próba sięgnięcia do duchowych prekursorów całego ruchu, których autor odnajduje, między innymi, w osobie wspomnianego już, żyjącego w XVI wieku kabalisty, charyzmatyka i wizjonera Izaaka Lurii. Był on twórcą oryginalnego systemu religijno-mistycznego, którego elementy odnajdujemy w rozmaitych pismach, pozostawionych przez chasydów. Podstawę dociekań Lurii stanowi przekonanie o „rozproszonych boskich iskrach", rozsianych w materialnym świecie na skutek kosmicznej katastrofy, zwanej „rozbiciem naczyń". Zdaniem uczonego kabalisty, zadaniem każdego Żyda jest „podnoszenie" owych iskier w celu rekonstrukcji (hebr. *tikkun)* pierwotnego, boskiego porządku. Luria w zupełnie nowy sposób zdefiniował po-

impri matur

słannictwo Izraela, wyjaśnił też sens diaspory - synowie Abrahama poprzez pobożne czyny mają przywracać harmonię we wszechświecie. Pobożność chasydzka będzie odtąd polegała na bezustannym „przylgnięciu" do Boga, wyrażonym poprzez głębokie poczucie wdzięczności za dar życia oraz przez świadomość, że każdy czyn może być wyrazem uwielbienia, modlitwy i dziękczynienia, przywracającego światu jego pierwotną łączność z Jahwe.

Każde pokolenie Izraela ma własną misję, jak każdy człowiek ma przydzielone sobie zadanie naprawiania dobra.

Chasydzi od początków swej działalności byli obiektem ataków ze strony wielu znaczących rabinów, zarzucającym im niedostateczne studiowanie *Tory,* nieprzestrzeganie jej przepisów, a także spontaniczne i ekstatyczne modlitwy, śpiewy i tańce. W XVIII wieku, stuleciu, które było właściwym początkiem całego ruchu, z jego łona szybko wyłonili się duchowi nauczyciele - cadycy. To właśnie wokół nich gromadzili się chasydzi i do ich grobów po dziś dzień pielgrzymują, licząc na wstawiennictwo, spodziewając się cudów. Dow Ber z Międzyrzecza, Menachem Mendel z Witebska, Aaron z Karlina, Szneur Zalman z Lądów, Jakub Icchak z Lublina, inni jeszcze...

Ich życie i pozostawione pisma pozwalają nam dzisiaj kroczyć krętą ścieżką w poszukiwaniu rozproszonych iskier, a przede wszystkim cieszyć się i podziwiać jedyną w swoim rodzaju wierność i miłość Boga.

Doktryna o posłannictwie cadyka nie była jednolita, powszechnie jednak uważano, że byli to specjalni wybrańcy, pośredniczący pomiędzy dwoma światami - boskim i ludzkim. Pozostała po nich żywa do dziś pamięć oraz wspaniała literatura religijna, coraz bardziej dostępna także polskiemu czytelnikowi. Klasyczną książką, złożoną z przypowieści cadyków, pozostają *Opowieści chasydów* Martina Bubera, ale dostępne są i inne antologie, wypełnione radosną chasydzką nauką. Także praca ks. Jelonka zawiera liczne cytaty, które przekonują, że wielcy cadycy nie starali się unikać nawet najbardziej złożonych i do dzisiaj dotykających nas problemów. Rabbi Nachman z Bracławia nauczał o,cierpieniu:

impri
matur

> Jeśli zastanowić się nad tym, do czego w końcu prowadzą wszystkie nieszczęścia i cierpienia dotykające człowieka, to w efekcie dochodzi się do przekonania, że nie jest to zlo, ale wielkie dobro, bo cierpienia biorą się z pełnego dobroci zamysłu Bożego mającego na celu albo napomnienie człowieka, aby wrócił na jego ścieżki, albo po to, aby zmazać winy człowieka. A skoro tak jest, to cierpienia są wielkim dobrem, bo Bóg działa tylko dla dobra. Jeśli człowiek zastanowi się nad celem, nie będzie cierpiał, ale przeciwnie, będzie się cieszył z powodu wielkiego dobra, jakie dostrzeże w swoich cierpieniach.

Ten sam cadyk powiedział o Mesjaszu:

> Ludzie wierzą, że kiedy przyjdzie Mesjasz, nie będzie już śmierci. To nie tak. Mesjasz sam będzie musiał umrzeć.

Istotną część dociekań autora stanowi chasydzkie pojęcie miłosierdzia Bożego, oryginalny wkład chasydów w dziedzictwo judaizmu i ogólniej - współczesnej duchowości. W pismach polskich chasydów miłosierdzie Boże pojawia się często, jest istotną cechą Boga, nazwą Jego miłości, ale w kontekście szczególnym - miłości wobec zła, wobec upadku człowieka. Dzięki Bożemu miłosierdziu chasyd mógł radośnie obcować z Bogiem na co dzień, jego mistyczne doświadczenie Obecności nie było ograniczone do praktyk religijnych czy ascetycznych. To chrześcijaństwo, jak podkreśla ks. Jelonek, z którego wyznawcami obcowali chasydzi każdego dnia, w tak istotny sposób wzbogaciło ich duchowość. Na ziemiach wielonarodowej Rzeczypospolitej, słusznie zwanej „żydowskim Rajem" *(paradisus ludeorum),* obie wielkie religie oddziaływały na siebie w sposób całkowicie naturalny i bezkonfliktowy.

Pogłębieniu rozumienia myśli chasydów, a także dowodem na to, że pozostaje wciąż żywa, jest bez wątpienia lektura antologii mądrości duchowej autorstwa wielkiego potomka jednego z chasydzkich rodów, rabina Abrahama Joshui Heschela, zatytułowana *Prosiłem o cud.* Heschel urodził się w 1907 roku w Warszawie i jest obecnie uważany za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli żydowskiej duchowości minionego stulecia. Był mistykiem, poetą

imprimatur

i historykiem. Wybór z jego bogatej spuścizny dowodzi, jak bardzo radosną i ufającą Bogu osobą byt ten mędrzec, który, na szczęście dla siebie, w porę znalazł schronienie na ziemi amerykańskiej.

Radość rabina Heschela wypływa, oczywiście, z przepełnionej radością duchowości chasydzkiej. Nie jest to bynajmniej radość bezrefleksyjna, wyłącznie euforyczna. Przeciwnie, jest zawsze połączona z medytacją na temat uczynków człowieka, które winny być nieprzerwanym dziękczynieniem Bogu za życie i powołanie do świętości. Powinny być pieśnią każdego dnia.

Heschel proponuje więc „komponowanie pieśni z własnych uczynków", co jest prostym odwołaniem się do wypełniania przez nas prawa wewnętrznego, spoczywającego - jak biblijna pieczęć - na sumieniu każdego wierzącego. Duchowość chasydzka jest w tym kontekście zaskakująco bliska współczesnemu doświadczeniu każdego człowieka, odwołującego się swym życiem do Boga. Jeszcze ważniejsze jest zdefiniowanie pojęcia życia, o którym żydowski mędrzec naucza:

> Człowiek nie jest ani władcą wszechświata, ani panem swego przeznaczenia. Nasze życie nie należy do nas, lecz do Boga. Ponieważ jest własnością Boga, jest święte.

I jeszcze:

> Po prostu być to błogosławieństwo. Po prostu żyć - to świętość.

Łatwo zrozumieć nam teraz niezwykle silne zaangażowanie Abrahama Joshui Heschela w antyrasistowskie i antywojenne protesty, jakie miały miejsce w latach 60. w Stanach Zjednoczonych. Heschel, ramię w ramię z Martinem Lutherem Kingiem Jr., brał udział w protestach czarnoskórych Amerykanów, z których najgłośniejszy był marsz z Selmy do Montgomery, w stanie Alabama, w roku 1965. Rabin występował w obronie godności dzieci Bożych, nie oglądając się na wyznaniowe różnice; na to, że znakomita większość dyskryminowanej czarnoskórej ludności była chrześcijanami. Nie dosyć na tym.

Pierwsze listy Abraham Joshua Heschel wymienił z Thomasem Mertonem w końcu 1960 roku. Wymiana myśli, a potem spotkanie w 1964 roku (rabin odwiedził mnicha w opactwie Gethsemani w Kentucky), zainspirowa-

imprimatur

ła Mertona, który - dzięki listom, pisanym do kardynałów, obradujących podczas Soboru Watykańskiego II - niewątpliwie przyczynił się do nowego zdefiniowania stosunku Kościoła do starszych braci w wierze. Znalazło to swój wyraz już w soborowej deklaracji *Nostra aetate.* W ten sposób myślenia i doświadczenia wpisuje się osobowość jednego z uczestników soborowych wydarzeń, kardynała Karola Wojtyły, kontynuatora myśli Mertona i Heschela, a także - dzięki doświadczeniu Holokaustu, dokonującego się na jego oczach - pogłębiającego zapoczątkowaną przez tych dwóch problematykę wzajemnych relacji między chrześcijanami i Żydami.

Wróćmy do nauki rabbiego Heschela. „Kto to jest Żyd?" - pytał w 1972 roku, tuż przed swoją śmiercią.

> To ktoś, kto wie, jak przywoływać i ożywiać to, co święte w przeszłości swego narodu. Kto pielęgnuje obietnicę i wizję mającego nadejść odkupienia.

Jednocześnie zwracał się do każdego, kto czuł się bezradny, samotny i niespełniony:

> W oczach świata jestem przeciętny. Ale moje serce mówi, że tak nie jest. Moje serce podpowiada, że jestem kimś wyjątkowym i wspaniałym.

Natchnione słowa rabina Heschela są świadectwem, że następca chasydów był prorokiem wszystkich pragnących wsłuchać się w Boże wezwanie. Działo się to w stuleciu, w którym ateistyczne barbarzyństwo przyniosło Zagładę jego narodowi.

WOJCIECH CHMIELEWSKI

ks. Tomasz Jelonek, *Chasydzi. Radośni mistycy żydowscy.* Bratni Zew, Kraków 2007
Abraham Joshua Heschel. *Czekatem na cud. Antologia duchowej mądrości.* W drodze, Poznań 2001

Wierzący katolik może odwoływać się do Najświętszej Marii Panny, której wstawiennictwo u Boga jest szczególnie efektywne w kwestiach cnoty, oraz do Świętych i swojego Anioła Stróża. Wewnętrznie wzmacnia także spowiedź i komunia.

TĘCZOWA KSIĄŻECZKA

czyli zwalczanie homoseksualnych uczuć

GERARD VAN DEN AARDWEG

Wewnętrzna walka z homoseksualnymi skłonnościami mobilizuje zdolność wglądu oraz wolę. Wola jest tu nieodzowna. Znaczy to, że tak długo, jak homoseksualne pragnienia i fantazje są pielęgnowane - pomimo dobrych intencji, żeby tak nie było - ciężko jest osłabić seksualne zainteresowania, gdyż niezależnie od chęci pozbycia się ich, będą one podtrzymywane przy życiu, ilekroć - w tajemnicy lub świadomie - będziemy czerpać z nich przyjemność.

impri matur

Pasuje tutaj porównanie do alkoholizmu lub, do pewnego stopnia, palenia papierosów. Podkreślanie roli woli nie znaczy, że wgląd nie jest pomocny. Jednak samo zrozumienie istoty infantylnych impulsów erotycznych nie jest dostatecznie silne, by te impulsy przezwyciężyć. Tylko ogromnym wysiłkiem woli daje się uciszyć te impulsy w konkretnej sytuacji. Taki wysiłek należy podjąć w spokoju ducha, bez paniki, z podejściem dorosłego, który stara się opanować trudną sytuację: cierpliwie i realistycznie. Nie pozwól dać się onieśmielić takiemu impulsowi, nie rób z niego tragedii, nie wypieraj się go i nie wyolbrzymiaj stopnia, w jakim jest on dokuczliwy. Postaraj się powiedzieć mu: „Nie".

Możliwości woli są zazwyczaj niedoceniane, gdyż w nowoczesnej psychoterapii przywykliśmy kłaść jednostronny nacisk na intelektualny wgląd (psychoanaliza) i trening (terapia behawioralna, psychologia uczenia się). Jednak to wola jest kluczowa. Zrozumienie i trening są niezbędne, ale ich skuteczność zależy od prawidłowego ukierunkowania woli.

Na drodze wewnętrznej refleksji homoseksualista musi podjąć decyzję: homoseksualnym impulsom mówię: nie! Musi stopniowo dorosnąć do tej decyzji. Często o niej myśleć, szczególnie na spokojnie, kiedy jego czysty umysł nie jest zajęty homoseksualnym podnieceniem. Kiedy decyzja zostanie podjęta, będzie odrzucał wszelkie sposobności, by poczuć homoseksualne podniecenie lub homoerotyczną przyjemność - natychmiast i całkowicie, z przekonaniem. W większości przypadków, kiedy homoseksualista chce, ale mu się nie udaje, wynika to z tego, że jego wola nie jest całkowicie zdecydowana. Dlatego nie jest w stanie stawiać oporu i będzie winę za swoje niepowodzenia przypisywać raczej sile swojej orientacji homoseksualnej lub „okolicznościom" niż niepełności swojej decyzji. Po kilku latach względnych sukcesów i okresowych nawrotów homoseksualnych fantazji pewien homoseksualista odkrył, że tak naprawdę nigdy w pełni nie chciał uwolnić się od swoich pragnień: „Teraz rozumiem, dlaczego było to takie trudne. Niewątpliwie tego chciałem, ale nigdy w stu procentach". Dlatego pierwsza bitwa rozgrywa się o zdobycie pełnego przekonania do swojej decyzji. Jak już się to osiągnie, należy odnawiać tę decyzję regularnie, dopóki nie stanie się ona stabilnym przyzwyczajeniem. Jeśli nie, twoja wola na pewno z powrotem osłabnie.

Trzeba mieć świadomość tego, że będą momenty lub nawet godziny, kiedy nasza wola znajdzie się pod atakiem pożądliwych pragnień. „W takich

WALKA POLEGA NA TYM ŻE

Homoseksualnym impulsom mówimy

NIE!

impri matur

chwilach w końcu pragnę, by moja wola przystała na te pragnienia" - przyznają klienci, którzy generalnie mają naprawdę dobre intencje. Walka wtedy bywa naprawdę bolesna, tym bardziej, jeśli ktoś wcześniej nie posiadał silnej woli.

Impulsem może być fantazjowanie na temat osoby, spotkanej w biurze lub na ulicy lub widzianej w telewizji lub gazecie. Może to być marzenie wzbudzone przez konkretne myśli lub wydarzenia zwykłego dnia, albo impuls, by pójść poszukać partnera w jakimś miejscu spotkań. Dlatego powiedzenie „nie" może mieć różny stopień trudności. Pragnienia mogą być tak silne, że zaburzają logiczne myślenie, a wtedy trzeba opierać się na samej sile woli. Pomocne w takich chwilach mogą być dwie myśli: „Muszę być szczery" oraz „Jestem wolny, nawet pod naciskiem tej palącej żądzy". Szczerość tutaj znaczy przywołanie: „Wiem, że muszę się oprzeć, więc nie mogę się oszukiwać". Wolność woli polega na stwierdzeniu: „Mogę podnieść rękę. Mogę odejść, jeśli tak postanowię, w każdej chwili. Więc leży także w zakresie moich możliwości zostanie tutaj, w tym pokoju i opanowanie moich impulsów. Kiedy chce mi się pić, mogę zdecydować, że się nie napiję i zaakceptować pragnienie". Pewne sztuczki mogą być pomocne, na przykład powiedzenie głośno: „Decyduję się zostać w domu" lub spisanie jakichś pomocnych myśli i czytanie ich w kryzysowych sytuacjach.

Łatwiej jest spokojnie odwrócić wzrok, obciąć sznur skojarzeń niż zadręczać się patrzeniem na tę osobę lub zdjęcie. Dzieje się tak dzięki zrozumieniu. Spróbuj zauważyć, że patrząc na kogoś, możesz porównywać: „On jest księciem z bajki, ona jest boginią, a ja przy nich wypadam żałośnie". Spróbuj zdać sobie sprawę, że odczuwany impuls to nic innego, jak wołanie dziecinnego ego: „Jesteś taki cudowny, taki męski (kobiecy). Proszę, zwróć uwagę na biednego mnie!" Im bardziej zdajemy sobie sprawę z postawy „biedactwa", tym łatwiej jest zdystansować się od niej i użyć własnej woli jako broni.

Ważnym ułatwieniem jest zauważenie, jak dziecinne jest to szukanie homoerotycznych kontaktów, w rzeczywistości i w wyobraźni. Spróbuj dostrzec, że w takich tęsknotach wcale nie jesteś dojrzałą, odpowiedzialną osobą, ale dzieckiem, które lubi sobie dogadzać, chce ciepła i własnej przyjemności zmysłowej. Zrozum, że to nie jest prawdziwa miłość, a samolubna zachcianka, w której partner jest bardziej obiektem, dającym przyjemność niż osobą. Myśl o tym także pod nieobecność homoseksualnego pragnienia.

impri
matur

Jaśniejsza świadomość dziecinnej, egoistycznej natury homoseksualnego zaspokojenia dodatkowo otwiera oczy na jego moralną nieczystość. Żądza zaciera zdolność rozróżnienia między czystością a nieczystością, jednak nie do końca. Wielu faktycznie uważa, że homoseksualne zachowania z innymi osobami lub masturbacja są brudne. Aby wzmocnić tę świadomość, trzeba pracować nad wolą przeciwstawienia się. Zdrowe emocje nie cierpią nieczystości. Nieważne, że ten punkt widzenia może być ośmieszany przez zwolenników homoseksualizmu. Oni po prostu są nieuczciwi. Każdy może zdecydować, by widzieć lub nie, czystość i nieczystość. Odmawianie ujrzenia ich to mechanizm obronny: „zaprzeczenie". Wysoce infantylnemu klientowi, którego homoseksualne pragnienia koncentrowały się na wąchaniu bielizny młodych mężczyzn i jednoczesnym wyobrażaniu sobie zabaw seksualnych z jej właścicielami, pomogła myśl, że jego zachowanie jest potajemne. Właściwie czuł, że nadużywa ciał swoich przyjaciół w swoich fantazjach, kiedy nadużywał ich bielizny dla własnego zmysłowego zaspokojenia. Ta idea spowodowała, że poczuł się brudny i niegodziwy. Z homoseksualizmem jest tak samo, jak z innymi niemoralnymi działaniami: im większa wewnętrzna moralna dezaprobata (innymi słowy, im jaśniejsza percepcja obrzydliwości tego zachowania), tym łatwiej jest powiedzieć: „nie".

Homoseksualne podniecenie bywa reakcją pocieszenia po doświadczeniu zawodu lub nieprzyjemności. W takich przypadkach nieodłączna litość dla samego siebie musi zostać rozpoznana i ośmieszona. Normalnie przyjęte przeciwności losu nie wywołują fantazji erotycznych. Jednak homoseksualne fantazje mogą pojawiać się także w innych momentach, kiedy czujemy się dobrze i w ogóle nie myślimy w ten sposób. W takich przypadkach wywołują je wspomnienia, skojarzenia, kiedy znajdujemy się w sytuacji uprzednio powiązanej z homoseksualnymi przygodami - w konkretnym mieście, miejscu, szczególnego dnia i tak dalej. Nagle pojawia się impuls, przychodzi bez zapowiedzi. Jednak jeśli zna się już takie sytuacje, można się do nich przygotować, między innymi poprzez powtarzanie sobie, że nie zamierzamy poddać się czarowi tych szczególnych okoliczności lub otoczenia.

Wiele homoseksualnych kobiet i mężczyzn jest uzależnionych od masturbacji, która wiąże ich z niedojrzałymi zainteresowaniami i seksualnym egocentryzmem. Walkę z tym nałogiem można wygrać pod warunkiem, że wytrzyma się jego nawroty. Choć w znacznym stopniu pokrywa się ona z próbami zwalczania horrioerotycznych fantazji i nie jest do końca tym samym.

Dla wielu masturbacja jest formą rozładowania frustracji lub zawodu. Pozwalamy sobie zanurzyć się w infantylne fantazje. Dobrą strategią jest powzięcie mocnego postanowienia każdego ranka i powtarzanie go, ilekroć zajdzie potrzeba (wieczorem lub przed pójściem spać): „Następną część dnia (nocy) nie poddam się". Z takim nastawieniem łatwiej rozpoznaje się pierwsze oznaki pojawiającego się pragnienia. Można wtedy powiedzieć sobie: „Nie dam sobie tej przyjemności. Wolę zaakceptować ten lekki dyskomfort, wynikający z niedostania tego, czego się pragnie". Wyobraź sobie dziecko, którego matka odmawia dania mu cukierka - dziecko może wpaść w furię albo zacząć płakać lub nawet kopać. A teraz zastosuj *hiperdramatyzację.* To twoje ego zachowuje się w ten sposób („Ja chcę cukierka!"). Albo powiedz: „Jaka szkoda, że nie dostaniesz swojej małej przyjemności". Lub potraktuj siebie (czyli swoje dziecinne ego), jak zrobiłby to surowy ojciec: „Nie, mały Jasiu (Marysiu), Tata mówi dzisiaj: «nie». Wystarczy. Może jutro. I lepiej rób, co ci Tatuś każe". A jutro zrób to samo. Skup się na dniu dzisiejszym, nie myśl: „Nigdy nie uda mi się tego pokonać, nigdy nie będę w stanie przestać tego robić". Walka musi odbywać się w cyklu dziennym, w ten sposób abstynencja sama narasta. Nie dramatyzuj z powodu nawrotów i chwilowych słabości. Powiedz sobie: „To było głupie, ale życie toczy się dalej", jak sportowiec. Wtedy zobaczysz, jak rośniesz w siłę, pomimo nawrotów. To jest jak wyjście na wolność, odstawienie alkoholu. Czujesz się lepiej, spokojniej, radośniej.

Kolejna sztuczka: wyobraź sobie, że nie poddajesz się impulsowi, jak dorosła osoba, która czuje go, ale nadal robi swoje, pozostając panem samego siebie. Wyobraź sobie siebie tak realistycznie, jak tylko potrafisz, jako dojrzałą osobę, która sobie nie ulega. „Tak, taką osobą chciałbym być!". Albo wyobraź sobie konieczność powiedzenia swojej żonie lub mężowi - albo potencjalnemu przyszłemu małżonkowi - albo swoim (przyszłym) dzieciom, czy udało ci się zwalczyć potrzebę masturbacji jak dorosłemu człowiekowi. Wyobraź sobie konieczność przyznania się, że tak naprawdę nawet nie walczyłeś i jak strasznie byłoby ci przed nimi wstyd.

Pozostając przy *hiperdramatyzacji,* można także ośmieszać „miłosne spełnienie" w fantazjach, towarzyszących masturbacji. Powiedz, na przykład, swojemu „wewnętrznemu dziecku" (albo po prostu sobie, kiedy zobaczysz, że w danym momencie twoje *ego* stało się nastoletnie): „Spojrzał głęboko w twoje oczy, wyznał ci miłość aż po grób i okazał ciepło twojej porzuconej i spragnionej

impri matur

uczucia biednej duszy", i tak dalej. Ogólnie postaraj się ośmieszyć i przedstawić satyrycznie swoje fantazje bądź ich elementy (na przykład fetyszystyczne dziwactwa). Ale przede wszystkim ośmiesz - być może ledwo świadomą - tęskną, płaczliwą skargę: „Daj mi, biednemu maleństwu, twoją miłość!". Homoerotyczne fantazje, jak związane z nimi impulsy wywołujące masturbację, są wypierane przez humor i uśmiech.

Problem z neurotycznymi emocjami polega na tym, że wywołują one alergię na śmianie się z samego siebie. Infantylne *ego* odpiera żartobliwe ataki, skierowane przeciwko wysokiemu mniemaniu o sobie. Jednak ćwiczenie czyni mistrza.

To logiczne, że niektórzy homoseksualiści mają infantylne pojęcie o seksualności. Niektórzy mogą myśleć, że masturbacja jest niezbędna do wytrenowania seksualnej męskości. Oczywiście, należy hiperdramatyzować zawarty w niej kompleks niższości męskości. Nigdy nie „udowadniaj" swojej męskości, rozwijając mięśnie, zapuszczając wąsy i brodę, ani tym podobne. Zaprzepaszczałoby to wszystkie inne wysiłki, karmiąc dziecięcą mentalność.

Wierzący chrześcijanin powinien również uciekać się do modlitwy. Modlitwa może być niezwykle pomocna w zwalczaniu masturbacji i fantazji homoseksualnych. Jednak modlitwa nie zastępuje walki woli, o której pisałem wcześniej. Po pierwsze, należy się modlić nie tylko wtedy, kiedy zwykle, ale również w tych krytycznych momentach, kiedy dają znać o sobie homoerotyczne impulsy. Ciekawe, że wiele religijnych osób z kompleksem homoseksualnym, choć modlą się w innych momentach, odmawia robienia tego w chwili

Przez następną część dnia nie poddam się!
Nie dam sobie tej przyjemności.
Wolę zaakceptować ten lekki dyskomfort,
wynikający z niedostania tego,
czego się pragnie.

imprimatur

„kuszenia". Modlitwa w takich okolicznościach wymaga wysiłku woli. W ciężkich chwilach, kiedy będziemy usilnie starać się zastosować inne metody, ale nie będziemy czuć się na siłach pokonać pragnienia znalezienia partnera czy masturbacji lub odpłynięcia w homoerotyczne fantazje, szczera modlitwa, adresowana do dobrego Ojca z perspektywy grzesznego syna pomoże nie poddać się. Ten, kto naprawdę próbuje zrobić, co w jego mocy, ale nie udaje mu się, więc pokornie prosi o pomoc - dostanie ją, nie za dużo, ale na pewno.

Wierzący katolik może również odwoływać się do Najświętszej Marii Panny, której wstawiennictwo u Boga jest szczególnie efektywne w kwestiach cnoty, oraz do Świętych i swojego Anioła Stróża. Wewnętrznie wzmacnia także spowiedź i komunia. Amerykańscy katolicy z problemami homoseksualnymi mogą znaleźć pomoc i wsparcie zdrowego religijnego podejścia w jednym z oddziałów organizacji *Courage,* założonej przez brata Johna Harvey'a (patrz Harvey, 1987; 1996). Aktywne uczestnictwo w tej organizacji oraz (auto)terapia opisana w tej książce nie wykluczają się nawzajem, a uzupełniają. Ponadto lekkie, a regularne fizyczne umartwianie się jest pomocne w walce z obsesjami seksualnymi, zwłaszcza gdy ofiarowywane jest Bogu, jak twierdzą moi zarówno katoliccy, jak i protestanccy klienci. Warto zauważyć, że ta stara mądrość niemal odeszła w niepamięć.

Ideałem dla przyszłego leczenia chrześcijan byłoby wzajemne oddziaływanie elementów i procedur psychologicznych i duchowych. Takie podejście, chrześcijańsko-psychologiczne, daje najlepszą gwarancję zmiany.

W odniesieniu do modlitwy polecam radę współczesnego przywódcy duchowego, pisarza J. Escrivy, która może dawać wsparcie tym, których postanowienie i nadzieja na zmianę czasem się chwieją:

> Po pierwsze, w modlitwie należy trwać. Po drugie, należy być pokornym. Mieć święty upór i zaufanie. Trzeba pamiętać, że kiedy prosimy Pana o coś ważnego, On może chcieć, byśmy o to prosili przez wiele lat. Nie poddawaj się! A twoja ufność powinna wzrastać (1988, 194).

Zwalczanie Infantylnego Ego

To jest właśnie to niedojrzałe, egocentryczne „ja". Czytelnik, który przemyślał rozmaite kwestie, poruszane w rozdziale o samowiedzy (rozdział 7), pewnie

imprimatur

zanotował kilka własnych infantylnych cech lub potrzeb, które przyszły mu na myśl. Ale dorastanie do emocjonalnej dojrzałości nie przychodzi automatycznie. Trzeba toczyć nieustanną walkę z infantylnym *ego* (a to wymaga czasu).

Osoby o skłonnościach homoseksualnych dobrze zrobią, koncentrując się na poszukiwaniu uwagi i współczucia ich „wewnętrznego dziecka". Odmiany tego to pragnienie bycia ważnym, szanowanym, podziwianym, kochanym, żałowanym lub wielbionym. Różne tego następstwa muszą zostać rozpoznane w codziennym życiu i kontaktach z innymi, a wynikających z tego przyjemności trzeba sobie zakazać. Coraz bardziej będzie stawało się jasne, ile czynów, myśli i motywów wyrasta z infantylnej potrzeby autoafirmacji (która jest czymś innym niż zdrowa radość z funkcjonowania i samorealizacji). Infantylne *ego* walczy o wyłączność na uwagę innych ludzi. Jego potrzeba miłości i współczucia może być bezwzględna. Łatwo je skrzywdzić, zazdrości, gdy uwaga skupia się na innych. Pragnienie miłości i uwagi „wewnętrznego dziecka" trzeba odróżnić od normalnej ludzkiej potrzeby miłości. Ta ostatnia, przynajmniej częściowo, podporządkowana jest potrzebie kochania innych ludzi. Dojrzała miłość, która zostaje odrzucona, odpowiada smutkiem, nie oburzeniem i litością dla samego siebie.

Każdy rodzaj infantylnej autoafirmacji powinien zostać unicestwiony. W ten sposób można uczynić szybki progres. Nie zapomnij o próbach bycia „wspaniałym" we własnych oczach, przodowaniu, byciu godnym podziwu. W pewnym sensie infantylna autoafirmacja ma „naprawiać" kompleks niższości. Jednak w efekcie podtrzymuje go i wzmacnia egocentryzm (wszystkie infantylne żądze i potrzeby są powiązane, jak naczynia połączone; karmienie jednego automatycznie wzmacnia inne). Dojrzała autoafirmacja, która dostarcza innego rodzaju radości, to satysfakcja z osiągnięć, a nie ze stwierdzenia: „Jestem wspaniały". Częściowo to wdzięczność. Dojrzały dorosły ma świadomość względności swoich osiągnięć.

Granie ról, udawanie, próby sprawienia ciekawego bądź szczególnego wrażenia - te zachowania zaliczają się do kategorii „poszukiwanie uwagi/współczucia". Unicestwianie tych tendencji przez przerywanie ich, gdy tylko zda się sobie z nich sprawę, trochę kosztuje, gdyż w ten sposób pozbawiamy się emocjonalnych nagród, wynikających ze schlebiania swojemu narcyzmowi. Jednak w rezultacie odczuwamy ulgę, uwolnienie. Wewnętrznie czujemy się bardziej niezależni, silniejsi. Gracz, przeciwnie, jest uzależniony od osądu innych.

Poza byciem wyczulonym na te zachowania i przerywaniem ich, kiedy się tylko pojawią, trzeba także pracować nad pozytywną stroną, czyli służeniem. Mam tu na myśli, po pierwsze - rozważanie w każdej sytuacji swoich zadań i obowiązków. Oznacza to zadanie sobie prostego pytania: jaki mógłby lub powinien być mój wkład w tę sytuację (czy jest to spotkanie, święto rodzinne, codzienna praca czy rozrywka)? „Wewnętrzne dziecko", przeciwnie, przejmuje się następującymi kwestiami: „Co znajdę tutaj dla siebie? Jakie korzyści mogę osiągnąć w tej sytuacji? Co inni mogą zrobić dla mnie? Jakie mogę zrobić na nich wrażenie?", i tak dalej. Jego myślenie jest skupione na nim samym. Żeby temu przeciwdziałać, najlepszy jest celowy wysiłek, by zrobić to, co mogłoby być naszym udziałem lub okazać się znaczące dla innych. Osoba egocentryczna, która, poza cieszeniem się spotkaniem z przyjaciółmi, świadomie stara się coś dla nich zrobić, skieruje swój egocentryzm na inny tor, będzie miała wiele satysfakcji. Inaczej mówiąc, pytanie brzmi: „Jakie są moje - tak, jak je widzę - małe i większe obowiązki?". Należy je określić w odniesieniu do swoich długoterminowych celów oraz w odniesieniu do krótkotrwałych sytuacji zwykłego dnia. Ponadto, jakie są moje zadania w małżeństwie, przyjaźni, pracy, w związku z dziećmi, zdrowiem, ciałem i odpoczynkiem? Te pytania mogą się wydawać trywialne. Jednak homoseksualny mąż, który przejmował się tylko swoim palącym dylematem „rodzina albo przyjaciel" i ostatecznie zostawił rodzinę dla swojego kochanka, wcale nie rozważył swoich obowiązków. Stłumił myślenie o nich, pokrywając je litością dla samego siebie, związaną ze swoim tragicznym położeniem.

Wyrosnąć z psychologicznego dzieciństwa to cel każdej terapii nerwicy. Patrząc z drugiej strony, cel ten zakłada, że będzie się próbowało żyć nie tylko dla siebie, ku chwale infantylnego *ego,* nie tylko dla własnej przyjemności. Na tyle, na ile uda się to osiągnąć, zainteresowania homoseksualne zmniejszą się. Jednak kluczowe jest, by najpierw zobaczyć swoje zachowania i motywy jako przejawy dziecinności i skupienia na sobie. „Zdaję się dbać tylko o siebie" - podsumował siebie pewien homoseksualny mężczyzna. „Nie wiem, co to znaczy kochać". Infantylne samolubstwo wydaje się być esencją homoseksualnych romansów: chcę dla siebie partnera. „To dlatego zawsze jestem dominująca i wymagająca w relacjach z kobietami" - stwierdziła pewna lesbijka: „Ona musi być w pełni moja". Wielu homoseksualistów udaje ciepło i miłość do swojego partnera i wmawia sobie, że te uczucia są prawdziwe, ale

impri matur

w efekcie pielęgnują oni egocentryczny sentymentalizm i grają przed samymi sobą. Wielokrotnie okazuje się, że są dla swoich partnerów surowi i właściwie nimi niezainteresowani. Taka miłość to samooszukiwanie.

Pewien mężczyzna, który był bardzo hojny dla swoich przyjaciół, kupował im ekstrawaganckie prezenty, pomagał im finansowo, gdy byli w potrzebie, tak naprawdę nie dawał im niczego. Kupował ich sympatię. Inny zorientował się, że stale przejmował się swoim wyglądem, wydając właściwie wszystkie pieniądze na ubrania, fryzjerów, perfumy. Oczywiście, czuł się fizycznie gorszy i nieatrakcyjny, a w rezultacie wewnętrznie żałował siebie, a jego kompensacyjny narcyzm był pseudonaprawczym egoizmem. Po nastolatku można spodziewać się przejmowania się swoimi włosami przez jakiś czas, jednak gdy dorośnie, zaakceptuje je takimi, jakie są i ta kwestia nie będzie zaprzątać jego uwagi. Jednak z homoseksualnymi mężczyznami jest inaczej: trzymają się kurczowo swoich dziecinnych marzeń o wyobrażonym pięknie, kontemplują swoje twarze w lustrze lub wizualizują sobie, jak przechadzają się ulicą bądź rozmawiają z ludźmi. Śmianie się z samego siebie jest dobrym *antidotum* na takie zachowanie (np. „Ależ ty świetnie wyglądasz!").

Istnieje wiele rodzajów narcyzmu. Lesbijka, która zachowuje się zanadto jak mężczyzna, może czerpać dziecinną radość z tej roli, tak samo jak homoseksualny mężczyzna, który półświadomie kultywuje swój kobiecy sposób bycia lub, odwrotnie, infantylnie odgrywa rolę *macho.* „Ależ jestem fantastyczny" - to towarzysząca takim zachowaniom myśl.

Ćwiczenie miłości do innych ze swojego otoczenia może być odczuwane jako frustrujące. Przecież tylko ja sam jestem interesujący, nie inni. Uczenie się miłości rozpoczyna się od zainteresowania drugą osobą: jak on żyje, co czuje, co będzie dla niego obiektywnie dobre? Z tego zainteresowania wynikają drobne gesty i uczynki. Zaczynamy czuć się bardziej odpowiedzialni za innych (ale nie w taki sposób, jak robią to niektórzy neurotycy, którzy czują się zobowiązani wziąć całe życie innych w swoje ręce. Taka forma brania odpowiedzialności za innych może być odmianą egocentryzmu: jestem tym ważnym, od którego zależą losy całego świata.) Wraz ze zdrową troską o innych pojawiają się uczucia miłości, jako konsekwencja przeformułowania sposobu myślenia.

Wielu homoseksualistów jest aroganckich, okazjonalnie lub chronicznie, w swoim zachowaniu, inni głównie w myślach (np. „Jestem lepszy od cie-

impri matur

bie"). Takie myśli należy wyłapać w momencie, gdy się pojawią i odrzucić je albo wyśmiać. W miarę jak zmniejsza się egoizm „wewnętrznego dziecka", znika część narcystycznych nagród, takich, jak podświadome przekonanie o byciu wyjątkowym, geniuszem, kimś lepszym. Nietzscheańska iluzja nadczlowieka to infantylizm. Co jest jej przeciwieństwem? Zdrowe stwierdzenie, że wcale nie jest się lepszym od innych. Umiejętność śmiania się z siebie.

Zazdrość też jest dziecinna. „On ma to czy tamto, a ja nie! Nie mogę tego znieść! Ależ ja jestem biedny! On jest piękniejszy, silniejszy, bardziej męski, wysportowany, popularny, bardziej utalentowany. Ona jest ładniejsza, bardziej urocza, dziewczęca, promienna, lepiej zbudowana, bardziej się nią interesują chłopcy". W takim patrzeniu na innych tej samej płci podziw i pragnienie kontaktu infantylnego *ego* zmieszane jest z zazdrością. Znalezienie przeciwwagi dla głosu „dziecka" to prawidłowa reakcja w takiej sytuacji: „Dobra, niech on sobie będzie idealny. A ja będę zadowolony z tego, co mam, psychicznie i fizycznie, choćbym był najgorszym z przedstawicieli mojej płci". Hiperdramatyzacja czy przedrzeźnianie domniemanej niższości w zakresie męskości czy kobiecości dziecinnego *ego* może ułatwić próby zobaczenia przedstawicieli swojej płci w mniej egocentryczny sposób.

Jeśli czytelnik przemyśli kwestię dojrzałej miłości, dojdzie do wniosku, że skoro pokonanie homoseksualizmu jest równoznaczne z osiągnięciem większej dojrzałości, ta wewnętrzna walka jest odmianą dowolnej walki, którą staczają ludzie, by wyrosnąć z obszarów swojego infantylizmu.

Naprawianie Roli Płciowej

Stawanie się dojrzałym mężczyzną lub dojrzałą kobietą implikuje też czucie się dobrze w swojej wrodzonej, naturalnej roli płciowej. Nierzadko osoby homoseksualne pielęgnują marzenie: „gdybym tylko nie musiał być dorosły!". Zalecenie: „zachowuj się jak facet (dama)" brzmi dla nich jak obelga. Mają problemy z wyobrażeniem sobie siebie jako dorosłych z powodu swojej dziecinnej skargi na niższość płci. Poza tym, często mają przesadzone, nierealistyczne pojęcie o byciu kobietą czy mężczyzną. Czują się swobodniej w roli dziecka: „ten śliczny uroczy, słodki chłopiec", „bezbronny chłopczyk", „dziewczęcy chłopiec" albo „chłopczyca", „ta agresywna, męska dziewucha", „delikatna, porzucona dziewczynka"... Nie lubią przyznawać, że to są fałszywe „ja", fałszy-

FRONDA 43

impri matur

we tożsamości. Szukają w nich ulgi, swojej niszy w życiu społecznym. Jednocześnie takie granie ról może dawać niektórym (znowu - nie wszystkim) narcystyczną przyjemność, płynącą z czucia się tragicznie i „wyjątkowo".

Homoseksualny mężczyzna może szukać męskości u podziwianych przez siebie partnerów, podczas gdy sam (lub raczej jego „dziecinne *ego")* paradoksalnie gardzi męskością, gdyż czuje się „bardziej wrażliwy", jest ponad tę „wulgarną" męskość. To wywołuje u niektórych niemal przysłowiową już arogancję. Lesbijka może gardzić kobiecością, jako jakością niższego rzędu - wygodnie jest żywić pogardę dla czegoś, czego i tak nie możemy mieć. Konieczne jest więc pozbycie się fałszywego obrazu „kogoś wyjątkowego" i nazwanie rzeczy po imieniu. To uspokaja, gdyż zobaczymy wreszcie siebie jako takiego samego, jak zwykły mężczyzna czy kobieta. Otoczka wyższości znika, a na jej miejsce pojawia się zrozumienie, że wszystko sprowadza się do infantylnego poczucia niższości.

Mężczyzna, poddający się tej (auto)terapii, niedługo przejrzy swoją niemęską rolę. Może ona przejawiać się w małych rzeczach, jak na przykład przekonaniu, że nie znosi alkoholu. W rzeczywistości jest to nieświadoma rola „delikatnego chłopca", który nie podoła takiemu męskiemu zachowaniu. „No dobra, ale mi naprawdę robi się niedobrze po jednej szklance whisky!" - to prawdopodobna odpowiedź. Nie, on to sobie wmawia, więc potem faktycznie czuje się gorzej, jak dziecko, któremu wydaje się, że nie trawi pewnego rodzaju

impri
matur

jedzenia, choć wcale nie ma żadnej alergii. Zrzuć tę rolę i spróbuj czerpać przyjemność z normalnego drinka (do abstynencji trzeba dorosnąć, gdyż tylko wtedy ma się wolność wyboru). „Napoje alkoholowe są dla mężczyzn" to fałszywe, histeryczne przekonanie charakterystyczne dla wielu „dziecinnych *ego"* homoseksualnych mężczyzn. W ten sam sposób należy usunąć każdy „piękny", „słodki" lub narcystyczny element ubrania, akcentujący nonkonformizm płciowy lub szczególną „wrażliwość". Mężczyźni muszą tak samo zmienić kobiece koszule, pierścionki czy inne ozdoby, perfumy, fryzury oraz sposób mówienia, ton głosu, gestykulację, mowę ciała i chód. Posłuchanie swojego głosu nagranego na taśmę może pomóc zauważyć nienaturalne, choć nieświadome, zmanierowanie, które zdaje się wołać: nie jestem męski (mówienie powoli, w afektowany, dygresyjny sposób, płaczliwie i piskliwie, tak irytujące dla niektórych, i tak charakterystyczne dla homoseksualistów). Po przestudiowaniu swojego głosu i zauważeniu takich właściwości postaraj się mówić cicho, ale spokojnie, twardo, głosem bez emocji, a następnie zauważ różnice (przy użyciu dyktafonu). Zwróć uwagę na opór, który czułeś, wykonując to ćwiczenie.

Niektórym lesbijkom dobrze zrobiłoby pozbycie się awersji do sukienek i innych kobiecych ciuchów. Zacznij się malować, przestań wyglądać, jak nastoletni chłopiec i być może zauważ, że będziesz zmagać się z poczuciem „kobiecość jest nie dla mnie". Postaraj się zmienić głęboko zakorzenioną rolę „twardziela" w swoim głosie, intonacji (nagraj się na kasetę), gestach i chodzie.

Drobne dogadzające sobie nawyki także muszą zostać zmienione, takie jak przynoszenie kapci w gości, gdyż „są takie miękkie i wygodne" (może to zabrzmieć obraźliwie, ale taki zwyczaj jest „starobabiarski" i zniewieściały). Ktoś inny może musieć zerwać z robieniem na drutach czy układaniem kwiatów, kiedy zrozumie, że radość, którą czerpie z tych aktywności, to radość małego dziecka, pławiącego się w swojej połowicznie kobiecej „naturze". Powstrzymywanie się od takich zajęć, kiedy zostaną one identyfikowane jako związane z kompleksem niższości płci, jest frustrujące. Jednak porównaj to do sytuacji nastolatka, który rozumie, że nadszedł czas położenia się spać bez ukochanego misia. Poszukaj innych zainteresowań i rozrywek, które bardziej pasują do twojej płci. Przykład z misiem mógł wywołać u niektórych uśmiech. Ale z homoseksualistami jest tak samo, w środku wcale nie chcą dorosnąć, pielęgnują swoją dziecinność.

impri
matur

Kiedy już odkryje genezę swojej niechęci do „kobiecych" zajęć, lesbijka powinna przełamać ją i zacząć gotować, służyć gościom lub też poświęcić się tak zwanym „nieistotnym" szczegółom, jak prowadzenie domu oraz bycie czułą i matczyną w stosunku do dzieci, zwłaszcza niemowląt - wbrew temu, co się powszechnie uważa, rzekomo opierając się na pseudobadaniach, uczucia macierzyńskie u niektórych lesbijek są uśpione i traktują one dzieci jak żądni przygód młodzieżowi liderzy, a nie matki. Zrezygnowanie z siebie dla tej kobiecej roli jest zwycięstwem nad infantylnym *ego* oraz emocjonalnym objawieniem: oto początek doświadczenia kobiecości.

Nierzadko homoseksualiści muszą oduczyć się swojej niechęci do uwalania sobie rąk podczas wykonywania pracy fizycznej - rąbania drewna, malowania domu, używania łopaty, młotka. Muszą zwalczyć opór przed wysiłkiem fizycznym. W kwestii sportu homoseksualny mężczyzna powinien skorzystać z jakiejś nadarzającej się okazji pogrania w rywalizacyjną grę zespołową, jak piłka nożna albo koszykówka, i starać się najlepiej jak potrafi, choćby miał być najgorszy na boisku. Tylko bez użalania się nad sobą. Wytrzymaj i walcz. Niektórzy po takim doświadczeniu poczuli się fantastycznie. Sportowa walka - oznaczająca zwycięstwo nad „biedactwem" - może dawać poczucie bycia

impri matur

„mężczyzną". To „wewnętrzne dziecko" w homoseksualiście odrzuca normalne aktywności, związane z płcią i unika ich. Ale mój nacisk na podejmowanie normalnych ról płciowych nie jest odpowiednikiem terapii behawioralnej. Ważna w tych zmianach jest rola woli, która ma zwalczyć wewnętrzny opór przed tymi rolami. Więc nie chodzi tu o wytrenowanie się, jak trenuje się małpy.

Nie powinno się przesadzać z „identyfikowaniem się" ze swoją męskością lub kobiecością w drobnych codziennych zachowaniach. Każda próba popisywania się swoją męskością - fryzura, wąsy, broda, „męskie" ubrania, hodowanie mięśni - jest egocentryczna i dziecinna, tylko wzmacnia homoseksualny kompleks. Każda dotknięta nim osoba z pewnością może wypunktować zachowania i zainteresowania, na których powinna się skupić.

Homoseksualni mężczyźni często mają dziecinne podejście do bólu fizycznego, „nie mogą znieść" nawet względnie nieznacznego fizycznego dyskomfortu. Dotykamy tutaj tematu odwagi, pokrewnej pewności siebie. „Wewnętrzne dziecko" zanadto boi się zarówno fizycznej walki, jak i innych form konfrontacji. Jego agresja nie jest więc bezpośrednia ani wyrażana wprost, dlatego może uciekać się do kłamstwa i intrygi. Żeby lepiej utożsamić się ze swoją męskością, musi pokonać lęk przed konfrontacją werbalną i, jeśli trzeba, także fizyczną. Musi mówić, co ma na myśli, szczerze i otwarcie, bronić się, gdy okoliczności tego wymagają, i ryzykować agresję lub śmiech innych. Ponadto musi egzekwować władzę, jeśli występuje z pozycji władzy i nie unikać możliwych „ataków" krytyki ze strony podwładnych lub współpracowników. Próbując być normalnie pewnym siebie, nieraz natknie się na swoje „biedactwo" i będzie miał mnóstwo okazji, by ośmieszyć lęk i bycie nieudacznikiem. Pewność siebie jest dobra, gdy nasza inteligencja podpowiada nam, że jest ona uzasadniona, a w niektórych sytuacjach bywa wręcz niezbędna. Jednak może ona być dziecinna, kiedy służy do pokazania, jakim jest się twardym i ważnym. Normalne pewne siebie zachowanie jest ciche, nierzucające się w oczy i skuteczne.

Z drugiej strony, wiele lesbijek zyskałoby na lekkich ćwiczeniach uległości, a wręcz - ledwo odważam się wypowiedzieć to słowo! - podporządkowania. Co gorsza, podporządkowania się władzy mężczyzn. Ich preferowana męska rola dominacji i niezależności powinna doświadczyć trochę przemocy - zastosowanej przez nie same, przez ich własną wolną wolę - jeśli mają

impri matur

poczuć, czym jest normalna kobieca „uległość" i „miękkość". Generalnie, kobieta chce żyć przy wsparciu mężczyzny, oddać mu się, troszczyć się o niego i częścią tego jest pragnienie podporządkowania się jego męskości. Pod histerycznie pewnym siebie zachowaniem zranionej „dziewczynki" kryje się u każdej lesbijki normalna kobieta.

Ciało: „niemęski chłopiec" i „niekobieca dziewczyna" często odrzucają męskość i kobiecość swoich ciał, co wynika z uczuć niższości. Spróbuj w pełni zaakceptować i pozytywnie oceniać płeć swojego ciała. Popatrz na swoją nagość w lustrze i podejmij decyzję, by być zadowolonym z męskości lub kobiecości swojego ciała. Nie próbuj kompulsywnie zmienić jakichś jego aspektów makijażem lub ubraniem, tak żeby nie przypominało ciebie. Jeśli kobieta ma małe piersi lub jest umięśniona, koścista czy temu podobne; powinna to zaakceptować, poprawić swój wygląd w jakichś rozsądnych granicach, a następnie przestać narzekać (to ćwiczenie trzeba zazwyczaj wielokrotnie powtarzać). Mężczyzna powinien być zadowolony ze swojego typu budowy, z penisa, muskulatury, owłosienia i tak dalej, i nie powinien narzekać ani marzyć o innej „idealnej" aparycji. Jest oczywiste, że takie niezadowolenie to infantylne skargi!

CERARD VAN DEN AARDWEC
PRZEKŁAD: KATARZYNA CÓRSKA-ŁAZARZ

Niebawem, nakładem oficyny Fronda, ukaże się podręcznik autoterapii dla homoseksualistów autorstwa dr. Gerarda van den Aardwega. Podręcznik stanowi pomoc dla osób, które podjęły terapię w celu zaprzestania praktyk homoseksualnych.

NOTY O AUTORACH

GERARD VAN DEN AARDWEG (1936) - psycholog holenderski z wieloletnim doświadczeniem klinicznym. Specjalizuje się w leczeniu homoseksualizmu.

SZYMON BABUCHOWSKI (1977) - poeta, dziennikarz *Gościa Niedzielnego,* wokalista zespołu Dobre Duchy. Wydał tomiki *Sprawy życia, sprawy śmierci* (2002) i *Czas stukających kołatek* (2004). W przygotowaniu tomik *Wiersze na wiatr* i poemat *Medjugorie. Wieniec z gwiazd dwunastu.* Mieszka w Katowicach.

WOJCIECH CHMIELEWSKI (1969) absolwent historii i dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Autor zbioru opowiadań *Biały bokser* (2006). Opowiadania, eseje i recenzje publikował m.in. w *Rzeczpospolitej, Odrze, Borussii, Dialogu, W drodze, Nowych Książkach, Toposie i Nowej Okolicy Poetów.* Mieszka w Sulejówku.

BOLESŁAW CZERWIŃSKI (1851-1888) - lwowski poeta i publicysta, związany z nurtem pozytywistycznym w literaturze. Działacz socjalistyczny.

PIOTR CZERSKI (1981) - poeta, prozaik, współzałożyciel zespołu Towary Zastępcze. Ukończył informatykę na Politechnice Gdańskiej.

JÓZEF DAJCZGEWAND (1944) - filozof, legendarny przywódca Marca 1968. Wraz z Bogumiłą Tyszkiewicz prowadzi blog PLaNETa_tErrA (http://planeta-terra.blogspot.com/). Mieszka w Szwecji.

BARBARA GRUSZKA-ZYCH - poetka, dziennikarka, pracuje w redakcji *Gościa Niedzielnego.* Wydała 9 tomików wierszy - ostatnio *Ile kosztuje łąka* (2007). Jest również autorką dwóch zbiorów reportaży: *Mało obstawiany Święty. Cztery reportaże z Bratem Albertem w tle oraz Zapisz jako....* Mieszka w Katowicach.

JERZY JAGODZIŃSKI - politolog i publicysta. Ma za sobą m.in. wieloletnie doświadczenie w pracy dla Polskiego Radia. Obecnie pracuje na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego: jest dyrektorem Wydawnictw Naukowych macierzystego wydziału, a wspólnie z Tomaszem Ochinowskim (patrz: niżej) prowadzi zajęcia z komunikacji międzykulturowej, zarządzania stosunkami międzynarodowymi oraz z etyki biznesu i historii.

ALEKSANDER KOPIŃSKI (1974) - humanista, redaktor *Frondy*. Wydał esej *Ludzie z charakterami. O okupacyjnym sporze Czesława Miłosza i Andrzeja Trzebińskiego* (wyróżnienie jury Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza w 2005 roku) i pracę zbiorową *Gdy zaczniemy walczyć miłością... Portrety kapelanów powstania warszawskiego.* Ostatnio publikował w tomie *Patriotyzm Polaków. Studia z historii idei* (Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2006). Mieszka w Warszawie.

BRONISŁAW ŁAGOWSKI (1937) - filozof, historyk idei, publicysta. Antykomunista, propagator wolnego rynku, konserwatysta. W PRL członek PZPR, krytycznie nastawiony wobec opozycji solidarnościowej.

RAFAŁ ŁĘTOCHA (1973) - mąż i ojciec. Doktor nauk humanistycznych, adiunkt w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor książek *Katolicyzm a idea narodowa. Miejsce religii w myśli obozu narodowego lat okupacji* (Lublin 2002) i *Oportet vos naści denuo. Myśl społeczno-polityczna Jerzego Brauna* (Kraków 2006). Publikuje tu i ówdzie, czyta to i owo, słucha tego i owego. Mieszka w Myślenicach. Stały współpracownik *Obywatela.*

MICHAŁ ŁUCZEWSKI (1979) - absolwent Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Publikował m.in. w *Zeszytach Karmelitańskich, Znaku* i *Studiach Socjologicznych.*

JAN MAROSZ (1973) - drobnomieszczanin, nie mieszka już na Rakowcu.

FILIP MEMCHES (1969) - skryba, redaktor *Frondy,* autor rozmów na lamach *Europy* (dodatku do *Dziennika).* Żonaty, dzieciaty. Mieszka w Warszawie.

ARTUR NOWACZEWSKI (1978) - poeta, krytyk literacki, doktorant na Uniwersytecie Gdańskim. Autor zbioru wierszy *Commodore 64* (2005) i zbioru szkiców *Trzy miasta, trzy pokolenia* (2006). Prowadzi błoga http://nowaczewski.blog.pl

TOMASZ OCHINOWSKI - psycholog społeczny, od wielu łat zainteresowany pograniczem psychologii i historii. Stale współpracuje z Instytutem Historii PAN i Wydziałem Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Obecnie pracuje na Wydziale Zarządzania UW. Wspólnie z Jerzym Jagodzińskim (patrz: wyżej) prowadzi zajęcia z komunikacji międzykulturowej, zarządzania stosunkami międzynarodowymi oraz z etyki biznesu i historii.

BENIAMIN MALCZYK PESSIMUS (1980) - prosty archeolog, urodzony na Pradze. Spotkać go można na Szmulkach, gdzie walczy i nie poddaje się.

JAN ALFRED REGUŁA (właśc. JÓZEF MITZENMACHER) - występował również pod pseudonimami: „Mietek", „Redyko" (od Rewolucja Dyktatura Komunizm) i nazwiskami: Jan Roszkowski, Józef Kamiński, Bogusław Słoński, Jan Skaliński i Jan Byrdych. Jeden z przywódców przedwojennego ruchu komunistycznego w Polsce. Po podjęciu współpracy z przedwojennym MSW opublikował *Historię Komunistycznej Partii Polski w świetle faktów i dokumentów.* Książka była dowodem na to, że polskie władze w 1934 roku doskonale rozpracowały ruch komunistyczny w Polsce.

PAWEŁ SKIBIŃSKI (1973) - doktor historii, wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim, kierownik działu badawczego Muzeum Historii Polski. Żonaty, dwoje dzieci. Mieszka w Warszawie.

TOMASZ TERLIKOWSKI (1974) - doktor filozofii, tłumacz, dziennikarz. Pracował w *Newsweeku,* redakcji katolickiej TVR był zastępcą redaktora naczelnego *Ozonu.* Obecnie publicysta *Rzeczpospolitej.* Ostatnio wydał *Moralny totalitaryzm. Bioetyczne dylematy współczesności oraz* tłumaczenie *Cudów Ewangelii* Sergiusza Bułgakowa.

BOGUMIŁA TYSZKIEWICZ - działaczka wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy w latach 80. Wraz z Józefem Dajczgewandem prowadzi blog PLaNETatErrA (http://planeta-terra.blogspot.com/)- Mieszka w Szwecji.

KORNEL UJEJSKI (1823-1897) - poeta, publicysta społeczny.

WOJCIECH WENCEL (1972) - poeta, eseista, freelancer. Ostatnio opublikował poemat *Imago mundi* (2005). Jest laureatem Nagrody Fundacji im. Kościelskich, redaktorem *Frondy* i felietonistą tygodnika *Ozon.* W praktyce zawodowej stara się naśladować G.K. Chestertona, który o swoich tekstach powiedział: „Pisałem je z reguły w ostatniej chwili, wysyłałem zawsze na ostatni moment i wątpię, czy świat by się zawalił, gdybym wysłał je moment później". Mieszka w Gdańsku.

REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK (1948) poeta, publicysta. Opublikował zbiory wierszy: *Dokumenty bez następstw prawnych* (1997) i *Przywilej* (2003) oraz antologię współczesnej poezji polskiej *Po Wojaczku* (1991). Mieszka w Warszawie.

PAMIĘTAMY

Arkadiusz Wielocha
Krzysztof Dzwolak
Paweł Filipiak
Waldemar Bieniak
Rafał Dudkiewicz
Mariusz Gajda
Radosław Głowacki
Danuta Dubow
Robert Żakowski
Piotr Maś
Piotr Miśkiewicz
Piotr Soluch
Marcin Małagocki
Piotr Terlecki
Marcin Pieszczyk
Piotr Giedrowicz
Paweł Skorowski
Marek Jan Chodakiewicz
Piotr Gontarczyk
Marta Sieciechowicz
Majer Kraszan Kraszewski

Rafał Smoczyński

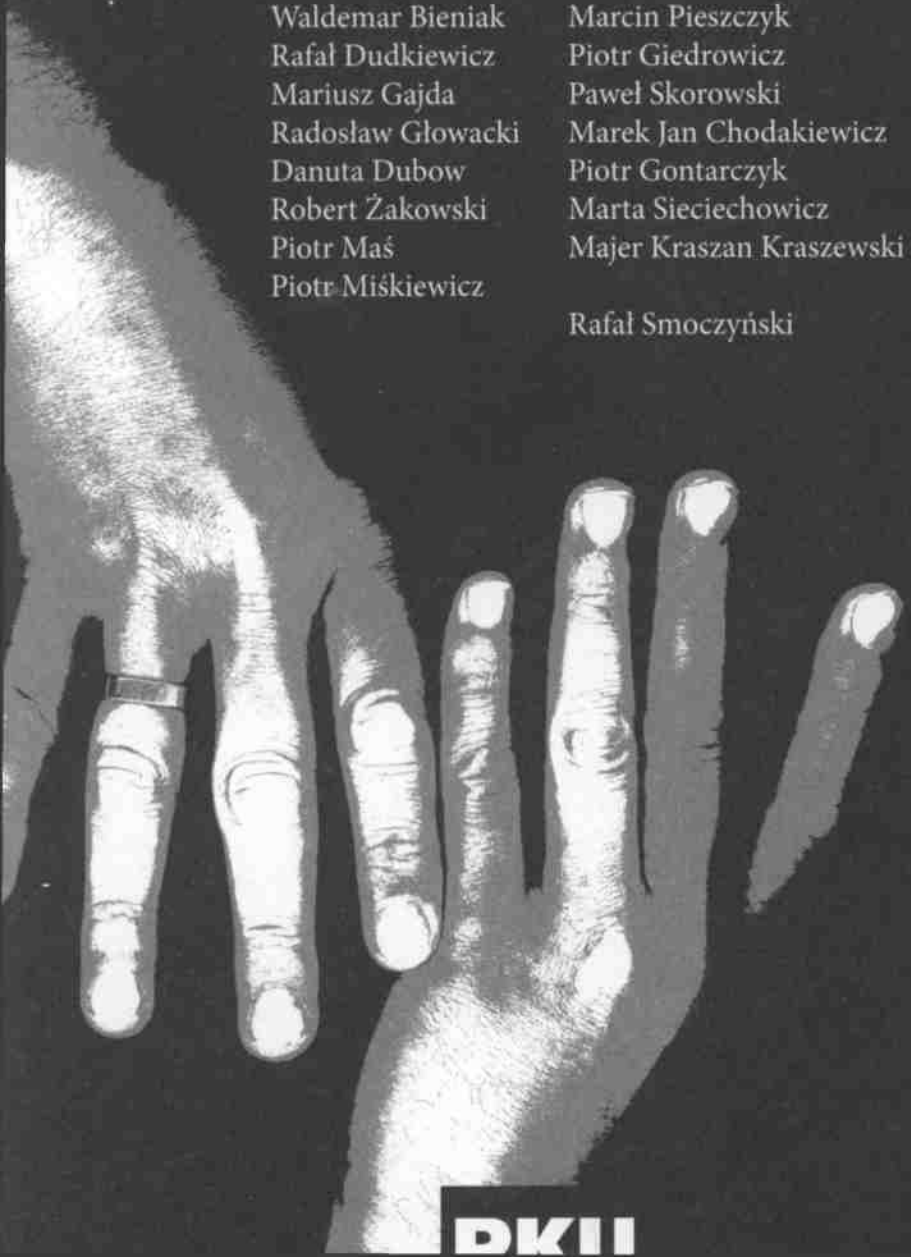

PKU

FRONDA FRONDA FRONDA

Muzeum Historii Polski

www.muzhp.pl

Muzeum Historii Polski, powołane 2 maja 2006 r., za główny cel stawia sobie zainteresowanie Polaków i cudzoziemców historią Polski oraz wzbudzenie szacunku dla tradycji narodowej. Planowane jest stworzenie nowoczesnej ekspozycji w Warszawie, prezentującej specjalne zbiory dotyczące historii Polski.

Ekspozycja

Stała ekspozycja Muzeum będzie ukazywać najważniejsze wątki historii Polski: dzieje polityczne, historię ustroju, kultury, gospodarki, życia społecznego i obyczajów. Wystawa obejmie nie tylko tradycyjne eksponaty, ale również repliki i instalacje interaktywne, wykorzystując najnowocześniejsze techniki plastyczne, audiowizualne i multimedialne. Do czasu powstania stałej siedziby Muzeum prowadzi działalność ekspozycyjną w przestrzeniach gościnnych, m.in. zorganizowało wystawę z okazji rocznicy odzyskania niepodległości „Odważmy się być wolnymi" w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Działalność badawcza

MHP organizuje konferencje i seminaria naukowe na temat kluczowych zagadnień historii Polski, prowadzi reedycję klasycznych prac historycznych i publikacji źródłowych, publikuje nowe teksty polskich historyków, inicjuje projekty badawcze. Do tej pory Muzeum zorganizowało kilka konferencji np. „Odkryć historię – zrozumieć wolność" poświęconą muzeom narracyjnym na świecie; „Polacy – Żydzi. Jak mówić o trudnych momentach stosunków polsko-żydowskich?" czy „Polska na tle Europy – -XVI-XVII wiek". Było współorganizatorem I Kongresu Zagranicznych Badaczy Dziejów Polski w Krakowie.

historia wolnych ludzi

Działalność edukacyjna

Muzeum realizuje projekty edukacyjne poprzez współpracę ze szkołami i instytucjami kultury oraz bezpośrednie kontakty z młodzieżą. Z dużym zainteresowaniem spotkały się konkursy: „Odważmy się być wolnymi" (poświęcony bohaterom polskiego odzyskiwania niepodległości z lat 1914–1922) i „Obywatel Pierwszej Rzeczpospolitej. W szkole, w sądzie, na sejmiku" (rekonstrukcje życia codziennego i obywatelskiego z czasów Polski przedrozbiorowej). Propozycją dla dzieci było m.in. poznanie funkcjonowania średniowiecznego miasta czy zabaw ich prapradziadków.

Działalność promocyjna, wydawnicza i popularyzatorska

Muzeum Historii Polski stworzyło nowoczesny portal historyczny: **www.hist.pl** (lub **www.polishhistory.pl**), który ma stać się forum dla miłośników historii oraz pomocą w pracy akademickiej i dydaktycznej. Elementem składowym portalu jest bezpłatna bibliograficzna baza danych: BazHum.

MHP zrealizowało też kilka filmów i programów dokumentalnych, publikacji multimedialnych oraz zorganizowało m. in. I Piknik Historyczny na Polach Mokotowskich w Warszawie, Przystanek Niepodległość (11 listopada), przegląd filmowy „Kogo kręci kino historyczne" i projekt „Rodziny rozdzielone przez historię".

Instytucja realizuje ciekawe **projekty wydawnicze**. Jedną z nich jest seria pt. „Wielcy Polacy o Dziejach Polski". Pierwszą pozycją z tego cyklu jest książka „Wspólne dziedzictwo. Jan Paweł II o historii Polski" (wybór tekstów - -Paweł Zuchniewicz). W przygotowaniu tomy tekstów Gombrowicza, Mickiewicza i Słowackiego. Inny cykl MHP to „Historia stylu", poświęcony historii życia codziennego i kultury materialnej Polaków.

Najnowszym projektem jest cykl wydarzeń w londyńskim Imperial War Museum – obie instytucje zorganizowały wspólnie przegląd filmowy „Polish Paths to Freedom" i projekt edukacyjny poświęcony Armii Andersa.

Muzeum Historii Polski
ul. Hrubieszowska 6a, 01-209 Warszawa
Tel. 022 211 90 02, Fax 022 211 90 33
e-mail: biuro@muzhp.pl
www.muzhp.pl

FRONDA 2007

Osiągnięcia

W tym roku FRONDA otrzymała:

— Nagrodę Stowarzyszenia Wydawców Katolickich „Feniks 2007" w kategorii „seria wydawnicza" za **Srebrną Serię – FIDES ET RATIO**

— Wyróżnienie „Feniks 2007" w kategorii „nauk kościelnych" za książkę **Msza święta w pytaniach i odpowiedziach**

„SREBRNA SERIA"

„Srebrna Seria" to cykl dzieł, których autorami są klasycy XX-wiecznej filozofii i teologii katolickiej. Do tej pory ukazało się w niej 11 książek autorstwa takich myślicieli, jak: Karl Adam, Gilbert Keith Chesterton, Jean Danielou, Dietrich von Hildebrand, Ronald A. Knox i Jacques Maritain. Seria prezentuje głębię i bogactwo refleksji chrześcijańskiej w obliczu wyzwań współczesności. To lektura wzbogacająca duchowo i inspirująca do działania w duchu Ewangelii.

Łukasz Kubiak • MSZA ŚWIĘTA W PYTANIACH I ODPOWIEDZIACH

Praca autorów młodego pokolenia: teologa i filozofa Łukasza Kubiaka oraz grafika i rysownika Piotra Janowczyka – stanowi niebanalny przykład swoistego przewodnika po Eucharystii dla osób luźno związanych z Kościołem. Zawiera 100 pytań i odpowiedzi dotyczących Mszy świętej, jej istoty oraz poszczególnych elementów. Ortodoksyjne treści ilustrowane są rysunkami przynależnymi raczej do estetyki popkulturowej niż kościelnej, zachowując jednak oryginalny, sakralny i metafizyczny wymiar.

Nowości wydawnicze

Vittorio Possenti • REWOLUCJA DUCHA. DOKTRYNA SPOŁECZNA KOŚCIOŁA WIDZIANA OCZYMA KARD. KAROLA WOJTYŁY

Błyskotliwy wywód wybitnego włoskiego filozofa i publicysty Vittorio Possentiego, który (tuż przed historycznym konklawe) zaprosił kard. Karola Wojtyłę do zajęcia stanowiska wobec konkretnych kwestii społecznych, takich jak: praca, zatrudnienie, ekonomia, totalitaryzm i demokracja. Z kolejnych odpowiedzi wyłania się głębokie osobiste przekonanie przyszłego papieża, że aktualności i skuteczności nauki społecznej Kościoła rozstrzygać będzie przede wszystkim zainteresowanie osobą ludzką: PRYMAT OSOBY. Wszelkie normy i cały wysiłek tej nauki służyć muszą budowaniu społeczeństwa jako WSPÓLNOTY OSÓB. Zdaniem Kardynała tylko umacnianie wartości osobowej człowieka stanowić może naprawdę efektywną zaporę przeciwko fałszywym modelom społecznego współżycia: przeciw kolektywizmowi i indywidualizmowi, przeciw społecznemu wyzyskowi i nieprzewidlwości.

Vittorio Messori • OPINIE O MARYI

Najnowsza książka Vittorio Messoriego nawiązuje do jego pierwszej bestsellerowej książki „Opinie o Jezusie". Tym razem Messori, w ciągu kilkuletnich badań, zebrał potężny materiał na temat osoby Maryi. Książka ukazuje nie tylko jej życiorys, ale i rolę, jaką przez blisko 2000 lat odgrywała w historii świata. Messori dokładnie śledzi kulturowe procesy, na których Matka Boża odcisnęła znak swej obecności. Często nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo osoba Bożej Rodzicielki jest obecna w naszym codziennym życiu, jak bardzo zmieniła i nadal zmienia oblicze otaczającego nas świata. Pasjonująca i zaskakująca lektura.

Jacek Grzybowski • JACQUES MARITAIN I NOWA CYWILIZACJA CHRZEŚCIJAŃSKA

Praca ks. Jacka Grzybowskiego poświęcona jest jednemu z najwybitniejszych filozofów chrześcijańskich XX wieku, prekursorowi neotomizmu – francuskiemu myślicielowi Jacquesowi Maritainowi, a zwłaszcza jego koncepcji cywilizacji chrześcijańskiej. Można rzec, że odpowiada ona na wyzwanie Jana Pawła II, który apelował o to, by ludzkość budowała dziś cywilizację miłości, cywilizację życia. Maritain w swej twórczości starał się nakreślić obraz takiej cywilizacji oraz opisywał sposób, w jaki można to osiągnąć. Jego myśl inspirowała uczestników Soboru Watykańskiego II, a także samego Karola Wojtyłę. Dzięki książce ks. Grzybowskiego możemy nie tylko lepiej poznać źródła inspiracji Jana Pawła II, lecz również odpowiedzieć sobie na pytanie, jak potraktować papieski apel o budowę cywilizacji miłości.

Grzegorz Górny • **DEMON POŁUDNIA** • eseje

Zbiór błyskotliwych esejów długoletniego redaktora naczelnego „Frondy". Autor powtarza za Janem Pawłem II, że dziś toczy się bój o duszę tego świata, i analizuje różne fronty tej walki, które przebiegają nie przez okopy i zasieki, lecz przez redakcje, sale sądowe, wytwórnie filmowe czy uniwersytety. Autor demaskuje m.in. fałszerstwa seksuologa Alfreda Kinseya czy antropolog Margaret Mead, odkrywa drugie dno w twórczości Czesława Miłosza i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, pisze o inicjacjach demonicznych, o współczesnych mechanizmach prowokacji, manipulacji i dezinformacji, zastanawia się nad sensem cierpienia czy istnieniem małżeństwa. Prezentuje unikalny w polskim piśmiennictwie sposób przykładania miar duchowych do zjawisk społecznych, kulturowych i obyczajowych. Obowiązkowa lektura dla każdego, kto chce zrozumieć dzisiejsze procesy cywilizacyjne.

Dariusz Karłowicz • **ARCYPARADOKS ŚMIERCI** • eseje

Drugie wydanie książki, która kilka lat temu ukazała się nakładem krakowskiego „Znaku". Poświęcona jest pierwszym chrześcijanom, którzy w czasie prześladowań w imperium rzymskim oddawali życie za wiarę, oraz reakcjom, jakie ta męczeńska śmierć wywoływała wśród ówczesnych elit umysłowych, zwłaszcza zaś filozofów. Autor dowodzi, że chrześcijańska postawa wobec śmierci doskonale wpisywała się w życiowy ideał filozofa, jaki rozpowszechniony był wówczas w świecie rzymskim. To wyjaśnia, dlaczego obserwując męczeństwo chrześcijan wielu myślicieli przekonywało się do chrześcijańskiej wiary. Praca Karłowicza to doskonałe studium relacji między antyczną filozofią grecką a pierwotnym chrześcijaństwem.

Paweł Lisicki • **NIE-LUDZKI BÓG** • eseje

Wznowienie debiutanckiej książki obecnego redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej" Pawła Lisickiego, wydanej po raz pierwszy w 1995 roku. Zachwycił się nią wówczas Czesław Miłosz, który powiedział, że Lisicki jest najwybitniejszym po II wojnie światowej polskim eseistą metafizycznym. Książka ta sprawiła, że Lisicki otrzymał prestiżową literacką Nagrodę im. Andrzeja Kijowskiego. „Nie-ludzki Bóg" to zbiór esejów, w których autor analizuje twórczość literacką współczesnych poetów i pisarzy, m.in. Zbigniewa Herberta, Bolesława Leśmiana, Czesława Miłosza, Milana Kundery, Isaaca Singera, Marcela Prousta czy Emila Ciorana, tropiąc w ich utworach obecność (lub brak obecności) Absolutu. Jego zdaniem bowiem wielka sztuka to taka, która dotyka Absolutu, opowiada o sprawach ostatecznych.

Pio Moa • **MITY WOJNY DOMOWEJ.** HISZPANIA 1936-1939
• Biblioteka Historyczna Frondy

Książka hiszpańskiego historyka Pio Moi stała się bestsellerem w Hiszpanii – w ciągu ostatnich 4 lat doczekała się ona tam aż 36 wydań. Tymczasem książki jest jedna z najważniejszych i najbardziej kontrowersyjnych epizodów w historii XX wieku, a mianowicie wojna domowa w Hiszpanii. Wojna ta na długie lata ukształtowała międzynarodowy etos walczącej lewicy. Powszechna wiedza o tym konflikcie pochodzi zazwyczaj nie z opracowań historyków, lecz z dzieł artystów, które mocniej oddziałują na masową świadomość. Do dzieł takich należy np. powieść „Komu bije dzwon" Ernesta Hemingwaya, obraz „Guernica" Pabla Picassa czy filmy fabularne „Ziemia i wolność", „Fiesta", a ostatnio „Labirynt fauna". Tymczasem, jak dowodzi Pio Moa, dzieła te nie oddają prawdy o tamtym konflikcie, ale budują mit służebny wobec jednej ze stron konfliktu. Oparta na bogatym materiale źródłowym praca hiszpańskiego historyka obala owe funkcjonujące nadal w świadomości zbiorowej stereotypy.

Maryna Miklaszewska • **WOJTEK Z ARMII ANDERSA** • powieść

Powieść oparta jest na faktach i opowiada o nieznanym epizodzie z dziejów II wojny światowej, a mianowicie o niedźwiedziu brunatnym, który przeszedł cały szlak bojowy z 2 Korpusem Polskim generała Władysława Andersa – od wyjścia z ZSRR do demobilizacji po wojnie w Wielkiej Brytanii. Niedźwiedź był z polskimi żołnierzami w Persji, Ziemi Świętej i podczas kampanii włoskiej, gdzie brał udział m.in. w bitwie pod Monte Cassino. I to brał udział w najbardziej dosłownym sensie – zachowały się zdjęcia przedstawiające misia roztaszczającego ciężarówki ze skrzyniami amunicji lub podążającego artylerzystom pociski. Niedźwiedź Wojtek zmarł w 1968 roku w ogrodzie zoologicznym w Edynburgu jako honorowy członek Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Szkockiej. Maryna Miklaszewska, znana do tej pory jako autorka libretta do musicalu „Metro" i książki dla dzieci „Mikołajek w szkole PRL", napisała świetną powieść – z myślą zwłaszcza o młodym czytelniku.

Książki do nabycia w księgarniach katolickich i innych dobrych księgarniach oraz w sieci EMPiK, jak również wysyłkowo w Księgarni Ludzi Myślących – www.xlm.pl
Więcej informacji na stronach www.fronda.pl

KSIĘGARNIA PATRONACKA WYDAWNICTWA FRONDA XLM poleca SIĘ!

www.xlm.pl

XLM – Księgarnia Ludzi Myślących

Twoja Pierwsza Księgarnia

Zaproszenie

Miły Nieznany, acz zapewne Dobry Czytelniku,

Wstąp do e**X**luzywnego k**L**ubu **M**iłośników

DOBRYCH KSIĄŻEK

(chrześcijańskich i wartościowych), a otrzymasz w zamian:

- newsletter z zapowiedziami wydawniczymi,
- specjalną zniżkę na zakupy książek z BIBLIOTEKI FRONDY
- wyczerpane nakłady książek i kwartalników FRONDY
- inne niespodzianki